



KRÓLOWA ATTOLII

MEGAN WHALEN TURNER

Megan Whalen Turner

Królowa Attolii

The Queen of Attolia

Tłumaczenie: Dominika Rycerz-Jakubiec

Gdy Eugenides, Złodziej Eddis, wykradł Dar Hamiatesa, królowa Attolii straciła coś więcej niż tylko mityczny artefakt. Straciła twarz w oczach swoich poddanych. Wszyscy wiedzą, że młody złodziej przechytrzył ją, wymykając się pościgowi. Chcąc odzyskać utraconą reputację i pozycję, królowa Attolii nie cofnie się przed niczym i przyjmie każdą oferowaną jej pomoc...

By dokonać zemsty, gotowa jest poświęcić nawet swój własny kraj.

Dla Susan Hirschman

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spał, ale obudził się, słysząc odgłos przekręcane go w zamku klucza. W składziku przechowywano bieliznę pościelową na zimę, która nikomu nie powinna być potrzebna w połowie lata, a już na pewno nie w środku nocy. Nim drzwi stanęły otworem, zdążył prześliznąć się przez kwadratowy otwór w kamiennej ścianie i bezgłośnie zamknąć za sobą metalowe skrzydło. Znalazł się w wąskim tunelu, łączącym kotłownię z hypocaustum mniejszej komnaty audiencyjnej, położonej w dalszej części korytarza. Drzwi, przez które dopiero co się przecisnął, miały za zadanie wpuszczać dym do składziku, by w ten sposób odkazić pościel. Po cichu przekradł się tunelem ku otwartej przestrzeni hypocaustum. W górze przysadziste filary podtrzymywały kamienną podłogę. Nie było dość miejsca by usiąść, więc położył się na plecach, nasłuchując, podobnych do odgłosów bębna, dudniących kroków ludzi przemierzających komnatę audiencyjną nad jego głową. Musieli go szukać, ale niespecjalnie go to niepokoiło. Ukrywał się już wcześniej pod podłogami pałacu. Jego przodkowie korzystali ze schronienia, jakie dawały tunele hypocaustum od kiedy najeźdźcy zbudowali je, by ogrzać swoje nowe budowle setki lat temu.

Gdy nadstawił ucha, z długiego, wąskiego tunelu prowadzącego do kotłowni dobiegły go nowe odgłosy: głuchoe stukoty i trzaski. Rozpalano w piecu. Wkrótce hypocaustum wypełni się ciepłym powietrzem i, co gorsza, dymem, mającym ogrzać komnatę audiencyjną oraz wykurzyć zwierzyne. Pośród nieprzeniknionej ciemności przekradł się cicho między ceglany mi filarami, po czym wymacał w ścianie ujście kanału wentylacyjnego nieco

większe od innych. Pomimo rozmiarów otworu wcale nie było łatwo przecisnąć się przez wąski tunel. Kiedy mozolnie posuwał się naprzód, owiało go ciepłe, przesycone dymem powietrze. Przypomniawszy sobie, z jaką łatwością przyszło mu wślizgnięcie się do kanału za pierwszym razem. Dziadek, który przyprowadził go do pałacu, był już za stary i za duży, by móc korzystać z większości korytarzy, musiał więc zostać w gospodzie w mieście, podczas gdy jego wnuk penetrował zakamarki budowli, odnajdując przejścia na podstawie opisów.

Znalazłszy się we wnętrzu kanału wentylacyjnego, wbił palce w szczeliny w kamieniu i zapierając się stopami zaczął wspinać się ku górze, aż wreszcie tunel zakręcił, łącząc się z kominem ponad komnatą audiencyjną. Dotarłszy w to miejsce, zaklął cicho, choć powinien był spodziewać się tego, co tam zastał. W piecu na dole płonął ogień. Całe szczęście, że nie wzniecali tam małego pożaru przed wypłoszeniem go ze składziku. Musieli dopiero co napalić, ale komin zdążył już wypełnić się dymem i szybko robiło się coraz goręcej. Nie mając innego wyboru, złodziej kontynuował wspinaczkę, poruszając się tak prędko, jak tylko mógł, łudząc się, że trzaskanie płomieni zagłuszy szuranie jego miękkich butów po ukruszonych ceglach. Nie było tu tak ciasno, jak w kanale wentylacyjnym, a konstrukcja ścian miała ułatwić wspinaczkę kominiarzom.

Parł naprzód, aż wreszcie dotarł do punktu, w którym przecinało się kilka przewodów, tworząc jeden duży komin wychodzący na dach pałacu. W jego wnętrzu było ciepło i kłębił się dym, więc złodziej, zamiast wejść do środka, wybrał inny tunel i zaczął schodzić nim w dół. Podejrzywał, że królowa wystawiła strażników na dachu, każąc im obserwować wyloty kominów.

Oddychał wolno i płytko, tłumiąc przy tym kaszel. Najmniejszy dźwięk mógł zdradzić miejsce jego pobytu. Gdy znalazł się niżej, dym wyraźnie

zgęstniał, przez co oczy złodzieja zaczęły łzawić. Utraciwszy jasność widzenia, nie znalazł oparcia dla dłoni i ześlizgnął się z głuchym łoskotem na występ w dole. Upadając, wciągnął w płuca dym. Jego twarz momentalnie przybrała odcień czerwieni, a krew zadudniła mu w uszach, szybko więc zakrył usta obiema dłońmi. Powoli wypuścił powietrze przez palce i zrobił ostrożny wdech, ale gardło paliło go żywym ogniem i wciąż kręciło mu się w głowie. Jego oddech przypominał raczej serię tłumionych kaszlnięć.

Znalazł się na półce, gdzie komin rozgałęział się na węższe kanały, prowadzące do kilku różnych pomieszczeń. Zamknął oczy i nadstawił uszu, ale nie usłyszał krzyków, a jedynie stłumione trzaskanie płomieni gdzieś w dole. Wetknąwszy głowę kolejno do każdego z wlotów, wybrał wreszcie jeden prowadzący, miał nadzieję, do prywatnych komnat jakiegoś zagranicznego ambasadora, na tyle ważnego, że żołnierze nie ośmieliliby się przeszkadzać mu w środku nocy, by bez potrzeby rozpaścić ogień w jego kominku.

Przewód, którym postanowił podążać, odłączał się od głównego szybu tworząc długi, łagodny łuk. Powietrze było tu wolne od dymu, złodziej skorzystał więc z okazji, by z ulgą wziąć kilka głębokich oddechów, aż nieco przejaśniało mu w głowie. Dotarłszy do miejsca, w którym kanał zakręcał i opadał pionowo w dół, ku palenisku, zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nic nie wskazywało na to, by w kominku rozpalano ogień, toteż, gdy już nie musiał się spieszyć, uznał, że najlepiej będzie, jeśli upewni się, czy w komnacie nikt na niego nie czeka. Po dłuższej chwili ciszy do jego uszu dobiegło skrzypienie łóżka, gdy śpiąca w nim osoba zaczęła wiercić się przez sen.

Złodziej opuścił się ostrożnie na górną krawędź kominka. Zaparłszy się mocno o ceglane ściany, wystawił głowę, by rozejrzeć się po sypialni. Wyglądało na to, że nie rozmieszczono w niej gwardzistów, więc opadł

bezszelestnie na kamienie paleniska. Rozciągnięta na łóżku postać nawet nie drgnęła, a poza nią w pomieszczeniu nie było nikogo innego. Złodziej przykucnął w kominku, przypominając sobie rozmieszczenie pałacowych sypialni. Spodziewał się, że w większości sąsiednich pokoi żołnierze rozniecili już ogień. Nie odważyli się zakłócać spokoju mieszkańca tej komnaty, ale zapewne czekali w holu licząc na to, że ofiara otworzy drzwi i wpadnie prosto w ich ręce.

Ta jednak nie zamierzała wcale wychodzić na korytarz. Sypialnia znajdowała się przy zewnętrznych murach pałacu. Ściana opadała pionowo w dół ku drodze oddzielającej pałac od otaczającego go miasta. Złodziej minął łóżko, podszedł do okna i rozsunął zasłony, by wyjrzeć na zewnątrz. Otworzył okno i popatrzył w górę, sprawdzając, czy żaden z gwardzistów na dachu nie interesuje się tym, co dzieje się na dole. Nikt nie wychylał się przez gzyms, więc wyszedł na parapet i rozpoczął mozolną wędrówkę w dół. Odstępy między marmurowymi blokami, z których zbudowano pałac były niewielkie i na szczęście wystarczały, aby dać oparcie palcom dłoni i stóp. Był już w połowie drogi ku ziemi, gdy nad jego głową rozległ się krzyk. Zauważono go. Przyciskając się do ściany, zaczął posuwać się w bok, spodziewając się, że lada chwila w ramię trafi go bełt z kuszy. Nic takiego się jednak nie stało. Wtedy przypomniał sobie, że osobista gwardia królowej nosi broń palną, ale nie nadeszły i kule. Może nie mogli używać broni w środku nocy. Może nie chcieli obudzić królowej. To nie tłumaczyło, dlaczego nie strzelali z kusz, ale złodziej nie miał już czasu na dalsze rozważania. Dotarł do okna i wśliznął się przez nie do wnętrza pomieszczenia.

Znalazł się w gabinecie. Większość poziomą, na którym pracowali królewscy poborcy podatkowi, zajmowały pomieszczenia urzędowe i magazyny. Wiele z nich było ze sobą połączonych. Udało mu się umknąć gwardzistom piętro wyżej, więc jeśli się pospieszy zdoła uciec, zanim na

nowo zorganizują poszukiwania. Nie było sensu dłużej się ukrywać, skoro prawie go schwytano. Teraz musiał wydostać się z pałacu i bezpiecznie dotrzeć do miasta.

W świetle lamp płonących w korytarzu mógł dobrze się sobie przyjrzeć. Aż się wzdrygnął. Choć miał na sobie strój attolijskiego służącego, był brudny, pokryty sadzą i pajęczynami, a także zbyt niechlujny, by uchodzić za niewinnego mieszkańca pałacu, wyrwanego ze snu przez niespodziewane hałasy. Poza tym nie było wcale żadnych hałasów. Łowy, których terenem stał się pałac królowej Attolii, prowadzone były w ciszy. Gwardziści skradali się ostrożnie, starając się go zaskoczyć, a on skradał się jeszcze ostrożniej, starając się im wymknąć. Gra nabierała coraz większego tempa, a złodziej napotykał żołnierzy za każdym rogiem. Natrafiał na nich w każdym miejscu, przez które próbował się przekraść, aż wreszcie zaczęli ścigać go biegiem, dudniąc butami po nagich posadzkach, gdy próbował sforsować zamek w drzwiach prowadzących na mury, które okalały jeden z pałacowych dziedzińców.

Deptali mu po piętach, gdy puścił się pędem po gzymsie, ale zaraz zwolnili do marszu. Po jednej stronie murów, daleko w dole, rozciągał się podwórzec, po drugiej – w równie dużej odległości – biegła otaczająca pałac droga. Zza rogu, naprzeciwko złodzieja, wyłoniła się druga grupa gwardzistów. Obydwa oddziały wydawały się być przekonane, że uda im się schwycić uciekiniera w kleszcze. On jednak oczami wyobraźni widział aż za dobrze, co stanie się z nim, jeśli zostanie pojmany, dlatego też, dotarwszy do zakrętu, nie zwolnił, czego mogliby spodziewać się gwardziści, ani nie zawrócił. Zamiast tego odbił się od krawędzi gzymsu i rzucił prosto w mrok nocy.

Żołnierze popędzili ku skrajowi murów, ale było już za późno. Położywszy się na brzuchach na szerokich, kamiennych blokach spojrzeli w

dół na brukowaną drogę. Mając w pamięci wyraźny rozkaz, by pojmać złodzieja żywcem, szukali pogruchotanego ciała pośród nachodzących na siebie cieni, rzucanych przez zawieszane na murach latarnie. Ciemności utrudniały widzenie, więc minęło trochę czasu, nim zorientowali się, że w dole nie ma żadnego ciała.

Wreszcie jeden z gwardzistów wskazał dach po drugiej, odległej stronie opasującej pałac drogi. Zataczając się, złodziej stanął na nogi i pomknął przed siebie najszybciej, jak tylko mógł. Zeskoczył na niższy budynek i na chwilę całkowicie zniknął żołnierzom z oczu, aż wreszcie zobaczyli, jak zsuwa się z dachu na biegnącą w dole uliczkę. Jeden z gwardzistów zaklął, częściowo ze złości, częściowo z podziwu.

– Widzieliście dokąd pobiegł? – zapytał zimny głos za ich plecami. Żołnierze stanęli na baczność, a porucznik udzielił odpowiedzi:

– Zniknął w alejce, Wasza Wysokość.

– Wystrzelcie z kusz w tamto miejsce. Gwardziści na dole powinni usłyszeć, gdzie upadną bełty.

Królowa odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi prowadzących z powrotem do środka. Chciała schwytać złodzieja w pałacu. Wiedziała, że w zeszłym roku czterokrotnie pojawiał się w którejś z jej twierdz, raz opuszczając komnatę tuż przed tym, jak sama weszła do środka, innym znów razem, jak podejrzewała, przechodząc przez jej własną sypialnię, gdy spała. Przy okazji ostatniej wizyty ledwie zdołał uciec i miała pewność, że teraz już mu się to nie uda. Mimo to irytowało ją, że nie zostanie pojmany w obrębie murów jej pałacu.

Złodziej usłyszał, jak bełty odbijają się od kamieni uliczki za jego plecami, a wkrótce potem gdzieś nieopodal rozbrzmiał okrzyk. Dał sobie spokój z bezszelestnym przekradaniem się naprzód i pomknął najszybciej jak tylko mógł przez kręte alejki. Skok z pałacowych murów był iście

straszliwym wyczynem i choć lądując przetoczył się przez bark, to i tak potężnie wstrząsnął nim impet uderzenia. Piekły go dłonie, a ramiona płonęły bólem. Kiedy wreszcie ustąpiło uczucie pustki w klatce piersiowej, zastąpiło je klucie w boku od nieprzerwanego biegu. Noc była ciepła, więc pocił się podwójnie.

Uliczki zakręcały i przecinały się ze sobą tak wiele razy, że wydawało się niemożliwe, by ścigający nie stracili go z oczu albo byli w stanie usłyszeć jego kroki pośród tupotu własnych butów, jednak na każdym rogu pojawiała się coraz więcej żołnierzy. Gdy tylko udawało mu się zgubić pogoń, ta natychmiast znowu wpadała na jego trop. Kiedy wreszcie natrafił na prostą alejkę, oddychał ciężko i szybko ze zmęczenia. Mimo to znów puścił się pędem. Z oddali dobiegło go szczekanie psów. Po chwili zrozumiał, że to nie miejskie zwierzęta, które ujadają nieprzerwanie od kiedy rozległy się pierwsze krzyki, ale pałacowa sfera sprowadzona po to, by go dopaść.

Droga, którą biegł, urywała się nagle przy murach miejskich. Te były nowe – podobnie jak pałac, zbudowano je niedługo przed końcem okupacji najeźdźców. W odróżnieniu od pochyłych murów starszych miast, wznosiły się pionowo w górę, ku przejściom biegnącym na ich grzbietach. Nie mógł liczyć na to, że uda mu się na nie wdrapać, ale u ich podstawy, w miejscu gdzie wąska dróżka wpadała do rowu odprowadzającego obfite, zimowe opady, znajdował się kanał przechodzący pod murami miasta. W połowie jego długości, tak jak w przypadku innych kanałów, powinna tkwić żelazna krata, ta jednak została wyłamana. Wprawdzie naprawiono ją kilka lat temu, ale złodziej spędził trzy noce na piłowaniu prętów, by otworzyć sobie prywatne wejście do miasta.

Ściek nie był zbyt duży. Przemierzając go w przeciwną stronę zeszłego wieczoru, poruszał się powoli, opierając się na dłoniach i czubkach palców, i uważając, by nie pobrudzić ubrań. Potem umył ręce w fontannie, przetarł

czubki butów i poszedł na obiad.

Ścigany przez pałacowe psy, popędził prosto w kierunku murów i, nie zwalniając, rzucił się głową naprzód do wnętrza tunelu, przejeżdżając kilka stóp na zalegającym tam błocie i szlamie. Za sobą słyszał tupot butów oraz ujadanie sfory. Przeczłogał się po żelaznej kratce leżącej w mule w połowie długości kanału i odwrócił się, by z powrotem ustawić ją w pionie. Usłyszawszy zgrzytanie prętów o ściany tunelu, szarpnął jeszcze mocniej, mając nadzieję, że jeśli psy naprą na kratę, zaklinują ją w tej pozycji, a nie przewrócą z powrotem w błoto.

Resztę drogi przez kanał pokonał czołgając się. Wypełził na zewnątrz spod murów miejskich i znalazł się na skraju gaju oliwnego. Od świtu dzieliło go jeszcze wiele godzin, a ponieważ noc była bezksiężycowa, ledwie mógł dostrzec zarysy własnej dłoni, wyciągniętej przed twarzą. Nie musiał jednak nic widzieć, by wiedzieć, gdzie się znalazł. Przed nim rozciągały się równiutkie rzędy drzewek oliwnych. Jeśli ruszy w dół wzgórza pomiędzy nimi, dotrze do rzeki płynącej u jego podnóża. Znalazłszy się w wodzie, wdrapałby się na jedno z drzew rosnących nad brzegiem. Dzięki temu udałoby mu się zgubić psy i przed nastaniem świtu zdołałby oddalić się od miasta.

Najbliższa brama w murach miejskich znajdowała się daleko po jego prawej stronie. Migoczące tam punkciki światła świadczyły o kolejnych ścigających. Pokładając nadzieję w swej znajomości gaju oliwnego oraz idealnym szyku drzew, złodziej stanął na nogi i puścił się biegiem. Oliwki przypominały ruchliwe cienie na czarnym tle nocy, gdy tak pędził w dół wzgórza, coraz szybciej i szybciej, ostrożnie stawiając stopy, by nie potknąć się o żaden korzeń. Koncentrując myśli na rzece, nie zauważył plamy mroku, która wyrosła tuż przed nim i zderzył się z nią, jakby wpadł na niewidoczną ścianę. Upadając ciężko na ziemię, mgliście zdał sobie sprawę, że to nie jego

stopy natrafiły na przeszkodę, lecz głowa.

Ból go zamroczył. Leżał na plecach, próbując dostrzec coś poza rozbłyskami światła wykwitającymi mu przed oczami. Uchwyciwszy się dłońmi gęstej trawy gaju, przetoczył się na brzuch i podźwignął na czworaka, próbując stłumić mdłości. Podpełził do najbliższej oliwki, śledząc palcami jej korzenie i opierając się o pień, stanął na nogi. Ciemna już wcześniej noc stała się wręcz smoliście czarna. Jedną ręką oplatając wciąż drzewo, niepewnie pomachał drugą pośród mroku, aż wreszcie natrafił na coś twardego. Powoli zdał sobie sprawę, że była to deska, rozciągnięta pomiędzy drzewami. Napał na nią, ale przybito ją mocno w tej pozycji. Znajdowała się dokładnie na wysokości jego głowy, więc nawet kamienny mur nie spełniłby lepiej powierzonego jej zadania.

Złodziej zaczął zastanawiać się, co właściwie robiła tu deska, gdy nagle ze szczytu wzgórza dobiegł go krzyk. Uszedł zaledwie kilka niepewnych kroków, nie wiedząc nawet zbyt dobrze, w którą stronę się kieruje, gdy dopadł go pierwszy pies. Skoczył mu na plecy, a w tym czasie drugi uderzył go w tył kolan. Złodziej znów znalazł się na trawie, boleśnie czując znajdującą się pod nią suchą i twardą ziemię. Zwinął się w kłębek, mając nadzieję, że treserzy przybędą, zanim zwierzęta zdążą rozszarpać go na kawałki.

Królowa Attolii czekała przy murach miasta, nasłuchując triumfalnych okrzyków swych ludzi i szczekania psów. Siedziała na koniu, więc gdy dwóch gwardzistów sprowadziło złodzieja przed jej oblicze, ten musiał odchylić głowę do tyłu, by móc na nią spojrzeć. Z rany między jego brwiami sączyły się szkarłatne krople, a krew z nosa ściekała mu na usta i podbródek, kapiąc na zabłoconą tunikę służby pałacowej.

- Jak miło cię znów widzieć, Eugenidesie – odezwała się królowa.
- Spotkanie z tobą, Wasza Wysokość, zawsze jest wielką przyjemnością

– odparł Złodziej, ale powoli odwrócił głowę i zamknął oczy, jakby światło otaczających władczyńnię pochodni było dla niego zbyt jasne.

– Teleusie – Attolia zwróciła się do kapitana swej gwardii przybocznej – dopilnuj, by naszego gościa zamknięto bardzo dokładnie. – Zawróciła konia i przejechała przez bramę, a potem przez miasto w stronę swojego pałacu. W jej prywatnych komnatach, służki oczekiwały na jej powrót, by ją rozebrać i rozczesać jej długie włosy. Gdy dopełniły swych obowiązków, królowa odprawiła je i usiadła przed kominkiem. Trwało lato, więc nie palono w nim ognia. Zza pleców usłyszała kobiecy głos.

– Pojmałaś go.

– O tak – odparła Attolia nie odwracając głowy. – Pojmałam go.

– Bądź ostrożna. Nie obraż bogów.

Gwardziści wtrącili go do celi położonej na samym końcu korytarza biegnącego od stóp wąskich schodów, prowadzących w głąb pałacu. Znalazłszy się w otoczeniu kamiennych murów, Złodziej opadł ostrożnie na czworaka i niemal natychmiast uniósł dłoń z obrzydzeniem. Podłoga była mokra. Odwrócił głowę, by rozejrzeć się po wnętrzu pomieszczenia. Przyćmione światło, wpadające przez zakratowane okienko w drzwiach za jego plecami, odbijało się od dość jednolitej, kamiennej posadzki. Wszędzie było mokro.

Poruszenie głową okazało się błędem. Złodziej popętlł do kąta, gdzie wymiotował, aż pozbył się wszystkich resztek obiadu. Zaszył się wtedy w przeciwległym narożniku i położył na zawilgotniałych kamieniach. Zmówił modlitwę do Boga Złodziei, ale nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, poszedł spać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Minęło kilka dni nim wieści o pojmaniu dotarły w doliny położone wysoko w Górach Hefestiańskich. Mężczyźni z winiarni udało się wyprzedzić innych plotkarzy i dotrzeć do pałacu królowej Eddis dokładnie w chwili, gdy cały dwór zebrał się w komnacie ceremonialnej na obiad. Władczyni stała, rozmawiając z kilkoma ministrami. Za nią znajdował się wymyślny tron. Na stole przed nią spoczywały natomiast złote talerze, a przy jej nakryciu stał złoty puchar z wizerunkami postaci, z którego od wieków pili królowie i królowe Eddis.

Kiedy władczyni zajęła należne jej miejsce, a członkowie rodziny królewskiej, baronowie mieszkający w pałacu oraz przeróżni ambasadorowie podążyli za jej przykładem, przez komnatę przeszedł jeden z gwardzistów i stanął za tronem. Cały dwór przyglądał się uważnie, podczas gdy mężczyzna pochylił się i szepnął coś królowej. Ta wysłuchała go w bezruchu, spoglądając jedynie przez długi stół na swego wuja, który był jednocześnie ministrem wojny. Potem odpowiedziała gwardziście, odprawiła go i zwróciła się do zgromadzonych:

– Jestem pewna, że wrócimy lada chwila, jeśli tylko moi ministrowie zechcą do mnie dołączyć. Nade wszystko jednak, życzę wszystkim smacznego – oznajmiła spokojnym głosem. Następnie wstała i przemaszerowała przez komnatę zdecydowanym krokiem, nielicującym zupełnie z jej strojną toaletą. Skierowała się w stronę drzwi prowadzących do mniejszej sali tronowej, będącej pierwotnie megaronem w twierdzy jej przodków. Za nią zebrali się ministrowie, którzy podążyli jej śladem w dół

po trzech niskich stopniach i przez malowaną podłogę ku podwyższeniu. Pierwotna sala tronowa Eddis była mniejsza, a stojący w niej tron prostszy niż jego ceremonialny odpowiednik w sali jadalnej. Wykute w kamieniu królewskie siedzisko sprawiało dość surowe wrażenie, które łagodziła jedynie obecność haftowanych poduszek. Będąc prostą osobą, Eddis wolała stary tron od pozłacanego splendoru nowego. Dlatego rządziła swym krajem z mniejszej sali tronowej, zachowując cuda Wielkiej Sali na specjalne okazje.

Usiadła, skubiąc niecierpliwie materiał swej długiej spódnicy. – Pojmano Eugenidesa w Attolii – oznajmiła ministrom. – Kupiec przybył z wieściami ze stolicy. Kazałam gwardzistom przyprowadzić go tutaj. – Mówiąc to nie popatrzyła ani razu w stronę ministra wojny. Królewscy doradcy wymienili zaniepokojone spojrzenia, ale czekali cierpliwie, nie odzywając się ani słowem.

Wprowadziwszy Attolijczyka, strażnicy obserwowali go bacznie, w razie gdyby nie okazał się tak niegroźny, na jakiego wyglądał, ale mężczyzna jedynie stał przed tronem, nerwowo wywijając kołnierzyk koszuli. Przynosił złe wieści i doskonale o tym wiedział. Choć przybył z tak daleka, by je dostarczyć, mając nadzieję, że zostanie za to sownie wynagrodzony, obawiał się, jak zostanie przyjęty.

– Co wiesz na temat pojmania mojego Złodzieja? – zapytała królowa. Kupiec odchrząknął kilkakrotnie, nim wreszcie udzielił jej odpowiedzi.

– Odkryli jego obecność w pałacu i ścigali przez całe miasto. Zanim go schwytali, znalazł się już poza murami.

– A więc pojmano go poza miastem? Czy został ranny?

– Poszczuli go psami, Wasza Wysokość.

– Rozumiem – powiedziała królowa, a kupiec przestąpił nerwowo z nogi na nogę. – A skąd wiesz, że to był mój Złodziej?

– Tak twierdzili gwardziści w winiarni. Wszyscy widzieliśmy moment

jego pojmania, a w każdym razie moja żona i ja, ale był wtedy środek nocy, więc nie mieliśmy pojęcia, kto to taki, dopóki nie usłyszeliśmy, co mówili gwardziści w sklepie następnego dnia. Mówili, że królowa pojmała Złodzieja Eddis i że... – Wypowiedź kupca zamieniła się w serię zakłopotanych chrząknięć.

– Kontynuuj – ponagliła go cicho władczyni, usiłując za wszelką cenę zachować spokój, choć miała ochotę potrząsnąć mężczyzną, aż zagrzechotałyby mu zęby.

– Mówili, że królowa każe mu zapłacić za naigrawanie się z niej. Zostawiał różne rzeczy w pałacu, żeby wiedziała, że tam był.

Władczyni zamknęła oczy i bardzo powoli otworzyła je na nowo. To Eugenidesem chciała potrząsnąć tak, że zagrzechotałyby mu zęby. – Pokonałeś długą drogę w krótkim czasie – powiedziała.

– Tak, Wasza Wysokość. – Niewątpliwie licząc na to, że zostaniesz wynagrodzony. Kupiec nie odpowiedział. Zajeździł konia i pokonał pieszko wąski, górski szlak spiesząc się, by być pierwszym, który dotrze do Eddis z wieściami.

– Zapłaćcie mu w srebrze dwa razy tyle, ile waży – królowa zwróciła się do porucznika gwardii. – A także nakarmcie go, zanim uda się w powrotną drogę. Każdemu, kto przybędzie dziś z tą samą nowiną, dajcie srebrnego gryfa – dodała – ale chcę rozmawiać tylko z tymi, którzy przyniosą nowe informacje.

Kiedy kupiec wyszedł, władczyni zastygła w bezruchu na swym tronie z wzrokiem wbitym w przestrzeń i ściągniętymi brwiami. Pograżyła się w rozmyślaniach, a jej ministrowie cierpliwie czekali.

– Wysłanie go było błędem – powiedziała wreszcie. Przyznanie tego było jedynym sposobem na danie upustu grozie, która ogarnęła ją na myśl o pomyłce, na którą sobie pozwoliła. Eugenides dał jej do zrozumienia, że jeśli

wróci do Attolii po tak krótkim czasie od ostatniej wizyty, ryzyko znacznie wzrośnie. Ona go jednak nie posłuchała. Potrzebowała informacji, które tylko on mógł zdobyć, a ponieważ w przeszłości z taką łatwością udawało mu się przechytrzyć swych przeciwników, Eddis zakładała, że i tym razem będzie tak samo. Posłała go więc, a on nawet się nie zawahał. Królowa zwróciła się w stronę ministra wojny. To jego syn zginie przez jej błąd w ocenie sytuacji.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Ona nie przyjmie okupu.

Ojciec Eugenidesa pokręcił lekko głową, zgadzając się z jej zdaniem.

– Dla nas jest zbyt cenny, a dla niej zbyt niebezpieczny, by miała od razu wypuścić go na wolność – ciągnęła królowa. – Nie będzie się spieszyć, a jeśli z niej kpił, przez co straciła twarz w oczach swego dworu... Cokolwiek ostatecznie postanowi, nie będzie to nic przyjemnego. Musimy czekać – powiedziała. – Musimy czekać, aż okaże się, co możemy zrobić.

Eugenides leżał w swej celi. Na krótką chwilę otworzył oczy, kiedy obudził go ból głowy, ale zaraz znów pogrążył się we śnie. Powinien starać się pozostać czujny, ale w zasadzie niespecjalnie mu na tym zależało. Czasami, gdy spał głęboko, wydawało mu się, że ktoś woła go po imieniu. Zmuszał się wtedy do odzyskania świadomości, lecz zawsze okazywało się, że tkwił wciąż samotnie pośród mroku. Budził się, gdy przez otwór u dołu drzwi podawano mu żywność oraz wodę i czasem czołgał się po podłodze, by napić się stęchłego płynu. Innym razem jednak wysiłek okazywał się ponad jego siły.

W końcu kamienie pod nim przestały się kołysać, a nieznośne łupanie w skroniach zamieniło się w trochę tylko słabszy ból głowy. Od czasu do czasu dostarczano więcej żywności i wody. Wreszcie otworzono drzwi celi. Na nowo poczuł mdłości, gdy gwardziści podźwignęli go z podłogi, ale nie wiedział czy to z bólu rozsadzającego mu czaszkę, czy ze strachu. Opierając się na mężczyznach prowadzących go do królewskiego pałacu, próbował

zebrać rozdygotane myśli.

Otoczona przepychem swego dworu, królowa Attolii wysłuchiwała zawołanych zniewag padających z ust wysłanników Eddis, przybyłych tu, by prowadzić pertraktacje w sprawie oswobodzenia Złodzieja. Władczyni górskiego kraju wybrała do tego zadania swych najlepszych dyplomatów, wprawnych w sztuce negocjacji. Attolia słuchała ich i choć starała się sprawiać wrażenie obojętnej, jej gniew narastał. Nie przysłała Eddis żadnego oficjalnego pisma z zawiadomieniem, że pojmała jej Złodzieja. Czekwała jedynie, rozważając, jaki los powinien go spotkać. Spodziewała się, że rywalka spróbuje go ocalić, ale nie, że poselstwo, które pojawiło się na jej progu, będzie ciskać jej obelgi w twarz, zupełnie jak ktoś drażniący psa.

Wstąpiła na tron po tym, jak zamordowano jej ojca, a pod jej rządami w kraju nigdy w pełni nie zapanował pokój. Wprawdzie wojsko było jej lojalne, bo dobrze je opłacała, ale skarbiec zaczynał świecić pustkami. Królowa oczekiwała, że zapełni się na nowo dzięki obfitym plonom, ale teraz ambasador z Eddis mógł temu zagrozić. Najpierw oczywiście zaproponował jej okup, ale wiedział doskonale, że Attolia nie zechce go przyjąć. Potem kilkakrotnie grzecznie ją obraził, by na koniec powiedzieć jej, że zamknięto wrota Zbiornika Hamiatesa, a także że sytuacja nie ulegnie zmianie dopóki Złodziej Eddis nie wróci do domu. Wody ze sztucznego jeziora trafiały do rzeki Araktus, a stamtąd do kanałów irygacyjnych, nawadniających jedne z najżyźniejszych ziem Attolii. Bez wody uprawy uschną w letnim upale.

Królowa posłała po Złodzieja. Postawiony przed jej obliczem Eugenides mrugał oczami niczym sowa albo inne nocne zwierzę wywleczone siłą ze swej kryjówki na światło dnia. Przez włosy widać było fioletowożółtozielony siniak na jego czole. Rozcięcie tuż nad brwiami zabił się, ale jego twarz wciąż znaczyła zakrzepła krew, a czarne sińce pod oczami miały ciemniejszy odcień niż krwiak powyżej. Błoto pokrywające jego poszarpane

ubrania wciąż nie zaschło.

– Ambasador twojej królowej był gotów zapłacić za ciebie okup, Złodzieju, ale odrzuciłam jego propozycję.

Nie było to zaskoczeniem dla Eugenidesa.

– Znów zakradałbyś się do moich pałaców i zostawiał wiadomości przy nakryciach do śniadania. Dlatego powiedziałam ambasadorowi twojej królowej, że nie interesuje mnie okup, nieważne jakiej wysokości, i wiesz co on na to?

Tego Eugenides nie potrafił odgadnąć.

– Oznajmił, że dopóki twoja królowa nie dostanie cię z powrotem, nie popłyną wody Araktusa. Zamknęła wrota górskiego zbiornika, więc wszystkie moje uprawy położone powyżej Seperchii spalą się na polach, chyba że ty wrócisz do domu. Co o tym myślisz?

Eugenides uważał, że był to bardzo dobry plan, tylko nie miał szans powodzenia.

Przez niego królowa Attolii straciła twarz, a jej dwór doskonale o tym wiedział. Do tego nie mogła już przystać na propozycję okupu, którą dopiero co odrzuciła. Musiała wziąć pod uwagę, że Eugenides, choć nie wyrządził jej w zasadzie żadnej szkody poza kradzieżą czegoś, czego posiadania nie była nawet świadoma, może okazać się dla niej równie niebezpieczny, co dla Sounisa. W zamyśleniu Attolia przesunęła palcem wskazującym po dolnej wardze.

Widziała treść listu, który Eddis wysłała do Sounisa w zeszłym roku. Kobieta sugerowała w nim, że króla nie uratuje żaden zamek w drzwiach czy oknie pałacu, jeśli znów będzie zmuszona przysłać do niego z wizytą swojego Złodzieja. Od tamtej pory Sounis zaprzestał wszelkich machinacji mających na celu podkopanie rządów Eddis.

Attolia podejrzewała, że ponad jedna trzecia jej baronów przyjęła

łapówki od Sounisa na sfinansowanie własnych rewolt. Sama chciałaby mieć kogoś równie użytecznego, co Eugenides, by móc wykorzystać go przeciwko wrogowi królowi, jednak tylko w Eddis istniała tradycja w postaci stanowiska Złodzieja Królowej. Attolia musiała przyznać z goryczą, że gdyby posiadała własnego Złodzieja, byłby on dla niej większym zagrożeniem niż pomocą.

Wiedziała, że mury jej własnego pałacu, podobnie jak ściany megaronu Sounisa, nie stanowiły przeszkody dla Eugenidesa. Wątpiła też, by udało jej się pojmać go po raz drugi, gdyby puściła go wolno. Nie mogło być więc o tym mowy. Słyszała wprawdzie, że Złodziej ma opory przed zabijaniem, ale, podobnie jak Sounis, nie była skłonna zakładać, że dziecinna niechęć do rozlewu krwi powstrzymałaby go przed wypełnieniem rozkazu swej królowej. Wszak miał już okazję dowieść swej niezwyklej lojalności.

Zeszła z podwyższenia i stanęła przed Eugenidesem. Ten nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego swym losem. Wydawał się bardziej zainteresowany inkrustowanymi złotem płytkami z marmuru pod swoimi stopami. Królowa czekała i wreszcie Złodziej powoli podniósł głowę. Własne położenie wcale nie było mu obojętne. Bał się śmierci, a jeszcze bardziej tego, co miało go spotkać przed nią, ale ból pod czaszką utrudniał mu zebranie myśli i powiedzenie czegoś, co mogłoby go ocalić.

Spojrzał na Attolię i lekko przechylił głowę w zdumieniu. Zapomniał, jak zresztą zawsze, jaka była piękna. Jej włosy okalała złota opaska z rubinami, przecinająca jej czoło tuż ponad ciemnymi brwiami. Skóra królowej była nieskazitelna i tak jasna, że wydawała się niemal przejrzysta. Jak zwykle nosiła się na podobieństwo Hefestii, jednak o wiele łatwiej byłoby wyobrazić sobie bezosobowe okrucieństwo Wielkiej Bogini niż dostrzec je w twarzy władczyni Attolii. Przyglądając się jej, Eugenides mimowolnie się uśmiechnął.

Królowa dostrzegła jego uśmiech pozbawiony choćby cienia skromności, pochlebstwa czy oportunisty, tak różny od gestów, którymi obdarzali ją członkowie jej dworu i otwartą dłoń uderzyła go w twarz. Głowa Złodzieja odskoczyła. On sam nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ale upadł na kolana, próbując zwalczyć mdłości.

– Wasza Wysokość – odezwał się szorstko ambasador Eddis, a władczyni obróciła się gwałtownie na pięcie, by móc spojrzeć mu w oczy.

– Nie obraż bogów – ostrzegł ją mężczyzna.

Attolia zwróciła się znów w stronę Eugenidesa i towarzyszących mu gwardzistów.

– Powieście go – powiedziała. – Natychmiast wyprowadźcie go na zewnątrz i powieście. Odeślijcie jego zwłoki do Eddis, a wtedy zobaczymy, czy wody Araktusa znów popłyną. – Szybkim krokiem ruszyła ku tronowi i stamtąd przemówiła znów do Eddijczyków. – Pamiętajcie, że wasi bogowie nie są moimi. I nigdy nimi nie będą.

Usiadła i przyglądała się, jak gwardziści podnoszą Eugenidesa z posadzki. Złodziej ukrył twarz w dłoniach, a ciemne włosy opadły mu na czoło.

Obok niej ambasador Cesarstwa Medejskiego poruszył się nieznacznie, zwracając jej uwagę.

– Nie mam pojęcia, co Eddis zamierzała w ten sposób osiągnąć – odezwała się Attolia. – Nie może przecież wstrzymać biegu rzeki na zawsze.

– A może na wystarczająco długo, by zapewnić lekką śmierć swemu Złodziejowi? – zasugerował Medejczyk.

Władczyni obrzuciła go spojrzeniem, po czym spojrzała z namysłem na Eugenidesa.

– Królowa Eddis jest bardzo sprytna – powiedział cicho mężczyzna, nachylając się bliżej. – Wie doskonale, jaką śmierć ponieśli niektórzy z

twoich więźniów. Pozwolisz, by jej Złodziej odszedł tak szybko?

– Zatrzymać się – rozkazała Attolia, a gwardziści posłusznie zrobili to, co im poleciła. Eugenides zawisł w ich uchwycie. Podczas gdy królowa zastanawiała się głęboko, Złodziej ostrożnie ustawił stopy na posadzce i wyprostował się.

Bez względu na to, co myśleli monarchowie sąsiednich krajów, rzadko kiedy podejmowała pochopne decyzje i nie uciekała się do przemocy bez potrzeby. Jeśli dokonywała egzekucji zdrajców, wieszając ich na murach miasta do góry nogami aż skonają, robiła tak tylko dlatego, że nie mogła pozwolić sobie na luksus ścięcia im głów za zamkniętymi drzwiami, jak czynił Sounis. Wszystko, czego się podejmowała, musiało zostać obliczone na konkretny efekt, dlatego też zamierzała dokładnie przemyśleć kwestię wyboru odpowiedniej kary dla Eugenidesa. Musiało być to coś, co stanowiłoby nauczkę dla nieposłusznych arystokratów, a jednocześnie zaspokoiłoby jej głęboką, nieprzemijającą nienawiść względem Eddis i jej Złodzieja. Nie podobało jej się, że rywalka zmusza ją do pospieszenia się z decyzją i wiedziała, że Medeńczyk miał rację – zniewagi ambasadora Eddis miały na celu doprowadzenie jej do wściekłości. Mężczyzna zaiste był wprawny w swej sztuce.

Attolii nie przypadł zbyt do gustu nowy ambasador z Medei. Nie podobały jej się jego śliskie pochlebstwa i wymijające odpowiedzi, ale tak wyglądała etykieta na jego dworze, a ponadto nieraz wykazał się wnikliwością, a w tym przypadku także trafnością oceny sytuacji.

Jeśli tama pozostanie zamknięta, wody Araktusa ostatecznie przepełnią zbiornik i zaleją stolicę Eddis. Śmierć Złodzieja kosztowałaby Attolię utratę rocznych plonów, jednak zgładzenie go tak po prostu niewiele by jej dało, natomiast było najlepszą opcją, na jaką mogła liczyć Eddis. Nie istniał powód, dla którego miałyby zadośćuczynić nadziejom rywalki, a wręcz

pragnęła je rozwiązać.

– Przeprowadźcie go tutaj – zażądała i strażnicy przywlekli Eugenidesa do stóp tronu. Attolia pochyliła się w swym siedzisku, by obrzucić go wzrokiem. Złodziej nerwowo przełknął ślinę, ale spojrzał jej prosto w oczy i ani drgnął, nawet gdy ujęła go pod brodę.

– Zanadto się pospieszyłam – powiedziała. Wpatrując się wciąż w twarz Eugenidesa, przemówiła do gwardzistów. – Zabierzcie go z powrotem do celi. Niech tam czeka. Chyba potrzebuję jeszcze trochę czasu do namysłu – dodała powoli – zanim postanowię, co z tobą zrobić.

Eugenides spojrzał na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu. Gdy go wyprowadzano, odwrócił głowę, by wciąż ją widzieć. Królowa zastanawiała się, czy odgadł, jaką karę miała dla niego w zanadrzu. Niech Eddijczycy bełkoczą o obrażaniu ich bogów, pomyślała opierając się znów wygodnie. To nie byli jej bogowie i nie miała zamiaru ich czcić.

– Szkoda, że okup przepadł – westchnęła. – Z całą pewnością nie była to znaczna suma? – zapytał Medejszyk.

– Dla twojego cesarza może i nie – odparła Attolia. – Jednak na tym wybrzeżu morza śródziemnego, gdzie nie jesteśmy tak zamożni, mogłabym dobrze spożytkować taką kwotę.

– W takim razie przyjmij ją jako prezent od mego cesarza – powiedział mężczyzna, na co zresztą liczyła królowa.

– Raczysz żartować? – spytała jeszcze.

– W żadnym razie. Nic nie mogłoby przynieść memu panu większej radości niż możliwość wspomnienia tak pięknej władczyni, jak ty, pani. – Wykonał przed nią dworny ukłon, a ona uśmiechnęła się z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Eugenides stał w swojej celi, opierając się plecami o zawilgotniałą ścianę. Gdy przytykał tył czaszki do kamieni, przód bolał go bardziej, więc ostatecznie zwiesił głowę na piersi. Nie chciał na nowo pogrążyć się we śnie. Wyobrażał sobie, że u bram zaświatów czeka na niego jego dziadek, a nie chciał mówić mu, że swoje ostatnie godziny poświęcił na drzemkę. Sztuczna nonszalancja nie zrobiłaby na starcu wrażenia.

Wciąż miał w kieszeniach narzędzia typowe dla swego fachu, jednak wszystkie były dla niego bezużyteczne. Nie miał dostępu do zamka w drzwiach. Zdążył już to sprawdzić.

Oderwał się od ściany i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie wzdłuż niej. Miał problemy z utrzymaniem równowagi, przez cały czas podpierał się więc prawą ręką, czując pod palcami chłód kamieni. U nasady jego dłoni ziało spore rozcięcie. Rana piekła, co jednak pozwalało mu nieco zapomnieć o silnym bólu głowy oraz niezliczonych śladach po psich kłach.

Obszedł celę naokoło. Nie było tu żadnych zakratowanych okien, których pręty mógłby przepiłować. Jedyne źródło światła stanowił wąski otwór w drzwiach. Nie natrafił też na żadne obluzowane kamienie czy ukryte tunele, natomiast drzwi pozostawały niewzruszenie zamknięte.

W milczeniu zwrócił się do Boga Złodziei, jednak nie miał pojęcia, o co powinien się modlić. Czy o szybką śmierć? Prośba o możliwość ucieczki Attolii wydawała się błaganiem o zbyt wiele. Ostatecznie postanowił pomodlić się o jakąkolwiek pomoc, zostawiając bogu decyzję o tym, co dla niego najlepsze.

Ktoś wsunął tacę z jedzeniem przez otwór u dołu drzwi. Złodziej z trudem podźwignął się z podłogi i spojrzał przez okienko w ich górnej części na strażnika.

– Słyszałem, że zamierzała cię powiesić, ale zmieniła zdanie – powiedział mężczyzna. – Nie martw się, przyjacielu, ona nigdy nie zmienia zdania na lepsze. – Zarechotał i przejechał pałką po kratkach. Eugenides pospiesznie cofnął palce. – Smacznego. Może to twój ostatni posiłek – mówiąc te słowa, strażnik oddalił się.

Złodziej usiadł i wypił wodnistą zupę, nie tykając jednak leżącego obok miski kawałka czerstwego chleba. Jedzenie wcale mu nie smakowało, ale ze względu na towarzyszące mu wciąż mdłości, pewnie i tak doceniał je najbardziej ze wszystkich przetrzymywanych w królewskim więzieniu. Usiadł, ale nie miał siły wstać. Głowa bolała go przeokropnie. Nie mógł ani oprzeć jej o ścianę za plecami, ani złożyć na podkulonych kolanach. Wreszcie niechętnie położył się na ziemi i ukrył ją w ramionach, pozwalając na nowo pochłonąć się ciemności. Jego dziadek obrzuciłby go pogardliwym spojrzeniem niczym bryłami węgla.

Gdy dużo później znów zawitał do niego strażnik, wciąż pogrążony był we śnie.

– Rusz się! – wrzasnął. – Królowa podjęła decyzję.

Zanim mężczyzna zdążył obrócić klucz w zamku i otworzyć drzwi, Eugenides podźwignął się na nogi, więc gdy do celi weszli gwardziści, by pochwycić go za ręce, stał lekko niepewnie, jednak już wyprostowany.

Strażnicy poprowadzili go podziemnymi korytarzami w stronę otwartego przejścia. Pomieszczenie cuchnęło krwią. Wyczuł jej zapach już z zewnątrz i zawahał się, ale jeden z gwardzistów pchnął go naprzód. Eugenides wziął głęboki, urywany wdech i przestąpił przez próg. W okrągłym palenisku otoczonym niskim, kamiennym murkiem płonął ogień. O murek, tak, aby ich

końcówki spoczywały w płomieniach, oparto przeróżne, żelazne narzędzia, o długich uchwytach, przypominające sprzęty kowalskie, którymi jednak nie były. W pomieszczeniu panowało nieznośne gorąco.

Znajdowała się tam także ogromna, drewniana konstrukcja przeplatana linami i bloczkami, a na hakach na ścianach wisały różne skrawki, których Eugenides nie miał ochoty oglądać. Natomiast na środku pokoju, pod kątem do ognia ustawiono krzesło o wydłużonych poręczach, wyposażone w skórzane pasy, pozwalające unieruchomić posadzonego na nim więźnia. Mebel pokrywał kurz, zupełnie jakby nie używano go od bardzo dawna i dopiero teraz wyciągnięto z odległego kąta.

Obok, wystrojona do obiadu w suknię w chłodnym odcieniu zieleni, przywodzącym na myśl liście szaławii, stała królowa Attolii. Przy dekolcie wyhaftowano kwiaty, białe płatki na zielonym tle z delikatnymi liśćmi o ton ciemniejszymi niż kolor całej szaty.

Złodziej zatrzymał się w przejściu. Przeniósł wzrok z władczyni na krzesło i na chwilę na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Spojrzał znów na królową, ale zwrócił się do swego patrona, Boga Złodziei:

– Boże, nie! – po czym próbował rzucić się do ucieczki, lecz natychmiast pochwycili go gwardziści. Zawisł bezwładnie w ich uchwycie, ale zaraz stanął znów na nogi i podstawą dłoni uderzył jednego z mężczyzn w nos. Strażnik upadł na ziemię jak trafiony toporem, lecz to było wszystko, na ile potrafił zdobyć się Złodziej. Uczepił się kurczowo futryny, ale pozostali gwardziści odczepili jego palce jeden po drugim i ponieśli go, rzucającego się, w stronę krzesła.

Strażnicy klęli siarczyście, lecz Złodziej nie wydał z siebie żadnego dźwięku, który dobiegłby do uszu królowej, poza tym jednym błaganiem do swego boga. Spodziewała się, że prawdziwie wierzących osób jest w Eddis równie mało, co w Attolii. Odniosła jednak wrażenie, że okrzyk Złodzieja był

szczyry, a nie jedynie odruchowy. Attolia wiedziała jednak, że wiara zwykła powracać w obliczu śmierci. Miała już okazję być tego świadkiem.

Wreszcie gwardzistom udało się umieścić Złodzieja na krześle, przy czym jego głowa uderzyła o oparcie. W jednej chwili przestał stawiać opór. Jego oczy przetoczyły się w głąb czaszki, a głowa opadła na piersi. Po jakimś czasie chłopak podniósł znów powieki i zwrócił twarz ku górze. Nie mógł się jednak ruszyć, bo krępowały go skórzane pasy.

– Wasza Wysokość – zwrócił się do niej i dodał z rozpaczą – przyjmij mnie na służbę. Pozwól mi stać się twoim Złodziejem.

Attolia pokręciła głową.

– Już raz przedstawiłam ci taką ofertę. Odrzuciłeś ją, twierdząc, że służyysz pani o gołęmbim sercu.

– Jednak teraz mogę wstąpić na służbę u ciebie – szepnął Eugenides.

– A możesz?

– Tak – przyrzekł Złodziej. Ściągną na jego szyi napięły się, gdy próbował walczyć z krępującymi go pasami.

– Cóż mógłbyś dla mnie ukraść, Złodzieju? – zapytała królowa z powagą w głosie.

– Wszystko – zapewnił. – Mogę ukraść wszystko. – A dlaczego miałabym ci zaufać? – Dam ci moje słowo. – Twoje słowo? – Na twarzy władczyni odmalowało się rozbawienie. – A co mi po nim?

Zupełnie nic.

Attolia uśmiechnęła się.

– A co z twoją królową? Wolałaby widzieć cię na służbie u mnie niż cierpiącego? Czy to właśnie powiedziała ci, nim opuściłeś Eddis?

Owszem.

– Ależ oczywiście – skwitowała Attolia. – Eddis nie ma niczego, co mogłoby mnie zainteresować, nie stanowisz więc dla niej żadnego

zagrożenia. Jesteś prawdziwie wspaniałym narzędziem, nie sposób obrócić cię przeciwko twej pani.

Pochyliła się nad nim, wyciągając do niego obie ręce. Zadrzał pod wpływem jej dotyku, ale władczyni jedynie ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu w oczy.

– Twoja królowa myśli, że jest bezpieczna posyłając cię do mnie, bo wydaje jej się, że nie mogę wykorzystać cię przeciwko niej. Ja mam jednak inne zdanie. Nie chcę jednak tego, co Eddis chce mi dać.

– Twój ambasador przekazał mi, że twoja królowa uznała moje prawo do powieszenia cię – ciągnęła Attolia – jednak nie zgodziła się na wychłostanie cię na śmierć, powieszenie do góry nogami na murach pałacowych czy zagłodzenie w klatce na dziedzińcu. Powiedział też, że nie wolno mi wystąpić przeciw prawu ani tradycji. Twierdzi, że mogłabym obrazić bogów, ale nie wyjaśnił, których. Niespecjalnie obchodzi mnie zdanie któregośkolwiek z bogów, ale rzeczywiście tradycja może okazać się najlepszym rozwiązaniem moich problemów z tobą.

Władczyni wypuściła jego twarz z rąk i cofnęła się. Przysadzisty strażnik zdjął ze ściany zakrzywiony miecz. Eugenides był przerażony już wcześniej i to do tego stopnia, że wydawało mu się, iż jego serce zamieniło się w kamień. Ujrawszy jednak broń w ręku mężczyzny, skierował znów wzrok na królową, a wtedy jakby cały świat obrócił się w kamień. Otaczające go powietrze stwardniało niczym skała i Złodziej zaczął się dusić. Rzucił się, próbując wyrwać się z krępujących go pasów, skamieniałego powietrza i zatwardziałości Attolii.

– Błagam, błagam – zaskomlił, jakby miało pęknąć mu serce.

Mężczyzna wzniosł miecz. Przez chwilę na ostrzu zamigotały odbite płomienie, po czym klinga runęła w dół, wbijając się mocno w drewnianą poręcz krzesła. Prawa dłoń Eugenidesa zniknęła po drugiej stronie głowni.

Na oczach Attolii chłopak szarpnął się w więzach. Spodziewała się, że krzyknie, ale on nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku. Odwrócił tylko głowę, by nie widzieć swojej prawej ręki, a jego twarz pobladła, jakby odpłynęła mu z niej cała krew. Zacisnął powieki i skrzywił usta z bólu.

Z trudem złapał oddech, a jego myśli krążyły niczym stado ptaków, które nie miały gdzie wylądować. Próbował znaleźć jakiś sposób, by móc zmienić prawdę, by móc zmienić królową Attolii, lecz jej decyzja była ostateczna, a dokonanego czynu nie dało się odwrócić.

– Eugenidesie... – Jej chłodny głos przebił się przez agonię. – Czy wystąpiłam przeciw tradycji? Czy obraziłam bogów?

– Nie, Wasza Wysokość – wyszeptał ktoś jego głosem.

– Przypalić ranę – rzuciła z werwą królowa. – Chcę też, by obejrzał ją medyk. Nie życzę sobie, by wdało się zakażenie. – Żelazo do przyżegania rany zostało już przygotowane i władczyni została, by sprawdzić, czy tym razem Złodziej krzyknie, gdy zostanie ono przytknięte do jego ciała. Eugenides rzucił się znów na krzesło, ale wciąż nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Wciągnął tylko gwałtownie powietrze w płuca i wstrzymał oddech. Królowa przyglądała się, jak sinieją mu usta i wreszcie, jak chłopak mdleje, głowa opada mu na piersi, a ciemne włosy zakrywają jego twarz. Pochyliła się, by sprawdzić, czy oddycha, a potem powtórzyła polecenie, by ranę obejrzał lekarz. Wreszcie wyszła.

Wspinając się wąską klatką schodową ku wyższej części pałacu, odepchnęła od siebie uczucie niepokoju i skupiła się na rozważaniach, gdzie tymczasowo przenieść dwór. Może w głąb kraju. Najwyższy czas spojrzeć na ręce tamtejszym baronom. Wyda odpowiednie rozkazy, by wszyscy zaczęli się pakować.

Trzy dni później stanęła w drzwiach celi Złodzieja. Z początku nie mogła go zobaczyć, więc wsłuchiwała się w rytm jego ciężkich oddechów, czekając aż

jej oczy przyzwyczajają się do ciemności.

Leżał na boku w kącie pomieszczenia ze zranioną ręką przyciśniętą do piersi i podciągniętym kolaniem, by ją chronić. Pocił się, choć w celi było zimno i wilgotno, i nie poruszył się, dopóki Attolia nie szturchnęła go lekko czubkiem pantofla. Otworzył oczy i spojrzał na nią wzrokiem zupełnie pozbawionym wyrazu. Światło lampy, którą trzymał ktoś za nią padało prosto na jego twarz, królowa widziała więc wyraźnie bliznę na jego policzku. Złodziej był tak blady, że na tle jego skóry szrama wydawała się bardzo ciemna.

Jego oczy błyszczały, ale gdy Attolia pochyliła się, by w nie zajrzeć, spodziewając się znaleźć w nich nienawiść, jak w przypadku innych więźniów, zobaczyła jedynie gorączkę, ból i uczucie, którego nie potrafiła nazwać.

– Proszę – szepnął. Mówił cicho, ale wyraźnie. – Nie krzywdź mnie już więcej.

Królowa cofnęła się gwałtownie. Kiedyś, będąc dzieckiem, cisnęła pantoflem w napadzie szału i strąciła amforę z olejkiem postumentu. Naczynie to było jej ulubionym. Roztrzaskało się na kawałki, a zapach znajdującego się w nim olejku do włosów unosił się w powietrzu jeszcze przez wiele dni. Wciąż pamiętała ten aromat, choć nie miała pojęcia, co w tej cuchnącej celi mogło przywołać to wspomnienie.

Znów pochyliła się nad Złodziejem, pragnąc upewnić się, że kara okazała się skuteczna.

– Eugenidesie – przemówiła – co możesz ukraść, mając tylko jedną rękę?

– Nic – odparł jej. W jego głosie pobrzmiwała rozpacz.

Attolia kiwnęła głową. Następnym razem Eddis zastanowi się dwa razy zanim zda swojego ulubieńca na łaskę Attolii. Nagle zdała sobie sprawę, jak młody był jeszcze ten chłopak. Wcześniej nie zastanawiała się nad jego

wiekem i teraz zgromiła samą siebie, że nie ma to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, jak wielkie zagrożenie stanowił. A jednak, widząc go skulonego na podłodze, poczuła lekkie zaskoczenie, że Eddis zdecydowała się narazić na niebezpieczeństwo kogoś tak młodego. Eddis jest jednak niewiele starsza od niego, pomyślała Attolia. Ona sama, choć od rywalki dzieliło ją zaledwie parę lat, była o wiele bardziej doświadczoną królową. Zwróciła się do strażnika.

– Kazałam przecież, by obejrzał go medyk.

– I zrobił to, Wasza Wysokość.

– W ukąszenia na jego nodze wdało się zakażenie. – Władczyni wskazała palcem na opuchniętą i zaczerwienioną skórę, wyglądającą przez rozdarcie w materiale.

Mężczyzna zrobił się nagle bardzo ostrożny.

– Tak, jak sobie życzyłaś medyk obejrzał ranę po przypaleniu, Wasza Wysokość.

– I tylko ją?

– Najwyraźniej, Wasza Wysokość. Takie były twoje rozkazy, Wasza Wysokość.

Attolia westchnęła z rozdrażnieniem. Było to znajome, choć nieco uciążliwe uczucie.

– Jeśli zależało mi, by nie umarł przez jedno zakażenie, dlaczego miałabym chcieć, by stało się to przez inne?

– Przykro mi, Wasza Wysokość.

– Będzie ci jeszcze bardziej – ucięła, po czym zwróciła się do towarzyszącego jej kapitana gwardii. – Zabierzcie go do Eddis zanim umrze. – Opuściła celę i pokonała całe mnóstwo schodów, by wreszcie znaleźć się w przedsionku swych prywatnych komnat. Przekroczywszy próg sypialni, odprawiła służki i usiadła na krześle, spędzając dłuższą chwilę na

obserwowaniu morza, gdy stopniowo z nieba znikaly ostatnie promienie słońca. Odegnala myśli o Złodzieju leżącym na podłodze swej celi, lecz ich miejsce zajęły wspomnienia rozbitej ulubionej amfory i rozlanego olejku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Królowa Eddis stała na dziedzińcu czekając, aż na szczyt góry zostanie wniesiony jej Złodziej. Towarzyszyli jej ci spośród członków dworu, których nie mogła rozesłać do innych zajęć. Przypomniało jej się, że Eugenides spytał kiedyś, dlaczego tyle wydarzeń dziejących się wokół niej przypomina cyrk i dlaczego jemu zawsze przypada rola tańczącego niedźwiedzia. Kiedy ujrzała lektykę, w której go niesiono, przywiodła jej ona na myśl klatkę, choć pasażera oddzielały od świata zasłonki, a nie kraty.

Dźwigali ją eddijscy żołnierze. Przejęli ją z rąk Attolijczyków u podnóża góry i ostrożnie ponieśli krętą drogą biegnącą wzdłuż starorzecza Araktusa. Attolijczycy maszerowali obok, natomiast ambasador i jego świta trzymali się za lektykę. Gdy cała grupa znalazła się na dziedzińcu, ambasador pokręcił lekko głową, napotkawszy spojrzenie królowej, dając jej do zrozumienia, by spodziewała się najgorszego. Wcześniej posłał jej wiadomość, opisującą co zaszło w Attolii.

Kiedy posłaniec dostarczył jej wieści, Eddis kazała wszystkim opuścić komnatę i została w niej sama, siedząc na tronie. Wpadające do środka światło słoneczne stopniowo bledło, aż wreszcie zupełnie zniknęło. W pomieszczeniu pojawił się jeden ze służących, chcąc zapalić lampy, ale i jego królowa odprawiła. Tego wieczora nie było formalnego obiadu. Członkowie dworu posilili się w swych prywatnych komnatach, natomiast przed władczynią stanęła najstarsza z jej przybocznych, próbując nakłonić ją do pójścia spać.

– Kochanie, niczego nie osiągniesz siedząc tu w ciemności. Chodź do

łóżka – powiedziała Xante.

– Tu mogę myśleć. A potrzebuję pomyśleć jeszcze trochę. Niedługo przyjdę na górę, obiecuję. – Tak więc Xante wspięła się po schodach i cierpliwie czekała w królewskich komnatach, podczas gdy noc upływała stopniowo.

Rankiem Eddis rozmówiła się prywatnie ze swymi ministrami, a potem postanowiła czekać, wiedząc, że Attolia odeśle Eugenidesa do domu, gdy już się z nim rozprawi, jednak nie wcześniej.

Lektyka wyglądała na kosztowną. Niewątpliwie korzystała z niej attolijska arystokracja, podróżując wąskimi uliczkami starszych miast kraju. Posiadała przesuwane drzwi, które można było zamknąć, by zabezpieczyć zdobienia i tkaniny wnętrza, kiedy pojazd nie był w użyciu. Służyły także temu, by uwięzić w środku Złodzieja do czasu dotarcia do Eddis. Właściwie nie było to konieczne, jednak attolijscy gwardziści otrzymali wyraźne rozkazy, by nie podejmowali żadnego ryzyka i spieszyli się z podróżą.

U podnóża góry przekazali lektykę Eddijczykom i ruszyli wraz z nimi na szczyt, by dopilnować, że jej zawartość zostanie przekazana królowej. Gdy pojazd został postawiony na ziemi, attolijski oficer postąpił kilka kroków naprzód i odsunął skrywającą wewnątrz zasłonkę.

– Przyda mu się pomocna dłoń przy wysiadaniu – oznajmił, a jeden z jego pobratymców z trudem stłumił śmiech. Sięgnął do środka i chwycił nieprzytomnego Eugenidesa za kark, wyciągnął go na nagrzane kamienie dziedzińca.

– Nasza królowa kazała przekazać ci, pani, że tak traktuje się złodziei w Attolii. Oczekuje ponadto wznowienia biegu Araktusa – powiedział Attolijczyk z chytrym wyrazem twarzy. Mina mu jednak zrzędła, gdy Eddis obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Z miejsca, gdzie stała, nie mogła ocenić czy Złodziej żył, czy też nie, ale nie wyglądała jakby ją to obchodziło.

Attolijczyk potarł dłonią tył szyi, gdzie włoski stanęły mu dęba i nagle przyszło mu na myśl, że być może został wysłany z tą misją, bo jego kapitanowi nie robiło różnicy, czy wróci cały i zdrowy, czy też wróci tylko jego głowa.

– Galenie – odezwała się królowa, ale pałacowy medyk zmierzał już w stronę Złodzieja wraz ze swymi asystentami.

– Wciąż żyje – powiedział, sprawdzivszy puls chłopaka. Już zamierzał go podnieść, ale minister wojny poklepał go po ramieniu i sam ukląkł przy Eugenidesie, by wziąć go w swoje ramiona i zabrać do środka. Tłum rozstępował się przed nim, a gapie rzuciwszy okiem na twarz Złodzieja, zwracali znów spojrzenie ku Attolijczykom.

Ci przestępowali nerwowo z nogi na nogę i zbijali się w coraz ciasniejszą gromadkę. Eddis przywołała do siebie swojego zarządcę.

– Ci ludzie zapewne zechcą coś zjeść przed powrotem do Attolii – powiedziała cicho. – Dopilnuj, by zostali nakarmieni i wynagrodzeni za to, że zechcieli zwrócić nam naszego Złodzieja.

Attolijczycy wymienili niespokojne spojrzenia obawiając się, że zapłata może okazać się śmierć, jednak skracanie o głowę to coś, czego mogłaby dopuścić się Attolia, nie Eddis. Tak więc zanim zostaną odeskortowani do granicy, otrzymają po sutym posiłku i srebrnym gryfie.

Następnie królowa zwróciła się do najwyższego rangą Attolijczyka:

– Powiedz Attolii, że przywróciłam bieg Araktusa. Wody popłyną znów przed zachodem słońca. – Wiadomość ta była czystą formalnością. Nowiny o powrocie rzeki dotrą do Attolii dużo szybciej niż gońcy. Eddis odwróciła się, a tłum, który nie zdążył jeszcze w pełni powrócić do stanu poprzedniego po przejściu ministra wojny, na nowo rozstąpił się, po czym w ciszy podążył jej śladem do pałacu.

Królowa usiadła na tronie.

– Gdzie mój posłaniec? – spytała, na które to słowa stanął przed nią jeden z żołnierzy, który tego dnia miał za zadanie przekazywać polecenia królowej.

Jak zauważyła, był to jeden z jej braci ciotecznych. Odpowiadało jej to.

– Crodesie, zanieś wiadomość inżynierowi przy zbiorniku i każ mu wypuścić wieczorem wody Araktusa, tak jak obiecaliśmy. Następnie udaj się do oficera pełniącego wartę na moście nad przełęczą.

Eddis leżało w górach pomiędzy Sounis i Attolią. Przez Góry Hefestiańskie prowadziła tylko jedna przełęcz umożliwiająca handel między dwoma nizinnymi krajami. Wyrzeźbiła ją Seperchia, płynąc przez miększe wapienie przybrzeżnych gór, zmierzając z Attolii ku Sounis i morzu środkowemu. Cały ruch między Attolią i Sounis odbywał się właśnie dzięki tej przełęcz, a by ją pokonać należało minąć kilka mostów, z których najważniejszy, nazywany Mostem Głównym, rozpościerał się ponad przepaścią w pobliżu szczytu. Próżno było szukać innego przejezdnego szlaku do Attolii po jednej stronie, a do Sounis po drugiej. Każdy podróżujący musiał więc przejechać przez wąski most, a ten znajdował się pod kontrolą Eddis.

– Przekaż mu moje wyrazy uznania za sumienne wypełnianie swoich obowiązków i każ mu zatrzymać dziesięciu następnych attolijskich kupców wraz z ich karawanami. Ma skonfiskować wszystko za wyjątkiem ich ubrań i puścić ich wolno. W razie gdyby protestowali, niech powie im, że po rekompensatę mogą zwrócić się do swojej królowej.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Wasza Wysokość – zgromadzeni zwrócili się w stronę ambasadora Attolii – moim obowiązkiem jest uprzedzić cię, iż wieści o tym nie zostaną dobrze przyjęte przez moją panią.

– Nie spodziewam się niczego innego – odpowiedziała mu Eddis i

przemówiła znów do posłańca. – Crodesie, przekaż mu, że ma to być dziesięć dużych karawan.

Z politycznego punktu widzenia niemożność dalszego korzystania z talentów Eugenidesa była poważnym ciosem. Sounis wciąż ostrzył sobie zęby na poszerzenie granic, a powstrzymywała go przed tym tylko obawa przed skrytobójstwem. Jednak Attolii nie chodziło tylko o straty polityczne. Gdyby zależało jej na pozostawieniu Eddis bez Złodzieja, kazałaby go stracić. Chciała natomiast uderzyć w Eddis na kilku różnych poziomach i to się jej udało. Nawet i sto karawan nie byłoby w stanie tego odwrócić. Wzdychając ciężko w głębi ducha, królowa przeprosiła zgromadzonych i udała się do swojego Złodzieja.

W bibliotece nie było nikogo, ale drzwi prowadzące do gabinetu i sypialni Eugenidesa stały otworem. Chłopak leżał w łóżku, a nad nim pochylał się Galen, pałacowy medyk. Gdy władczyni weszła do pomieszczenia, mężczyzna wyprostował się.

– Jest nieprzytomny? – spytała Eddis stając obok łóżka.

– Jedyne pod wpływem środków nasennych – odparł lekarz. – Wmusiliśmy w niego kilka kropli letium. – Całe szczęście, że królowa nie przyszła wcześniej. Ocknąwszy się, Eugenides majaczył w gorączce i nie rozpoznawał nikogo. Trzeba było przytrzymać go i siłą podać mu letium. Nie sposób jednak ocenić, ile z tego przełknął, a ile wypluł.

– Jak jego ręka? – zapytała znów władczyni.

Medyk pokręcił głową i wskazał na brudne bandaż.

– Jeszcze do niej nie doszedłem. Zakładam, że porządnie przypalono ranę, w przeciwnym razie śmierdziałaby dużo gorzej. – Odgarnął włosy z czoła Eugenidesa. – Nie ma rozbitej głowy, choć wyraźnie mogło tak się stać. Widać siniaka na jego czole, ale gdyby doszło do pęknięcia czaszki, prawdopodobnie już by nie żył. Bardziej martwi mnie jego prawe oko, bo

wdało się zakażenie. Proszę spojrzeć na te grudki na jego rzesach. – Mężczyzna przesunął palcem ponad powiekami Złodzieja, uważając, by ich nie dotknąć.

– Jeśli to śliwa więzienna – ciągnął lekarz – straci wzrok w tym oku, a jeśli zakażenie się rozprzestrzeni, to w drugim też. – Bezradnie wzruszył ramionami.

Dwóch służących niosących dzbany z ciepłą wodą wśliznęło się do pomieszczenia za plecami królowej.

– Nie możesz tego wyleczyć?

– Nie jestem okulistą. Posłałem po jednego do miasta, ale z tego, co mi wiadomo, nie ma na to leku. W Attolii mieszka pewien człowiek, który twierdzi, że ma maść zapobiegającą rozprzestrzenianiu się infekcji, ale czy to prawda i czy zechce tu przybyć... – Medyk rozłożył ręce.

– Przybędzie, jeśli ja tak powiem – rzekła Eddis.

– To Attolijczyk, Wasza Wysokość.

– Przybędzie.

Mężczyzna podniósł wzrok. Królowa obdarzyła go przelotnym, ale hardym uśmiechem. Nie żartowała. Jeśli zajdzie taka potrzeba, każe porwać tego Attolijczyka i zaciągnąć go na szczyt góry.

– Wasza Wysokość, może to wcale nie śliwa. Okulista powinien wkrótce się tu pojawić.

– Czyli kiedy?

– Za jakąś godzinę, może dwie. A póki to nie nastąpi, Wasza Wysokość, mam tu jeszcze sporo do zrobienia.

Eddis kiwnęła głową.

– W takim razie nie będę ci przeszkadzać. Chcę jednak wiedzieć, co powie okulista.

Kiedy królowa wyszła, lekarz pochylił się nad Eugenidesem i dostrzegł

błysk oczu pod jego rzęsami. Przyjrzał się dokładniej.

– Będziesz potrzebował więcej letium – zawyrokował.

– Nie – wyszeptał chłopak.

Medyk obrzucił wzrokiem bandażę, które wymagały zmiany. – Owszem – uciał wszelkie dyskusje i wstał, by zmieszać kilka kropel leku z wodą w malutkim kubku z rogu. Gdy wrócił, oczy Eugenidesa były otwarte i śledziły go uważnie. Mężczyzna uniósł kubek, ale Złodziej odwrócił głowę.

– Proszę, młody człowieku, nie rób już problemów.

– Galenie – szepnął chłopak – myślisz, że ludzie kalecy za życia, będą też tacy w zaświatach?

Lekarz opuścił kubek.

– Powinieneś wiedzieć to lepiej ode mnie.

– Nie – odparł Eugenides. – Nie wiem.

Mężczyzna na nowo podniósł naczynie, ale Złodziej nie odwrócił głowy.

– Galenie, nie chcę być ślepy, gdy umrę.

Medyk siedział w milczeniu, opierając ręce z kubkiem na kolanach. Jego asystenci wymknęli się cicho z pomieszczenia.

– Jeszcze długo nie umrzesz.

– Nie chcę być ślepy, gdy umrę, choćbym miał dożyć setki.

– Uważasz, że wleję ci w gardło kubek letium i pozwolę odejść? – spytał wreszcie Galen.

– Byłbym wdzięczny.

– Złożyłem przysięgę, że będę leczył ludzi.

Eugenides nie próbował się sprzeczać. Odwrócił jedynie głowę, by spojrzeć na lekarza okolonymi przez ciemne sińce oczami, w których błyszczała gorączka. Blizna na jego policzku odcinała się od otaczającej ją pożółkłej skóry.

Galen westchnął.

– Możliwe, że to wcale nie śliwa, więc póki co nie ma powodu by rozważać złamanie przysięgi. – Raz jeszcze uniósł kubek. – A teraz wypij to.

Gdy Eugenides znów się obudził, było już ciemno. W międzyczasie zdążył przybyć okulista. W pomieszczeniu płonęły świece, których światło odbijało się w licznych szybach okien i padało na dwóch mężczyzn siedzących przy łóżku. Galen wyrwał go ze snu delikatnie dotykając jego ramienia, ale to wystarczyło, aby pobudzić sto różnych ognisk bólu, wliczając w to tępe pulsowanie w głowie i pieczenie w oku. Czuł się jakby pod powieki ktoś nasypał mu gorącego piasku, a całe ciało dawało mu się we znaki do tego stopnia, że nie był pewien źródeł poszczególnych odczuć.

Okulista zbadał go najdelikatniej jak to tylko możliwe, przybliżając zapaloną świecę do jego twarzy, po czym znów ją odsunął.

– Kiedy zauważyłeś, że wdało się zakażenie?

Eugenides jedynie pokręcił głową i natychmiast tego pożałował. Nie miał pojęcia, jaki był dzień ani ile czasu spędził w królewskim więzieniu. Próbował się skupić, ale jego myśli balansowały na krawędzi czarnej jamy wspomnień, w których mógł utonąć.

– Zanim obcięła mi dłoń – powiedział wreszcie.

Okulista spojrzał na medyka.

– Jakiś tydzień temu – oszacował. – Może dziesięć dni.

Mężczyzna ponownie zbliżył świecę. Eugenides skrzywił się, ale nie miał zamiaru narzekać.

– Zapalenie spojówek – zawyrokował ostatecznie okulista. – Gdyby to była śliwa, oko byłoby bardziej zaczerwienione i wrażliwsze na światło. Trzeba je oczyszczać. Postaraj się też porządnie go nakarmić. – Mężczyzna spojrzał na Złodzieja i przemówił stanowczym głosem. – Co roku przechodzą przez to setki małych dzieci nie tracąc wzroku. Pod tym względem nie musisz się o nic martwić.

Pod tym względem, pomyślał Eugenides. Gdy Galen podsunął mu kolejną dawkę letium wypił ją i pogrążył się we śnie.

W Attolii królowa siedziała przy obiedzie. Komnatę rozświetlały najwspanialsze świece, a potrawy smakowały wybornie. Władczyni jadła jednak bardzo mało.

– Myśłami jesteś dziś gdzieś indziej, Wasza Wysokość – odezwał się mężczyzna zajmujący zaszczytne miejsce po jej prawej stronie.

– W żadnym wypadku, Nahusereszu – zapewniła medejskiego ambasadora Attolia. – W żadnym wypadku.

Gorączka Eugenidesa wciąż rosła. Chłopak pogrążył się w jamie wspomnień i Galen musiał wciąż podawać mu letium, by mógł zaznać choć trochę odpoczynku. Nie rozpoznawał już ani lekarza, ani jego asystentów i stawiał opór przy każdej dawce lekarstwa, jak na początku. Trzeba było go trzymać, a Galen, opierając sporą część ciężaru swojego ciała na klatce piersiowej Złodzieja, wlewał mu do gardła letium, podczas gdy ten krzyczał. By nie pozwolić mu na wyplucie płynu, medyk zakrywał mu usta dłonią i zatykał nos, więc Eugenides nie mógł oddychać, dopóki nie połknął leku. Chłopak nie dawał jednak za wygraną i szarpał się z całych sił, próbując odwrócić głowę. Galen czuł wyraźnie, jak ciało Złodzieja wygina się w łuk, próbując zrzucić ciężar ze swej piersi. Połknął letium dopiero, gdy był już wycieńczony i niemal nieprzytomny.

Eddis siedziała w bibliotece z pobladłą twarzą.

– Nie będzie ci wdzięczny, że tego słuchałaś – powiedział minister wojny, zajmując miejsce obok niej. On też pojawił się tutaj, by spytać o zdrowie syna.

– Czy kiedykolwiek...?

– Czy słyszałem, by tak się awanturował? Nie.

Eddis również nie potrafiła przypomnieć sobie podobnej sytuacji. Jego

krzyki brzmiały tak, jakby ktoś wydzierał je z niego hakiem.

– Jest z nim coraz gorzej?

Ojciec Eugenidesa pokręcił głową.

– Raczej bez zmian. – Odchylił się na krześle. – Skoro tak się opiera za każdym razem, gdy próbują podać mu letium, to chyba ma jeszcze w sobie trochę siły.

– I tak za każdym razem?

Minister wojny pokiwał głową. Królowa wstała gwałtownie i stanęła w drzwiach sypialni.

– Eugenidesie! – warknęła.

Galen podniósł głowę i już miał wyprosić królową, gdy nagle szamoczący się na łóżku pacjent zastygł w bezruchu. Złodziej otworzył oczy i zamrugał nimi w oszołomieniu. Zgromadzeni naokoło ludzie rozluźnili się nieco.

– Przestań się wygłupiać i wypij letium – rozkazała władczyni.

Eugenides przełknął i wzdrygnął się, czując gorzki smak płynu. Galen cofnął dłoń.

– Pani? – szepnął wciąż zdezorientowany chłopak.

– Idź spać – poleciła mu Eddis.

Posłuszny królowej i zażytemu lekarstwu, Eugenides zamknął oczy.

– Skuteczne – mruknął minister wojny, gdy władczyni usiadła znów obok niego w bibliotece.

– Zobaczymy, co powie na to Galen – odpowiedziała Eddis lekko speszona, czekała jednak zamiast wracać na spotkanie z ministrem handlu. Ku jej zaskoczeniu, lekarz okazał się być zadowolony ze skutków jej nagłej interwencji.

– Rozpoznał cię, a nie rozpoznawał nikogo innego. Zaglądaj, kiedy tylko będziesz mogła.

Rankiem Eddis siedziała przy łóżku Eugenidesa czekając, aż ten się przebudzi. Spytawszy Galena o sińce pod oczami chłopaka uzyskała odpowiedź, że to krew zgromadzona pod skórą. Tyle wiedziała sama, ale ciekawiło ją, dlaczego Złodziej nie miał złamanego nosa, skoro cienie pod jego oczami były takie ciemne. Lekarz wyjaśnił jej, że krew pochodzi od uderzenia w czoło, ale przesączyła się do oczodołów. Dodał też, że może minąć kilka tygodni, nim krwiaki się wchłoną. Póki co sprawiały, że twarz Eugenidesa wydawała się jeszcze bardziej wychudzona i bledsza.

Królowa siedziała i obserwowała go, pogrążonego we śnie, wspominając wiele innych okazji, gdy oglądała go posiniaczonego. Często kończył tak po bójkach z kuzynami. Kpili z niego z powodu jego imienia, a zaczęli dokuczać mu jeszcze bardziej, gdy dziadek zaczął się nim interesować. Eugenides czasami najpierw mówił, a potem myślał, więc również odpowiadał im drwinami, niejednokrotnie bardziej uszczypliwymi, a niekiedy na tyle skutecznymi, że udawało mu się skierować uwagę kuzynów na ofiarę swych szykan, podczas gdy sam mógł wtedy wziąć nogi za pas. Częściej jednak przekomarzanie kończyło się wymianą ciosów i siniakami.

Kiedy umarła jego matka, Eugenides nie zamierzał czekać z oznajmieniem ojcu, że chce zostać następnym Złodziejem Eddis. Jego ojciec, który dopiero co stracił żonę, był wściekły. Obaj pokłócili się strasznie przed całym dworem, dając w gniewie upust żałobie. Kuzyni Eugenidesa, którzy uważali ministra wojny za swój autorytet i wzór do naśladowania, zaczęli atakować chłopaka jeszcze dotkliwiej. Wrogość między nimi narastała, aż wreszcie Eddis zabrała go z dormitorium chłopców i przeniosła do jedyne wolnego pomieszczenia, które przyszło jej do głowy – przedsionka rzadko używanej biblioteki pałacowej.

Eugenides stał kurz z półek i przekuł podstawowe umiejętności czytelnicze w pociąg do nauki, często spotykany u Złodziejów Eddis. Wciąż

toczył jednak okresowe, z góry skazane na porażkę boje z kuzynami, by za każdym razem zaszyć się znów w bibliotece i swym sypialnio-gabiniecie, liżąc rany. Eddis odwiedzała go często, gdy przebywał na takim wewnętrznym wygnaniu. Nie trzymała jednak jego strony. Dla każdej zaangażowanej w to osoby aż nadto oczywistym było, że chłopak sam sprowadzał na siebie kłopoty i w żadnym wypadku nie mógł uchodzić za bezbronną ofiarę. Jego kuzynom zaczęły ginąć ulubione przedmioty, które odnajdowały się na ołtarzu świątynnym, na wieki złożone w ofierze Bogu Złodziei. Eddis nie opowiadała się także po stronie kuzynów chłopaka, gdy ci przychodzili do niej ze skargami. Byli to także jej kuzyni i sama toczyła z nimi boje, dopóki w odstępie zaledwie kilku dni nie zmarli od gorączki jej dwaj starsi bracia, a ona została następczynią tronu Eddis. Kilka miesięcy później została królową, a wtedy już nikt więcej się z nią nie spierał, chyba że w formalny, uprzejmy i nudny sposób. Nikt, za wyjątkiem Eugenidesa, który nieustępliwie urągał jej ze względu na jej upodobania w kwestii strojów i krewnych, zupełnie jakby istnienie kuzynów było jej winą.

- Wygnaj ich wszystkich z kraju – podsunął.
- Wiesz, że nie mogę. Któregoś dnia zostaną przecież oficerami w mojej armii, ministrami handlu i kanclerzami skarbu.
- To mianuj mnie oficerem.
- Podarłeś dokumenty zaciągu w czasie ostatniej kłótni z ojcem.
- W takim razie zostanę twoim ministrem...
- Skarbu? Żebyś okradał mnie radośnie za moimi plecami?
- Nigdy bym ci niczego nie ukradł – zapewnił żarliwie Eugenides.
- Ach tak? Więc gdzie jest mój turmalinowy naszyjnik? Gdzie moje zaginione kolczyki?
- Ten naszyjnik był paskudny. Tylko w ten sposób mogłem powstrzymać cię przed noszeniem go.

– A kolczyki? – Jakie kolczyki? – Eugenidesie! – Królowa wybuchnęła śmiechem. – Cleon cię bije, bo sam sobie na to zasłużyłeś!

Nigdy nie martwiło ją, gdy narzekał. Niepokoila się jedynie wtedy, gdy milczał. Oznaczało to, że knuł wtedy coś wrednego, co miało zaprowadzić cały dwór pod jej tron z żądaniem jego krwi, albo kłócił się z ojcem, albo – w bardzo rzadkich przypadkach – odniósł naprawdę poważne obrażenia. Kiedyś jeden z jego kuzynów złamał mu w bójkę kilka żeber, natomiast innym razem chłopak poślizgnął się podczas wspinaczki po obludzoną murze i spadł na ziemię, lądując na podwiniętej nodze. Upadki były ryzykiem, z jakim należało się liczyć w tym fachu i nierzadko kończyły się śmiercią, jak w przypadku jego matki.

Kiedy cierpiał, robił się blady na twarzy i milczący i nie wychodził ze swojej komnaty, póki trochę nie wydobrzał, a wtedy, gdy już czuł się lepiej, nie przestawał narzekać. Mimo to jednak nie powiedział jej, kto połamał mu żebra, ani w jaki sposób skręcił sobie kolano. O Tytusie powiedziało jej całe mnóstwo nadgorliwych plotkarzy, natomiast w drugim przypadku udało jej się wydobyć prawdę od pałacowego medyka, który z kolei wyciągnął ją od Eugenidesa, kiedy zajmował się jego nogą. Galen zresztą też był przyzwyczajony do widoku siniaków u chłopaka oraz do wysłuchiwanie jego narzekań, co czynił bez wyraźnego współczucia.

Eddis pochyliła się, by odgarnąć kosmyki ze spoconego czoła Eugenidesa. Galen obciął większość jego długich włosów, więc chłopak wyglądał teraz zupełnie inaczej. Nigdy nie pomyślałaby, że po skróceniu jego pukle będą kręcić się na wysokości skroni i za uszami. Odgarnęła jeden taki loczek z powrotem na swoje miejsce.

– Moja Królowo – przemówił cicho Eugenides, otwierając oczy.

– Mój Złodzieju – odpowiedziała mu smutno Eddis.

– Wiedziała, że jestem w pałacu – wyjaśnił słabym głosem, w którym

pobrzmiewało ogromne zmęczenie. – Wiedziała, gdzie się ukrywam i wiedziała, którędy będę próbował wydostać się z miasta. Wiedziała o wszystkim. Przykro mi.

– Nie powinnam była cię posyłać. Chłopak pokręcił głową. – Nie. Popełniłem błąd. Nie wiem tylko, jaki. Próbowałem nad tym myśleć. Nie wiem jednak. Zawiodłem cię, moja Królowo. – Jego głos stał się jeszcze słabszy. – Przykro mi – powtórzył. – Przykro mi.

– Przykro... – rzuciła z goryczą Eddis, a Eugenides znów otworzył oczy. – To jej będzie przykro, gdy zawisnie głową w dół z murów własnego pałacu. – Zorientowała się, że zgniata w dłoniach delikatną tkaninę sukni. Wygładziła materiał, wstała i zaczęła krążyć po pomieszczeniu.

– Galen mnie stąd wyrzuci, jeśli będę cię denerwować – powiedziała, znów siadając.

– Nie denerwujesz mnie. Dobrze widzieć, jak się ciskasz. Ona tego nie robi. – Odwrócił wzrok i spojrzał gdzieś w przestrzeń. – Kiedy jest zła, siedzi, kiedy jest smutna, siedzi. Myślę, że gdyby kiedykolwiek poczuła się szczęśliwa, to też tak po prostu by siedziała. – Była to najdłuższa wypowiedź, jaka padła z jego ust od wielu dni. Eugenides zamilkł i zamknął oczy. Eddis uznała, że zasnął. Wstała i podeszła do okna. Wprawiono je wysoko w ścianie. Parapet znajdował się na wysokości jej wzroku, a szyby sięgały niemalże do sufitu. Stanąwszy na palcach, mogła wyjrzeć na przedni dziedziniec. Był pusty.

– Miała do tego prawo – odezwał się chłopak za jej plecami.

Eddis odwróciła się gwałtownie.

– Wcale nie.

– To powszechnie stosowana kara dla złodziei.

– Nie bądź głupi – warknęła królowa. – Od stu lat w Attolii nie obcięto dłoni żadnemu złodziejowi. Poza tym nie jesteś przecież zwykłym

złodziejem. Jesteś moim Złodziejem. Należysz do rodziny królewskiej. Atakując ciebie, zaatakowała całe Eddis i dobrze o tym wiesz.

– Eddis nie powinno być w jej pałacu – Eugenides zniżył głos do szeptu. Władczyni zauważyła, że był już bardzo zmęczony.

– A Attolia nie powinna układać się z Medejczykami – podniosła głos.

Galen otworzył drzwi i posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. – Odejdź! – warknęła. Mężczyzna pokręcił głową, ale posłusznie wycofał się, zostawiając jednak otwarte drzwi.

– To było barbarzyństwo! – Eddis zwróciła się znów w stronę Eugenidesa. Chłopak miał zamknięte oczy. – A ona jeszcze tego pożałuje – rzuciła na odchodne.

W bibliotece Galen skłonił się przed nią niezwykle formalnie, poprosił o wybaczenie i dopiero wtedy się oddalił. Zbadawszy Eugenidesa i podawszy mu kolejną dawkę środków odurzających, zastał Eddis czekającą na niego w sąsiednim pomieszczeniu. Siedziała w jednym z foteli z podciągniętymi pod brodę kolanami i stopami ukrytymi w fałdach sukni.

– Teraz oboje macie łzy w oczach – mruknął lekarz.

Eddis pociągnęła nosem.

– Jestem zła.

– On nie jest jeszcze dość silny, byś mogła być zła. – Przez chwilę mężczyzna sprawiał wrażenie bezradnego.

– Och, wiem – odparła królowa, wzdychając. – Jest za słaby, żeby wysłuchiwać moich wrzasków, a jeśli umrze to będzie moja wina. Już jest moją winą, że stracił dłoń i tylko dziękować bogom, że jeszcze nie oślepl. – Podciągnęła spódnicę, by odsłonić halkę, której skrajem wytarła sobie oczy. Raz jeszcze pociągnęła nosem i wstała.

Galen obserwował ją z rozbawieniem. Królowa odpowiedziała mu uśmiechem.

– Możesz kontynuować swój wykład.

– Czyli? – spytał medyk.

Eddis przytknęła jedną dłoń do piersi i zaczęła przemowę.

– Masz wszelkie prawo uznać, że nie chcesz dłużej korzystać z mych rad i odwołać mnie ze stanowiska, pomimo iż służyłem twojej rodzinie przez całe życie, jednak dopóki będę sprawował funkcję Pałacowego Medyka, dopóty będę nalegał, aby przestrzegano mych zaleceń odnośnie dobra moich pacjentów... Dobrze to ujęłam? – zapytała.

– Tak.

– Myślę też, że mogę dopowiedzieć sobie resztę.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział Galen. – Jestem wdzięczny, że nie muszę tego mówić.

Od tej chwili królowa Eddis odwiedzała Eugenidesa tylko wtedy, gdy ten spał. Wprawdzie gorączka już mu minęła, ale chłopak tak schudł i osłabł, że w gruncie rzeczy praktycznie przesypiał całe dni i noce. Galen stwierdził, że minie trochę czasu, nim Złodziej odzyska siły.

W tych nielicznych chwilach, kiedy Eugenides akurat nie spał, Eddis opowiadała mu o dobrych zbiorach i ładnej pogodzie, ale milczała na temat spotkań z ministrami, nadzorcami kopalni, mistrzem królewskiej kuźni czy dowódcami swej niewielkiej armii, a także na temat całego mnóstwa wiadomości dyplomatycznych, napływających z Sounis i Attolii. Kiedy jego ból słabł i chłopak był w stanie wytrzymać dłużej bez snu, przekazywała mu ploteczki z dworu i przepraszała, że nie odwiedza go częściej.

– Nawet gdybyś miała więcej czasu, Galen i tak by cię nie wpuścił.

– To fakt – przyznała królowa. – Poza tym nadstawia ucha, czy cię nie denerwuję. Założę się, że nawet teraz podsłuchuje pod drzwiami – szepnęła i otrzymała w odpowiedzi nieczęsto widywany uśmiech.

Odchyliła się na krześle i zdjęła z głowy wąski, złoty diadem, by

przeczesać palcami swe krótkie włosy.

– Chyba wyrwę je sobie wszystkie nim dobiegnę trzydziestki – mruknęła. – Przysięgam, od chwili, kiedy otwieram oczy rano, do momentu, kiedy kładę się spać, ktoś ciągle mnie o coś pyta. Kiedy Xante przychodzi mnie obudzić, pyta mnie, czy podać mi śniadanie. Wolałabym, żeby po prostu postawiła je przede mną. Miałabym jedną decyzję mniej.

Eugenides nie pytał, podejmowanie jakich to decyzji zabiera jej czas, a ona mu tego nie powiedziała.

– Odwiedzę cię za kilka dni, jeśli tylko będę mogła. – Pochyliła się nad łóżkiem, by pocałować go w czoło. – Zjedz coś – powiedziała i wyszła.

W Attolii królowa wysłuchiwała uważnie raportu, przysłanego przez jej ambasadora w Eddis.

– A więc gorączka go nie zabiła – zauważyła. – Wygląda na to, że nie, Wasza Wysokość.

– Doskonale.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W górach nastąpiła już wczesna jesień, gdy Eugenides uznał, że wystarczy już patrzenia w sufit i zwał się z łóżka, by wyrzeć przez okno. Przedni dziedziniec pokrywał szron. Wojskowy posłaniec wjeżdżał właśnie do środka na górskim kucu pokrytym kudłatą, zimową sierścią. Eugenides odwrócił się i skierował się w stronę krzesła ustawionego z myślą o nim przy ogniu. Usiadł, owinięty w ciepły szlafrok i z kapciami na stopach. Kikut owinięto mu czystym, białym bandażem. Nie było to konieczne, rana już dawno się zagoiła, ale chłopak nie chciał oglądać swej kalekiej ręki, a założenie na nią opatrunku wydawało się najprostszym rozwiązaniem.

Jego lewa dłoń, zmuszona przejąć obowiązki prawej, sprawiała wrażenie niezdarnej i nieskoordynowanej, choć dziadek Eugenidesa zawsze nalegał, by chłopak ćwiczył na zmianę obie ręce. Eugenides podejrzewał, że obie były równie sprawne w posługiwaniu się narzędziami złodziejskiego fachu, a guziki nie stanowiły dla niego problemu, ale już zapinanie paska okazało się żmudnym zajęciem, do tego dziadek nigdy nie kazał mu trenować odgarniania kosmyków z twarzy i zakładania ich za prawe ucho palcami lewej dłoni. W taki oto sposób wyszło na jaw wiele niedopatrzeń ze strony dziadka. Na krótką chwilę Eugenides zapatrzył się w płomień, potem przeczesał palcami włosy, które odrosły już na tyle, by opadać mu na oczy, i rozejrzał się po pomieszczeniu. Na lewo od kominka znajdowała się biblioteczka, natomiast na prawo stało jego biurko. Na blacie piętrzyła się sterta papierów. Jak przypuszczał chłopak, gdzieś we wnętrzu tego stosu znajdował się zwój, którego kopiowaniem zajmował się przed wyruszeniem

do Attolii. Jeśli rzeczywiście tam był, zakrywały go dodatkowo miski, bandaże i fiołki pełne przeróżnych mikstur, które pozostawił tam Galen i jego asystenci. Przy biurku brakowało jednak krzesła. Wyniesiono je do biblioteki, a zamiast niego wstawiono do pomieszczenia fotel, by można było siedzieć w nim pomiędzy łóżkiem a kominkiem.

Eugenides wstał, by przejrzeć papiery na biurku, ale sprzęty medyczne zajmowały zbyt wiele miejsca, by pozwolić mu na ich uporządkowanie. W pewnym momencie na zwój, który kopiował, wylał się atrament, przez co całą lewą stronę długiego akapitu przykryła ciemna plama. Chłopak westchnął. Pewnie udałoby mu się przywołać z pamięci większość słów, ale i tak musiałby uważnie porównać gotowy tekst z inną wiarygodną kopią. Zwinął zwój i rzucił go z powrotem na stos, ponownie wzdychając. Istniało zaledwie kilka wiarygodnych kopii myśli zebranych Talesa na temat podstawowych elementów Wszechświata. Właśnie dlatego tekst ten był tak cenny i dlatego chciał go skopiować. Gdyby zwój spędził więcej czasu pod papierami, pewnie do niczego już by się nie nadawał. Trzeba włożyć go z powrotem do futerału i odnieść do biblioteki.

Eugenides zmusił się do poszukiwań pokrowca i znalazł większość swoich książek, zwojów, a także innych materiałów w kilku stosach na jednym ze stołów w bibliotece. Przejrzał uważnie każdą stertę, aż wreszcie natrafił na futerał z imieniem Talesa i tytułem jego dzieła. Wsunął zwój do środka i odstawił całość na właściwą półkę. Następnie wrócił na krzesło i usiadł przy ogniu. Drzemał, gdy do pomieszczenia zajrzał Galen. Lekarz przyniósł ze sobą niewielką amforę z letium i ostrożnie uzupełnił fiołkę leżącą na biurku Eugenidesa.

– W bibliotece panuje straszny bałagan – odezwał się chłopak.

– Zauważyłem – odparł medyk. – W zeszłym tygodniu próbowałem znaleźć tam szkice anatomiczne autorstwa Aldmenedesa, ale mi się to nie

udało.

– Dlaczego nikt tam nie posprzątał?

– To twoja biblioteka.

– Nie moja. Królowej. Ja tu tylko mieszkam.

– Czyjakolwiek by nie była, moim zdaniem tylko ty możesz doprowadzić ją do ładu – powiedział mężczyzna i odwrócił się, by wyjść.

– Galenie – zwrócił się do niego Eugenides.

– Tak?

– Zabierz swoje rzeczy z mojego biurka. Chcę z niego skorzystać.

Lekarz parsknął.

– Zobaczę, czy uda mi się znaleźć kogoś, kto ma chwilę czasu.

Mimo niezbyt sympatycznej odpowiedzi Galena, po południu jeden z jego asystentów zabrał leki, miski i nieużywane bandaże. Eugenides obrzucił wzrokiem pozostałe rupiecie, ale nie ruszył się z miejsca, by je uprzątnąć. Zamiast tego odwrócił się i spędził resztę popołudnia wpatrując się w płomień. Biurko pozostało nietknięte.

Rano pozbierał rozrzucone stalówki. Powrzucał je jedną po drugiej do kasetki, gdzie lądowały z cichymi stuknięciami. Gdy pojemnik zapełnił się, Eugenides włożył do środka palec, by ułożyć stalówki i dopiero wtedy zamknął wieczko. Następnie wrócił do siedzenia przy ogniu.

Każdego ranka, gdy promienie słoneczne zaczynały przeciskać się przez zasłony, obramowując je złotawą poświatą, zwlekał się z łóżka i kierował swe kroki w stronę biurka, by coś z niego uprzątnąć, a resztę dnia spędzał w fotelu. Nie przywykł do bycia na nogach rano. Raczej przesiadywał do późna, podczas gdy reszta pałacu spała. Wpatrywał się więc w ogień do wczesnego popołudnia, a przez resztę czasu aż do wieczora leżał w łóżku. Co kilka dni zaglądał do niego Galen. Co tydzień, na zmianę odwiedzali go Eddis i jego ojciec. Nie licząc służących, którzy przynosili mu tace z

jedzeniem, przebywał więc głównie w samotności. Czas upływał mu w ciszy jego gabinetu i nikt nie zakłócał jego spokoju.

Gdy na biurku została już tylko niewielka fiołka z letium, którego kilka kropel zażywał codziennie, by móc spać, Złodziej zajął się biblioteką. Wreszcie i tam zapanował porządek, a chłopak musiał znaleźć sobie nowy powód, żeby wstawać rano z łóżka. Ostatecznie wziął kilka skrawków papieru oraz jedno z piór i siadł przy biurku, aby sprawdzić, jak pójdzie mu pisanie lewą ręką.

Buteleczkę z atramentem otworzył zębami. Papier ślizgał się po blacie, więc trzeba było go przytrzymywać. Kiedy spróbował użyć do tego kikuta dłoni, okazało się, że musiał mocno przyciskać go do biurka, bo w przeciwnym razie skrawek wysuwał się spod bandażu. Ciało pokrywające ranę było jeszcze wrażliwe, więc odczuwał przy tym ból. Z kolei gdy położył na papierze przedramię, zakrywał sobie większość powierzchni przeznaczonej do pisania, a zwłaszcza jej górną część, co oznaczałoby, że rozmazywałby świeżo nakreślone litery. Chłopak westchnął, wstał i udał się do biblioteki, gdzie stała komoda, w której szerokich, płytkich szufladach przechowywano mapy. W głębszej szufladzie u góry mebla trzymano natomiast obciążniki do map, teraz jednak była ona niemal pusta. Zostały w niej tylko dwa ciężarki o różnej wadze. Był jeszcze trzeci, którego Eugenides z początku nie zauważył. Wrzucił wszystkie trzy do kieszeni szlafroka i zaniósł je do biurka. Obciążniki bez problemu poradziły sobie z niesfornym papierem. Złodziej zanurzył pióro w atramencie i rozpoczął pierwsze próby.

Każdego dnia poświęcał trochę czasu na ćwiczenie pisania i właśnie tym zajmował się tego popołudnia, gdy ktoś przeszedł przez bibliotekę i zapukał we framugę otwartych drzwi. Złodziej podniósł głowę i dostrzegł w wejściu sekretarza swojego ojca oraz nieznanego mężczyznę za jego plecami.

– Tak? – spytał Eugenides.

– Przeprowadziłem krawca – wyjaśnił sekretarz. – Twój ojciec wspomniał, że prawdopodobnie trzeba będzie dopasować twoje odświętne szaty albo uszyć nowe zanim pojawisz się na obiedzie.

– Mam pojawić się na obiedzie? – zdziwił się Złodziej. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Teraz, gdy mu o tym przypominano, zamarzyła mu się stała wymówka od uczestniczenia w formalnych obiadach z królową i jej dworem.

Sekretarz spoglądał na niego w milczeniu. Krawiec cierpliwie czekał.

– Cóż, wygląda na to, że w końcu będę musiał – mruknął Eugenides, oplukując pióro. – Nie rozumiem tylko, dlaczego moje stare szaty miałyby nie pasować.

Krawiec pomógł mu się ubrać i zapiął guziki spodniej koszuli chłopaka, gdy ten wyraźnie nie dawał sobie z tym rady. Eugenides ścisnął w dłoni luźne fałdy tkaniny, która kiedyś tworzyła idealnie dopasowane odzienie.

– Schudłem – powiedział z zaskoczeniem.

– Pewnie dlatego, że nic nie jesz – wymamrotał krawiec z ustami pełnymi szpilek i podniósł wzrok w dokładnie tym samym momencie, kiedy sekretarz ministra wojny posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Mężczyzna spuścił oczy i zajął się znów upinaniem tkaniny, jednak nie sprawiło to, że zapomniał o zasłyszanych plotkach. Ujrzawszy Złodzieja Królowej na własne oczy uznał, że zapewne były one prawdziwe: te, że odsyła jedzenie do kuchni pałacowej, nawet go nie tknąwszy, że przesiaduje wciąż w swoim pokoju, nie widując się z nikim, że prawdopodobnie wkrótce umrze. Całe miasto pogrążone było w żałobie, jakby już to się stało, a winą za taki stan rzeczy obarczano tę wredną sukę z Attolii. Krawiec wzruszył ramionami i skupił się na pracy.

– Trzeba będzie skroić tę koszulę na nowo – powiedział. – Może zająć mi to parę dni.

– Nie ma pośpiechu – zapewnił Eugenides.

Księżyc, zbliżający się powoli do pełni, świecił na bezchmurnym niebie, opromieniając blaskiem pałac królowej w Attolii. W lecie, kiedy otwierano okna, mogłaby leżeć pośród ciemności swej komnaty sypialnej, nasłuchując turkotu kół ciężkich wozów, którymi rolnicy przywozili owoce swej pracy, by z rana wystawić je na targowisku. Była jednak zima. Okna pozostawały zamknięte, a kiedy królowa obudziła się i rozejrzała po pograżonym w mroku pomieszczeniu, wokół panowała cisza. Wzdychając gniewnie, odrzuciła kołdrę i wstała. W drzwiach prowadzących do przedsionka pojawiła się jej przyboczna. Służka podniosła szlafrok i płynnym ruchem narzuciła go na wyciągnięte ręce władczyni, układając go na jej ramionach.

– Czy trzeba czegoś Waszej Wysokości? – zapytała.

– Samotności – odparła Attolia. – Odejdź. – Przyboczna posłusznie oddaliła się i stanęła w korytarzu, pod drzwiami do komnat królowej, która z kolei podeszła do okna i odsunęła ciężkie zasłony, by móc patrzeć na księżyc. Spędziła tak całą, bezseną noc. Jedną z wielu.

Kiedy Eugenides zatrzymał się w drzwiach mniejszej sali tronowej, osoby stojące najbliżej wejścia przerwały rozmowy, zaskoczone obecnością nieznanego, a po chwili doznały szoku, rozpoznawszy go. Przez swą dotychczasową nieobecność, Złodziej sprawiał wrażenie kogoś starszego i obcego. Cyrulik przyciął krótko jego włosy, a prawa ręka chłopaka pozostawała skryta w temblaku. W miarę, jak coraz większa liczba dworzan kierowała ku niemu swe oczy, cisza rozprzestrzeniała się od podnóża schodów na całą salę tronową, niczym kręgi rozchodzące się po niewielkim stawie. Złodziej stał jak sparaliżowany pod ciężarem spojrzeń.

– Eugenidesie – odezwała się królowa. Odwrócił się, by odnaleźć ją w tłumie. Wyciągnęła do niego rękę, a on zszedł po schodach i przemierzył salę tronową, by ująć jej dłoń i ukłonić się.

– Moja Królowo – powiedział.

– Mój Złodzieju – odparła.

Chłopak uniósł głowę. Władczyni uścisnęła jego rękę, więc postanowił się z nią nie spierać.

– W takim razie siądźmy do obiadu – oznajmiła i dworzanie włączyli się do komnaty ceremonialnej, gdzie, zgodnie z życzeniem królowej i nieco wcześniej niż zakładała kuchnia, podano posiłek. Kucharz stanął na wysokości zadania, choć klął przy tym pod nosem.

Eugenides zasiadł między baronową a księżną, młodszą siostrą królowej. Najgłośniejszymi dźwiękami, jakie rozbrzmiewały w pomieszczeniu, były odgłosy kroków służby przynoszącej jedzenie. Wszyscy spoglądali kolejno na Eugenidesa, potem na władczynię i wreszcie wbijali wzrok w swoje talerze. Ktoś zakasłał albo odchrząknął. Ktoś inny, zasiadający przy odległym końcu stołu, wspominał o zbiorach, które w tym roku okazały się dobre, a księżna po jego prawej stronie podchwyciła temat. Zaczęła rozmowę o pogodzie, podkreślając, że jest zimno. Panowała zima, więc nie było to niczym zaskakującym. Kiedy przyniesiono dania, Eugenides zjadł tylko warzywa. Zostawił mięso, bo nie miał jak go pokroić i skubnął kawałek chleba, jednak nie smarując go serem, bo i z tym nie umiał sobie poradzić.

Do obiadu podano wino, a kiedy Złodziej osuszył swój puchar, natychmiast znów go napełniono. Wykonane z ceramiki naczynie miało długą, smukłą nóżkę i rozkloszowany kształt. Pijąc, Eugenides podziwiał wzór namalowany przy wewnętrznej krawędzi. Puchar zdobiły ścigające się po kole centaury, trzymające w dłoniach napięte łuki z nałożonymi na cięciwy strzałami. W dwóch dłoniach, jak zauważył chłopak, po czym odstawił na stół pusty kielich.

Obiad dobiegł końca. Królowa wstała, a za jej przykładem podążyli dworzanie, a także Eugenides. Dłoń zaciśnięta dyskretnie, acz tak mocno, że

aż pobielały mu knykcie, na krawędzi stołu powstrzymywała go przed chwianiem się na nogach. Pozostał w bezruchu na swoim miejscu, podczas gdy jego towarzyszki przeprosiły go i oddaliły się. Wkrótce u jego boku pojawił się ojciec i wziął chłopaka pod zdrową rękę. Eugenides wsparł się na nim z ulgą.

– Czyżby dziś nie rozwadniali wina? – zapytał.

– Wydaje mi się, że było takie samo, jak zwykle. Dwie części wody. Tak nakazuje kultura.

Kiedy komnata opustoszała, ojciec pomógł Eugenidesowi wyjść z za stołu i poprowadził go po schodach do jego pokoju.

– Tak czy siak, dziś nie będę potrzebował letium – mruknął Złodziej, gdy dotarli do drzwi. – Wino stanowi całkiem przyjemny zamiennik. – Jego ojciec zeszywniał. – Tylko żartowałem – dodał szybko, choć wcale nie miał pewności, czy tak było.

Drugi obiad wyglądał niemalże tak samo. Porcja Eugenidesa pojawiła się przed nim już pokrojona na niewielkie kawałki, a zamiast sera przed każdym z uczestników postawiono małą miseczkę z oliwą, w której można było maczać chleb. Za wyjątkiem faktu, że chłopak musiał sięgać przez talerz, by zanurzyć w niej kromkę, wszystko szło dobrze. Prowadzono identyczne rozmowy o zbiorach i pogodzie. Tym razem jednak przy stole rozbrzmiewały również ściszone głosy, choć nie sposób było podsłuchać, o czym dyskutowano. Eugenides pił mniej i wpatrywał się w swój talerz, nie chcąc widzieć, jak królowa usilnie stara się na niego nie spoglądać.

Za trzecim razem w ogóle się nie pojawił. Jego miejsce przy stole pozostało puste. Kiedy obiad dobiegł końca i ojciec przyszedł na górę, by go poszukać, zastał go siedzącego na łóżku w odświętnych szatach. Opierał się o wezglowie i trzymał buty na kołdrze. Na jego kolanach beładnie spoczywała tkanina na temblak. Chłopak spojrzał na ojca z ponurym wyrazem twarzy.

– Nie potrafiłem zmusić się do tego kolejny raz – powiedział.

Wbił wzrok w czubki swoich butów.

– Wiem już, że zbiory były dobre i że wciąż jest zimno. Mogę zrobić kolejne podejście na wiosnę.

– Jutro – rzucił jego ojciec i wyszedł.

Eugenides zaczął zsuwać się coraz niżej, aż wreszcie ukrył twarz w poduszce.

Kiedy zasnął, przyśniła mu się królowa Attolii tańcząca w swym ogrodzie w zielonej sukni z białymi kwiatami wyhaftowanymi przy dekolcie. Zaczął padać śnieg, psy ściagały go pośród mroku, a miecz, czerwony w blasku ognia, wisiał mu nad głową i opadał coraz niżej. Królowa przerwała taniec, by móc obserwować całą scenę. Złodziej obudził się z gardłem zdartym od krzyku. Leżał na kołdrze, w pełni ubrany.

Chwiejnym krokiem udał się do biblioteki, gdzie usiadł przed pustym kominkiem. W pomieszczeniu było zimno. Jeszcze miesiąc temu spałby tu jeden z asystentów Galena z przygotowaną dawką letium. Kiedy tylko Eugenides otworzyłby oczy, utraciłby znów świadomość, zanim jeszcze wizje z koszmarów na dobre rozwiałyby się pod jego powiekami.

Przesiedział kilka godzin w zimnej bibliotece, nie wznecając na nowo płomieni wygasłego ognia. Dopiero o świcie wrócił do cieplejszego pomieszczenia. Nie zdejmując z siebie ubrań wyciągnął się znów na łóżku i zasnął.

– A Złodziej?

– Złodziej, Wasza Wysokość?

Attolia zabębniła palcami o poręcz krzesła. Siedziała w niewielkiej komnacie audiencyjnej i wypytywała człowieka, który zajmował się zbieraniem dla niej informacji z różnych źródeł. Oficjalnie nosił on tytuł Sekretarza Archiwum.

– Złodziej, Reliusie. Dochodzi do siebie?

– Nasz ambasador w Eddis dysponuje ostatnio raczej szczątkowymi informacjami, ale mówił, że Eugenides z wolna zdrowieje. Mniej więcej raz w tygodniu bierze udział w dworskim obiedzie. Wygląda na to, że niespecjalnie interesuje go sytuacja polityczna, dlatego też wtedy, gdy jest obecny, nie rozmawia się o tym przy stole. Poza tym nie opuszcza swych komnat.

– Widuje się z królową?

– Niezbyt często. Naturalnie jest ona bardzo zajęta.

– A z kimkolwiek innym?

– Jak zrozumiałem odwiedza go czasem jego ojciec, jednak Złodziej nie zaprasza nikogo więcej. Chodzą słuchy, że dręczą go koszmary – dodał.

– Nie wątpię – królowa prychnęła cicho. Relius znacząco skierował wzrok ponad jej ramię. Attolia odwróciła się i ujrzała ambasadora z Medei, który wszedł do pomieszczenia za jej plecami niezapowiedziany.

– Nahusereszu – odezwała się władczyni obracając się na krześle, by wyciągnąć do niego obie dłonie. Mężczyzna ujął je w swoje ręce i skłonił się przed nią. Był niezwykle przystojnym mężczyzną, pomyślała, a raczej byłby nim, gdyby nie jego broda ufarbowana na szkarłatny kolor, a do tego przedzielona na środku i natłuszczona tak, by stworzyć dwa szpice. Przebywając w Attolii, mógł porzucić medejską modłę fryzowania zarostu, ale gościł na królewskim dworze już od jakiegoś czasu i nie wyglądało, aby miał zamiar się dostosować.

– Nie byłam świadoma, że postanowiłeś do nas dołączyć – dodała.

– Popęlniłem wielki nietakt, zakradając się tu za twoimi plecami, Wasza Wysokość – odparł Medejczyk. – Błagam, byś raczyła mi to wybaczyć. – Mężczyzna ponownie skłonił się i ucałował jej dłonie.

– Ależ oczywiście. – Królowa uśmiechnęła się. – Jednak mógłbyś już puścić moje palce. Niewygodnie mi tak siedzieć.

Medejczyk wybuchnął śmiechem i oswobodził jej dłonie z uścisku.

– Wydajesz się wielce zainteresowana stanem tego Eddijczyka, Wasza Wysokość – zauważył ambasador. – Z pewnością nie stanowi już zagrożenia. Cóż mógłby zrobić mając tylko jedną dłoń?

– Kiedyś, wiele lat temu miałam okazję poznać jego dziadka. Powiedział mi, że największym atutem złodzieja, podobnie jak królowej, jest umysł.

– Brzmi, jakby aż za dobrze wiedział, o czym mówi – mruknął Nahuseresz z dezaprobatą.

– I chyba tak było. Z tym, że wtedy nie byłam jeszcze królową. Nie byłam nawet szczególnie ważną księżniczką.

– Mogłaś zabić tego złodzieja.

– Mogłam – przyznała Attolia. – Jednak to było równie skuteczne, a dużo bardziej... satysfakcjonujące. – Kłamała. Żałowała, że nie kazała stracić Eugenidesa, by mieć z nim spokój raz na zawsze. Zwróciła się znów do sekretarza.

– Czy królowa wciąż nazywa go swoim Złodziejem? – Kilkakrotnie uczyniła to przed całym dworem – odpowiedział Relius.

– Musisz mi wybaczyć, Wasza Wysokość – wtrącił się Medejczyk. – Wasze rytuały w większości są dla mnie tajemnicą, a wiele z nich jest mi niezbyt dobrze znanych. Czy to prawda, że został jej Złodziejem dzięki temu, iż ukradł jakieś dziedzictwo, które potem jej oddał?

– Tak.

– Twoje dziedzictwo? – dociekał mężczyzna.

– Pochodzące ze świątyni na terenie mojego kraju.

– Które następnie zostało wrzucone do lawy na szczycie ich Świętej Góry.

– Na niebiosa, Nahuseresz, jesteś doskonale zorientowany w sytuacji. Czegóż więc nie rozumiesz? – Królowa zaśmiała się.

– W jaki sposób mogłaby zastąpić go kimś innym? – zapytał ambasador.

– Od wielu lat tytuł ten jest dziedziczny – odparła po namyśle królowa. – Mógłby przejść na dziecko jednej z jego sióstr. – Zwróciła się do sekretarza. – A jak nazywa go dwór?

– Eugenidesem – padła odpowiedź.

Władczyni pokiwała głową.

– Ależ oczywiście – mruknęła.

– Nie rozumiem – głos Medejczyka zabrzmiał niepewnie.

– Królewscy Złodzieje na ogół przyjmują imię swego boga, więc staje się ono zarówno ich mianem, jak i w pewnym sensie tytułem.

– Ach tak.

– Na razie to chyba tyle, Reliusie – zdecydowała Attolia i odprawiła sekretarza gestem dłoni. Gdy jednak ten zbliżył się do drzwi, znów go przywołała. – Jeszcze jedno.

– Tak, Wasza Wysokość. – Mężczyzna doskonale wiedział, co miała na myśli.

– Zajmiesz się tym?

– Niezwłocznie, Wasza Wysokość.

Mistrz szpiegów Jej Królewskiej Mości ukłonił się starannie, po czym wyszedł, by z wykorzystaniem swych niemałych zasobów dowiedzieć się, jakim cudem ambasadorowi z Medei udało się przeszkodzić królowej, a do tego zrobić to, nie zostając uprzednio zapowiedzianym.

Niedługo później Nahuseresz poprosił o wybaczenie i wrócił do pomieszczeń oddanych w użytkowanie jemu oraz jego towarzyszom. Tam czekał już na niego jego własny sekretarz.

– Posłaniec z Trzech Miast przyniósł ci wiadomość od cesarza –

oznajmił mężczyzna. – Leży razem z resztą papierów.

Zgodnie z jego słowami, Nahuseresz znalazł tam list, złożony i zapieczętowany. Pieczęć została jednak złamana. Ambasador przyjrzał się dokładnie krawędziom zagięć, by otworzyć wiadomość, nie rozrywając papieru. Każda linia była gładka jak wyprasowana. A więc kartka nie została rozłożona i ponownie pozaginana. Nahuseresz spojrzał na swego sekretarza, który obdarzył go uśmiechem.

– Nie rozpoznałem wzoru – przyznał – więc postanowiłem nie ruszać wiadomości.

– Któregoś dnia cię go nauczę, Kamecie – obiecał ambasador, przesuwając wzrokiem po treści listu. – Cesarz podsumowuje ilość złota, które do tej pory przekazaliśmy barbarzyńskiej królowej i pyta, czy zawarliśmy układ oraz o rachunki na wszystkie zakupy.

– Dość wcześnie zaczyna domagać się sukcesu, nieprawdaż? – spytał sekretarz.

– Nie tyle domaga się, co nas ponagla – poprawił go Nahuseresz, nie odrywając wzroku od trzymanej w dłoniach kartki.

– To nie pośpiech przyczynił się do stworzenia jego cesarstwa – zauważył Kamet.

– Rzeczywiście to do niego niepodobne – przyznał ambasador – ale niewątpliwie cesarz ma swoje powody. – Pozaginał list i położył go na biurku. – Spróbuj samodzielnie rozpracować złożenia. Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Dziś wieczorem wyślemy wiadomość cesarzowi, informując go, że mamy nadzieję, iż królową nie przestanie zajmować sprawa tego jej eddijskiego Złodzieja, podczas gdy my będziemy mogli pracować. Rozmawiałeś ze służbą zatrudnioną w domostwie barona Eronditesa?

– Tak, rozmawiałem. Ale nie wkradłem się w ich łaski. Wciąż traktują

mnie z rezerwą. Nie są pewni, jakie miejsce zajmują w ich hierarchii.

– Rozumiem.

– Nie mają tu zbyt wielu niewolników – zauważył Kamet.

Nahuseresz pokiwał głową.

– To prawda. To niezbyt ludny kraj, a do tego niespecjalnie bogaty.

– Mógłbym uciec i stać się wolnym człowiekiem – zażartował sekretarz.

– Och, ależ znalazłbym cię bez problemu. – Nahuseresz uśmiechnął się.

Przez oczy w kształcie migdałów i czerwono-brązowy odcień skóry niewolnik odróżniałby się wyraźnie od mieszkańców Attolii. – Co myślisz o baronie Eronditesie na chwilę obecną?

– Wydaje się odpowiedni. Jest bardzo wytworny. Ma o sobie wysokie mniemanie. A co ty myślisz, panie, o attolijskiej królowej?

– Jest całkiem piękna.

– Tak? – dociekał Kamet.

– I posiada najbardziej pociągającą ze wszystkich kobiecych zalet, zwłaszcza w przypadku królowej - łatwo nią manipulować – wyjaśnił ambasador z uśmiechem.

– Utrzymuje się na tronie już od pewnego czasu – podsunął ostrożnie sekretarz.

– Szybko zabezpieczyła swoje rządy dzięki błyskotliwej taktyce, niewątpliwie autorstwa jej doradcy, przypuszczalnie barona Oronusa albo ojca Eronditesa. Co nie zmienia faktu, że obaj już nie żyją. Póki co królowa wykazywała się sprytem, jeśli chodzi o dobór doradców, albo zwyczajnie miała dużo szczęścia. Teraz będzie musiała znaleźć sobie kolejnego, jeśli chce wyjść obronną ręką z obecnej, trudnej dla niej sytuacji.

– Czyli kogoś z największą ilością złota? – spytał Kamet.

– Miejmy nadzieję – odpowiedział mu Nahuseresz.

Kiedy Attolia została przebrana do snu, a jej włosy dokładnie wyczesano

i zapleciono, odprawiła swoje służki i zaczęła przechadzać się wolno po swych komnatach. Przesunęła dłonią po odwiniętej zapraszająco kołdrze, ale nie położyła się do łóżka. Owinąwszy się szlafrokiem, usiadła na krześle przy oknie wychodzącym na nocne niebo. Po chwili rozluźniła się na tyle, by zacząć postukiwać palcami o poręcz.

– Powinnam była go powiesić – powiedziała na głos.

Poza tym nie odezwała się już więcej. Pokój pogrążony był w ciszy. Księżyc przepłynął z wolna ponad dachami pałacu i skąpał w swym blasku dywan leżący u jej stóp. Wycieńczona, królowa udała się wreszcie do łóżka. Tej nocy nie miała żadnych snów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trwała zima, a on wciąż zmuszał się do porannego wstawania, choćby miał tylko siedzieć na krześle w nogach łóżka i wpatrywać się w ogień płonący w kominku. Czasami ćwiczył pisanie. Nocami, gdy cały pałac pogrążony był w ciszy, budził się i godzinami leżał w łóżku, obserwując cienie tańczące na suficie. Środek nocy to pora złodziei. Ciężko było mu pozbyć się starych nawyków, dlatego nie mógł spać. I tak uważał, że miał dużo szczęścia, jeśli nie obudził się z krzykiem. Gdy męczyły go koszmary, cieszył się, że z biblioteką nie sąsiadowały żadne inne prywatne komnaty i nikt go nie słyszał.

Późną zimą wciąż jeszcze ćwiczył pisanie i studiował księgi oraz zwoje z biblioteki. Czytał akurat tekst traktujący o systemie kategoryzacji roślin i zwierząt, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Eugenides podniósł wzrok i zobaczył stojącego w wejściu mężczyznę. Obok niego, jakby właśnie postawił ją na ziemi, stała kwadratowa, skórzana skrzynka z uchwytem na górze.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – spytał chłopak z zaskoczeniem.

– Przysłano mnie tu, bym pokazał ci pewne rzeczy – odparł wyraźnie zakłopotany przybysz.

Eugenides nie miał żadnej wątpliwości, ile konkretnie osób kryło się pod określeniem „przysłano”.

– Jakie rzeczy?

Mężczyzna pchnął pudełko w stronę Złodzieja, a następnie zwolnił i uniósł wieczko, by pokazać mu zawartość. W środku, przypięte skórzanymi

paskami, znajdowały się przeróżne protezy – sztuczne dłonie i haki. Te pierwsze wyrzeźbiono z drewna i nadano kształt częściowo otwartych lub zaciśniętych pięści. Drugie wprawiono w lśniące uchwyty z mosiądzu lub srebra, gładkie lub inkrustowane.

- Wynoś się – wycedził Eugenides.
- Ależ młodzieńcze... – zaprotestował mężczyzna.
- Wynoś się!
- Dopiero, kiedy je obejrzysz – nie zamierzał ustąpić.

Złodziej wstał z krzesła i, jedynie przelotnie obrzuciwszy wzrokiem zawartość skrzynki, umknął. Skierował kroki prosto do biblioteki i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Eugenides minął w korytarzu kilku zaskoczonych służących i zaczął przeskakiwać po dwa stopnie schodów naraz, gdy nagle zdał sobie sprawę, że wcale nie chce iść na dach. W tak ładny, późnozimowy dzień będzie tam pełno dam spacerujących od jednego tarasu widokowego do drugiego, mających dość zamknięcia w czterech ścianach. Wytężył umysł, by znaleźć dla siebie schronienie, ale dla niego funkcję tę zawsze pełniła biblioteka, a sytuacja właśnie zmusiła go do jej opuszczenia. Po chwili zawrócił i zszedł na dół, po czym skierował się korytarzem ku innej klatce schodowej. Mijał ludzi w pośpiechu i bez słowa, ciesząc się, że miał na sobie ubranie, a nie szlafrok, który zwykł nosić rankiem. Mina mu zrzedła, gdy przypomniał sobie, że ubrał się tylko dlatego, iż nakłonił go do tego pokojowy jego ojca, niewątpliwie ze względu na fakt odwiedzin niespodziewanego gościa. Wspomnienie niemal natychmiast doprowadziło go do furii. Służący miał dużo szczęścia, że akurat nie było go pod ręką.

Opuścił teren pałacu, wymykając się przez drzwi w kamiennym murze, okalającym niewielki dziedziniec, na porośniętą trawą stok.

Od bramy, w górę zbocza biegł brukowany białymi kamieniami trakt,

przecinający szerszą Świętą Drogę. Ta z kolei zygzakowała, pnąc się ku wielkiej świątyni Hefestii, która wznosiła się wysoko ponad pałacem.

W miejscach, gdzie ścieliły się cienie, wciąż zalegał śnieg, a wiatr bez trudu wdzierał się pod cienką koszulę chłopaka. Wzgórze było strome, więc Eugenides szybko dostał zadyszki, ale przystanął dopiero wtedy, gdy dotarł do opustoszałego portyku świątyni. Odwrócił się, by spojrzeć w stronę pałacu, ale nikt więcej nie wspinał się Świętą Drogą. Przeszedł przez wysokie na dwadzieścia stóp główne wrota, które otworzono na oścież pomimo chłodu, i znalazł się w pronaosie. Mniejsze drzwi prowadzące do naosu również pozostawiono otwarte.

Zmierzając ku samemu sercu świątyni, odruchowo poruszał się bezszelestnie. Przy ołtarzu nie było nikogo. W koksownikach płonęło kadzidło, ale nie doglądał ich żaden z kapłanów – nie było też wiernych ani nie wyglądało na to, by ktokolwiek składał tam ostatnio ofiarę. Wielki, poślacany posąg Hefestii spoglądał z góry jedynie na samotnego chłopaka. Ten skierował swe kroki ku niszy za głównym ołtarzem, gdzie ustawiono mniejszy, poświęcony Bogowi Złodziei, Eugenidesowi. Zasłona pozwalała modlącym się na chwilę prywatności. Złodziej zaciągnął ją i usiadł na jednej z marmurowych ławek, ustawionych po obu stronach wnęki. Postawił też na niej stopy, by nikt nie zobaczył ich wystających spod kotary i oplótł kolana ramionami.

Wyszedł z pokoju bez temblaka. Ciekawiło go, czy ktokolwiek zdążył to zauważyć, gdy pospiesznie mijał ludzi w korytarzu. Odchylił głowę, opierając ją o ścianę i zamknął oczy. Nie spojrzął na ołtarz przyozdobiony przeróżnymi przedmiotami skradzionymi przez jego przodków i jego samego. Nie przybył tu, by się modlić. Chciał się tylko ukryć.

Na niebie świeciły już gwiazdy, gdy Eugenides zaczął ostrożnie schodzić drogą w dół zbocza. Drżał z zimna, wślizgując się przez bramę na

dziedziniec. Skinął głową strażnikowi przy wejściu i zniknął we wnętrzu pałacu. Korytarze opustoszały, więc w drodze do swoich komnat nie spotkał nikogo więcej.

Drzwi do biblioteki stały otworem, a blask płonącego w kominku ognia rozświetlał panujące w hallu ciemności. Złodziej zatrzymał się w progu i zajrzał do środka. W fotelach, pogrążeni w milczeniu, siedzieli jego ojciec oraz królowa, oczekując jego powrotu.

– Nie powinno was tu być – powiedział.

Oboje wstali. Eugenides spojrział na ojca.

– Byłem w świątyni – wyjaśnił.

– Wiemy – odpowiedziała mu królowa. – Nie mogliśmy wyciągnąć cię stamtąd, nie ryzykując przy tym gromów z jasnego nieba. A teraz, choć przez cały dzień miałeś święty spokój, przemarzłeś do tego stopnia, że aż jesteś siny. Usiądź przy ogniu.

Eugenides nie usiadł przy palenisku. Zamiast tego położył się przy kominku, na tyle blisko, że ryzykował poparzenia od zbłąkanych iskier i ukrył głowę w ramionach, dygocząc z zimna.

– Tchórzostwo ma swoje dobre strony – zauważył jego ojciec, spoglądając na niego z góry.

– Więcej niż ci się wydaje – wymamrotał Eugenides we własne ramiona.

– Przyszła do mnie Moira. Przyniosła mi wiadomość od bogów.

Ani królowa, ani jego ojciec nie odezwali się ani słowem. Chłopak przetoczył się na plecy, by ogrzać sobie drugi bok i wbił wzrok w sufit. Zdawał sobie sprawę, że od czasu zniszczenia przed rokiem Daru Hamiatesa, to, co wydawało się niezachwianą wiarą w pochodzącą od bogini moc kamienia, zatarło się z wolna w umysłach ludzi – włączając w to jego ojca – aż wreszcie istnienie całego panteonu znów stało się dla nich czymś ledwie potencjalnie możliwym, a nie trudnym do przełknięcia faktem. Liczył jednak,

że Eddis, która ostatecznie trzymała Dar w dłoniach, wciąż wierzy w nieśmiertelnych. Królowa przyglądała mu się bacznie, podczas gdy jego ojciec sprawiał wrażenie jedynie uprzejmie zainteresowanego.

– Przestań użalać się nad sobą – powiedział Eugenides.

– Co takiego? – Eddis zrobiła zaskoczoną minę.

– Taka była treść tej wiadomości. Spośród wszystkich śmiertelników, bogowie zdecydowali się przysłać swoją wysłanniczkę akurat do mnie i to dlatego, by przekazała mi, że mam przestać użalać się nad sobą. Będę miał nauczkę, żeby nie szukać schronienia w świątyni.

– Eugenidesie... – zaczęła królowa.

– A wydawało mi się, że radzę sobie całkiem nieźle – dodał z goryczą chłopak.

– Zamknąłeś się w swoim pokoju na całą zimę i ćwiczyłeś pisanie – powiedziała Eddis.

– Tak.

– A kiedy już doprowadzisz swoje pismo do perfekcji? – zapytał jego ojciec.

Eugenides usiadł i oparł się o nagrzane kamienie kominka, wyciągając nogi w stronę ognia.

– Pomyślałem, że mógłbym udać się na jeden z uniwersytetów na Półwyspie – odparł po chwili. – Uznałem, że gdybym wyjechał na studia i wrócił po kilku latach, może okazałbym się... pożyteczny.

Podciągnął kolana pod brodę.

– Przepraszam. – Wzruszył ramionami. – Wydawało mi się, że to dobry plan.

Eddis spojrzała na niego bezradnie, po czym przeniosła wzrok na jego ojca. Minister wojny pochylił się, chwycił syna pod pachy i postawił na nogi.

– Pora do łóżka – zawyrokował. – Możemy porozmawiać o

wiadomościach od bogów, gdy zaznamy trochę snu. Czasami – dodał, spoglądając na królową – rzeczy nie są takimi, na jakie wyglądają.

Władczyni wyszła, a mężczyzna pomógł synowi przygotować się do snu, nie mówiąc już przy tym zbyt wiele. Niezbyt delikatnie ściągnął mu przez głowę wierzchnią i spodnią koszulę, a potem zaprowadził go do łóżka.

– Usiądź – nakazał.

Chłopak posłuchał go, a ojciec zdjął z niego resztę ubrań i zarzucił na niego koszulę nocną. Następnie pchnął go na poduszki i przykrył kołdrą.

– Umyjesz się rano.

Eugenides spoglądał w sufit.

– Jesteś głodny?

– Zjadłem ceremonialny chleb w świątyni.

Jego ojciec pokręcił głową w zdumieniu.

– Żadnych gromów? – zapytał.

– Ani jednego.

– Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. – Był już przy drzwiach, ale zatrzymał się. – Odnośnie tego wyjazdu na studia na Półwysep...

– Tak?

– To był całkiem rozsądny pomysł.

Był? Zasypiając, Eugenides zastanawiał się, co ojciec chciał przez to powiedzieć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tego ranka Eugenides spał do późna. Gdy się obudził, w pokoju było jasno, a na krześle w nogach jego łóżka siedział mag Sounis.

– Co ty tu robisz? – spytał chłopak z niezadowoleniem.

– Przyszło mi do głowy, że nieprędko nadarzy się podobna okazja, więc przyjechałem. Wiesz przecież, że lubię Eddis.

– Kraj czy królową?

– Wolę własną ojczyznę – przyznał mag.

– A moją królową – dodał chłopak. – Cóż, nie możesz jej mieć.

Mężczyzna uśmiechnął się. Zrobił, co w jego mocy, by wmanipulować niechętną władczynię Eddis w polityczne małżeństwo z królem Sounis, ale mu się nie udało, głównie przez Eugenidesa. Pomimo innych dążeń oraz dzielącej ich różnicy wieku, obaj jednak darzyli się wzajemnym szacunkiem.

Mag miał dostęp do raportów przysyłanych przez ambasadora jego kraju w Eddis i czytał je wnikliwie przez całą jesień oraz zimę. Przez cały ten czas jego osobiste pragnienia pozostawały w sprzeczności z aspiracjami politycznymi. Jego król był zachwycony przebiegiem wydarzeń w Attolii. On natomiast ubolewał nad takim obrotem spraw, jednak, pomimo to, nie zaprzestał działań, które jego zdaniem leżały w jak najlepszym interesie jego ojczyzny. Był jednak człowiekiem rozważnym i wolał zobaczyć się z Eugenidesem przed doradzeniem królowi wejścia w otwarty konflikt z Eddis.

– A cóż w Sounis pochłania cię do tego stopnia, że spodziewasz się, iż nie wrócisz tu szybko, by znów patrzeć pożądliwie na moją królową? – spytał Eugenides.

Mag spodziewał się po nim apatii, ale nie ignorancji.

– Jeszcze przed nastaniem lata Sounis wypowie wojnę Eddis – odpowiedział.

Chłopak popatrzył na niego tępo.

– Być może nie wiesz też, że od jesieni twoja ojczyzna pozostaje w stanie wojny z Attolią?

– To niemożliwe – wykrztusił Eugenides bezbarwnym głosem. – Dlaczego niby mielibyśmy iść na wojnę z Attolią?

Mag wskazał palcem prawą rękę Złodzieja. – Nie bądź śmieszny – warknął chłopak i wygrzebał się z łóżka. Wyciągnął szlafrok z szafy i narzucił go sobie na ramiona. – Jeśli to ma być jakiś żart, zabiję cię – syknął.

– Zwrócono cię Eddis pod warunkiem, że przywrócony zostanie bieg Araktusa. Wiedziałeś o tym? – zapytał spokojnie mag.

Eugenides westchnął, przyciągnął krzesło od biurka i usiadł naprzeciwko mężczyzny.

– Tak – odparł, oczekując na ciąg dalszy.

– Twoja królowa zgodziła się otworzyć śluzę zbiornika w górnym biegu rzeki. Jednocześnie rozkazała jednak, by skonfiskowano zawartość dziesięciu attolijskich karawan przejeżdżających przez przełęcz. Attolia zaprotestowała. Eddis określiła swoje działania jako rekompensatę. Attolia nazwała je aktem wojennym i zażądała, aby zwrócono jej zarekwirowane dobra. Eddis zaproponowała, aby wyrok w tej sprawie wydał Sąd Dziesięciu Narodów. Attolia nie przystała na to i postawiła ultimatum, że albo Eddis wypuści pochwycone karawany, albo może szykować się do wojny.

Eugenides czekał.

Mag odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi.

– Twoja królowa udzieliła jej aż trzywyrazowej odpowiedzi: „To oznacza wojnę”. Zakazała ambasadorowi Attolii i jego świcie opuszczania

komnat, a następnie wydała polecenie otworzenia głównych wrót Zbiornika Hamiatesa. Wody Araktusa zalały nieprzygotowane na to systemy irygacyjne Attolii, niszcząc większość z nich. Eddis wysłała też grupę uderzeniową, której zadaniem było przejechać przez tereny rolne położone na przeciwległym brzegu Seperchii. Jedna czwarta attolijskich upraw spłonęła na polach, ale Eddis straciła cały oddział. – Mag obrzucił Złodzieja uważnym spojrzeniem. – Nic o tym nie słyszałeś?

– Mów dalej.

Mężczyzna podjął wątek.

– Zanim do Sounisa dotarły wieści o ataku i zanim Attolia zdążyła wejść na rynek i podbić ceny, Eddis wykupiła większość miejscowych nadwyżek zbóż. Sprawdziwszy raporty dowiedziałem się, że w znacznym stopniu zrobiła to jeszcze przed otrzymaniem ultimatum od Attolii. Naprawdę o tym nie wiedziałeś? – zapytał ponownie, nie mogąc w to uwierzyć.

Eugenides wstał i zaczął krążyć po pokoju, co jakiś czas kręcąc głową. Przypominał magowi przykutego łańcuchem, chociaż niewielkiego, niedźwiedzia.

– Rada Eddis jednogłośnie opowiedziała się za wojną – dodał mag. – Minister wojny wstrzymał się od głosu.

– Ale dlaczego? – jęknął Eugenides, zastanawiając się nad motywacją rady, a nie swego ojca.

– Wydaje mi się, że cię lubią.

– Wcześniej mnie nie lubili – mruknął z goryczą chłopak.

– Gdybyś trochę się zorientował, zauważyłbyś, że w ciągu roku stałeś się największym bohaterem ludowym, jakiego kiedykolwiek widziało Eddis.

Eugenides opadł na krzesło i zakrył twarz dłonią. Nie uszło uwagi maga, że z początku podniósł obie ręce, lecz po chwili kaleką opuścił na kolana.

– Wcale nie chcę tego wiedzieć – rzucił Złodziej.

– Słyszałem – odezwał się znów mężczyzna – że tej zimy rzadko kiedy opuszczałeś swe komnaty. Schowałeś też głowę pod kołdrę? – Wstał z krzesła i podszedł do biurka, by przejrzeć leżące na nim rzeczy.

Eugenides westchnął i odchylił głowę, nie otwierając oczu.

– Mógłbyś już sobie pójść.

– Studiujesz klasyfikację biologiczną? – spytał mag podnosząc jedną z książek. – A także anatomię człowieka, ach tak, i „Geometrię” Euklidesa, chyba że tylko kopiujesz jej tekst? – Spojrzał na skrawki papieru pokryte ćwiczonym mozolnie pismem Eugenidesa. Na ziemi, obok biurka było ich jeszcze więcej. Mężczyzna podniósł cały stos i przejrzął go pobieżnie. – Musisz mi wybaczyć – odezwał się znów – ale nie potrafię zrozumieć, jakie to wszystko ma znaczenie, biorąc pod uwagę fakt, że twój kraj znajduje się w stanie wojny.

Chłopak wstał i wyrwał papiery z rąk maga.

– Ma znaczenie, bo nie mogę zrobić dla tego kraju już nic więcej i ma znaczenie – wykrzyczał, rzucając je z powrotem na biurko – bo mam tylko jedną rękę i to nawet nie prawą! – Odwracając się, pochwycił kałamarz z inkaustem i cisnął nim w szafę. Naczynie roztrzaskało się na kawałki, rozbryzgując atrament po jasnym drewnie i ścianie. Czarne krople spadły niczym deszcz także na pościel.

W ciszy, jaka zapadła po tym wybuchu furii, obaj usłyszeli za plecami głos królowej.

– Magu – odezwała się władczyni od progu. – Doszły mnie słuchy, że przybyłeś.

Eugenides odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć jej w twarz.

– Rozpętałaś wojnę w moim imieniu i nawet mi o tym nie powiedziałaś?

– Musisz mi wybaczyć – zwróciła się królowa do maga, jakby nie usłyszała swojego Złodzieja. – Zaspałam, w przeciwnym razie powitałabym

cię wcześniej.

– Jesteśmy w stanie wojny z Attolią? – dopytywał się Eugenides.

– Tak – odpowiedziała mu Eddis.

– A z Sounis?

– Prawie.

– Jak mogłaś odwiedzać mnie co tydzień, rozmawiać ze mną o pogodzie i nie wspomnieć choć słowem o wojnie?

Królowa westchnęła.

– Mógłbyś usiąść i przestać krzyczeć?

– Przestanę krzyczeć, ale nie usiądę. Możliwe, że będę musiał rzucić jeszcze kilkoma kałamarzami. Czy to Galen zabronił ci mnie informować?

– Z początku tak – przyznała Eddis. – Później jednak ty sam wcale nie chciałeś wiedzieć, Eugenidesie. Przecież nie jesteś ślepy, musiałeś zauważyć, co dzieje się wokół ciebie, ale nigdy o nic nie pytałeś.

Chłopak pomyślał o wszystkich tych rzeczach, które widział i słyszał, nawet nie będąc ciekawym: wojskowi posłańcy na koniach wjeżdżający na przedni dziedziniec i z niego wyjeżdżający, znajome twarze przestające pojawiać się na dworskich obiadach. Z biblioteki zniknęły wszystkie mapy wraz z obciążnikami. Królowa była zbyt zajęta, by zaglądać do niego częściej niż raz w tygodniu, a on nie zastanawiał się, dlaczego tak było.

– Kto... – głos odmówił mu posłuszeństwa, więc zaczął jeszcze raz. – Kto był w tej grupie uderzeniowej?

– Stepsis. – Eugenides wzdrygnął się, a królowa kontynuowała wyliczankę. – Chlorus, Sosias. – Wszyscy byli kuzynami Złodzieja i władczyni. – Dowódca Creon i jego żołnierze.

– No cóż... – chłopak zająknął się na chwilę. – To wyjaśniałoby te wszystkie wieczory, kiedy nie toczono rozmów przy stole. Co jeszcze, o czym powinienem był wiedzieć, ale czego nie chciałem słuchać, mnie

ominęło?

– Niewiele. Wszelkie wrogie działania między nami a Attolią zostały zawieszane na czas zimy. Pamiętasz chyba, że przyszła w tym roku dość wcześnie. O tym akurat wszyscy ci mówili. Magu? – królowa zwróciła się do niego uprzejmym tonem. – Zechciałbyś nas zostawić?

Mężczyzna uklonił się lekko i wyszedł bez słowa. Gdy zostali sami, Eddis usiadła w zwolnionym przez niego fotelu. Potarła rękoma twarz.

– Jestem głodna. Rano zostawiłam Xante na środku pokoju z tacą ze śniadaniem, a wczoraj nie zjadłam nic na obiad. Martwiłam się o ciebie – powiedziała z wyrzutem – kiedy ty siedziałeś sobie w zimnej świątyni, strojąc fochy.

– Wydawało mi się, że raczej użalałem się nad sobą.

– Stroiłeś fochy, użalałeś się nad sobą i jęczałeś żałośnie.

– Wcale nie – zaprotestował ze złością Eugenides.

– Nie – przyznała królowa. – Wcale nie. Ale na całą zimę pograżyłeś się w rozpacz, choć trudno cię o to winić. Mogliśmy tylko czekać i mieć nadzieję, że wyjdiesz z tego. A potem nagle mówisz mi, że chcesz opuścić Eddis i iść na uniwersytet na Półwyspie. Potrzebuję cię tutaj, Eugenidesie.

– A do czego niby może ci się przydać jednoręki były Królewski Złodziej?

– Nie jesteś byłym Królewskim Złodziejem. Jesteś moim Złodziejem. A póki co wciąż zasiadam na tronie.

– Wiesz, co miałem na myśli.

– To dożywotni tytuł. Pozostałbyś Złodziejem Królowej, choćbyś był przykuty do łóżka i dobrze o tym wiesz.

– W porządku, w takim razie do czego chcesz wykorzystać bezużytecznego, jednorękiego Złodzieja?

– Chcę, żebyś przestał być bezużyteczny. – Nie mogę niczego ukraść nie

mając dwóch rąk – stwierdził gorzko chłopak. – Dlatego właśnie kazała obciąć mi jedną z nich.

Królowa Attolii funkcjonowała jedynie jako odległa „ona”. Jej imię rzadko kiedy pojawiało się w jego ustach, jakby Eugenides nie mógł znieść jego smaku.

– Istnieje całe mnóstwo rzeczy, których nie mogłaby ukraść nawet osoba posiadająca obie dłonie – powiedziała Eddis.

– No i?

– Skoro niemożliwym jest ukraść je dwiema rękami, zrobienie tego jedną nie staje się bardziej niemożliwe. Ukradnij pokój, Eugenidesie. Ukradnij dla mnie trochę czasu.

Królowa opadła na oparcie.

– Sounis doprowadził Attolię na skraj wojny domowej. Nikt nie mógłby zarzucić jej braku błyskotliwości, skoro tak długo udało jej się utrzymać tron. Lud ją popiera, ale baronowie nienawidzą, bo władza samodzielnie, nie biorąc sobie żadnego z nich na króla. Najbardziej jednak nienawidzą jej dlatego, że udało jej się scentralizować rządy, nie pozwalając, by ich włości stały się czymś w rodzaju prywatnych królestw. Teraz jednak wyczerpały się jej zasoby. Postanowiła zawrzeć układ z Medeą. Wiesz, że to dlatego wysłałam cię do Attolii. Jeśli przyjmie pomoc Medejczyków, jeśli oni wylądują na wybrzeżu, pożrą nas żywcem: Attolię, Sounis i Eddis. Wysłałam cię, by dowiedzieć się, jak bliskie są jej kontakty z Medeą, bo Sounis nie zaprzestanie prób strącenia jej z tronu.

– To wypowiedz mu wojnę.

– Nie mogę. Jest zbyt potężny. Eddis i Attolia razem mogłyby go pokonać, ale Attolia nie chce mieć z nami nic wspólnego. Za bardzo mnie nienawidzi i za bardzo pochłaniają ją starania o utrzymanie rządów.

– Przybyła na moją koronację, wiesz – wyjaśniła Eddis. – Zabrała mnie

na bok i udzieliła całego mnóstwa rad jak utrzymać tron: podnieść podatki, żebym miała fundusze na tłumienie powstań, zwiększyć armię i regularnie dokonywać czystek w radzie. Nie ufać nikomu i natychmiast likwidować wszelkie zagrożenia, choćby wydawały się nieznaczne.

Eugenides wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Królowa wzruszyła ramionami.

– Rządziła dopiero od kilku lat. Gdyby Eddis choć trochę przypominało Attolię, byłyby to cenne rady. Znienawidziła mnie za to, że z nich nie skorzystałam, bo władam krajem, w którym nie musiałam tego robić. Znienawidziła mnie też za to, że mam ciebie, Eugenidesie, bo dzięki tobie udało mi się utrzymać Sounis, wraz z całą jego korupcją, z dala od mego dworu.

Wstała, wcisnęła dłonie w kieszenie spodni i zaczęła krążyć po pokoju, zatrzymując się przy oknie i stając na palcach, by wyjrzeć na zewnątrz. Eugenides zachodził w głowę, kiedy znów zaczęła nosić spodnie. Po namyśle, nie mógł przypomnieć sobie, by poza formalnymi obiadami w ogóle widywał ją w sukni.

– Nigdy nie stanowiłeś bezpośredniego zagrożenia dla niej, ale dla Sounisa owszem – ciągnęła Eddis. – Gdyby Sounis mógł naprzykrzać się komuś innemu, zostałoby mu mniej czasu na Attolię. Od chwili, gdy odcięła ci dłoń, nęka nas. – Odwróciła się znów do Eugenidesa.

– Próbując zapewnić sobie rządy w Eddis, Sounis będzie miał zajęcie na całe lata. Będziemy dla niego łatwi do ugryzienia, ale trudni do przełknięcia. – Królowa uśmiechnęła się blado. – Attolia mogła osiągnąć ten sam efekt zabijając cię, ale wolała zrobić coś, co uderzyłoby dużo silniej i w ciebie, i we mnie. – Obrzuciła go wzrokiem. – Przecież wiesz to wszystko.

– Większość tak – przyznał Eugenides. – Nie wiedziałem, dlaczego Attolia cię nienawidzi.

– Ubierz się – poleciła Eddis. – Każę przynieść śniadanie i opowiem ci coś jeszcze.

– Gdybyś nie trzymał Sounisa w szachu, mógłby rozpocząć kampanię mającą na celu osłabienie Eddis. Wydaje mi się, że mój dwór jest zbyt lojalny, by przekupić go pieniędzmi, ale prawdziwą siłą Sounisa jest handel. Musimy polegać na imporcie towarów. Prędzej czy później wstrzymałby ich dostawy. A jeśli Attolia układa się z Medeą, nie dostalibyśmy zaopatrzenia i od niej.

– Wiem o tym – wtrącił Eugenides. – Naturalnie. Nie wiesz jednak, że od jakiegoś czasu rozważam zdetronizowanie królowej Attolii.

Chłopak zamrugał oczami.

– Detronizacja monarchy sąsiedniego kraju to akt rozpaczny. Do tego nie ma następcy, który byłby dla nas akceptowalny, ale próbując stawić czoła Sounisowi, Attolia coraz bardziej osłabia swoją pozycję, a biorąc pod uwagę Medeńczyków krążących nad nami jak sępy, taka niestabilność jest niebezpieczniejsza niż cokolwiek innego – powiedziała Eddis, przemierzając bibliotekę w tę i z powrotem. – A potem obcięła ci dłoń i przestało mnie obchodzić, czy zawisnie na murach własnego pałacu. Wszyscy w Eddis przyznali mi rację. Twój ojciec i ja uznaliśmy, że gdyby Sounis otrzymał możliwość stworzenia w Attolii rządu marionetkowego i gdyby udało się zrobić to na tyle szybko, że Medea nie zdążyłaby w tym przeszkodzić, zostawiłby Eddis w spokoju.

Królowa wzruszyła ramionami i przyznała:

– Pod tym względem nie jesteśmy wcale lepsi od Attolii. By ocalić Eddis, bez wahania rzuciłabym jej kraj temu psu Sounisowi na pożarcie.

– I?

– Mag powstrzymał nas w tych dążeniach. Powiedział Sounisowi, że Attolia sprzymierzy się z Medeą, jeśli on zaatakuje ją wspólnie z Eddis.

Możliwe, że to prawda, ale moim zdaniem ona tak czy inaczej ułoży się z Medejczykami. Miałam nadzieję, że w obliczu wewnętrznej i zewnętrznej wojny, kraj zewrze szeregi przeciwko Medei, a także królowej. Zaakceptowano by marionetkowego króla z Sounis, przynajmniej na kilka lat, i mielibyśmy ją z głowy. Medejski cesarz nie może interweniować bez zgody rządu danego kraju, w przeciwnym razie złamałby postanowienia traktatu zawartego z Siłami Wyższymi Kontynentu. Siły Wyższe nie chcą obecności Medejczyków na tym wybrzeżu równie mocno jak my, są więc gotowe do działania pod najmniejszym pretekstem, ale ostatnią rzeczą, jakiej nam trzeba, jest masowy konflikt toczony na naszych terenach.

– Więc co teraz?

– Sounis chce i Eddis, i Attolii. Zwróciłam się do niego z prośbą o pomoc, ale woli przyłączyć się do Attolii, choć jeszcze do niczego się nie zobowiązał. Ona spróbuje pchnąć armię przez przełęcz, kiedy tylko pogoda się poprawi. Wszystko będzie działo się powoli, a większość strat poniesie jej strona. Nie będzie miała miejsca na manewry. Jeśli uda jej się dotrzeć do głównych fortyfikacji, Sounis sprowadzi własne wojska na drugą stronę przełęczy. Chce tylko upewnić się wcześniej, że systemy obronne po jego stronie Seperchii nie zostaną wzmocnione przed atakiem. Przeprowadziliśmy ewakuację ludzi z terenów górskich na wybrzeżu i przepędziliśmy zwierzęta przez most do tej części kraju. Tkwimy teraz po uszy w owcach. Jeśli wkrótce nie zaczniemy ich zarzynać, wyskubią całą trawę z pastwisk. Kopalnie srebra zostały wyładowane materiałami wybuchowymi, które zostaną wysadzone jeśli je utracimy.

– Zawiesiliśmy handel przez przełęcz. Wydałam rozkaz osobiście – ciągnęła Eddis. – Pomyślałam, że równie dobrze mogę zrobić to zanim uczyni to jeden z krajów nizinnych. Dobra są teraz transportowane statkami poprzez przybrzeżne wyspy. Co nie jest rzeczą zaskakującą, nastąpił wzrost

piractwa – dodała oschle.

– Czy damy radę powstrzymać attolijskie wojska? – zapytał Eugenides.

– Nie – przyznała ponuro królowa i przeczesła ręką włosy. – Chyba że rzucimy całą armię na przełęcz. Wtedy powstrzymamy Attolię, ale pozostaniemy bezbronni na wszystkich innych frontach, a na to właśnie czeka Sounis.

– Kiedy spodziewasz się jej wojsk?

– Armia Attolii jest lojalna i wyszkolona, ale trzeba ją zaopatrzyć i to ją spowalnia. To, a także długa zima. Śnieg wciąż sprawia, że główna przełęcz jest nieprzejezdna, a po roztopach dopływy Seperchii uniemożliwią podróż drogami. Zazwyczaj poświęcamy wiosną kilka tygodni na naprawy i dopiero wtedy otwieramy przełęcz. Oczywiście w tym roku nie będzie żadnych napraw.

– Kiedy?

– W połowie wiosny, jeśli dopisze nam szczęście.

– Co planujesz?

Eddis miała ponurą minę.

– Porzucić część kraju na zachód od Seperchii, przybrzeżne góry i kopalnie srebra. Możemy bronić wejścia do tych wewnętrznych dolin.

Mamy dość zboża, by przetrwać kolejną zimę.

– A potem? – Liczymy na to, że Sounis i Attolia zajdą sobie nawzajem za skórę do tego stopnia, że stracą zainteresowanie Eddis. Jeśli bogowie będą nam sprzyjać, nie wytrzymają w sojuszu zbyt długo i jedno z nich zechce przyłączyć się do nas zanim zaczniemy głodować.

– A jeśli nie zerwą sojuszu?

– Wtedy się poddamy, Eugenidesie, i to ja zostanę zdetronizowaną królową. Attolia zagarnie najprawdopodobniej góry przybrzeżne i kopalnie srebra. Sounisowi przypadnie Dolina Hefestiańska i kopalnie żelaza, chyba

że spróbuje zaanektować cały kraj. Tak czy inaczej, wciąż jeszcze możesz zostać byłym Królewskim Złodziejem. A teraz muszę rozmówić się z Xenofonem. Już na mnie czeka.

– Ależ naturalnie – odparł Eugenides. – Idź rozmówić się z Xenofonem.
– Chłopak udał się do swojej sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Tej nocy, po całym dniu wpatrywania się w płomienie, Eugenides opuścił swój pokój, by przemierzać opustoszałe korytarze pałacu. Rozmyślał. Na wpół przytomnie mijał znajome miejsca – panel, za którym znajdowało się przejście przechodzące za komnatami królowej, schowek z maleńkim oknem, przez które mógł sięgnąć do równie niewielkiego okna garderoby jego kuzyna Frinidiasa, przydatną kryjówkę za krętymi schodami.

O tej porze nocy cały pałac pogrążony był we śnie, dlatego Złodziej zawsze uważał, że te godziny należały tylko do niego. Jakież było jego zdziwienie, gdy skręcił w korytarz prowadzący ku schodom na dach i ujrzał na jego końcu strażnika. Mimo to zmusił się do dalszego marszu. To, że go zauważono, nie było jeszcze powodem, by zawracać. Gdy jednak zbliżył się do drzwi na klatkę schodową, strażnik poruszył się nieznacznie, zagradzając mu przejście.

– Idę na dach – wyjaśnił Eugenides z zaskoczeniem.
– Nie, panie – odpowiedział mężczyzna.
– Jak to „nie, panie”? Dlaczego?
– Mam rozkazy, panie.
– Jakże, że nikomu nie wolno wychodzić na dach?
– Nie, panie. – Nie, panie, nikomu nie wolno wychodzić na dach czy nie, nie takie mam rozkazy?
– Nie, nie takie mam rozkazy, panie.
– Cóż, w takim razie jakie masz rozkazy? I przestań nazywać mnie panem. – Nikt nigdy tak się do niego nie zwracał dopóki nie ukradł Daru

Hamiatesa, jednak od tamtej pory zwrot ten zaczął przewijać się dość często. Eugenidesowi wcale się to nie podobało.

– Mam rozkazy, by nie wpuszczać cię, panie, na dach.

Złodziej wbił w niego osłupiałe spojrzenie.

– Eugenidesie.

Odwrócił się. Na końcu korytarza stała królowa. U jej boku stało dwóch dodatkowych żołnierzy oraz jakiś mężczyzna.

– Co to niby znaczy, że mam nie być wpuszczany na dach? – zapytał chłopak z oburzeniem.

Królowa podeszła bliżej. Jak zauważył Eugenides, trzecią z towarzyszących jej osób był jeden z asystentów Galena. Złodziej obrzucił wzrokiem najpierw jego, potem władczynię.

– Kazałaś komuś pilnować moich drzwi – rzucił oskarżycielsko.

Królowa sprawiała wrażenie zakłopotanej. Klnąc, Eugenides odwrócił się w stronę gwardzisty przy drzwiach. Potem stanął znów twarzą w twarz z władczynią, wciąż ciskając wiązanki przekleństw. Gwardziści po obu jej stronach byli w szoku.

– Myślisz, że zamierzam skoczyć z dachu? – zapytał.

Tak właśnie myślała. Członkowie jego rodziny dość często ginęli w wyniku upadków. Jego matka, a nawet dziadek. Kiedy ręce zaczęły mu drżeć tak mocno, że nie był w stanie samodzielnie jeść i nie dałby też rady wejść na dach, rzucił się przez poręcz na samym szczycie schodów w tylnej części pałacu. Dla młodszej osoby nie byłby to może aż tak groźny upadek, ale wystarczył, aby zabić starca.

– Wywołałaś wojnę i nawet mi o tym nie wspomniałaś – warknął Złodziej. – Kazesz pilnować moich drzwi i mam nie być wpuszczany na dach. Czego jeszcze się dowiem? – Przepchnął się obok królowej i żołnierzy, po czym zaczął wycofywać się tyłem. – Powiedz, że zgłosiłaś mnie na

stanowisko ucznia księgowego. Kupiłaś mi ładny domek na przedmieściach. Zaaranżowałaś małżeństwo z jakąś miłą dziewczyną, która nie ma nic przeciwko kalekom! – wrzasnął. Dotarł za róg, ale nie przestawał krzyczeć. Hałas byłby w stanie obudzić wszystkich śpiących w tym skrzydle pałacu, ale niespecjalnie go to obchodziło. – Wprost nie mogę się doczekać, aż o tym usłyszę! – zakończył, kładąc nacisk na każde ze słów. Nie słychać było żadnych odgłosów, nawet jego kroków.

Królowa westchnęła i odprawiła towarzyszących jej żołnierzy.

– Mam wrócić do pilnowania jego drzwi? – zapytał asystent Galena.

– Tak – odpowiedziała Eddis ponurym tonem. – Pilnuj go tak dokładnie, jak tylko możesz.

Wróciwszy do swych komnat, raz jeszcze westchnęła ciężko. Oskarżeniem o zaaranżowane małżeństwo trafił w dziesiątkę. Całe szczęście, że jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

Rankiem mag zapukał do drzwi biblioteki i, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Eugenides, wciąż w ubraniach z poprzedniego dnia, spojrzął na niego ze swojego miejsca przy kominku, po czym go zignorował.

– Jak rozumiesz, zostałem tu przysłany przez mojego króla – odezwał się mężczyzna, siadając w fotelu naprzeciwko Złodzieja. – Nasz ambasador doniósł, że nie stanowisz już zagrożenia, ale w twoim przypadku Sounis woli być ostrożny. Chciał więc usłyszeć drugą opinię na ten temat, moją.

Eugenides wciąż nie zwracał na niego uwagi.

– Muszę wracać. Nie mogę dłużej tu zostać. Mój król nie wypowie wojny, dopóki Attolia nie zdobędzie przełęczy. Przejście jest wąskie, więc przyjdzie jej słono zapłacić za taki atak, ale Eddis nie będzie w stanie wystawić zbyt dużego wojska do jego obrony. W zasadzie poza ukształtowaniem terenu nie posiada niczego, co mogłoby pomóc jej w obronie kraju. Kiedy jej armia zostanie rozbita, mój król zaatakuje z Sounis.

Byłoby lepiej... gdyby Eddis się poddała. Jesteś tego świadomy, prawda, Genie?

Eugenides nie obdarzył go spojrzeniem ani nie odezwał się choćby słowem, chociażby po to, by wytknąć mu, że tylko bliscy przyjaciele mogą zwracać się do niego skróconą wersją jego imienia.

– Genie, siedzenie tutaj w niczym nie pomoże. Mógłbyś przemówić Eddis do rozumu. Może nie jesteś już Złodziejem, ale wciąż mógłbyś coś zrobić.

Chłopak uniósł głowę, ale tylko po to, by wbić wzrok gdzieś w przestrzeń, poza ścianami biblioteki. Mag westchnął i wstał. Poklepał Eugenidesa po ramieniu i odszedł nie widząc, jak Złodziej odprowadza go wzrokiem spod półprzymkniętych powiek.

Mag wrócił do swojego króla w Sounis i przekazał mu, że Złodziej nie stanowi już dla nikogo zagrożenia, może za wyjątkiem siebie samego. Najlepszym rozwiązaniem byłoby więc połączyć siły z Attolią i zająć Eddis. Sounis nie posiadał się z radości.

Przebywał akurat w swej prywatnej jadalni i spożywał późny posiłek, pólżąc na kanapie. Podczas gdy mag mówił, przez pomieszczenie przewijali się kolejni służący, wnosząc tace z apetycznymi przysmakami, z których większość zjadał król. Naczynia podsuwano także magowi, który jednak wybierał z nich tylko tyle, by nie zostać posądzonym o obrazę władcy.

– A kiedy Eddis już się podda, myślisz, że damy radę utrzymać całość terytorium kraju? – zapytał Sounis.

– Wojsko Attolii zostanie zdziesiątkowane, próbując zdobyć przełęcz. Dlatego nie powinieneś mieć większych problemów z odbiciem jej. Do tego czasu, próbując zachować władzę nad własnym krajem, królowa będzie już zapewne uwikłana po uszy w kontakty z Medejczykami. Żadna z tych stron

nie będzie miała czasu na kłótnie o Eddis. Jeśli uda ci się szybko zagarnąć cały teren, będziesz dość silny, by stawić czoła Medei, jeśli ta zechce rozszerzyć swoje wpływy poza Attolię.

– Ale stracimy szansę na podbój Attolii.

– Na chwilę obecną, tak.

– Co dokładnie masz na myśli, mówiąc o „chwili obecnej”? – zapytał król.

– Jakies najbliższe sto lat – odparł mag, a władca parsknął z rozdrażnieniem.

– Tak właśnie myślałem. Ograniczmy prognozy do mojego życia, dobrze?

– Szanse na to, że Medejczycy utracą kontrolę nad Attolią za twojego życia, Wasza Wysokość, są dość niewielkie – wyjaśnił chłodno mag. – Proszę pamiętać, że Eddis nie zostanie zasymilowane natychmiastowo. Reorganizacja przeróżnych ministerstw tak, by podlegały pod Sounis zajmie przynajmniej rok.

Król posłał mu ponure spojrzenie.

– Miejmy nadzieję, że moje życie nie będzie równie krótkie – mruknął.

– Ależ oczywiście, że nie, Wasza Wysokość – wymamrotał mag. – Reorganizacja rządu to tylko jeden z wielu kroków. Eddis posiada znakomicie wyszkolonych żołnierzy. Z pewnością zechcesz wcielić ich do własnej armii, nie tracąc przy tym na ich wartości.

– Eddis powinna była mnie poślubić – wtrącił ostro Sounis. – Myślisz, że wciąż może do tego dojść?

– Leżałoby to w naszym interesie, panie.

– Naszym, ale nie jej?

– Eddis długo było niepodległym krajem, Wasza Wysokość. Łatwo się nie poddadzą.

– Ale ostatecznie to zrobią – stwierdził z przekonaniem król, sięgając przez tacę po wybrane przez siebie ciastko.

– O tak – zgodził się mag z podobną pewnością. – To niewielkie państewko z ograniczoną liczbą bogactw naturalnych, poza kopalniami i drzewami. Koniec końców, Sounis je podbije.

Odprawiony przez króla, mag wrócił do swego gabinetu, gdzie zabrał się za sporządzanie dokładnych zapisków dotyczących historii wojen toczonych kilka wieków temu przez Sounijczyków, broniących się przed naporem potężnych najeźdźców z Półwyspu. Miał nadzieję, że wiedza, jaką uda mu się przy tym zdobyć, pomoże mu opracować plan skuteczniejszej obrony przed Medejczykami.

– Co ze Złodziejem? – zapytała królowa Attolii. Jej ambasador wraz z całą swą świtą wciąż przebywali zamknięci w swych komnatach w pałacu Eddis, ale istniały inne osoby skłonne przekazywać informacje do Attolii. Ich raporty nie były wprawdzie w pełni wiarygodne, ale, wobec jej uporczywych pytań, tylko nimi teraz dysponował sekretarz.

– Nikt go nie widział – odpowiedział mężczyzna. – Przestał pojawiać się na obiadach.

– Krzepiące wieści – mruknęła władczyni. – Z całą pewnością nie stanowi już żadnego zagrożenia, Wasza Wysokość? – spytał Relius, zaskoczony jej ciągłym zainteresowaniem stanem kalekiego Złodzieja.

– Nie wydaje mi się, by stanowił zagrożenie, Reliusie, ale trzeba mieć go na oku. Żeby mieć pewność, iż nie będzie stanowił zagrożenia, powinnam była obciąć mu obie dłonie, a najlepiej jeszcze i stopy. – Wspomniawszy słowa dziadka Eugenidesa, poprawiła się jednak. – Żeby mieć całkowitą pewność, powinnam była go powiesić, ale póki co wygląda na to, że tradycyjna kara okazała się skuteczna. Obserwuj go. Jeśli cokolwiek będzie wskazywało na to, że zakończył swoje wewnętrzne wygnanie, chcę o tym

wiedzieć.

Szpiedzy Reliusa donosili, że Złodziej zaszył się w swych pokojach i nie wpuszczał nikogo, nawet własnego ojca. Jego królowa nawet nie próbowała go odwiedzać. Nigdy też o nim nie wspominała i najwyraźniej żadna z osób na dworze również nie ośmieliła się tego zrobić. Ci, którzy potrzebowali zwojów czy ksiąg z biblioteki, wybierali odpowiednie pozycje i czytali je gdzie indziej. W Eddis nie było jednak zbyt wielu uczonych.

Tylko Galen narzucał się Eugenidesowi. Miał klucz do drzwi łączących sypialnię chłopaka z biblioteką, a ten nie mógł przecież zabarykadować się w środku. Galen jednak nie należał do informatorów Reliusa. Sekretarz wiedział jedynie, że medyk zostawiał Złodziejowi coraz to większe dawki letium. Poza tym, nikt więcej nie widywał Eugenidesa, nawet służący, którzy zostawiali dla niego jedzenie w bibliotece i wracali później, by zabrać puste tace.

Minęła zima i nadeszła wiosna, a Złodziej wciąż tkwił w swoich komnatach.

Stopniowo opady śniegu w górach zastąpiły deszcze, a poskręcane sznury lodu roztopiły się, tworząc wartkie strumienie lodowatej wody, pędzące w dół zboczy na spotkanie swej starszej siostry, Seperchii. Na przełęczy, którą między Górami Hefestiańskimi a łańcuchem przybrzeżnym wyrzeźbiła rzeka, strugi natrafiły na wąskie rowy i przecięły się z drogą, płynąc wyłożonymi kamieniami kanałami. W jednym z nich, wodę spiętrzyła prowizoryczna tama z gałęzi. Kiedy jeden z otoczaków zachybotał się lekko, nurt natychmiast wypłukał ziemię, w której kamień został osadzony. Nikt nie umocował głazu z powrotem na miejscu, nikt nie naprawił powiększających się uszkodzeń. Ziemia oberwała się, kamień został wymyty wraz z kawałkiem nabrzeża, a rozlewająca się woda porwała ze sobą kolejne.

Gdzie indziej, eddijscy inżynierowie przekierowywali nurt w bardziej

celowy sposób, puszczając w niepamięć lata prac konserwacyjnych nad drogą prowadzącą ze stolicy Attolii, przez Eddis, do stolicy Sounis, którą transportowano większość towarów między tymi trzema krajami. Miejscami pod lawinami błota zniknęły całe odcinki trasy. Inżynierowie, rozdarci pomiędzy bólem a satysfakcją, mogli donieść królowej, że żadna armia nie dotrze zbyt szybko do przełęczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na wybrzeżu wiosna przyszła szybciej niż w górach, a w Sounis zbliżało się już lato, gdy królewski mag obudził się pewnego dnia godzinę przed świtem. Dzwoniło mu w uszach, a pomieszczenie skąpane było w blasku księżyca. W powietrzu wciąż rozbrzmiewało echo podobnego do gromu dźwięku, więc mężczyzna wstał z łóżka i podszedł do okna.

– Stąd za wiele nie zobaczysz – odezwał się głos za jego plecami. – Musiałbyś mieć pokój z widokiem na port.

Mag odwrócił się, szukając wzrokiem Złodzieja Eddis i ujrzał cień w rogu komnaty, poza zasięgiem księżycowego światła.

– Eugenides – powiedział. Rozpoznał jego głos.

– Tak.

– Coś ty narobił?

– Na razie niewiele – padła odpowiedź spośród mroku. – Wciąż mam pewne ograniczenia, jeśli chodzi o wszelkie fizyczne działania. – Chłopak uniósł prawą rękę. Mag aż drgnął z zaskoczenia i dopiero po chwili zorientował się, że widzi najprawdopodobniej drewnianą dłoń w rękawiczce.

Powietrze rozdarła kolejna eksplozja. Mężczyzna odwrócił się znów do okna, ale dostrzegł jedynie rozbłysk odbity w bielonych ścianach budynku w dole.

– Musiałem oddelegować kogoś do podpalenia lontów – dobiegł go zza pleców głos Eugenidesa.

– Lontów? – zapytał mag, czując, że zbiera mu się na mdłości.

– W prochowniach waszych okrętów – wyjaśnił chłopak.

– W prochowniach?

– Jesteś jak chór w sztuce – skwitował Złodziej.

– A ta sztuka to, jak sądzę, tragedia?

– Farsa – sprostował Eugenides, a mag wzdrygnął się.

– Ile? – zapytał.

– Ile waszych statków płonie? Cztery. Pięc, jeśli Eleuteria zapali się od Hesperyd. A zapewne tak się stanie.

– Principia? – Principia była największym okrętem sounijskiej floty. Wyposażono ją w większą ilość dział niż dwa mniejsze statki razem wzięte.

– O tak – odparł chłopak. – Zdecydowanie.

Mag wyjrzał znów przez okno i wbił wzrok w odbite języki ognia, podczas gdy okręty jego króla płonęły w porcie.

– Wszyscy marynarze zeszli na ląd, by wziąć udział w Festiwalu Flotylli – powiedział.

– I świętować jej dominację na morzu oraz kontrolę nad większością wysp na morzu środkowym – dodał Eugenides. – W tym roku Sounis przeszedł sam siebie w kwestii darmowego wina.

– Mimo to na pokładzie z pewnością wystawiono strażę – zauważył mężczyzna.

– Założyliśmy te ładne, sounijskie mundury, podpłynęliśmy do nich łodzią i powiedzieliśmy, że przybyliśmy, by ich zmienić na rozkaz króla. A raczej zrobili to moi lojalni asystenci. Ostatnimi czasy raczej nie sprawdzam się przy wiosłach.

Mag ukrył twarz w dłoniach.

– Straciliśmy flotę. – Była to wprawdzie lekka przesada, ale boleśnie bliska prawdy. Najwspanialsze okręty Jego Królewskiej Mości zebrały się w porcie na coroczne obchody festiwalu. Attolia wciąż jeszcze nie dotarła do szczytu przełęczy, żołnierze Eddis bronili się zawzięcie, a Sounis chciał przygotować swych podwładnych na czekającą ich wojnę.

– Powiedziałeś, że powinienem coś zrobić. – Skryty w mroku Eugenides uśmiechnął się, zatapiając nóż zemsty jeszcze głębiej w trzewiach maga.

– Naprawdę?

– Kończąc swoją niezwykle budującą wizytę na wiosnę. Powiedziałeś „Wciąż mógłbyś coś zrobić”. Tak dokładnie brzmiały twoje słowa.

– Miałem na myśli przekonanie królowej do poddana się, a nie zniszczenie naszej floty w naszym własnym porcie! – wykrzyczał mężczyzna.

W cieniu Złodziej uniósł palec do ust.

– Ciii.

– A co z królem? – zapytał ciszej mag. – Co zrobiłeś z moim królem?

– Jest bezpieczny w swoim łóżku. Chociaż w sumie pewnie nie leży już w łóżku. Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Na co?

– Nie przybyłem tu wysadzać statków Jego Królewskiej Mości. Mówiłem ci, że musiał to zrobić ktoś inny.

– Po co więc tu przybyłeś, jeśli nie po to, by zamordować króla?

– Po to, by wykraść jego maga.

– Nie uda ci się – zaprotestował rzeczony mag.

– Potrafię ukraść wszystko – przypomniał mu Eugenides. – Nawet mając tylko jedną dłoń. – Zrobił krok naprzód, by znaleźć się w blasku księżyca i poruszył palcami. Uśmiech na jego twarzy nie poprawił samopoczucia maga. Wręcz przeciwnie. – Nie powinieneś być pozwalając, by to król wybierał ci uczniów. Twój ostatni nabytek zdradza właśnie twoje plany w zamian za równowartość porządnego płaszcza. Zapłaciłbym mu więcej, gdyby miał na tyle rozsądku, by tego zażądać.

– Moje plany? – powtórzył mężczyzna, zastanawiając się, czy czasem nie był wciąż pogrążony we śnie. Scena, jaka rozgrywała się w zalanej księżycowym blaskiem komnacie wydawała mu się bowiem równie absurdalna.

– Dotyczące wysadzenia królewskiej floty.

– Ach tak – powiedział mag, pojawiając się, w czym rzecz. – A więc pracuję dla Eddis?

– Na bogów, nie. Pracujesz dla Attolii. Było tak od samego początku. Biedny Ambiades dowiedział się o tym, dlatego musiał się go pozbyć. Tak samo jak Pola.

– Nawet Sounis nie uwierzy w coś takiego – zaprotestował mężczyzna.

– Uwierzy na dostatecznie długo – odpowiedział mu Eugenides. – Pomyśl o tym nie tyle jak o kradzieży ciebie, co zaufania króla.

– A co się ze mną stanie, jeśli stracę jego zaufanie?

– Jeśli jesteś dość sprytny, opuścisz Sounis. I to szybko.

Złodziej czekał, podczas gdy mag obracał wszystko w głowie. Obaj wiedzieli doskonale, że Sounis obawiał się potęgi swego doradcy, że wybierał kiepskich uczniów, by potęga ta nie wzrastała, a także, że następcą tronu został wysłany do nauczyciela z wyspy Letnos, by mag nie miał na niego wpływu.

Opuścili megaron przez jeden z mniejszych dziedzińców. Mag niósł na ramieniu torbę z trzema manuskryptami, srebrnym grzebieniem, brzytwą i teleskopem, który wczesnym wieczorem przyniósł do swojego pokoju, zakończywszy obserwację gwiazd z dachu. Eugenides nie pozwolił mu pójść do gabinetu i nie pozwolił mu zabrać żadnych ubrań.

– Moja historia Inwazji – protestował mężczyzna. – Jest w moim gabinecie.

– Chcesz, żeby ludzie myśleli, że idziesz do portu, a nie, że uciekasz w popłochu – powiedział Złodziej. – Pospiesz się, a pożyczysz, by spisać ją na nowo.

Przebrany za ucznia, kroczył za magiem, trzymając drewnianą dłoń blisko przy ciele. Żaden ze strażników nie obdarzył ich więcej niż jednym

spojrzeniem. Gdy wydostali się z megaronu na wąskie uliczki biegnące poza jego murami, to Eugenides zaczął prowadzić maga, pospiesznie zostawiając w tyle stare miasto i przemykając tylnymi alejkami pośród nowszej zabudowy. Na chwilę zniknął w zacisznym ślepych zaułku, gdzie pod schodami ukrył wcześniej torbę. W środku znajdowały się dwie koszule wierzchnie w kolorze spłowiałej szarości. Jedną z nich podał mężczyźnie, drugą wciągnął na siebie przez głowę.

W miarę, jak zbliżali się do portu, tłumy gęstniały. Kiedy rozbrzmiały wybuchy, na ulicach pozostali już tylko najbardziej wytrwali hulacy, teraz jednak marynarze podnosili się z podłóg winiarni i przepychali się wraz z resztą ciekawskich gapiów w stronę doków. Pośród nieoczekiwanego zalewu ciżby utknęły wielkie wozy, które zwykle przejeżdżały przez miasto w późnych godzinach nocnych, bowiem za dnia nie wolno im było blokować ruchu. Zbliżał się już świt, więc furmani klęli jak szewcy, podczas gdy konie człapały noga za nogą w kierunku bramy miejskiej prowadzącej na targowisko. Potężne zwierzęta cechował na ogół łagodny temperament, ale rozbrzmiewające wokoło krzyki i napierające zewsząd tłumy wyraźnie je denerwowały, szarpały więc uprząże i rżały donośnie, zagłuszając ogólny harmider.

Ciągnąc maga za koszulę, Eugenides przedzierał się przez tłum wzdłuż sznura wozów. Zdążył dotrzeć już niemalże do bramy targowej, gdy wreszcie udało mu się dostrzec ten, którego szukał i wdrapał się na jego tył. Zdaniem maga, poruszał się równie zręcznie z jedną ręką jak z dwoma. Chłopak odwrócił się właśnie, by mu pomóc, gdy przemówił jeden z mężczyzn, siedzących na ławce fury.

– Mało brakowało – powiedział. Wóz wydostał się z zatoru i z terkotem kół wjechał w oświetlony pochodniami tunel pod murami miejskimi, nabierając prędkości. – Widzę, że masz swój łup.

– W rzeczy samej – odparł Eugenides.

Wóz oddalił się od miasta o zaledwie kilka mil, gdy nagle skręcił z głównej drogi i potoczył się chybotliwie węższym szlakiem ku gospodarstwu i stajni. Przed stajnią czekały już osiodłane konie, po jednym dla każdego z pasażerów, za wyjątkiem maga i Eugenidesa.

Chłopak wstał, mając maga u swego boku, podczas gdy pozostali dosiadali wierzchowców. Jeźdźcy skinęli mu głową i odjechali.

Przed stajnią pozostali tylko mag, Eugenides oraz mężczyzna wyprzęgający konie z wozu. W domostwie nie paliły się światła, a na podwórzu panowała cisza. Niebo nabrało różowawych i niebieskawych kolorów przedświt, a powietrza nie poruszał choćby najlżejszy wietrzyk. Jeden z koni parsknął i tupnął ciężkim kopytem, wzbijając pył. Złodziej zniknął za podwójnymi wrotami stajni i wrócił kilka chwil później, zastąpiwszy drewnianą dłoń hakiem. Pochylał się nad dyszlem smukłego rydwanu kurierskiego, z prowadzeniem którego nie miał najmniejszych problemów, choć mógł wykorzystać do tego tylko jedną rękę. Złodziej pochwycił wzrok maga i uśmiechnął się.

– Sam widzisz, jak świetnie zaplanowana jest ta cała przygoda – powiedział. – Załatwiłem nam nie tylko wóz, ale i rydwan. Timos będzie powoził.

Timos zaprowadził ciężkie konie pociągowe do stajni i wrócił z parą wyścigowych. Były to piękne i pełne gracji zwierzęta, wyraźnie pobudzone przez poranne powietrze. Eugenides cofnął się, by zrobić im miejsce, a prowadzący je mężczyzna zabrał się za zaprzęganie. Gdy wszystkie pasy uprząży zostały zapięte i Timos wdrapał się na rydwan, Złodziej natychmiast poszedł w jego ślady i skinął ręką na maga.

Pojazd był lekki i świetnie wyważony. Stając na podłodze z plecionej skóry, mag poczuł, jak ta ugina się pod jego ciężarem. Wzorem Eugenidesa

zapał się mocno rękami i trzymał się z całej siły, gdy konie wyrwały do przodu, a rydwan zakręcił za dom i podążył pożłobioną koleinami ścieżką w stronę głównej drogi. Gdy znaleźli się na trakcie, Timos pozwolił zwierzętom wybrać dogodnie dla nich tempo. Pola, gospodarstwa, gaje oliwne i całe wioski tylko śmigały obok, podobne do rozmazanych plam. Rumaki nie zwolniły ani na chwilę. Wreszcie, gdy słońce stanęło wysoko na niebie, powożący skierował je ku przydrożnej gospodzie. Tam wymieniono konie, podczas gdy trzech podróżnych czekało cierpliwie przy rydwanie. Świeże zwierzęta również mknęły niczym wiatr, dopóki Timos nie zatrzymał się przy kolejnym zajeździe.

Nie było okazji do zadawania pytań w czasie zmiany koni, a rozmowa absolutnie nie wchodziła w grę w trzęsącym się rydwanie.

– Zjemy i dopiero wyruszymy w dalszą drogę – powiedział Eugenides, wskazując stół ustawiony pod drzewem obok gospody. Mag posłusznie, acz bardzo powoli, ruszył w stronę cienia.

– Zmęczony? – zapytał chłopak.

– Stary. Za stary, by dać się wyciągać z domu przez machinacje kogoś, kogo miałem za przyjaciela.

Złodziej zatrzymał się i spojrzał na niego przez ramię.

– A kto powiedział Sounisowi, że to najlepsza pora, by podbić Eddis? Kto podsunął mu, by najpierw sprzymierzyć się z Attolią? Gdyby nie ty, przedzierałby się teraz przez attolijskie pola i dobrze o tym wiesz.

– To prawda – przyznał z żalem mag.

– Miałbyś za swoje, gdybym zaciągnął cię do Eddis i zamknął w celi na najbliższe pięćdziesiąt lat.

Mężczyzna usiadł na ławce i oparł głowę na dłoniach.

– To, czy resztę swojego życia w Eddis spędzę w luksusie czy w więzieniu nie będzie miało żadnego znaczenia historycznego.

– Jeśli chodziło ci tylko o to, trzeba było zostać w łóżku i czekać na gwardię królewską.

Mag został wywieziony z kraju, by ocalić jego skórę, wiedział jednak, że gra toczyła się o większą stawkę.

– Eugenidesie, jeśli Sounisowi udałoby się podbić Eddis, być może byłby w stanie powstrzymać ekspansję Medei i wyprzeć ich z tych terenów, gdyby w Attolii wybuchła wojna domowa. Jeśli nie zjednoczy przynajmniej Sounis i Eddis, wszystkie trzy kraje zostaną podzielone i wchłonięte w historycznym mgnieniu oka. Nawet ty musisz to widzieć.

– Jediną rzeczą, którą widzę – odpowiedział Eugenides – jest to, że każdy chętnie rzuci czyjś kraj psom na pożarcie. Nie podoba mi się perspektywa zostania opanowanym przez Medeę, ale i nie uśmiecha mi się, gdyby miało zrobić to Sounis. Nie musisz też martwić się o moją naiwność polityczną. Wolałbym poderżnąć Sounisowi gardło, gdy spał, ale jego następca tronu nie jest jeszcze gotowy do przejęcia władzy, a nie możemy pozwolić sobie na wojnę domową w Sounis, bo wmieszaliby się w to Medejczycy, nieprawdaż? Konie są już gotowe. – Używając swego haka, chłopak podniósł torbę ze stołu i wrzucił do niej kilka niewielkich bochenków chleba, po czym ruszył przez podwórze ku rydwanowi.

– Genie – zawołał za nim mag, nie ruszając się z miejsca.

Złodziej zatrzymał się i spojrzał na niego przez ramię.

– Zrobiłeś się dość bezwzględny na stare lata – zauważył.

– Owszem.

* * *

Jeśli nawet zaskoczyło maga, że zjechali z drogi prowadzącej ku głównej przełęczy i pomknęli w głąb kraju, to i tak nie miał jak zadać żadnych pytań. Musiał poczekać do momentu, gdy konie zwolniły, a wreszcie zatrzymały się na zakrzywionym odcinku traktu.

– Dokąd jedziemy?

– Ty zmierzasz do przyjemnego domku myśliwskiego po przybrzeżnej stronie przełęczy. Ja natomiast od tygodni nie opuściłem swych komnat, więc byłoby dziwnie, gdyby ktoś zobaczył mnie podróżującego z tobą. Od tego miejsca będę przemieszczał się pieszo. Najpierw ruszę pod górę drogą przez Oster, a potem zejdem w dół do stolicy. To dość odosobnione tereny, więc mało prawdopodobne, bym został tam zauważony.

– A jeśli ktoś zobaczy mnie, to żaden problem?

– Liczymy na to, że tak się nie stanie, a nawet jeśli, że nie zostaniesz rozpoznany. Mnie trudniej pomylić z kimś innym, a nie chcemy w tym przypadku polegać na szczęściu.

Mag obrzucił wzrokiem górę, po czym spojrzał znów na Eugenidesa.

– Zszedłem na dół – powiedział Złodziej. – Zobaczymy, czy uda mi się dotrzeć z powrotem na górę.

– Musi istnieć jakaś łatwiejsza droga – zaprotestował mag. – Nie żeby miało mnie zmartwić, gdy zostanie z ciebie krwawa plama na kamieniach u podnóża klifu – dodał.

Eugenides uśmiechnął się wobec tej kpiny. Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki mag zobaczył na jego twarzy.

– Istnieje całe mnóstwo łatwiejszych dróg, ale żadna z nich nie zaprowadzi mnie do domu w rozsądnym czasie. Rozkoszuj się pobytem w domku. Dostaniesz strażnika do towarzystwa, ale kazano mu miło cię traktować. Jesteś w końcu gościem honorowym. – Złodziej cofnął się i skinął głową woźnicy.

– Na jak długo? – spytał mag, podczas gdy rydwan zawrócił na wąskiej drodze.

Chłopak wzruszył ramionami w nieco przesadzony sposób, a konie ruszyły z kopyta.

Kiedy Attolia dowiedziała się, że okręty Sounisa zatoniły w porcie, posłała w pierwszej kolejności po mistrza szpiegów.

Krażyły plotki, że sabotażu dokonała grupa ludzi przebranych za sounijskich marynarzy, wracających na statek by zmienić stojących na straży oficerów. Bez problemu dostali się na pokład, zyskując jednocześnie dostęp do prochowni. Mimo to królowa chciała wiedzieć więcej na temat sabotażystów. Czy jednemu z nich nie brakowało dłoni?

– Nie opuszcza swych komnat, Wasza Wysokość.

– Czy jacyś służący przynoszą mu posiłki, ubierają go rano, zabierają brudną odzież, opróżniają nocnik? Czy choć jeden z nich jest opłacany przez ciebie? Czy jest ktoś, kto mógłby poświadczyć ci, że widział Eugenidesa w tym pomieszczeniu?

– Nie, Wasza Wysokość, ale...

– A więc nie możesz być pewny, że tam jest, prawda?

– Nie, Wasza Wysokość, ale...

– Ale co, Reliusie?

Sekretarz ostrożnie nabrał powietrza do płuc. – Wasza Wysokość, nie ma żadnych dowodów na to, żeby Złodziej wychodził ze swoich komnat w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dysponujemy wiarygodnymi raportami, że pokłócił się w królową i nie chce ona o nim rozmawiać. Ponadto, Wasza Wysokość, w proceder ten zamieszanych było kilka osób, a w przeszłości Złodziej działał w pojedynkę. Nie mamy nawet pewności, że była to robota Eddijczyków. Mag zniknął, a jego uczeń twierdzi, że był w zмовie z nami. Wiemy, że to nieprawda, ale to wszystko. Nie wiemy, kim byli jego mocodawcy.

– A kim niby mogliby być? – zapytała królowa.

Sekretarz zawahał się, niepewny swej pozycji. Ostatnimi czasy władczyni okazywała szczególne względy medejskiemu ambasadorowi, nie chciał więc jej rozgniewać.

– Należy wziąć pod uwagę Medejczyków, Wasza Wysokość. Silny sojusz między Sounis a Attolią nie przyniósłby im korzyści.

– To prawda. – Królowa odchyliła się na oparcie tronu. – Zobaczmy więc, gdzie pojawi się mag.

W kilka dni po zniszczeniu floty Sounis, piraci najechali i spalili dwa najważniejsze porty na należących do kraju wyspach. Ogólnie piractwo zrobiło się bardzo powszechne, od kiedy towary przestały być transportowane przez przełęcz w Eddis. Kupcy przewożący dobra statkami handlowymi stanowili atrakcyjne cele, a każdy kapitan mógł w jednej chwili zmienić żagle, by stać się korsarzem, a niedługo później, już pod swoją zwykłą banderą, wrócić do domu jako uczciwy marynarz.

Ci nowi piraci z początku działali w pojedynkę i atakowali tylko odosobnione jednostki. Nikt nie spodziewał się, że postanowią połączyć siły. Na wielu wyspach nie wiedzano jeszcze nawet o zniszczeniu królewskiej floty i nie podjęto w związku z tym żadnych, choćby podstawowych, środków ostrożności, żeby zabezpieczyć się przed atakiem morskich łupieżców. Porty pozostały otwarte, a miast strzegła jedynie straż nocna, patrolująca ulice w poszukiwaniu pijaków i złodziei. Piraci uderzyli bez ostrzeżenia, splądrowali magazyny w dokach i spalili je, podczas gdy wielu mieszkańców wciąż spało w swych łóżkach. Przebudzili się szczęśliwi, że nie pomordowano ich we śnie. Niemal natychmiast zwrócili się do króla z prośbą o pomoc, ale w odpowiedzi usłyszeli jedynie, że nie ma floty, która mogłaby ich chronić, a łupieżcy najprawdopodobniej nie byli wcale piratami, a Attolijczykami pod fałszywymi banderami.

Sounis zebrał okręty, które mu pozostały, i w odwecie zaatakował jedną z mniejszych attolijskich wysp. Jeszcze więcej miast stanęło w płomieniach. Rozwiały się wszelkie nadzieje na sojusz. Attolia przegrupowała własną flotę, by bronić się przed sounijskim atakiem od strony morza, ale większość

wojsk pozostawiła na przełęczy.

Wycofując się ze wcześniejszych gróźb, Sounis zwrócił się do Eddis, prosząc o drewno do budowy statków. Ambasador Eddis odbył z królem rozmowę na osobności i wyjawiał mu, że królowa wynajęła na jesieni mistrza puszkarstwa i przez zimę przebudowała swoje odlewnie, by miał sztabek żelaza wysyłanych wcześniej na Półwysep, produkować tam działa. Gotowa byłaby zapewnić Sounisowi broń, której ten potrzebował do wyposażenia swych nowych okrętów, ale wyraziła jednocześnie niechęć do sprzedaży dział, które mogłyby zostać użyte przeciw niej. Oczekiwała zatem na gest dobrej woli ze strony Sounisa na dowód, że jego kraj nie sprzymierzy się więcej z Attolią.

W ciągu miesiąca od katastrofy w czasie Festiwalu Flotylli pierwsze wyładowane zbożem wozy zmierzały już do Eddis, by uzupełnić zapasy wyniszczonego wojną kraju, natomiast uszczuplona flota Sounis zdobyła dwie najbardziej narażone na atak attolijskie wyspy. Jej łupem padły Chios i Sera – niewielkie, ale obfitujące w marmur i rzemieślników. Od setek lat stanowiły kość niezgody między Sounis a Attolią i wciąż przechodziły spod kontroli jednego kraju do drugiego. Znalazłszy się znów w ich posiadaniu, Sounis ani myślał wypuszczać ich z rąk, by dzięki temu sprzymierzyć się znów z Attolią.

Natomiast Attolia, której flota nie doznała do tej pory żadnego uszczerbku, przeprowadzała własne ataki. Była skłonna odpuścić Chios i Serę. Istniały inne wyspy o większym znaczeniu strategicznym, więc to ku nim skierowała swą uwagę. Podbiła Capris i prawie udało się jej zdobyć też Anty-Capris, jego sąsiada. Sounis utracił kolejne dwa okręty.

Pod wpływem sugestii medejskiego ambasadora, zaatakowała Cymorene i zabezpieczyła wschodni kraniec wyspy przed napaścią Sounisa. Była to jedna z największych wysp, więc Attolia nie mogła łudzić się, iż uda jej się

opanować górzyste tereny wewnętrzne bez pomocy armii. Większość jej wojsk lądowych wciąż zajęta była forsowaniem przełęczy. Eddis liczyła na to, że rywalka wycofa je, skuszona osłabionymi siłami Sounis, ale Attolia kontynuowała natarcie. Eddis nękała jej żołnierzy, ale nie chciała tracić własnych, będących w końcu jej najcenniejszym zasobem. Nawet Attolia, której populacja nie zdążyła jeszcze w pełni odnowić się po zarazie w poprzednim pokoleniu, dysponowała większą ilością ludzi. Jej armia pięła się nieustępliwie pod górę.

Sounis zaoferował przysłanie własnych wojsk dla wzmocnienia sił Eddis, ale królowa odmówiła. On sam natomiast, tracąc wciąż kolejne wyspy, dopominał się o przyobiecane mu działa. Zamierzał użyć ich do obrony swych terenów, dopóki nie powstaną nowe okręty. Do Eddis przybyły dwa kolejne wozy z zaopatrzeniem, królowa nie miała więc żadnej wymówki, by mu odmówić.

Księżyc już zaszedł, więc korytarze pałacu rozświetlał jedynie blask niewielkich latarni w miejscach, gdzie krzyżowały się poszczególne przejścia. Ciemne, kamienne ściany kiepsko odbijały światło. Podłogi pokrywały cienkie dywany. Królowa Eddis szła powoli, by nie potknąć się o niewidoczne fałdy. Szła powoli, by móc poruszać się możliwie cicho, a także szła powoli, z głową uniesioną wysoko, by nie wyglądało na to, że przekrada się chyłkiem przez własny pałac, co w zasadzie robiła. Chciała porozmawiać prywatnie z Eugenidesem i jego ojcem. Złodziej mógł, swoim tajemniczym sposobem, pojawić się nocą w jej komnacie w odpowiedzi na wiadomość przyniesioną mu wraz z posiłkiem do biblioteki. Jednak jego ojciec musiałby zostać wpuszczony przez przyboczne lub też królowa musiałaby pozostawić swe służki i umówić się z nim w innym miejscu. Wszyscy przystali więc na spotkanie w bibliotece.

Eugenides już na nią czekał. Jego ojca jeszcze nie było.

Eddis zamknęła za sobą drzwi i zwróciła się w jego stronę.

– Zostaliśmy nakryci – powiedziała, uśmiechając się żałośnie. – Miałeś rację, powinnam była poprzestać na wymianie wiadomości, a nie organizować sekretne spotkanie.

– Nie wyglądasz na zaniepokojoną – odpowiedział chłopak. – Kto cię widział?

– Terespides. Wpadłam na niego, zakradając się za róg. Nie mam pojęcia, które z nas było bardziej zaskoczone. Tudzież zażenowane, jeśli już o tym mowa.

– Domyślił się, dokąd zmierzałaś?

– A kogo innego można odwiedzić w tej części pałacu? Wydaje mi się, że wracał z wizyty w mieście.

– A dlaczego niespecjalnie cię to wszystko martwi?

Królowa spojrzała na niego i obdarzyła go czułym uśmiechem. Ostatnimi czasy zrobił się dość bezwzględny, ale wciąż od czasu do czasu zdarzało mu się okazywać niezwykłą naiwność. – Słyszałeś o tym, że łgarz uważa, iż wszyscy inni też kłamią?

– Tak.

– A że złodziej uważa, że wszyscy inni go okradają?

– Kontynuuj. Tylko proszę bez obraźliwych przytyków względem osób parających się moim rzemiosłem.

– No a flirciarz uważa, że wszyscy inni też to robią.

Przez chwilę Eugenides sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Och – wykrztusił wreszcie.

– To byłoby prawie jak kazirodztwo – powiedziała królowa pochylając się, by pocałować go w czoło. – Nie wspominając nawet o różnicy wieku. Dwór będzie miał pożywkę na kilka tygodni, a mam nadzieję, że to i owo dotrze też do Sounisa.

– Wyrosłem już z kołyski, a poza tym tylko ktoś zupełnie szalony uwierzyłby w nasz romans. Aczkolwiek Sounis pewnie uwierzy, kiedy już o tym usłyszy. Biedny, zakochany głupiec.

– Nie kocha się wcale we mnie, ale w moim tronie.

– Może zakochany to nie jest właściwe słowo. Raczej zaślepiony. I to nie tylko dlatego, że chce tronu. Chce ciebie, choć nie jestem pewien, dlaczego.

– Cieszę się, że pozostałeś złodziejem, Genie. Raczej kiepsko radziłbyś sobie w roli dworskiego pochlebcy.

– Prędzej powinno nam być szkoda królewskiego następcy tronu – powiedział Eugenides. – Serce pęknie biednemu Sofosowi na wieść, że kochasz kogoś innego.

Eddis wybuchnęła śmiechem. – Wątpię, by uczucia, jakie żywi względem mnie były aż tak głębokie.

– Nieczęsto spotykałem ludzi równie mocno zakochanych, co królewski bratanek. – Złodziej położył dłoń na sercu dla podkreślenia prawdziwości swych słów.

Eddis usiadła na krześle.

– To Attolia nie powinna wiedzieć, że rozmawiamy, a obawiam się, że od Terespidesa informacja trafi prosto do jej sekretarza archiwum.

– Jakich to rzeczy dowiaduję się o Terespidesie dzisiejszej nocy. Dlaczego po prostu nie wywleczesz go na śnieg i nie zastrzelisz?

Eddis pokręciła głową z poważną miną.

– To w sumie dobry człowiek, a na swój sposób także całkiem wartościowy. Nie przeszkadza mi, że zarabia, sprzedając plotki Attolii. Poza tym to całkiem przydatne móc czasem przekazać błędne informacje do Attolii za jego pośrednictwem. Niemniej jednak nie mogę wezwać go przed mój tron w czasie sesji porannej i powiedzieć „Proszę, zachowaj w tajemnicy, że spotykam się z Eugenidesem pod osłoną nocy”. Prywatnie zresztą też nie

mam na to ochoty.

– Nie chcesz, żeby go kusiło?

– Powiedzmy, że nie chcę polegać na nim, a potem się rozczarować. Na chwilę obecną Terespides nie stanowi dla mnie zmartwienia.

– Są inni szpiegowie, którzy dużo bardziej cię niepokoją?

– Bardziej niż kiedykolwiek – odparła królowa. – Jej armia wycofała się.

– Attolia wycofuje wojska? – Eugenides pochylił się naprzód na swoim krześle.

– Nie „wycofuje”, a „wycofała”. Jak kot wyskakujący z kąpieli. – Eddis pokręciła głową z podziwem.

– Dowiedziała się o działach?

– Musiało tak być. Myślę, że wiedziała o tym, jeszcze zanim powiedzieliśmy Sounisowi. Jeszcze dwa, trzy dni i zainstalowalibyśmy całą baterię, a wtedy moglibyśmy ostrzeliwać jej żołnierzy. Musiała zdawać sobie z tego sprawę od samego początku, tylko miała nadzieję, że uda jej się zdobyć przełęcz zanim umieścimy działa na górze. To był świetnie zaplanowany odwrót i wszystkie jej wojska znalazły się już bezpiecznie poza naszym zasięgiem.

– Jakież szanse, że teraz odpuści? Dzięki nam zyskała dominację na morzu. Zadowolili się odbiciem swoich wysp i przejęciem Mesos oraz Ianatikos?

Królowa pokręciła głową.

– Twój ojciec raczej w to wątpi, a ja się z nim zgadzam. Wyspy zbyt wiele razy przechodziły z jednego imperium do drugiego, by uznawać je za pewną własność. Jeśli pozostaniemy w sojuszu z Sounisem, będzie dopominał się o działa, a jeśli mu je damy, Attolia wkroczy znów na przełęcz. – Eddis westchnęła. – Liczyłam na to, że uda nam się zniszczyć na tyle dużą część jej armii, by to, co zostanie nie wystarczyło do zdobycia

przełączy – choćbym oddała Sounisowi wszystkie odlane w tym roku działa. Sounis naciska bardzo mocno. Chcę porozmawiać o tym z twoim ojcem, ale nie pod okiem całej rady.

Królowa pochyliła się i przyciągnęła krzesło bliżej ognia.

– Równie dobrze możemy przywieźć maga z ukrycia – powiedziała. – Pojedziesz ze mną?

– Konno?

– Jeśli wolisz, możesz podróżować powozem. Ja muszę jechać wierzchem, żeby ludzie mnie widzieli.

Złodziej nie potrafiłby zdobyć się na podobne grubiaństwo, by podróżować w zamkniętym powozie, podczas gdy królowa jechała na zewnątrz. Będzie musiał siedzieć w siodle, a do tego pozwolić na to, by wszyscy dokładnie go sobie obejrzeni.

– Skoro tak chcesz – mruknął i westchnął w duchu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Domek myśliwski stanowił letnią rezydencję władców Eddis. Przypominał kamienny megaron z obszernym, wysokim portykiem wspartym na czterech kolumnach z tą drobną różnicą, że, podobnie jak resztę budowli, wykonano je z drewna. Posiłki przygotowywano w osobnym budynku, by ewentualny pożar nie strawił całej rezydencji. Gotowe jedzenie przynoszono ścieżką, prowadzącą z kuchni do jadalni. Na piętrze znajdowały się niewielkie, ciemne sypialnie z nieprzeszklonymi oknami, wychodzącymi na zarośniętą łąkę i otaczające ją lasy. Zimą zamykano okiennice, a domek stał pusty.

Nie przypominał wprawdzie pałacu bogatszych mieszkańców nizin, ale Eddis kojarzyło się z nim dużo przyjemnych wspomnień. Zsiadła z konia i pokonawszy kilka stopni, znalazła się w portyku. Następnie zbliżyła się do drzwi i weszła do środka. Za nimi rozciągało się atrium ze schodami prowadzącymi na piętro. Złodziej podążył za królową, ale poruszał się dużo wolniej, wciąż jeszcze będąc zeszywniałym od jazdy w siodle.

Eddis stała w atrium i rozmawiała z mężczyzną na balkonie. Usłyszawszy kroki Eugenidesa, odwróciła się.

– Elon mówi, że maga nie ma. Wykopuje chwasty gdzieś na zewnątrz.

– Tak? Jakież konkretne chwasty? – spytał służącego chłopak, lekko odchylając głowę, by móc spojrzeć w jego stronę.

– Nie mogę powiedzieć, by miał jakieś konkretne preferencje. Mamy je tu wszystkie z korzeniami i ziemią, by mógł je narysować. – W tonie głosu mężczyzny pobrzmiwała skarga.

– Nie wiedziałam, że jest botanikiem – szepnęła Eddis do Eugenidesa.

– Ani ja – odparł Złodziej. – Pewnie próbuje stworzyć jakąś nową truciznę z zamiarem użycia jej na nas obojgu. Kiedy wróci? – ostatnie zdanie skierował znów do Elona.

Służący wymownie wzruszył ramionami.

– Tego nie przewidziałam – stwierdziła cierpko królowa – choć nie powinnam była spodziewać się, że będzie tu siedział i narzekał. Trzeba było wyruszyć dzień później, a przodem posłać gońca. Chyba nie chodzi za nim cała kohorta strażników? – pytanie skierowała do dowódcy gwardii, który akurat pojawił się w drzwiach.

Mężczyzna wyjaśnił, że magowi towarzyszy zawsze jeden żołnierz, by mieć pewność, że doradca króla Sounis nie zawędruje z powrotem do ojczyzny. Funkcję tę pełniła codziennie inna osoba, ponieważ włączenie się za magiem nie było wcale godnym pozazdroszczenia zadaniem. Pozostali strażnicy spędzali czas grając w kości albo polując, by kucharz miał co włożyć do garnka.

– Cóż, mam nadzieję, że garnek jest pełny – powiedziała Eddis. – Każ kucharzowi zapakować prowiant i zapasy żywności dla mężczyzn. Wyjeżdżamy zaraz po powrocie maga. – Wysłano trębacza, by dał sygnał do odwrotu. – Królowa zwróciła się znów do służącego. – Lepiej spakuj jego rzeczy.

Elon skinął głową.

– A co z chwastami? – zapytał.

– Myślę, że raczej je tu zostawimy. Pokażemy mu ładniejsze, gdy zatrzymamy się na posiłek.

Gdy mag pojawił się wreszcie w towarzystwie strażnika o obolałych nogach, Eddis zapytała go, czy życzy sobie, by opóźnić wyjazd, dając mu czas na odpoczynek.

– Nie możemy nadwerężyć sił dżentelmena w pańskim wieku – dodała, nieco się z nim drocząc.

– Wydaje mi się, że nie brak mi sił, by być do twojej dyspozycji, Wasza Wysokość – odparł z powagą mag. – Poza tym, że istotnie jestem już stary i słabowity.

Cieszył się tylko odrobinę większą reputacją jako uczony niż jako żołnierz, więc otaczający go uzbrojeni mężczyźni nie mieli go za starego ani słabego i obserwowali czujnie. Ostatecznie przebywał w obecności ich królowej – nic porozumienia, jaka nawiązała się między nimi w czasie pobytu maga w letniej rezydencji póki co zniknęła.

Cała grupka, na czele z królową, ruszyła przez przybrzeżne wzgórza. Zjechali z drogi i przemierzili spadzistą łąkę, aż znaleźli się na skraju niewielkiej doliny, będącej w zasadzie zaledwie płytkim zagłębieniem między dwoma pagórkami.

– Myślę, że zatrzymamy się tu na piknik – oznajmiła władczyni. – Mag, Eugenides i ja zjemy na polanie.

Całą dolinę gęstym dywanem pokrywał bluszcz. Kilka ostatnich drzew zostało przez niego całkowicie pochłoniętych. Martwe gałęzie wystawały tu i ówdzie spośród bujnej zieloności pnącego dusiciela. Wąska ścieżka prowadziła ku małej polanie porośniętej trawą. Było tam dość miejsca, by pomieścić trójkę osób, ale bez wierzchowców.

– Wasza Wysokość, proszę – zwrócił się do niej dowódca straży. W jego głosie pobrzmiwała błagalna nuta. Królowa tylko się uśmiechnęła.

– Jestem przekonana, że znajdziecie sobie dogodne miejsce na skraju doliny – powiedziała. Mężczyzna westchnął i skłonił głowę, zmuszony, rad nierad, przystać na jej warunki.

– Jak sobie życzysz, pani.

Mag przyniósł torbę z posiłkiem na polanę, która okazała się pokryta nie

dywanem trawy a mchem. Miejscami wyglądały spod niego kamienie bruku. Maleńka przestrzeń, gęsto okolona bluszczem, musiała stanowić kiedyś taras lub przedni dziedziniec budowli. Położywszy torbę na ziemi, mag postanowił przyjrzeć się dokładniej pnączom. Miały gładkie łodygi i ciemne, matowe liście. Każdy z jaskrawoczerwonych kwiatów miał po pięć cienkich niczym bibuła płatków, zwiniętych wokół słupka i pręcików.

– Nie zrywaj ich – ostrzegła go królowa. – Tutaj uważa się je za roślinę poświęconą pamięci Hespiry, choć wszędzie indziej wrywa się je jako chwasty.

Mag wyprostował się.

– Hespiry? – spytał, zaskoczony. – Nie słyszałem o Hespirze. Czy to bogini, dla której wzniesiono tę świątynię? – Dostrzegł bowiem pod pnączami ruiny roztrzaskanej budowli.

Eddis pokręciła głową. Eugenides położył się na plecach i zamknął oczy.

– Bluszcz, który zniszczył świątynię, zasadziła matka Hespiry – wyjaśniła królowa.

– To rywalizująca bogini? – spytał mag.

– Śmiertelniczka. – Władczyni usiadła na mchu i otworzyła torbę.

– Bogini Meridyta porwała jej córkę.

– Czy może opowiada o tym jakaś historia? – O tak. Mag spojrzał na Eugenidesa, który na chwilę otworzył oczy i rzucił:

– Nie patrz na mnie, zakończyłem już karierę bazarza.

– Eugenidesie, usiądź i coś zjedz. I przestań się złościć – zwróciła się do Złodzieja Eddis.

– Ja się złoszczę?

– Owszem. Magu, nie siadaj tam, usiądź tutaj. – Królowa wskazała mu miejsce na mchu. Mężczyzna nie widział wprawdzie żadnej różnicy między wskazanym a wybranym przez siebie miejscem, ale posłuchał.

– Chodzi o to, żeby dowódca miał cię na linii strzału – wyjaśnił Eugenides z nutką złości w głosie. Wciąż leżał na ziemi z zamkniętymi oczami. Mag spojrział w stronę skraju doliny i zobaczył dowódcę oraz kilku jego żołnierzy z nogami wbitymi w ziemię i kuszami wymierzonymi prosto w niego. Dwóch innych okrężyło kotlinkę, by mieć go na oku także z daleka. Mag skierował znów wzrok na Złodzieja. Ten nie musiał otwierać oczu, by wiedzieć, gdzie znajdują się strażnicy.

– Zależało mi tylko na tym, by dowódca się nie martwił – odezwała się spokojnie Eddis. – Strasznie by się denerwował, gdybym znalazła się pomiędzy nim a magiem. – Królowa również nie musiała zwracać oczu ku wzgórzom.

– A co z faktem, że to mag mógłby się denerwować? – spytał Eugenides. Władczyni przerwała rozpakowywanie torby i spojrzała na swego gościa.

– Nie bój się – uspokoiła go. – Są jedynie ostrożni. Nie zależy im na rozlewie krwi.

– Zawsze to jakiś sposób, żeby udowodnić swoją lojalność względem twojego króla – mruknął Złodziej.

– Jednakowoż zgubny – zauważył mag.

– To prawda, ale nie mogą ryzykować. Może byłbyś na to gotowy, byleby oczyścić swoje imię. Czyżbyś nie zauważył tych dyskretnych negocjacji, jakie miały miejsce na skraju doliny? Dowódca wcale nie chciał zostać w tyle. Nie chciał pozwolić ci na przebywanie sam na sam z królową.

Mag słyszał wprawdzie tę wymianę zdań, ale jej nie zrozumiał. Wytknął więc fakt, który wydawał mu się oczywisty:

– Ale przecież nie zostałam sam na sam. – Eugenides leżał na mchu w odległości mniejszej niż długość męskiego ramienia.

– Równie dobrze mógłbyś. Nikt nie uznałby mnie za godnego przeciwnika dla takiego żołnierza jak ty – skwitował chłopak. Nie powiedział

głośno, że nie uważał się już za godnego przeciwnika dla kogokolwiek. W jego głosie przebijała pewna oschłość ocierająca się prawie o rozgoryczenie.

Wyjaśnienia podjęła się królowa. Mówiła cicho, ale jej słowa brzmiały dość ostro.

– Przez całe swoje życie Eugenides robił wszystko, by uchodzić za osobę stroniącą od walki, więc ludzie tak właśnie go postrzegają. Musi zbierać to, co zasiał, ale czasem owoce własnej pracy są dla niego zbyt kwaśne. Siadaj i jedz – ostatnie zdanie skierowała do Złodzieja i tym razem jej posłuchał.

Posiłał się przy użyciu lewej ręki. Prawą z zamontowanym hakiem trzymał na kolanach.

– Kiedy korzystasz z haka, a kiedy ze sztucznej dłoni? – zapytał mag z bezpośredniością, która zaskoczyła królową.

– Dłoń mniej rzuca się w oczy – odparł Eugenides bez krztyny urazy w głosie. – Jednak hak przydaje się do wielu rzeczy, a dłoń do niczego. Tak więc balansuję pomiędzy zaspokajaniem próżności a funkcjonalnością.

– A kiedy przestaniesz balansować, to gdzie cię to zaprowadzi?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Do zakładu dla obłąkanych... albo może do ładnego domku na przedmieściach i ksiązek.

Magowi przyszło na myśl, że pobrzmiewająca w jego głosie obojętność maskuje tak naprawdę coś paskudnego, tak jak liście mogą maskować wilcze doły. Nie zamierzał ryzykować, że w nie wpadnie, więc postanowił zmienić temat.

– Opowiesz mi historię o Hespirze? – zapytał Eddis.

Królowa spojrzała na słońce.

– Mogę to zrobić, jeśli chcesz. Mamy czas. Eugenidesie, jeśli zamierzasz znów się położyć, oprzyj mi głowę na kolanach.

Mag uniósł brwi. Władczyni zauważyła, że obie powędrowały do góry w

tym samym czasie. Ostatnimi czasy, kiedy coś go rozbawiło, Eugenides zwykł unosić jedną, a królowa zastanawiała się, kogo zaczął naśladować. Złodziej tymczasem położył jej głowę na kolanach. Eddis w zadumie próbowała wygładzić zmarszczki na jego czole. Miała świadomość, że maga zastanawia jego zły humor.

– Wysyłamy wiadomość królowej Attolii – wyjaśniła mu, nie odrywając jednak wzroku od Eugenidesa. – Moi gwardziści zauważą, że bardzo zbliżyłam się do mojego Złodzieja i zaczną się plotki. Plotki dotrą do uszu attolijskich szpiegów, którzy z kolei poinformują o tym Reliusa, swego mistrza, a on przekaże wieści Attolii.

– Sekretarza archiwum – mruknął mag.

– Hmm? – spytała królowa.

– Sekretarza archiwum, Reliusa. Określenie mistrz szpiegów jest takie...

– Trafne?

– Zbyt bezpośrednio.

Eddis wybuchnęła śmiechem.

– Czyli Attolia nie miała pojęcia o działalności Eugenidesa? – zapytał mag.

– Podobnie jak Sounis – odpowiedziała królowa. – Przynajmniej do tej pory.

– A co się stało, że sytuacja uległa zmianie, jeśli mogę spytać? Pobyt w domku myśliwskim był dla mnie niesamowicie odprężający, ale nie miałem dostępu do najświeższych wieści.

– Tak, nie miałam pojęcia, że interesujesz się botaniką – powiedziała Eddis.

– Niespecjalnie, ale mój przyjaciel owszem. Nie jest z nim na tyle dobrze, by sam mógł podróżować, prosi więc swych znajomych, by przysyłali mu próbki i rysunki. A jak przebiega wojna? – Mężczyzna nie

chciał dopuścić, by rozmowa przerodziła się w naukową dysputę.

Królowa uśmiechnęła się.

– Zdradzony przez Attolię, Sounis wspaniałomyślnie zdjął z nas ciężar jej embarga. Otrzymaliśmy kilka dostaw zboża i innych artykułów pierwszej potrzeby w zamian za obietnicę dostarczenia mu dział, których, stwierdzam to z żalem, nie będziemy w stanie mu przekazać.

– Czyli wojna na dwóch frontach zamieni się w wojnę na trzech?

– Raczej wojna, którą byśmy przegrali, zamieni się w wojnę, którą możemy przetrwać.

– Dlaczego nie sprzymierzysz się z Sounisem przeciwko Attoli, biorąc tym samym udział w wojnie, którą możecie wygrać? – zapytał mag.

– Ponieważ jako mój sojusznik, Sounis chciałby przeprowadzić swoje wojska przez Eddis, a dopóki rządę, nigdy na to nie pozwolę, – odparła Eddis z przekonaniem.

– Rozumiem. A na czas tej wojny...? – zawiesił głos.

– Pozostaniesz więźniem Eddis. Przykro mi. Dołożymy wszelkich starań, by niczego ci nie brakowało.

Mag uprzejmie skinął jej głową.

– Bogini Meridyta miała syna z kowalem. Słyszałeś o niej?

– Tak – odparł mężczyzna.

– Dobrze – skwitowała królowa i zaczęła snuć opowieść.

Bogini Meridyta miała syna z kowalem. Był to dość niezwykły związek, więc niektórzy mawiali, iż podstępem skłonili ją do niego inni bogowie. Niezależnie jednak od tego, co Meridyta myślała o ojcu dziecka, wydawała się darzyć uczuciem swego syna. Nosił on imię Horreon, a matka czuwała nad nim, gdy dorastał. Kowal nie miał żony, więc mieszkał samotnie wraz z synem, a bogini odwiedzała ich co jakiś czas, obserwując, jak chłopiec staje się młodym mężczyzną. Od najmłodszych lat pracował u boku ojca, ucząc się

jego fachu. Miał do tego dar, niewątpliwie pochodzący od matki. Wszystko, co wychodziło spod jego ręki było najwyższej próby. Za młodu wykuwał podkowy lżejsze i trwalsze niż ktokolwiek inny. Nikt inny nie robił równie ostrych kling, a jego miecze nigdy się nie łamały.

Jego ojciec zawsze był dość gburowatym mężczyzną, ale z zazdrości o syna stał się jeszcze gorszy. Wreszcie Horreon zdecydował się porzucić kowalstwo i został płatnerzem. Zbudował kuźnię głęboko w jaskiniach Świętej Góry Hefestii. Korzystał z żaru jej ognia by rozgrzewać metal, a przykuty łańcuchem potwór napędzał miechy podsycające płomienie. Mawiano, że cienie zmierzające w zaświaty lub wzywane ofiarą z powrotem do świata żywych, przez spragnionych ich prorocstw, zatrzymywały się, by z nim porozmawiać.

Choć służyły mu pomniejsze duchy góry, nie mógł liczyć na ludzkie towarzystwo, chyba że w bardzo niewielkim stopniu. Wierzono, że jego zbroje chronią noszącego przed wszelkimi atakami, ale tylko najodważniejsi zapuszczali się w głąb jaskiń po jego wyroby, a takich nie było zbyt wielu. Osoby gotowe zdobyć się na to potrzebowały ponadto przewodnika, ducha albo cienia, by trafić do kuźni Horreona.

Pewnego dnia, gdy zawitała doń matka, zastała go samotnego i przygnębionego. Horreon odesłał pomniejsze duchy i siedział przy kuźni, bezmyślnie uderzając swym młotem i obserwując wyskakujące spod niego iskry. Bogini spytała go, co go trapi, gotowa to naprawić, na co młodzieniec odpowiedział jej, że pragnie żony. Jego matka stwierdziła natomiast, że przecież mógłby wybrać sobie, jaką tylko zechce.

Ale która zechce jego? – zapytał Horreon. Bogini obrzuciła go spojrzeniem – miał rację. Nie był zbyt atrakcyjny, podobnie jak jego ojciec. Był niski, a jego ramiona i ręce nabrały muskulatury od ciężkiej pracy. Brwi miał nisko osadzone, a gdy marszczył czoło, wpatrując się w ogień, niemal

stykały się ze sobą. Kiedy towarzyszył ojcu, będąc jeszcze dzieckiem, jego ciało oszpeciły bliznami iskry sypiące się z kowadła. Tam, gdzie do ran dostała się sadza, szramy nabrały czarnego koloru. Jego twarz, a także ręce i ramiona wyglądały niczym pokryte śladami po ospie. Mieszkał w ciemnościach, żeby jego oczy potrafiły odróżnić różne odcienie rozgrzanego metalu. Która kobieta zgodzi się żyć u jego boku?

Co za różnica, czy zgodzi się, czy nie? – zapytała jego matka. Żona, którą on sobie wybierze, będzie musiała go poślubić. Meridyta była w końcu boginią, więc dopilnuje, by życzenie syna zostało spełnione.

On jednak pragnął żony, która go zechce. Nie miał serca zmuszać do tego kobiety. Meridyta pocałowała syna w czarne czoło i odeszła.

Przez jakiś czas szukała panny pięknej, dobrze wychowanej i gotowej zamieszkać w ciemnej jaskini, ale takiej nie znalazła. Potem przypomniała sobie, że ładna buzia nie jest najlepszym wyznacznikiem uległej żony, więc zaczęła przyglądać się brzydkim dziewczętom, ale i wśród nich żadna nie chciała poślubić pobliźnionego mężczyzny, który pracował pośród mroku z duchami i potworami. Żaden ojciec nie chciał wydać córki za kogoś takiego, więc Meridyta zwróciła się znów ku tym pięknym, jednak tym razem szukała tylko tych, które nie miały ojców mogących je chronić. Najładniejszą spośród nich była córka Callii, wdowy i kapłanki Proasa. Słyszałeś o Proasie? Zgadza się, to bóg zieleni i wszelkich roślin.

Pewnego dnia bogini zauważyła dziewczynę, gdy ta wracała ze świątyni Proasa do domu. Meridyta pojawiła się więc na zakręcie drogi i zawołała do niej. Panna odwróciła się, a bogini obrzuciła ją uważnym spojrzeniem, jednak nie dostrzegła żadnej wady, która czyniłaby z niej nieodpowiednią kandydatkę na żonę. Ujęła dziewczynę za ręce i zapytała:

– Moja piękna, czy umiesz śpiewać?

– Tak, Bogini – odpowiedziała Hespira.

Meridyta zezłościła się nieco, że dziewczyna bez trudu zorientowała się, iż ma do czynienia z nieśmiertelną.

– Wiesz, kim jestem?

– Tak, Bogini.

– A więc wiesz też, że mam syna?

– Tak, Bogini. – Hespira zdawała sobie sprawę, że Meridyta ma całe mnóstwo potomków, czekała więc, by dowiedzieć się, którego konkretnie miała na myśli. Była cierpliwa. Dar ten posiadli wszyscy wyznawcy Proasa, a ona niewątpliwie nauczyła się tego od matki. Była też sprytna. Gdyby bogini nie patrzyła tylko na jej urodę, na pewno by to zauważyła, ale niespecjalnie ją to obchodziło.

– Horreon jest bardzo chory i najpewniej wkrótce umrze – dodała Meridyta, wzdychając.

– Przykro mi – powiedziała Hespira, choć bogini nie wydawała się zbytnio zmartwiona. Meridyta natomiast uznała, że będzie wydawało się mało prawdopodobne, iż szuka żony dla swego syna, jeśli powie, że stoi on u progu śmierci.

– Poprosił mnie, żebym znalazła kogoś, kto mu zaśpiewa – wyjaśniła. – Pójdiesz ze mną?

Nie odmawia się bogini. Hespira zgodziła się zatem, ale poprosiła o możliwość wysłania wiadomości matce. Meridyta przystała na to i przywołała gołębia, który miał zanieść liścik, ale gdy tylko ptak zniknął im z oczu, padł martwy, nie dostarczywszy go.

– Chodź najpierw do mej świątyni – powiedziała bogini, po czym poczęstowała dziewczynę jedzeniem, ta jednak odmówiła. Meridyta nadąsała się, więc Hespira przyjęła od niej napój, ale gdy bogini nie patrzyła, wylała zawartość naczynia do niesionego przez siebie koszyka. Zadowolona Meridyta poprowadziła dziewczynę w głąb góry, przez labirynt pogrążonych

w całkowitym mroku jaskiń. Hespira bardzo się bała. Nie spodziewała się, że zagubi się w takim miejscu. Zaczęła zastanawiać się, czy matka jej szuka.

Jej matka natomiast czekała aż do wieczora, a gdy słońce zaczęło znikać za horyzontem, udała się drogą w kierunku świątyni, nawołując córkę po imieniu. Gdy nie przyniosło to żadnego rezultatu, zaczęła chodzić od drzwi do drzwi, wypytując, czy ktoś ją widział, jednak wszyscy kręcili przecząco głowami.

Meridyta, przekonana, że napój, który podała dziewczynie sprawi, że ta zakocha się w Horreonie od pierwszego wejrzenia, przestała udawać, że jej syn jest chory. Zależało mu na żonie, która go zechce, więc zamierzała sprawić, że tak właśnie się stanie. Bogini uśmiechnęła się pośród mroku, zadowolona z daru, jaki mu przynosiła.

Zaprowadziła dziewczynę na skraj jaskini, w której znajdowała się kuźnia i zostawiła ją tam. Pozostawiona sama w ciemności, Hespira zatrzymała się u wejścia i wbiła wzrok w przestrzeń przed sobą. W jaskini nie było sług. Nie było też duchów, ogień nie huczał, a przykuty łańcuchem potwór spał zwinięty w kłębek u stóp Horreona. On sam siedział na kamieniach kuźni. W blasku niewielkich płomieni mężczyzna kuł rozgrzany kawałek metalu. Wraz z każdym uderzeniem jego młota, sypał się snop iskier. Świecąc własnym światłem, tańczyły przed kuźnią, wirowały i opadały w dół niczym tancerki na festiwalu.

– Jakie piękne – dobiegł od strony wejścia głos Hespiry, a Horreon uniósł wzrok, zaskoczony.

– Jeśli nie masz żadnego światła, przebyłaś bardzo długą drogę w ciemności – powiedział. – Jesteś cieniem?

– Nie, żywą dziewczyną. – Hespira postąpiła kilka kroków naprzód, ostrożnie stawiając stopy na nierównym podłożu.

Na dźwięk jej głosu, przebudził się śpiący przy kuźni potwór, który

podkradł się do niej, z brzękiem ciągnąc za sobą łańcuch. Był cały czarny, a wielkością dorównywał dużemu psu. Miał skórzaste skrzydła, które szurały po podłodze, a jego pazury zgrzytały na kamieniach. Hespira zawahała się. Horreon nie cieszyłby się chyba dobrą sławą jako płatnerz, gdyby wszyscy jego klienci byli pożerani przez potwora. Dziewczyna odważnie wyciągnęła dłoń, jak zrobiłaby w przypadku nieznanego psa, a stwór o skrzydłach nietoperza wyciągnął szyję i rozdwojonym językiem musnął dwukrotnie jej skórę. Potem odwrócił się, podreptał w stronę kuźni i znów się położył. Horreon nie odrywał wzroku od dziewczyny.

– Szukasz zbroi dla kochanka albo brata? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Hespira. – Przyprowadziła mnie tu twoja matka.

Horreon nachmurzył się nagle i zmarszczył brwi, a dziewczyna struchlała ze strachu.

– Dlaczego to zrobiła? – dopytywał mężczyzna.

– Powiedziała, że prosisz o kogoś, kto ci zaśpiewa.

Horreon wciąż spoglądał na nią podejrzliwie, ale już nie spode łba.

– A więc śpiewaj – burknął.

Hespira stanęła na środku pomieszczenia. Po chwili otworzyła usta i zaśpiewała dziecięcą piosenkę o chłopcu, który był niegrzeczny i nic nie dostał oraz drugim, grzecznym, który dostał wiele.

Horreon chrząknął.

– Wybacz mi moją nieuprzejmość – powiedział.

– Być może tak się stanie – odparła dziewczyna.

Mężczyzna obrzucił ją wzrokiem, zmuszony zmienić swą ocenę jej osoby.

– A kiedy? – zapytał.

– Kiedy dostanę krzesło, na którym będę mogła usiąść i poduszkę – padła odpowiedź Hespiry. – A także trochę światła, żebym mogła zobaczyć,

z kim rozmawiam.

Horreon wybuchnął śmiechem. Dźwięk rozbrzmiał łoskotem w jego piersi, dlatego dziewczyna z początku nie zorientowała się, co to takiego. Płatnerz wstał, skłonił się i podał jej ramię. Razem opuścili jaskinię i skierowali się ku schodom prowadzącym do drzwi, za którymi znajdowało się oświetlone lampami pomieszczenie z jednym, jedynym krzesłem.

– Nie ma poduszki – zauważyła Hespira.

Horreon wytknął głowę na zewnątrz i ryknął głosem, który wydawał się zdolny kruszyć kamienne ściany:

– Poduszkę! – Chwilę później wyciągnął rękę i wrócił do środka, niosąc haftowaną poduszkę. Zamknął drzwi, jednak zauważywszy pełne wyrzutu spojrzenie Hespiry, wyjrzał znów na korytarz i podziękował czekającemu tam komuś lub czemuś. Potem położył poduszkę na oparciu krzesła i podsunął je Hespirze. Dziewczyna usiadła, a Horreon zajął miejsce u jej stóp. Oboje uśmiechnęli się do siebie.

Pomimo poszukiwań, Callia nie natrafiła na żaden ślad córki. Wreszcie udała się do świątyni swego boga, złożyła ofiarę i zaczęła błagać go, by powiedział jej, co stało się z Hespirą. Proas kazał jej udać się do lasu i tam oczekiwać odpowiedzi. Kobieta ujrzała tam wyginające się drzewa, których gałęzie pochylały się i wyciągały niczym dłonie przekazujące sobie jakiś przedmiot, aż w końcu u jej stóp upadł martwy gołąb. Callia przykucnęła i odwiązała liścik przymocowany do jego nóżki. Wiedziała już, gdzie znalazła się jej córka. Pograżyła się więc w labiryncie jaskiń w Górze Hefestii i przeszukiwała jedną po drugiej, próbując znaleźć kuźnię Horreona, ale śmiertelnicy nie są w stanie trafić tam bez przewodnika, a ona żadnego nie miała. Wędrowała więc pośród mroku z małą latarnią, wołając córkę po imieniu. Słyszała jej śpiew, dochodzący gdzieś z ciemności, ale nie potrafiła określić, skąd dochodził. Natomiast do uszu Hespiry, przebywającej w

pomieszczeniu wraz z Horreonem, nie docierały jej nawoływania. Mężczyzna jednak je usłyszał i na chwilę zamilkł. Wtedy dziewczyna zapytała go, co się stało.

– Nic – odparł mężczyzna. Nie potrafiłby już rozstać się z Hespirą, niezależnie od wszystkiego. Niechętnie wysłał więc cienie, by przepędziły z jaskiń jej matkę. Przerazona kobieta uciekła. Znalazłszy się znów na powierzchni, upadła na ziemię w świetle księżyca i załkała nad utraconym dzieckiem. Wreszcie wróciła znów do świątyni swego boga i złożyła kolejną ofiarę, tym razem błagając go, by przywrócił jej córkę, jednak on odmówił, wyjaśniając, że bogowie nie sprzecząją się ze sobą o sprawy śmiertelników. Odpowiedź ta wprowadzie w żaden sposób nie pomogła kobiecie, ale też nie spodziewała się ona żadnej innej. Wytknęła więc, że nie jest zwykłą śmiertelniczką, a jego kapłanką, więc należy jej się jego ochrona. Proas natomiast przypomniał jej, że jako jego kapłanka otrzymała dary, które może wykorzystać, by samodzielnie poradzić sobie z problemem.

Matka Hespiry opuściła świątynię i czekała całą długą i mroźną zimę. Tymczasem Horreon i Hespira byli razem szczęśliwi pośród panującego w jaskini półmroku. Dziewczyna nie była świadoma upływu czasu, zdawało jej się, że w pokoju przy kuźni spędziła zaledwie jeden wieczór, ale Horreon doskonale wiedział, jak było naprawdę. Z obawy ukrywał to jednak przed Hespirą. Pokochał ją jak nigdy nikogo w całym swoim życiu. Jego ojciec był zimny i zazdrosny o syna. Matka od czasu do czasu spełniała jego zachcianki, ale po za tym rzadko ją widywał. Znał jedynie swój fach, kolory rozgrzanego metalu i niewiele więcej. Teraz pragnął jedynie Hespiry i nikogo ani niczego poza nią.

Dziewczyna opowiadała mu o świecie, o królach i królowych, ale i o swoich sąsiadach, kłócących się o zaginione kurczaki albo znikające z ogrodu melony. Każdą z tych historii mężczyzna chłonał niczym światło słońca.

Czasami Hespira śpiewała mu piosenki, a on słuchał ich z zadowoleniem.

Gdy nadeszła wiosna, matka dziewczyny owinęła głowę szalem i uginając się pod ciężarem tacy z sadzonkami, przyszła do świątyni Meridyty, tu, w tej dolinie. Ze wszystkich innych bogini lubiła najbardziej właśnie tę budowlę o wdzięcznych proporcjach, osłoniętą przed wiatrem i z przednim dziedzińcem okolonym przez ogród niemal równie piękny, co te otaczające świątynię Proasa. Callia podała się za wyznawczynię Meridyty, która ku jej czci chciałyby zasadzić nowe rośliny w ogrodzie. Kobieta umieściła sadzonki w ziemi wokół podstawy świątyni. Były to pierwsze z pnączy, które rosną tu po dziś dzień. Pielęgnowała je przez całą jesień i zimę, przelewając na nie dar Proasa. Po zasadzeniu zaczęły więc rosnać bardzo szybko, czepiając się maleńkimi korzonkami ścian świątyni, wsuwając je między kamienie i krusząc przy tym zaprawę. Kiedy Meridyta zdała sobie sprawę z ich niszczycielskiej siły, kazała swym kapłanom wyrwać bluszcz, oni jednak nie potrafili tego zrobić, a roślina pięła się coraz wyżej i wyżej. Wkrótce zaczęły odpadać kamienie okładzinowe, więc bogini postanowiła samodzielnie rozprawić się z pnączami, jednak okazało się, że nie potrafiła przewyciężyć daru Proasa.

Rozdrażniona udała się do boga i zażądała, by usunął rośliny, ten jednak odmówił. Wyjaśnił jej, że to nie on zasadził bluszcz porastający jej ulubioną świątynię i poradził, że jeśli Meridyta chce rozwiązać ten problem, musi odnaleźć jego przyczynę. Bogini odszukała więc kapłankę Proasa i nakazała jej usunąć pnącza, lecz kobieta odparła, że te umrą dopiero wtedy, gdy wróci do niej córka.

Meridyte zaskoczyła jej reakcja. Śmiertelnicy nie rzucają wyzwania bogom. Tylko jeden z nich ośmielił się na coś takiego, a jego bezczelność doprowadziła go do obłędu.

– Twoja córka? – Bogini nie miała pojęcia, o kim mowa.

– Hespira.

Meridyta aż otworzyła usta ze zdziwienia.

– Ta urocza dziewczyna – przypomniała sobie. – Wiesz, jest teraz bardzo szczęśliwa – powiedziała, mając nadzieję, że uda jej się udobruchać kobietę.

– W takim razie mam nadzieję, że i ty będziesz szczęśliwa, widząc ruiny swej świątyni – odparła kapłanka i odwróciła się, by wyjść.

– Och – mruknęła Meridyta. Kochała swojego syna, ale na świątyni zależało jej o wiele bardziej.

– Chodź, przeklęta kobieto – powiedziała. – Pójdziemy po nią razem. – I bogini wraz z matką dziewczyny zagłębiły się w jaskinie Góry Hefestii.

Horreon siedział na stołku w kręgu światła rzucanego przez lampę, słuchając śpiewu Hespiry. Piosenka dziewczyny opowiadała o wiosennym deszczu i zieleniącej się trawie. Mężczyzna pochylił głowę.

– Tęskniłabyś za deszczem? – zapytał ściszym głosem.

– Tak – odpowiedziała Hespira.

– A za słońcem?

– Też. – Opuściłabyś mnie, by wrócić do słońca i deszczu? – Nie, zostałabym z tobą. Horreon pochwycił ją w objęcia. Dziewczyna oparła mu głowę na ramieniu, a on otulił ją swą wielką dłonią niczym matka tuląca niemowlę. Wiedział, że nie może jej tu zatrzymać.

– Sprowadziła cię tu moja matka – powiedział.

– Ale była to moja decyzja – zaprotestowała Hespira.

– Przyszłaś tu prosto z domu, czy zabrała cię najpierw do swej świątyni?

– Zabrała mnie najpierw do swej świątyni.

– Jadłaś tam coś?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się skrycie na myśl, że miał ją za tak głupią, by miała jeść cokolwiek podsunętego jej przez jego matkę.

Horreon nie zapytał, czy coś piła. Bał się, że nie zniósłby odpowiedzi i wcale nie chciał jej znać.

– Chodź – powiedział i poprowadził Hespirę przez kolejne jaskinie aż do tej, która wychodziła na zbocze góry.

Tam napotkali boginię i matkę dziewczyny. Callia podbiegła do córki i wzięła ją w ramiona. Horreon odwrócił wzrok. Próbował puścić rękę ukochanej, lecz ona mu na to nie pozwoliła.

– Martwiłaś się o mnie? – zapytała matki.

– Nie było cię przez cały rok.

– Przecież minął zaledwie jeden wieczór – zaprotestowała Hespira. Spojrzała na Horreona, a ten wbił zawstydzony wzrok w ziemię.

– Tak blisko Świętej Góry czas wzbiera i ustępuje. Jeśli tylko zechcesz, prąd może w mgnieniu oka ponieść cię naprzód o rok.

– A ty zechciałeś? – spytała oskarżycielskim tonem dziewczyna. Horreon kiwnął głową. Zamierzał ponieść ją i o sto lat, by już na zawsze oddzielić ją od matki, ale zmienił zdanie.

– Nie odpowiada ci? – zapytała Meridyta. Po raz pierwszy przyjrawszy się dziewczynie dokładnie, zrozumiała, że była ona nie tylko piękna, ale i sprytna. A komu potrzebna sprytna żona? – Całe szczęście, że matka chce ją z powrotem.

– Odpowiada aż za bardzo – powiedział Horreon, a bogini zorientowała się z zaskoczeniem, że był zły i to zły na nią.

– Ale przecież chciałeś ją odprawić.

– Chciałem zwrócić jej wolność. – Mężczyzna chciał wrócić do swej jaskini, ale Hespira nie puściła jego dłoni.

– W takim razie zatrzymają ją, jeśli ci odpowiada – warknęła Meridyta. – Co znaczy dla mnie jedna świątynia? Nie szkodzi, że to moja ulubiona, poradzę sobie bez niej.

– Chciałem kobiety, która zechce być moją żoną – odpalił jej Horreon.

– I ja zechciałam – wtrąciła Hespira.

– Widzisz? – powiedziała bogini.

– Nie jadła niczego w twojej świątyni, Matko. A co piła?

Meridyta oblała się rumieńcem, jak potrafią tylko boginie.

– Nic – odparła mu Hespira, ciągnąc go za rękę, aż wreszcie odwrócił się w jej stronę. – Nic – zapewniła go. – Wylałam wszystko do swojego koszyka.

– O proszę – skwitowała Meridyta – rzeczywiście jesteś sprytna. Horreon tylko stał bez słowa, mrugając oczami niczym sowa w świetle dnia.

– Zechciałam – powtórzyła dziewczyna i tym razem jej uwierzył. Tak więc Hespira opuściła matkę i zamieszkała wraz z nim w jaskiniach pod Świętą Górą, a pnącza zasadzone przez Callię zarosły świątynię Meridyty. Gdy od czasu do czasu dziewczyna wychodziła na powierzchnię, by odwiedzić matkę, rośliny przestawały rosnać, lecz gdy wracała do męża pięły się nieprzerwanie, aż wreszcie skruszyły całą zaprawę i świątynia runęła. Z czasem została po niej tylko sterta gruzów, pokrytych zielonymi liśćmi i czerwonymi kwiatami.

Jeśli zaś chodzi o Hespirę i Horreona, to choć oboje byli śmiertelnikami, kto wie, jak płynie czas na obrzeżach Świętej Góry Hefestii? Wielu ludzi wierzy, że oboje wciąż żyją, a górnicy twierdzą, że pośród stukotu kilofów słyszą głos śpiewającej mężowi dziewczyny.

Kiedy opowieść dobiegła końca, mag milczał przez dłuższą chwilę. Spoglądał na Eddis z nowym podziwem. Królowa siedziała ze skrzyżowanymi nogami, otoczona otwartymi zawiniątkami z jedzeniem. Sprawiała wrażenie dość odprężonej, choć jednocześnie nieco zakłopotanej jego pełnym zachwytem wzrokiem.

– A co z matką Hespiry? – zapytał wreszcie. – Czy tęskniła za córką?

– Och, ostatecznie się przyzwyczaiła – odpowiedziała Eddis. – Jak każda

matka.

– Albo postradała zmysły, błakając się bez końca po jaskiniach we wnętrzu góry i wołając córkę po imieniu. To właśnie słyszą górnicy – wtrącił Eugenides, nie otwierając oczu.

– Cóż, historię można opowiadać na wiele różnych sposobów – przyznała królowa.

– Nie miałem pojęcia, że bazarz może włożyć w opowieść tak wiele z siebie – powiedział mag. Przywykł raczej do suchych relacji naukowych, w których brakowało osoby opowiadającej, która może kształtować i zmieniać słowa tak, by pasowały do określonej grupy odbiorców albo danego światopoglądu. Miał okazję słyszeć, jak opowiada Eugenides, ale nie zdawał sobie sprawy z faktu, że za każdym razem interpretacja Złodzieja była czymś więcej niż tylko jego własną wersją.

– No dalej – zachęcił go chłopak, wciąż nie otwierając oczu. – Powiedz mojej królowej, że zubożyła stare mity stworzone przed wiekami przez wielkich bazarzy.

– Nie śmiałybym – odparł mag, kręcąc głową.

– Chyba tego typu historie opowiadane są wszędzie? – zapytała królowa.
– Jako dziecko musiałeś słyszeć jakieś od swej niańki.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Eugenides lekko szturchnął Eddis łokciem. Wiedział, że mag został wychowany przez obcych ludzi, gdy jego rodzinę zabiła zaraza. W bardzo młodym wieku i na własne życzenie podjął praktyki u pewnego uczonego w mieście, a gdy zdobyta wiedza nie zaprocentowała na tyle, by mógł się dzięki temu utrzymać, zaciągnął się do wojska. W jego dzieciństwie i młodości nie było czasu na opowieści.

Po chwili milczenia królowa znów się odezwała:

– Czym zamierzasz się zająć w czasie pobytu u nas?

– Może będę zbierał opowieści – odpowiedział mag z uśmiechem.

– A co z twoją historią Inwazji? – zapytał Eugenides. – Ponieważ większość moich notatek pozostała w Sounis, będę musiał zawiesić prace nad jej spisywaniem. – Mężczyzna spojrzał na chłopaka, marszcząc brwi.

– Mógłbym ci je przynieść – zaproponował Złodziej.

– Nie ma mowy! – krzyknęli jednocześnie królowa i mag.

Eugenides uśmiechnął się, zadowolony, że udało mu się wywołać taką reakcję u obojga.

– Będzie lepiej, jak po prostu spróbuję je odtworzyć – powiedział mężczyzna.

– Możesz korzystać z biblioteki – zaoferowała łaskawie władczyni.

Eugenides wreszcie otworzył oczy i zaczął się podnosić.

– Co takiego? Z mojej biblioteki? Żeby codziennie plątał mi się pod nogami?

– Z mojej biblioteki – przypomniała Złodziejowi Eddis.

– Sam jesteś sobie winny – zauważył mag, uśmiechem witając taki obrót sprawy.

– Argh – jęknął chłopak, kładąc się z powrotem na ziemi i zakrywając twarz ręką.

Eddis odetchnęła z ulgą, że póki co jego zły nastrój gdzieś przeminął.

– Wasza Wysokość? – Sekretarz archiwum stał w drzwiach, czekając aż Attolia zwróci na niego uwagę.

Przeszkadzał jej przy późnej kolacji, którą spożywała samotnie, nie mając czasu na jedzenie w ciągu dnia. Medejski ambasador próbował do niej dołączyć, ale królowa ugłaskała go i odprawiła, wykręcając się niedyspozycją, przez którą jedynymi pokarmami, jakie mogła przyjąć były czysta zupa oraz chleb.

– A kiepskie jedzenie równa się kiepskiemu towarzystwu, Nahusereszu – ostrzegła, tylko po części żartobliwie. Mężczyzna uprzejmie poprosił więc o

wybaczenie i wyszedł. Lubił dania mięsne, a Attolia doskonale o tym wiedziała. Ledwie zdążyła umoczyć w zupie kawałek chleba, gdy pojawił się Relius.

– Co się stało? – zapytała.

– Chodzi o maga króla Sounis. Udało się ustalić miejsce jego pobytu.

– I? – Jest w Eddis, Wasza Wysokość. Najwyraźniej przebywał do tej pory w domku myśliwskim na wybrzeżu.

Władczynie czekała. Tylko Sounis byłby zaskoczony jego przeprowadzką do stolicy. Przypuszczała więc, że Relius nie przeszkodziłby jej w posiłku z tak mało ważną i zaskakującą wieścią.

– Królowa Eddis przyjechała po niego osobiście – ciągnął mężczyzna. – Razem ze Złodziejem. Najwyraźniej urządzili sobie piknik w drodze powrotnej. Podobno są ze sobą... dość blisko. – Było to najłagodniejsze określenie, jakim można było opisać plotki krążące obecnie na dworze Eddis. Prawdopodobnie romans trwał już od dłuższego czasu, a jego szpiedzy nie mieli o tym pojęcia. Jeśli królowa Eddis i jej Złodziej udawali skłóconych, to chyba tylko po to, by ukryć jego działania na jej korzyść: zniszczenie floty Sounisa i wywiezienie maga.

– Wynoś się – rozkazała ostro Attolia.

Sekretarz wyszedł z pomieszczenia i wraz ze służbą czekał pod drzwiami, nasłuchując dźwięków roztrzaskiwanej porcelany, kiedy naczynia zostały strącone ze stołu na ziemię. W ślad za nimi podążyły amfory, a także jedno z ciężkich, rzeźbionych krzeseł, kiedy cisnęła nim beznamiętna zazwyczaj królowa. Przez chwilę rozbrzmiewał też brzęk sreber, odbijających się od kafelków podłogi. Gdy zapadła cisza, służący zapukali do drzwi i weszli do środka uważając, by nie wyglądało to tak, jakby się skradali. Królowa nie uznawała skradania się. Attolia siedziała na krześle,

które sama podniosła i postawiła z powrotem przy stole. Dłonie trzymała na kolanach, a jej twarz przybrała obojętny wyraz. Rozmyślała. Podczas gdy służba zabrała się za oczyszczanie stołu i sprzątanie bałaganu, królowa próbowała oszacować, jak niebezpieczny stał się Eugenides.

* * *

Nowy mag Sounis musiał zanieść wieści królowi. Wątpił, aby udało mu się zachować pozycję na dłużej, ale miał nadzieję opuścić stanowisko z głową wciąż na karku.

– A więc pracował dla Eddis – powiedział król. Nowy mag wahał się przez chwilę, kładąc na jednej szali swe oddanie prawdzie, na drugiej zaś niechęć do dalszego irytowania już i tak podenerwowanego władcy. Był uczonym, zmuszonym do zajęcia nowego dla siebie stanowiska, a nie dworakiem. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, postawił na prawdę.

– Nie wydaje mi się, Wasza Wysokość – odparł z ociąganiem.

– Nie pracował dla Eddis? To co u licha tam robi? Spędza wakacje?

– Sądzę, że przebywa tam nie do końca z własnej woli, Wasza Wysokość.

– Co to niby ma znaczyć? – zapytał niecierpliwie król.

– Obawiam się, że ten uczeń, który doniósł o spotkaniu Attolijczyka przed komnatami maga był w błędzie.

– To chyba dość oczywiste, bo w przeciwnym razie mój mag odnalazłby się w Attolii, nieprawdaż? – warknął władca.

Nowy mag brnął naprzód.

– Celowo wprowadzono go w błąd, Wasza Wysokość. Obawiam się, że to był Eddijczyk, któremu zależało na tym, by wzięto go za Attolijczyka. Mężczyzna ten zapłacił uczniowi złotem, aby chłopak zdradził mego poprzednika i zmylił nas.

– Jeśli nie potrafisz wyrażać się jaśniej, znajdę sobie kogoś, kto umie –

ostrzegł król.

Nowy mag podjął dalsze wysiłki.

– Uczeń założył, że Attolijczycy wykorzystali maga dla własnych celów, a ponieważ nie był im już więcej potrzebny, zależało im, by jego zdrada wyszła na jaw, a on sam został wyeliminowany. Ja natomiast uważam, że mój poprzednik był w rzeczywistości niewinny. Uczeń otrzymał złoto od samego Złodzieja Eddis, który z kolei podjął się tego zadania tylko dlatego, że mój poprzednik nie przystałby na dobrowolną ucieczkę do Eddis, gdyby nie obawiał się o swoje życie.

– Eugenides? W megaronie? – Sounis rozgniewał się, gdy uczeń maga oznajmił mu, że jego mistrz wpuścił attolijskich szpiegów do pałacu. Jednak dopiero myśl o tym, że po korytarzach jego pałacu przemykał Eugenides, zmroziła mu krew w żyłach. – Co on tu u licha

robił? – warknął Sounis.

– Cóż, kradł twojego maga, panie. Przez chwilę król siedział w bezruchu, jedynie mrugając oczami. Wreszcie zerwał się na równe nogi i wezwał do siebie oficera gwardii.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego ranka, po tym jak wraz z królową wrócił z długiej podróży po Eddis, która miała na celu sprowadzenie maga, Eugenides wstał wcześnie, obolały. Kiepsko radził sobie z jazdą konną, mając tylko jedną dłoń, choć wcale nie gorzej, niż gdy miał dwie. Królowej nie przeszkadzało spacerowe tempo. Ludzie wychodzili na ulice miast albo opuszczali swe gospodarstwa i stawali przy drodze, by móc obserwować ich przejazd. Nie wiwatowali na cześć królowej. Nie byli wiwatującym narodem, ale uśmiechali się i machali, ciesząc się zarówno na widok Eugenidesa, jak i Eddis. Złodziej marzył, by pochłonęła go ziemia. Zadrżał na samo wspomnienie spojrzeń ludzi. Dreszcze wstrząsnęły nim ponownie, gdy bosymi stopami dotknął zimnej podłogi. Poranki w górach były rześkie. Chłopak zaczął grzebać pośród poukładanych schludnie w szafie koszul, klnąc przy tym pod nosem. Kiedy tylko Eugenides nie patrzył, pokojowy jego ojca robił mu porządki w pokoju, a kiedy wyjechał do Sounis, kilka co bardziej złachanych strojów zupełnie zniknęło.

– Eh, kiedy następnym razem zawitam do Attolii, w ogóle nie będę rzucał się w oczy w tych formalnych, eddijskich szatach ze złotymi żabami na przedzie – powiedział na głos. Zaklął ponownie, tym razem dlatego, że swój miecz znalazł dopiero po wyrzuceniu wszystkich innych przedmiotów z dolnej części szafy. Zostawił je leżące na stosie na podłodze. Dzięki temu pomieszczenie zaczęło bardziej przypominać jego pokój.

– Powinienem wrócić do spania – mruknął, ale wyciągnął miecz, pochwę i pas, które rzucił na niepościelone łóżko. Broń zostawiła oleiste plamy na

poszewce. Ktoś dopilnował, aby nie rdzewiała, nie będąc w użyciu. Chłopak rozsunął zasłony i zaczął narzekać – przed samym sobą, z braku innych osób – że na zewnątrz wciąż jeszcze jest ciemno, nie mógł jednak zignorować faktu, że świt zaczął już złocić szczyty gór po drugiej stronie doliny. Umilkł dopiero, gdy usiadł przy biurku i sięgnął po hak oraz wykonany ze skóry i metalu uchwyt, który mocował na kikucie. Przez chwilę trwał w bezruchu, trzymając go w dłoni, po czym odłożył go na blat i zaczął szukać bawełnianego rękawka, który chronił rękę pod protezą.

Znalazł go, ale nigdzie nie widział maleńkiej spinki, łączącej krawędzie tkaniny tak, by rękawek przylegał ciasno do skóry. Przypomniawszy sobie, że upuścił ją, rozbierając się poprzedniej nocy, ale nie usłyszał, by stuknęła o podłogę. Musiała więc upaść na wełniany dywan przy kominku, a znalezienie jej pośród jego wzorów zajęłoby pewnie z pół godziny. Złodziej westchnął i otworzył szufladę biurka. Wsunął rękę do środka i przeczesał palcami zalegające tam rupiecie, aż wreszcie natrafił na coś, co mogło zastąpić zgubę. Następnie spiął rękawek i dokładnie wygładził wszelkie załamania, po czym zacisnął zęby i wsunął kikut w skórzany uchwyt haka. Przylegał na tyle ciasno, by noszący go mógł chwytać i przyciągać do siebie różne przedmioty. Kiedy chłopak miał go na ręce zbyt długo, jego skóra bieleła ze względu na gorsze krążenie, a choć miejsca narażone na obcieranie zdążyły mu już stwardnieć, to i tak często miewał odciski.

Dużo bardziej uciążliwe okazały się jednak bóle fantomowe, odczuwane przez niego w dłoni, której już nie było. Czasami budziło go w nocy klucie w ranie, której nabawił się podczas próby ucieczki z Attolii. Rana już wydobrzała. Eugenides obawiał się, że ból będzie nękał go do końca życia. Nie lubił myśleć o utraconej dłoni, ale niekiedy łapał się na próbach roztarcia piekącego miejsca.

Znów narzekając, wsunął odziane w pończochy stopy w buty, które kazał

dla siebie zrobić, gdy odkrył, że stare nie pasują już na niego po zimie. Przerzucił jeszcze miecz przez plecy i zszedł na dziedziniec zbrojmistrza, gdzie żołnierze pospołu z rekrutami rozciągali się i sprawdzali broń przed rozpoczęciem ćwiczeń. Kuźnia z dwóch stron wychodziła na dziedziniec. Eugenides wszedł do środka i rzucił swój miecz na ławę.

Zbrojmistrz kiwnął głową.

– Przyda ci się nowy – powiedział. – Ten nie będzie dla ciebie odpowiednio wyważony. – Na placu zapadła cisza.

– Znajdziesz dla mnie jakiś miecz treningowy? – zapytał chłopak, stając plecami do ciszy.

Zbrojmistrz ponownie kiwnął głową i zdjął broń ze stojaka na ścianie.

Gdy Eugenides wziął ją do ręki, ktoś stanął za jego plecami. Był to jego ojciec.

Złodziej skinął mu głową na powitanie, mężczyzna natomiast wykonał gest dłonią, wskazując plac treningowy. Idąc z ojcem ramię w ramię, chłopak zauważył, że ten nie przestaje mu się przyglądać.

– Myślisz, że nie zauważy? – zapytał wreszcie minister wojny.

– Niby czego? – odparował niewinnym tonem Eugenides.

– Że jej zaginiona fibula z rubinami i złotymi koralikami spina teraz twój rękawek.

– Z granatami i złotymi koralikami.

– Tamten człowiek twierdził, że to rubiny.

– Mawiają, że nie ma na tym świecie nadziei dla łgarzy i głupców.

– Więc co tobie zostanie? – spytał uszczypliwie jego ojciec.

Chłopak wybuchnął śmiechem.

– Wyszadzana granatami fibula królowej. Dobrze jej tak. Mówiłem jej, by nie nosiła jej do pomarańczowego szala z Ebli. Zawsze jest tu tak cicho?

Niemal natychmiast dziedziniec wypełnił się odgłosami krzątania. Po

twarży ministra wojny przemknął ponury uśmiech, niemal zbyt przelotny, by dało się go zauważyć.

– Zacznieś od podstawowych ćwiczeń.

– Skoro tak mówisz. – Od Eugenidesa wprost biła niechęć.

– Tak mówię.

Jakiś czas później, zlany potem Złodziej swobodnie wyrzucał z siebie potoki przekleństw. Sztywność ciała, jaka została mu po podróży w siodle została zastąpiona przez bardziej aktualne bóle.

– Zdążyłem zapomnieć, jak strasznie tego nienawidziłem – powiedział.

– Gdybyś nie forsował się tak strasznie już pierwszego dnia, byłbyś mniej obolały – odpowiedział mu ojciec.

Eugenides podniósł wzrok. Słońce stało na niebie ponad wysokimi murami pałacu.

– Już późno – stwierdził z zaskoczeniem. Na placu poza nimi nie było nikogo. Nawet zbrojmistrz zasypał ogień i gdzieś zniknął. – Nic dziwnego, że marzę o śniadaniu.

Minister wojny pokręcił głową. Wiedział od samego początku, że mimo skłonności do narzekania, jego najmłodszy syn miał na tyle zacięcia i cierpliwości, że mógłby stać się wyborowym fechmistrzem. Te same cechy zresztą cenił w chłopaku jego dziadek. W głębi duszy ojciec Złodzieja wciąż żałował, że ten nie wybrał kariery żołnierza, ale musiał jednocześnie napominać się, że i wtedy Eugenides mógłby stracić dłoń. Żadnej z tych profesji nie sposób było nazwać bezpieczną.

Złodziej dołączył do Eddis, gdy ta odbywała spotkanie ze swą radą w sali map. Poszczególni przedstawiciele rady, z których większość nie miała pojęcia, że odosobnienie chłopaka było jedynie fortelem, rzucali mu zaskoczone spojrzenia. Ponieważ nie sposób było dłużej udawać, że Eugenides nie pozostaje na jej usługach, królowa poprosiła go, by osobiście

wysłuchał uwag jej doradców, zamiast powtarzać mu je później. Zakres jego oficjalnych obowiązków pozostawał jednak niejasny. Chłopak nie był ministrem, nie siedział więc wraz z innymi przy stole. Zamiast tego, zajął miejsce pod ścianą.

Eddis mogła go obserwować, pochylając się nieco i kierując wzrok pomiędzy dwóch mężczyzn naprzeciwko siebie. W połowie spotkania, Złodziej oparł tył krzesła o ścianę, na której namalowano mapę, i zamknął oczy.

Mapy przedstawiały Sounis oraz przybrzeżne wyspy. Były tam też Eddis i Attolia, a także bardziej odległe kraje. Jednak wraz ze wzrostem odległości od Eddis, mapy stawały się coraz mniej dokładne. Namalowano je przeszło sto lat temu, więc w chwili obecnej spełniały raczej funkcję dekoracyjną niż użytkową. O wiele bardziej przydatne mapy, nakreślone już z niesamowitą dokładnością na papierze welinowym, leżały porozkładane na stołach.

Królowa potarła skronie i podsumowała dostarczone jej raporty:

– Działa nie zostaną dostarczone Sounisowi. Wieści dotyczące jego maga zdążyły do niego dotrzeć, wie też, że to nie Attolia dokonała sabotażu jego floty. Jego żołnierze próbowali przechwycić ostatnią dostawę zboża i zapasów, która dotarła już do przełęcz. Nie udało im się odzyskać wozów, więc utopili je w rzece. Żałuję, że nie udało nam się dowieźć zaopatrzenia na szczyt góry, ale mamy wcześniejsze dostawy, poza tym zatrzymamy działa.

Eddis zabębniła palcami po poręczach krzesła i podjęła temat: – Sounis opróżni swój skarbiec, byleby zakupić nowe okręty. Nie mam pojęcia, w co je uzbroi bez naszych dział, chyba że poszuka sobie sojusznika, który zapewni mu zarówno statki, jak i siłę ognia. Miejmy nadzieję, że nikogo takiego nie znajdzie.

– Attolia wykorzystała do maksimum swoją przewagę na morzach. Jestem przekonana, że wszyscy słyszeliście plotki, iż odbiła Chios i Serę. A

także Ticos. Możemy wprawdzie łudzić się, że to ją zadowoli, ale nie wygląda na to, by zamierzała wycofać wojska z podnóża przełęczy. Emisariusz, którego posłaliśmy do niej z propozycją pokoju, został odprawiony. Nie będzie żadnego handlu ani z Attolią, ani z Sounis, należy więc spodziewać się ciężkiej zimy.

– Wkrótce nadejdzie pora późnoletnich huraganów. A wtedy, gdy wszystkie statki zawiną do portów, będziemy musieli być gotowi bronić się na wszystkich frontach dopóki opady śniegu nie zablokują przełęczy.

– A co z neutralnymi wyspami? – zapytał ktoś. – Czy Attolia je również zamierza podbić?

– To zależy, jak dobrze pójdą jej bitwy morskie i jak pewnie się poczuje. Terytoria neutralne stanowią atut dla obu stron, jeśli tylko zostaną podzielone po równo. To bezpieczny port, którego nie trzeba bronić. Jeśli Attolia wciąż będzie miała przewagę, może zdecydować się na opanowanie neutralnych wysp. Ostrzeżono je, by nie stawiały oporu, więc jesteśmy dobrej myśli.

– A piraci? – zapytał ktoś inny.

– Żadna ze stron nie posiada zasobów pozwalających na patrolowanie szlaków morskich. Piractwo rośnie w tempie, które, jak sędzę, nie stanowi zaskoczenia dla nikogo z tu obecnych. – Przy stole rozległy się stłumione chichoty. Oczywiście żadna z osób nie była zaskoczona tą informacją.

Jeden po drugim, ministrowie przedstawiali raporty dotyczące dystrybucji zboża, zużycia surowców, rozmieszczenia sił zbrojnych, a także zawierające inne istotne dane liczbowe. Kiedy spotkanie dobiegło końca, przedstawiciele rady wstali, skłonili się przed królową i zostawili ją samą, by mogła przemyśleć otrzymane informacje.

Eugenides pozostał na miejscu, wciąż odchylony na krześle i z zamkniętymi oczami. Eddis obrzuciła go wzrokiem. Chłopak ściągnął brwi tak, że między nimi pojawiła się głęboka bruzda, co oznaczało, że najpewniej

dokuczał mu ból ręki. Nigdy o tym nie wspominał i warczał za każdym razem, gdy był o to pytany. Poza tym jednak zrobił się bardzo uprzejmy i wycofany. Rzadko kiedy sam zaczynał rozmowę, a inni obawiali się do niego zagadywać, gdy bruzda między jego brwiami zamieniała się w grymas, zdradzając, jaki ból sprawiała mu ręka w gorsze dni.

Eddis nie była pewna, czy Eugenides wciąż składał ofiary swemu bogu. Z całą pewnością nikt już nie przychodził do niej ze skargą, że zaginęły mu kolczyki czy inna błyskotka. Królowa zauważyła, że jej fibula pojawiła się na rękawku Złodzieja, ale zniknęła ponownie nim ostatnim razem udał się do Attolii. Kilka osób, upewniwszy się wcześniej, że znajdują się poza zasięgiem słuchu Złodzieja, narzekało, iż brakuje im na dworze jego zgryźliwych komentarzy. Eddis odkryła jednak, że ona sama najbardziej tęskni za jego szerokim uśmiechem. Wprawdzie Eugenides od czasu do czasu nadal się uśmiechał, co ze względu na rzadkość występowania tych chwil czyniło je jeszcze słodszyimi, ale już nie szczyrzył zębów jak dawniej.

Królowa westchnęła.

– Attolia ma świetnego doradcę – powiedziała.

Eugenides otworzył jedno oko, po czym ponownie je zamknął.

– Kogo?

– Ambadora Medei. Jestem pewna, że to on podpowiedział jej, by podbiła Ticos i zaatakowała Cymorene. Dla niej nie mają one żadnego znaczenia strategicznego, ale dla Medejczyków owszem, jeśli będą mieli pod kontrolą terytoria po tej stronie Morza Środkowego. Najwyraźniej Attolia i ten Medejczyk są sobie tak bliscy, za jakich my chcemy uchodzić.

– Ornon powiedział, że powiesiłaby mnie gdyby nie ten człowiek – odezwał się chłopak. Ornon był ambasadorem Eddis, którego królowa posłała do Attolii, by wstawił się za jej Złodziejem.

– Sam tego nie pamiętasz?

Eugenides pokręcił głową.

– Ta część jest dla mnie dość mglista.

Eddis nie pytała, które wspomnienia były wyraźniejsze. Potrafiła to odgadnąć.

– W takim razie chyba jestem jego dłużniczką – powiedziała.

Przednie nogi krzesła, na którym siedział chłopak uderzyły gwałtownie o ziemię, a on sam otworzył oczy i rzucił jej gniewne spojrzenie. Obraziła go.

– Mam żałować, że żyjesz, Genie? – zapytała.

Oboje mierzyli się wzrokiem. Wreszcie chłopak uniósł podbródek i powiedział:

– Nie, nie masz żałować, że żyję i nie, nie masz uważać się za dłużniczkę tego medejskiego łajdaka, a także nie, nie mam ochoty na wykład na temat uzalania się nad sobą i nie chcę słyszeć o tych wszystkich ludziach, którzy co zimę tracą dłonie albo stopy w wyniku odmrożeń.

Oparł znów krzesło o ścianę i z ponurą miną skrzyżował ramiona na piersi.

– Ależ jesteśmy dziś drażliwi, co Genie?

Złodziej westchnął.

– Oj, zamknij się.

– Ile osób traci przez odmrożenia dłonie lub stopy jednej zimy? – zapytała łagodnym tonem królowa.

– Wcale nie aż tak dużo. Na ogół tracą tylko palce. Choć tych akurat całkiem sporo.

– Galen ci powiedział?

– Mhm.

– Jakie to taktowne z jego strony.

Eugenides posłał jej zboląły uśmiech.

– Sam go zapytałem.

Eddis odpowiedziała mu identycznym grymasem.

– O czym myślisz, kiedy masz taką minę? – chciał wiedzieć Złodziej.

– O zamordowaniu królowej Attolii.

Chłopak wstał i odwrócił się do niej plecami, by wyrzeć przez jedno z wąskich okien w niszy.

– Nienawidzę tego Medejszyka – powiedział.

– Genie, to Attolia obcięła ci dłoń, prawda? – przypomniała Eddis. Eugenides wzruszył ramionami. – A czy prowadzilibyśmy wojnę, gdybym został powieszony? – zapytał.

– Tak – odparła natychmiast królowa, ale prawdomówność kazała jej dodać: – Może.

– A więc czy zaprzeczysz, że to właśnie wywołało tę wojnę? – Chłopak uniósł okaleczoną rękę.

– Nie – musiała przyznać Eddis. – Ale, jak już wspomniałam, to Attolia obcięła ci dłoń.

– Przez tego Medejszyka. Gdyby się nie odezwał, zostałbym powieszony. Ornonowi udało się rozgniewać ją do tego stopnia, że była gotowa kazać rozciągnąć mnie kołmi i poćwiartować, i na tym by się to wszystko skończyło. Nie żeby podobało mi się rozciąganie kołmi i ćwiartowanie – dodał, odpłacając królowej szczerością za szczerść.

– A czy ten Medejszyk mógł być świadomy tego, że wszczyna wojnę? – zapytała Eddis.

– O tak.

Władczyni milczała przez chwilę, spoglądając na zgromadzone na stole stosy raportów dotyczących ofiar i kosztów wojny z Attolią.

– W takim razie nie będę uważać się za jego dłużniczkę. – Przeniosła wzrok na dokumenty podsumowujące zasoby, które jeszcze jej pozostały, liczebność armii oraz zapasy żywności i amunicji. – W cieśninach pływają

medejskie transportowce – powiedziała. – Są jak wrony, które tylko czekają, by zabrać się za rozdziobywanie zwłok. Ciekawe, czy Attolia o tym wie.

Attolia wiedziała. Wiedziała, jeszcze zanim jednostki opuściły macierzyste porty, że wysłano je, by patrolowały jej wybrzeże. Wiedziała, ile ich było, z ilu osób składały się ich załogi oraz ile dział niosły. Wiedziała, że jej baronowie dysponowali tymi samymi informacjami. Ostatnimi czasy zachowywali się dziwnie cicho, niczym maleńkie ptaszki ukrywające się w zaroślach, gdy obok przechodzi lis. Wiedziała też, że miała dużo szczęścia, iż cesarz Medei przysłał ambasadora atrakcyjnego nie tylko pod względem politycznym, ale i fizycznym. Jej dwór zdążył nauczyć się, że królowa nie miała cierpliwości do pochlebstw, więc mało kto się do nich uciekał, jednak Nahuseresz wprost obsypywał ją komplementami, które zachwycona władczyni przyjmowała z uśmiechem. Jeszcze lepsza niż jego słodkie słówka była konsternacja, malująca się na twarzach jej baronów, gdy nie odrywała wzroku od ambasadora albo obdarzała go powłóczystym spojrzeniem spod rzęs, co podejrziała u swych najmłodszych służących, gdy te flirtowały z ukochanymi. Attolii odpowiadało jego towarzystwo. Cieszyło ją, że mężczyzna ma ją za typową kobietę, a nie wojowniczą królową. Prowadzona przez Nahuseresza, poddawała się jego uprzejmościom i pozwalała mu na wymowne czułości, kiedy podawał jej ramię i trzymał ją nieco bliżej niż uznawano za stosowne. Attolia miała nadzieję, że nikt nie powie mu, jak potraktowała poprzedniego pochlebcę, choć gdyby jednak tak się stało, być może Medejczyk jedynie upewniłby się co do skuteczności działania swego czaru.

Wszystkie pokojowe królowej przychyłały się do jej oceny wyglądu mężczyzny. Każdego ranka i wieczora, władczyni przysłuchiwała się ich paplaninie, gdy służki ubierały ją i fryzowały jej włosy. Pozwalała im na plotki, dopóki zachowywały dyskrecję. Nawet to lubiła, choć nigdy się do

nich nie przyłączała.

– Podobno Medejczyk zamówił nową tunikę wyszywaną złotą nicią i z drogocennymi kamieniami przy dekolcie.

– Mówią, że ma kilka zestawów szmaragdów, które jego pokojowy przyszywa co rano do wybranego przez niego stroju.

– Powinien kupić jakieś inne kamienie – wtrąciła Frezyna. Najstarsza z przybocznych siedziała przy oknie i trzymając w ustach igłę, układała rąbek jednej z sukien władczyni, którego cerowaniem właśnie się zajmowała. Po chwili wyjęła igłę z ust. – Takie, które lepiej pasowałyby do rubinów – dodała, spoglądając przelotnie na królową, której wplatano właśnie rubiny we włosy.

Tylko naprawdę zuchwała służka pozwalała sobie na kpiny ze swej pani, jednak nie ulegało wątpliwości, że Attolia obdarzała Medejczyka uśmiechem, pozwalała, by przy powitaniach trzymał jej dłonie nieco dłużej i nie protestowała, gdy zwracał się do niej „droga królowo”, a czasem nawet „moja droga”.

– Raczej takie, które lepiej pasowałyby do jego brody – odezwała się jedna z młodszych kobiet i zachichotała. Po jej słowach zapadła pełna skrępowania cisza. Pokojowe powoli spojrzały na królową.

– Chloe – zwróciła się do dziewczyny Attolia.

– Wasza Wysokość?

– Przynieś mi jedną rzecz.

– Co takiego, Wasza Wysokość?

– Nie wiem. Idź i się dowiedz.

– Tak, Wasza Wysokość – szepnęła służąca i pospiesznie opuściła pomieszczenie.

Po jej wyjściu rozmowę skierowano na bezpieczniejsze tematy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Całe Eddis wznosiło modły i, zupełnie jakby prośby zostały wysłuchane, wiatry etezyjskie pojawiły się późno tego roku. Sounis wykorzystał resztki swej floty, by przewieźć swe wojska na wyspy i obronić tak wiele z nich, ile tylko zdoła. Attolia atakowała bez ustanku, zdobywając jedną po drugiej. Medejszyk szeptał jej rady do ucha, a ona słuchała go uważnie. Zawsze uważnie się wszystkiemu przysłuchiwała, a mężczyzna bez trudu dostrzegał dowody, że jego sugestie były brane pod uwagę. Był błyskotliwym generałem, a Attolia potrafiła to docenić.

– Wie o statkach? – zapytał Kamet.

– Wątpię – odparł Nahuseresz. – Wywiad wykorzystuje głównie przeciwko swoim baronom, starając się utrzymać ich na smyczy. Ma niewielki ogląd na to, co dzieje się poza granicami jej maleńkiego państewka i nie wydaje się zbytnio zainteresowana wydarzeniami na arenie światowej. Zaczynam przypuszczać, że tron zawdzięcza tym samym baronom, których wciąż podejrzewa o zdradę. Nie mam pojęcia, kto jeszcze pomaga jej w utrzymaniu władzy.

– Zapytasz ją o ambasadę na Cymorene? Będzie nam potrzebna w charakterze punktu przelotowego.

– Już ją o to pytałem. Póki co pozostaje dość nieufna i mnie zbywa, ale z czasem uda mi się ją przekonać. Bez problemu wmówię jej, że ambasada będzie niewielka i nieszkodliwa, a jej jedyną funkcją będzie zaopatrywanie statków kurierskich, kursujących między naszym łaskawym Cesarstwem a jej ojczyzną.

– Wciąż jednak będziemy potrzebować pretekstu, by wylądować na stałym lądzie.

– Znajdziemy go – zapewnił ambasador. – Nie ma pośpiechu. A kiedy już zabezpieczymy swoją pozycję, nic nas stąd nie ruszy.

Kiedy wiatry etezyjskie wreszcie zaczęły wiać, Sounis wycofał swe wojska z wysp, zostawiając je samym sobie, gdyby przypadkiem Attolia zamierzała jednak zaryzykować i zaatakować je w porze zimowych sztormów. Umieściwszy statki w najbezpieczniejszych portach, skierował swą uwagę na swego lądowego wroga – Eddis. Attolia zrobiła to samo.

Góry chroniły Eddis lepiej niż jakakolwiek armia, ale nawet w takiej naturalnej przeszkodzie istniały pewne luki. Jedno z łagodniejszych zboczy gęsto porastały sosny. Był to Las Irkes. Kiedy Sounis próbował przeprowadzić tamtędy swoje wojska, Eddis zagroziła, że wzniesi pożar. Sounis wycofał wtedy swych żołnierzy, ale gdy wojna na morzu została tymczasowo zawieszona, przysłał ich z powrotem i kazał spalić las, a następnie rozpocząć wspinaczkę na szczyt.

Przy granicy z Attolią wszystkie góry miały mniej więcej tę samą wysokość. Świeżo odlane działo umieszczone na przełęczy uniemożliwiało atak od tamtej strony. Jedyłą inną dostępną dla armii drogą był kanion, gdzie niegdyś Araktus wyrzeźbił sobie koryto w zboczu, by móc połączyć się z Seperchią. Kiedy zbudowano Zbiornik Hamiatesa, rzeka popłynęła innym torem, wpadając do większej nieco dalej, w dolnej części swego biegu. Dostępu do starorzecza oraz biegnącej wzdłuż niego drogi broniła ufortyfikowana brama u podnóża gór, a ją z kolei dzieliła od Attolii przepaść, na dnie której toczyła swe wody Seperchia.

Nie mogąc wprowadzić swej armii do Eddis, Attolia wysyłała pod osłoną nocy niewielkie grupki uderzeniowe, których zadaniem było atakowanie gospodarstw położonych w odizolowanych dolinach górskich. Wiele takich

farm stało opuszczonych, bo mężczyźni zostali wcieleni do wojska, zaś ich rodziny schroniły się dla bezpieczeństwa w stolicy. Ich dobytek stanowił więc łatwy łup dla attolijskich oddziałów, które bezlitośnie paliły wszystko do gołej ziemi.

Stada owiec tłoczące się w stolicy zeszłej zimy teraz zniknęły. Spora część z nich wróciła na pastwiska w przybrzeżnych prowincjach, jednak większość zarznięto, by wykarmić mieszkańców. W każdej świątyni płonęły ofiary, a wierni modlili się, by deszcze zmyły wrogów ze stoków, a śniegi odcięły im dostęp do górskiego kraju na całą zimę.

Kiedy wreszcie się ochłodziło, Attolia odwołała swe oddziały, Sounis, przegrawszy bitwę o Irkes, również wycofał się, a Eddis wreszcie mogło złapać trochę tchu. Wycieńczeni żołnierze wrócili do rodzin, by odpocząć. Praca nie ustawała jednak w kopalniach żelaza, gdzie mozolnie wydobywano rudę do produkcji dział dla Jej Wysokości, które miały wspomóc tych kilka umieszczonych już wcześniej na stoku porośniętym jeszcze niedawno przez Las Irkes. Padające deszcze zmywały popiół po zwęglonych sosnach w dół zbocza. Woda wyrzeźbiła w ziemi płytkie bruzdy, jednak z czasem, gdy zapadły się ich krawędzie, powstały głębokie rowy, natomiast w miejscach, gdzie wcześniej istniały łagodne podejścia, wyrosły strome pagórki i wąwozy, które spowolniłyby każdą armię wspinającą się pod górę. Płynące w dole strumienie, zabarwione na czerwono od niesionych osadów, przypominały rzeki krwi.

W stolicy Eddis, pałac ponownie zapełnił się lordami, baronami i oficerami w haftowanych tunikach. Przy formalnych obiadach, salę rozświetlał jasny blask świec, stwarzając pozory rytuałów celebrowanych normalnie w czasach pokoju.

Pewnego dnia w zimie przyszedł do Eugenidesa jeden z lekarzy polowych. Późnym popołudniem tego samego dnia paż przyniósł wiadomość

Eddis, po usłyszeniu której królowa przerwała spotkanie z mistrzem odlewnictwa i udała się schodami na dach pałacu. Wzdłuż ścian ciągnęły się szerokie chodniki, którymi dworzanie zwykli spacerować przy ładnej pogodzie. Eugenides siedział na balustradzie. Eddis zbliżyła się, ale przystanęła prawie pięć stóp od chłopaka. Nie chciała go zaskoczyć. Jego stopy wisiały w powietrzu trzy piętra nad ziemią.

Złodziej odwrócił lekko głowę i dostrzegł ją kątem oka.

– Wciąż każesz mnie śledzić? – zapytał. – Nie mogę posiedzieć sobie na dachu w ładny dzień?

– To nie jest ładny dzień – odparła królowa. Przejmująco zimny wiatr wzbijał w powietrze tumany śniegu. – Siedzisz tu od ponad godziny, więc strażnicy zaczęli się niepokoić. – Przysiadła na niskim, kamiennym murku obok.

– Słyszałaś, co się stało?

– Słyszałam, że jeden z lekarzy ze szpitala wojskowego poprosił cię, byś odwiedził jeden z jego oddziałów, a ty z nim poszedłeś.

– Zabrał mnie do pacjentów po amputacjach.

– Ach tak.

– Bo działa rozrywają ludzi na kawałki i lekarze muszą zszywać rozszarpane krawędzie...

– Eugenidesie... – ...a przecież nie chcemy, żeby nasi żołnierze umierali tylko dlatego, że brakuje im tak nieistotnych części jak ręce czy nogi.

Chłopak wbił wzrok w dolinę. Naprzeciwko znajdowała się Święta Góra Hefestii, ze Zbiornikiem Hamiatesa na jednym ze zboczy, wznosząca się ponad innymi.

– Temu cholernemu lekarzowi chodziło o odwiedzenie rannych. A potem przepędził mnie przed tymi wszystkimi porozrywanymi biedakami, jakby chciał przez to powiedzieć „Patrzcie, to Złodziej Eddis. To, że stracił dłoń w

niczym mu nie przeszkadza.” Zupełnie jakbym był jakąś świętą relikwią zdolną ich uzdrowić. Jakby mieli wyskoczyć z łóżek i od tej pory żyć długo i szczęśliwie.

– Eugenidesie...

– Cóż, poklepałem każdego z nich po ramieniu jak kapłan, a potem wyszedłem na zewnątrz i porzygałem się. – Wychylił się nieco, by spojrzeć pomiędzy swymi stopami na pagórki daleko w dole. Eddis, siedząca w obrębie murów pałacu, z trudem powstrzymała się przed złapaniem go za rękaw i pociągnięciem z powrotem do tyłu. Mówienie Złodziejowi, by uważał byłoby jak ostrzeżenie wytrawnego fechmistrza przed skaleczeniem się.

– Ten cały lekarz – wymamrotał chłopak – dlaczego nie powiedział im: „Patrzcie, oto upadły Złodziej Eddis i przyczyna waszych cierpień”?

– Gen – powiedziała stanowczo królowa – ta wojna nie jest twoją winą.

– A czyją? To ja wpadłem w pułapkę Attolii.

– To ja cię tam posłałam.

– Ja wpadłem, a ty mnie posłałaś. Ona zastawiła pułapkę, a zrobiła to, bo nękał ją Sounis, on z kolei naprzykrzał się jej przy wsparciu swego maga, który boi się Medejczyków, podczas gdy cesarz Medei ma, jak sędzę, własne problemy. Kogo w takim razie możemy winić za tę wojnę? Bogów?

Spojrzał w zasnuwane chmurami niebo. Eddis ostrzegawczo położyła mu rękę na ramieniu.

– Och, będę uważał, co mówię – zachnął się chłopak. – Zdążyłem się już tego nauczyć, a nie chcę, żeby rozstąpiły się chmury, a na promieniu światła przybyła Moira, by powiedzieć mi, że mam się zamknąć. Chciałbym tylko wiedzieć, czy to, że trwa wojna, a ludzie umierają jest wolą bogów. Czy Wielka Bogini życzy sobie, by Eddis zostało zniszczone?

Królowa pokręciła głową.

– Wciąż jesteśmy ludem Hefestii. Mocno w to wierzę. Poza tym jednak nie wiem nic więcej. Żadna z rzeczy, jakie kiedykolwiek usłyszałam od kapłana nie dała mi świadomości, kim są bogowie ani do czego są zdolni. Wiem natomiast, że sama odpowiadam za własne decyzje, Genie. Jeśli jestem pionkiem w rękach bogów, to dlatego, że tak dobrze mnie znają, a nie dlatego, że postanawiają coś za mnie. – Przypomniawszy sobie o mocach Daru Hamiatesa, dodała: – Nie możemy oczekiwać od bogów, że będą się przed nami tłumaczyć i ja również wcale tego nie chcę.

Eugenides zamyślił się, wspominając własne doświadczenia z kamieniem i po chwili pokiwał głową, zgadzając się z jej słowami.

Przez jakiś czas oboje milczeli. Wreszcie odezwała się Eddis, a jej słowa zaskoczyły Złodzieja.

– Nie jesteś już chłopcem-bohaterem.

– A kiedykolwiek byłem? – zapytał Eugenides, unosząc jedną brew.

Królowa uśmiechnęła się, kolejny raz zastanawiając się, od kogo nauczył się tej miny.

– Och, ależ oczywiście, że był z ciebie złoty chłopak – powiedziała. – Zabawiałeś wszystkich mieszkańców. A od kiedy rzuciłeś Sounisa na kolana stałeś się też ulubieńcem całego dworu.

– Mag też coś o tym wspominał. Taki splendor, a ja go przegapiłem – mruknął z żalem Złodziej.

Eddis wybuchnęła śmiechem i nachyliła się bliżej, by objąć go ramieniem.

Eugenides raz jeszcze przemyślał całą kwestię.

– Na pewno nie byłem ulubieńcem naszych drogich kuzynów – zauważył.

– A jednak. Byli równie wściekli co wszyscy inni, gdy... wróciłeś do domu. – Królowa zawahała się, jak zwykle, gdy ocierała się o drażliwy temat

jego utraconej dłoni. On sam poruszał go co jakiś czas, niekiedy nawet dość lekko do niego podchodząc. Żartował, że kalectwo nie było w stanie pogorszyć jego umiejętności jeździeckich, ale wciąż wzdragał się wyraźnie, gdy wspominał o tym ktokolwiek inny. Eddis wiedziała, że nienawidził podobnych rozmów.

Siedząc razem na zimnie, oboje pomyśleli o kuzynach, których utracili od czasu rozpoczęcia wojny. Stepsis, Chlorus i Sosias polegli wraz z grupą uderzeniową na samym początku. Timos, próbując zatrzymać wojska Attolii zeszłej wiosny na przełęczy. Cleon i Hermander zostali ranni i w ciągu lata zmarli w wyniku zakażeń. Inni zginęli w pożarze Lasu Irkes. Eddis wspomniała ich reakcje w kilka dni po powrocie Eugenidesa do pałacu. Nikt nie palił się do zemsty bardziej niż oni.

– Wydaje mi się, że wpychanie ci głowy do beczki z wodą uznawali za swój wyłączny przywilej, nikt więcej nie miał prawa cię tknąć. Terespides będzie podziwiał cię do końca życia, acz niechętnie.

– Mówiłaś przecież, że już po wszystkim. Wszystko przegapiłem.

– Powiedziałam tylko, że nie jesteś już chłopcem-bohaterem. Dorosłeś. Ludzie będą oczekiwać od ciebie jeszcze więcej – że raz jeszcze ukradniesz maga i rzucisz Sounisa na kolana, teraz zaledwie jedną ręką.

– Może i jedną, ale mając pod tą ręką twoich najlepszych żołnierzy. Nie mogę przypisywać sobie za to wyłącznej zasługi.

– Owszem, możesz – zaprotestowała Eddis. – Nie udałoby się, gdyby nie ty. To wszystko jest twoją zasługą – albo winą, jak powiedzieliby niektórzy – w przeciwnym wypadku Attolia tak bardzo by się ciebie nie obawiała.

Eugenides obrzucił królową zaskoczonym spojrzeniem.

– O tak, boi się ciebie. Wiosną albo latem podbije Sounis. Wtedy wysuniemy znów propozycję pokoju, a ona przyjmie ją, jeśli tylko będzie mogła, bo obawia się tego, co mógłbyś zrobić, kiedy Sounis przestanie już

zaprzętać naszą uwagę.

Konsternacja nie zniknęła z twarzy chłopaka, więc Eddis pokiwała głową.

– Chciałabym, żeby już teraz zakończyła tę wojnę, ale widzę, że baronowie pożarliby ją żywcem. Attolia nie jest jednak na tyle głupia, by ciągnąć to dalej, kiedy będzie miała na koncie jakieś zwycięstwa zdolne ich udobruchać. A po porażce Sounisa pod Lasem Irkes wie już, że nasi żołnierze są tak dobrzy, jak się o nich mówi. – Po chwili dodała ściszym głosem – Genie, dla rannych w szpitalu jesteś świętą relikwią.

– Czy w ten oto łagodny sposób chcesz dać mi do zrozumienia, żebym przestał uważać się nad sobą?

– Tak.

– Nie czuję się jak bohater. Raczej jak idiota.

– Wydaje mi się, że bohaterowie na ogół tak właśnie się czują. Ci ludzie wierzą w ciebie.

– Ostatecznie poczekałem z rzyganiem, aż znajdę się na zewnątrz.

Wraz z wiosną nadeszły deszcze. Na terenach nizinnych drzewa obsypały się kwieciami. W Eddis stopniały śniegi, a wody powodziowe odcięły wszelkie drogi dostępu do górskiego kraju. Mieszkańcy modlili się, by opady nigdy nie ustały, choć brodzili w błocie po kolana i marzyli o zieloności. W Attolii i Sounis zabrano się za uprawianie pól przed powrotem do rzemiosła wojennego. W Eddis natomiast czekano, czy zaatakują siebie nawzajem, czy też spróbują znów wspinaczki pod górę.

Wciąż padało. Sounis nie podjął prób odbijania własnych wysp z rąk Attolii i zamiast tego przeprowadził niespodziewany atak na Tegmis, wyspę położoną niemalże w obrębie portu attolijskiej stolicy. Królowej akurat tam nie było, zawiodła łączność, generałowie popełnili dużo błędów i ostatecznie Tegmis upadło.

Sounisowi udało się zdobyć wyspę, ale stracił przy tym ostatni ze swych większych okrętów i nie miał jak przesłać zaopatrzenia swym wojskom ani ich wycofać. Attolia zablokowała Tegmis przy użyciu własnej floty i postanowiła czekać. Sounis chciał zawrzeć pokój, ale świadoma swej przewagi królowa odrzuciła jego propozycję. W górach, Eddis i jej minister wojny łudzili się, że pozbawiony mądrych rad swego maga, Sounis okaże się głupcem, ale sytuacja bardzo ich martwiła.

– Nie jest aż tak głupi – powiedziała władczyni.

– Rozmawiałś z magiem?

– Tak, ale nie powiedział mi zbyt wiele. Możliwe, że zrobił to celowo. W każdym razie twierdzi, że nie ma pojęcia, co zamierza jego król.

– W takim razie pozostaje nam czekać i się o tym przekonać. Wieczorami, zanim podawano obiad, dwór zbierał się w starej sali tronowej. Czterej oficerowie, którzy zdążyli już osuszyć kilka kubków rozwodnionego wina, zaczęli żartować z gróźb królowej Attolii, które przynieśli niedawno eddijscy szpiegowie. Pośród ciszy, która nagle zapadła, ich słowa poniosły się ponad całym tłumem. „...poślijcie go w zaświaty ślepego, głuche go i z obcięty językiem...”.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Eugenidesa, stojącego po drugiej stronie komnaty w towarzystwie kilku spośród swych wujów. Wszyscy wiedzieli, że Attolia mówiła właśnie o nim. Złodziej stanął twarzą do tłumu i pochylił głowę.

– A tak cieszyłem się na kolejną wizytę – powiedział z udawanym rozczarowaniem. Zebrani zachichotali i wrócili do przerwanych rozmów. Eddis przyglądała mu się uważnie ze swego miejsca przy kominku, ale chłopak odwrócił się znów do swych krewnych z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Królowa skinęła na swego zarządcę i ściszone głosem poleciła mu zmianę usadzenia przy obiedzie.

Nieco później Eddis śledziła wzrokiem Eugenidesa, gdy ten zajmował miejsce między swym ojcem a Agape, najmłodszą z córek barona Forosa. Siedziała zbyt daleko, by usłyszeć co powiedział, ale dziewczyna najwyraźniej podjęła wątek, więc wyglądało na to, że się ze sobą dogadają. Królowa zmówiła pod nosem krótką modlitwę i zwróciła się ku własnym sąsiadom.

– Wygląda na to, że jesteś skazana na moje towarzystwo o wiele częściej niż na to zasługujesz – powiedział Eugenides.

– Boją się, że nawarczysz na kogoś innego – wyjaśniła Agape z poważną miną.

W oczach Złodzieja zamigotało zaskoczenie.

– Nikt nie mógłby warzyć na ciebie.

– To prawda. – Dziewczyna wciąż zachowywała kamienną twarz. – Jestem zbyt słodka.

Chłopak otwarcie wybuchnął śmiechem, a powaga jego towarzyszki przerodziła się w uśmiech. Była nie tylko najmłodszą spośród czterech sióstr, ale i najbardziej uroczą. Pozostałe pozwoliły na to, by kłótny charakter przesłonił ich urodę, a Agape uwielbiał cały dwór ze względu na jej uprzejmość i poczucie humoru.

– Jesteś w paskudnym nastroju? – zapytała, kładąc dłoń na rękę Eugenidesa. – Twój ojciec ostrzegał mnie, że może tak być.

Złodziej obrzucił go spojrzeniem, ale minister wojny wpatrywał się uporczywie w swój talerz, choć musiał słyszeć, co właśnie zostało powiedziane.

– O tak – odparł, odwracając się znów w stronę Agape – w paskudnym nastroju. Powinnaś zamienić się miejscami ze swoją siostrą, Hegite. Dziś bylibyśmy siebie warci.

– Jesteś niemiły dla biednej Hegite.

– Byłbym, gdyby siedziała obok mnie.

Dziewczyna obdarzyła go uśmiechem.

– W takim razie całe szczęście, że tak nie jest – skwitowała.

– Szczęście nie miało z tym nic wspólnego – powiedział Eugenides, spoglądając na królową – ale wzięwszy pod uwagę, że zyskałem tak miłą towarzyszkę jak ty, nie zamierzam narzekać. Będiesz śpiewać na festiwalu?

Rozmowa zesłała na temat nadchodzących obrzędów, które zakończą się świętem Hefestii oraz całodziennymi i całonocnymi śpiewami w wykonaniu świątynnego chóru oraz wybranych solistów. Agape śpiewała już w zeszłym roku i zapowiedziała, że zamierza to powtórzyć, po czym spędziła kilka tygodni, ćwicząc w odosobnieniu na terenie świątyni.

W połowie obiadu, Eugenides uniósł swój kielich i zajrzał do środka.

– Coś z nim nie tak – powiedział.

– Co takiego?

– Nikt nie chce mi go napęlić. – Kilkakrotnie próbował nawiązać kontakt wzrokowy z chłopcem roznoszącym wino, ale ten za każdym razem odwracał spojrzenie udając, że go nie widzi. – Przepraszam na chwilę – powiedział Agape i odwrócił się do ojca, sięgając niewygodnie, bo lewą ręką, ponad jego nakryciem. Zręcznie podmienił kielich mężczyzny na swój.

– Proszę bardzo – powiedział. – Jestem pewny, że tobie uda się go napęlić. – Rzucił ojcu wyzywające spojrzenie, a ten kiwnął głową.

– Również jestem tego pewien – odparł minister wojny i skinął dłonią na chłopca usługującego przy stole. Ten zbliżył się z dzbanem i nalał mu wina. Eugenides osuszył kielich ojca, po czym podsunął go służącemu. Chłopiec zawahał się i spojrzął na mężczyznę.

– Demosie – odezwał się Złodziej. – Przestań patrzeć na mojego ojca i napęlij mój kielich. – Minister wojny odwrócił wzrok, wbijając go w przeciwległą ścianę komnaty. Demos posłuchał, a Eugenides natychmiast

wychylił swój puchar. – Jeszcze raz. – Służący nie ośmielił się odmówić, podczas gdy ojciec Złodzieja siedział sztywno, zwrócony w drugą stronę.

– Dobry chłopak – mruknął Eugenides. – A teraz miej na oku ten kielich, bo nie chcę, by tego wieczora choć raz znów stał się pusty, zrozumiano?

– Tak, panie – potwierdził Demos, wycofując się.

– Naprawdę jesteś w paskudnym nastroju – zauważyła Agape.

– Owszem, a mówienie mi, że nie dostanę wina do obiadu tylko pogarsza sprawę.

– Upijanie się jest o wiele lepsze – zgodziła się dziewczyna.

Złodziej rzucił jej surowe spojrzenie.

– Agape, obawiam się, że wtrącasz się w nie swoje sprawy.

– Zgadza się.

– I nie zamierzasz przestać?

– Nie. – Uśmiechnęła się, a Eugenides, pomimo złego humoru, odpowiedział jej tym samym. Kapitulując na jakiś czas, nie dotknął już kielicha z winem. Po posiłku usprawiedliwił się grzecznie i zniknął. Poszukujący go ojciec nie znalazł go wśród żadnej z grup, które zebrały się w sali ceremonialnej na poobiednie rozmowy. Nikt nie widział też, by udał się na górę no swoich komnat.

Złodziej natomiast przemierzył chłostany deszczem bruk dziedzińca z dzbanem nierozcieńczonego wina pod pachą i skierował się w stronę koszar. Wiedział, że trunek sprawi, iż zostanie tam ciepło przyjęty i nikt nie będzie zadawał mu zbyt wielu pytań. Kilka godzin później wrócił do pałacu i swojej biblioteki. U progu zatrzymał się jednak chwiejnie, zobaczywszy w środku maga, pochylonego nad

papierami rozłożonymi na przydzielonym mu stole.

– Czekałem do późna, by mieć pewność, że już cię tu nie zastanę – powiedział Eugenides, ziewając.

– W przeciwieństwie do twojego ojca, nie czekam tu na ciebie – odparł mu oschle mężczyzna. – Mam pracę do wykonania i wolę, gdy nikt mi w tym nie przeszkadza.

– Był tu mój ojciec?

– Poszedł jakieś pół godziny temu. Zupełnie jakbym siedział w pokoju z bazyliuszkiem.

Eugenides wybuchnął śmiechem i przeszedł przez bibliotekę, kierując się do swojego pokoju.

– Cieszę się, że na niego nie wpadłem – powiedział.

Zwróciwszy uwagę na chwiejny chód chłopaka, mag przyznał mu rację.

– Też mnie to cieszy.

– Czy twoja muza każe ci pracować przez całą noc?

– Możliwe.

– Wątpię, jeśli potrafisz skupić się tylko wtedy, gdy nikt ci w tym nie przeszkadza – stwierdził zagadkowo Złodziej i zamknął za sobą drzwi.

Mag zamierzał posiedzieć nad papierami ledwie chwilę dłużej, ale zdekoncentrowany przez powrót Eugenidesa, zatopił się w myślach, przez co wciąż jeszcze przebywał w bibliotece, gdy rozległy się ochryple krzyki chłopaka. Odłożył pióro i nadstawił ucha.

Był nie tylko uczonym, ale i żołnierzem, więc zdążył oswoić się z odgłosem męskich krzyków. Zacisnął palce na nasadzie nosa, po czym z ociąganiem wstał i załomotał do drzwi sypialni Eugenidesa. Musiał dobijać się dość długo, zanim wreszcie krzyki ucichły. Przez chwilę nie słychać było żadnych dźwięków, ale wreszcie zasuwą została odsunięta, a Złodziej wyrzwał na zewnątrz. Po jednej stronie twarzy odcisnęła mu się poduszka, a jego włosy były mokre od potu.

– To tylko złe sny – powiedział cicho.

– Usiądziesz przy ogniu? – zapytał mag.

Chłopak wszedł chwiejnym krokiem w krąg światła, opadł na krzesło i jęknął.

– Moja głowa. – To powinno okazać się skuteczniejsze niż kazanie twojego ojca. – Mężczyzna sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Nigdy nie słyszałeś kazania mojego ojca – zaprotestował Eugenides.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytał mag, siadając na sąsiednim krześle.

– O kazaniach? Niespecjalnie. Nigdy nie mówi zbyt wiele, ale zawsze na temat.

– Miałem na myśli koszmary.

– Aha. Nie. Nie chcę o tym rozmawiać.

– W takim razie może o pogodzie?

– Nie, dziękuję. O zbiorach też nie. Powiedz mi lepiej, dlaczego król Sounis chce poślubić królową Eddis. – Już kiedyś pytał o to maga.

– Polityczne korzyści wynikające z takiego mariażu są dość oczywiste.

Złodziej ostrożnie pokręcił głową ze względu na ból rozsadzający mu czaszkę, który zajął miejsce otępienia po spożyciu zbyt dużej ilości wina.

– Nie chodzi mi o kwestie polityczne. Zależy mi na czymś więcej.

– Eddis jest wspaniała, Genie. Jest bardzo młoda, prawie tak młoda jak ty, a już ma na swoim koncie wiele sukcesów przywódczych, posiada też dar rządzenia. Jej reformy prawne w ciągu siedmiu lat zmieniły kraj do tego stopnia, że nikt by w to nie uwierzył, kiedy dopiero zasiadała na tronie. Jeśli natomiast chodzi o osobowość, ma w sobie pewien... zniewalający urok.

– Jest brzydka – zaprotestował Eugenides.

Mag zawahał się.

– Być może rzeczywiście daleko jej do konwencjonalnego ideału piękna.

– Jest niska, szeroka w barkach i przypomina jastrzębia z tym swoim złamanym nosem. Jak dla mnie to owszem, daleko jej do ideału.

– Ale ma przepiękny uśmiech – padła riposta mężczyzny.

– O tak – tu Eugenides musiał przyznać mu rację. – Widziałem, jak po jednym z takich uśmiechów, mężczyźni padali na kolana i błagali ją, by pozwoliła im przejść dla siebie po rozżarzonych węglach.

Mag wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że mój król też chciałby zostać nim obdarowany. Złodziej kiwnął głową i zapatrzył się w ogień. – Agape – powiedział po chwili. – Hmm? – zapytał mag, zaskoczony nagłą zmianą tematu. – Agape, kuzynka królowej. Są do siebie bardzo podobne. – To także twoja kuzynka, prawda? – Oj, wiesz jak to jest. Tutaj wszyscy jesteśmy kuzynami. W tym przypadku, to pokrewieństwo innego rodzaju. Agape jest córką siostry matki królowej, ja natomiast jestem spokrewniony z królową przez mojego ojca, który jest bratem jej ojca. Wydaje mi się, że dziadek Agape był przyrodnim bratem mojego dziadka. – Chłopak machnął ręką, dając sobie spokój z genealogią. – Mamy specjalnych kapłanów, którzy zajmują się tego typu rzeczami i całymi miesiącami sprawdzają, kto może kogo poślubić. Agape jest bliżej spokrewniona z królową niż ze mną i jest do niej bardzo podobna.

– To prawda.

– Może nakłonisz Sounisa, żeby to z nią się ożenił? – podsunął Eugenides.

– Może.

– Biedna Agape – mruknął ze smutkiem Złodziej.

– Nie należy go tak jednoznacznie potępiać. – Mag stanął w obronie swego króla.

– Pewnie nie – zgodził się chłopak – ale przyczynił się do rozlewu krwi, pragnąc kobiety, której nie może mieć.

– Nic nowego w historii świata.

– To prawda. – Eugenides zamyślił się. – Może powinienem okazać

więcej zrozumienia, ale chyba po prostu wrócę do łóżka.

– Mam zostać? – zapytał mag.

– Nie, nie zamierzam już polegać na winie w charakterze środka nasennego i po prostu wezmę trochę letium. – Niedbale pomachał mężczyźnie lewą ręką na dobranoc i zniknął we wnętrzu swego pokoju.

Rano poprosił o prywatną audiencję u królowej, którą zaplanował wspólnie z jej szambelanem, co w jego przypadku było dość niecodziennym krokiem. Na ogół, gdy chciał porozmawiać z Eddis, po prostu to robił, natomiast gdy zależało mu na prywatności, pojawiał się u jej boku, gdy nikogo nie było w pobliżu, niezależnie od tego, kiedy lub gdzie to mogło być. Po całych tygodniach milczenia, kiedy to zabarykadował się w swoim pokoju odwiedzony po raz pierwszy przez maga, zawitał w środku nocy do jej sypialni, nie budząc przy tym jej przybocznych, i poprosił o kilku ludzi oraz powóz, by móc zniszczyć flotę Sounisa.

Tym razem Eddis podjęła go w jednej z mniejszych sal audiencyjnych w nowszej części pałacu. Było to miejsce oficjalnych spotkań, więc w komnacie znajdował się tron, umieszczony na podwyższeniu, do którego prowadziły trzy stopnie. Królowej zawsze wydawało się, że siedząc na nim, wygląda niczym ptak na grzędzie, a nie dostojny monarcha. Spojrzała w dół na swojego Złodzieja.

– Prosisz o moje pozwolenie, by uciec i gdzieś się ukryć? – zapytała.

Eugenides wzdrygnął się, ale pokiwał głową. Stał przed władczynią ubrany w swą najlepszą tunikę, ze świeżo przystrzyżonymi włosami i gładko ogolonym podbródkiem.

– Tak – przyznał. – Proszę o twoje pozwolenie, by uciec i gdzieś się ukryć.

– Eugenidesie, nie możemy teraz pozwolić ci na zniknięcie w akcie rozpacz.

– Czy wyglądam na pogrążonego w rozpacz? – zapytał, wyciągając ramiona na boki.

– Przypuszczam, że ukrywasz to dla zachowania pozorów.

– Ukrywam coś gorszego od rozpacz – powiedział chłopak, a jego głos nabrał nagle ponurych tonów.

– A jest coś takiego?

– O tak. – Przystąpił z nogi na nogę i rozejrzał się po pustej komnacie. Odwrócił się plecami do królowej i wyglądało na to, że bardzo zainteresował go wzór z nachodzącymi na siebie złotych kwadratów, namalowany na ścianach pod sufitem. – Jestem przerażony – wyjaśnił.

Przekonana, że to żart, Eddis wybuchnęła śmiechem. Złodziej spojrzał na nią przelotnie, po czym odwrócił wzrok i królowa zamilkła.

Chłopak skrzyżował ramiona na piersi i wciąż stojąc do niej tyłem, przemówił do ściany:

– Wczoraj wieczorem, ci mężczyźni w sali...

– Tylko żartowali.

– Wiem, że żartowali, ale mnie to nie śmieszy – warknął, ale się opamiętał. Opuścił głowę i kontynuował przemowę do ściany: – Jedynym, czego pragnę, jest zabarykadować się w pokoju i naciągnąć sobie kołdrę na głowę. Zrobiłbym to, ale nie chcę ryzykować, że mógłbym zasnąć. To by było na tyle w kwestii bohatera Eddis – skwitował gorzko.

Odgarnął włosy z twarzy, po czym wsunął znów dłoń pod ramię.

– Pamiętam, jak wnosili mnie pod górę. A w każdym razie niektóre odcinki tej trasy. Pamiętam, jak myślałem sobie, że już nic, nic gorszego nie może mnie spotkać, bo wróciłem do domu. A potem usłyszałem, jak Galen mówi ci, że jeśli to śliwa, to stracę wzrok. – Potrząsnął głową. Królowa musiała powstrzymać się, by nie zrobić tego samego. – Za to teraz, jak widzę, ludzi bawi to, że oprócz tego mogę skończyć jeszcze głuchy i niemy.

Zaczął krążyć po pomieszczeniu.

– Jej następne uderzenie to w zasadzie atak – powiedział. – Jestem zbyt przerażony, by w ogóle opuścić swój pokój, nie wspominając już nawet o tym, żeby moja królowa miała ze mnie jakiś pożytek.

– Przecież nie jesteś w swoim pokoju.

– Nie, ale robię, co mogę, żeby nie przypominać górskiego zająca sparaliżowanego strachem i nie wiem, jak długo jeszcze dam radę. Właśnie dlatego nie odbywamy tej rozmowy w czasie porannej audiencji przed połową dworu.

Zatrzymał się gwałtownie i odwrócił się plecami do Eddis, by usiąść na podwyższeniu u jej stóp. Podciągnął kolana pod brodę i pochylił się nad nimi.

– Ble – mruknął, zniesmaczony samym sobą.

Spoglądając na niego z góry, królowa dostrzegła, że jego tunika zrobiła się za ciasna w ramionach. Przypomniała sobie, jak wiele razy komentował jej własne źle dopasowane stroje i zanotowała w pamięci, by w nieco bardziej sprzyjającej chwili kazać mu uszyć sobie nową koszulę. Stać go na to. W końcu przekazała mu wszystkie wpływy z dziesięciu przechwyconych attolijskich karawan handlowych.

– Eugenidesie – zaczęła, ostrożnie dobierając słowa. – Pozwalasz wyprowadzić się z równowagi gadaniną. Pustymi groźbami. Nie zrobiłaby żadnej z tych rzeczy.

– Tak ci się wydaje, ale obcięła język temu zdrajcy Maleverasowi i przez tydzień trzymała go w klatce na dziedzińcu zanim kazała go stracić.

– Była wtedy królową od niespełna roku. On natomiast przekonał połowę baronów, by jej nie wspierali, udając przy tym, że jest jej sprzymierzeńcem. Jego podburzanie kosztowało ją niemalże utratę tronu. Gdy wreszcie udało jej się odkryć zdradę, prawie nie miała już żadnej realnej

władzy, więc nie pozostało jej zbyt wiele możliwości wyboru. Gdyby nie zrobiła czegoś, co zniechęciłoby innych podżegaczy, mogłaby pożegnać się z koroną.

– A ten baron, który okradał jej skarbiec? Jemu też obcięła dłoń, prawda?

– Skazała go na śmierć. Zrobiłabym to samo, gdybym dowiedziała się, że jeden z moich poborców podatkowych w rzeczywistości finansuje bunt z mojej szkatuły. Dłoń odcięła mu pośmiertnie i kazała wystawić ją na widok publiczny jako przestrozę. Nie wydaje mi się, bym sama miała tak postąpić, ale też nigdy nie znalazłam się w takiej sytuacji.

Eugenides odwrócił się i spojrzał na nią przez ramię.

– Bronisz jej – zauważył.

Królowa Eddis syknęła z niezadowoleniem.

– Wcale nie chcę tego robić. Jest bezwzględna, okrutna, a wydaje mi się też, że z wolna popada w obłąd, ale staram się być uczciwa. Nie robi tych wszystkich okropieństw dla własnej przyjemności – stwierdziła stanowczo władczyni. – Ani z zemsty. Wykorzystuje je tylko jako czynnik odstrasżający, broni swojego tronu.

Dalsze słowa przemyślała dokładnie przed ich wypowiedzeniem.

– Wydaje mi się, że sama nie broniłabym własnego tronu akurat w taki sposób, ale tocząc tę wojnę, wcale nie uważam własnych działań za... godne pochwały. Nie wypowiedziałabym tej wojny tylko po to, by cię pomścić, Genie, ani nawet by cię ocalić. Mimo to wciąż zastanawiam się, czy nie przeoczyłam czasem możliwości dyplomatycznego rozwiązania sprawy i czy nie zrobiłam tego zaślepią gniewem.

Eugenides położył się na plecach na najniższym stopniu, krzyżując nogi na wysokości kostek i wciąż mając ręce założone na piersi. Zarówno hak, jak i jego uchwyt były inkrustowane złotem, przez co pasowały do złotej lamówki przy kołnierzyku i haftów na rękawach koszuli Złodzieja. To w jego

stylu, że będąc zmuszonym do noszenia czegoś, wybierał najwymyślniejszą rzecz z dostępnych. Eddis przyszło do głowy, że przypominał dobrze ubraną ozdobę pogrzebową. Chłopak obrócił się, by móc na nią spojrzeć i leżał tak bez słowa przez jakieś trzy czy cztery oddechy.

– Jeśli nie stosuje tortur dla własnej przyjemności, to dlaczego nie wybrała najrozsądniejszej możliwości i nie kazała mnie powiesić? – zapytał cicho. Było to pytanie bez odpowiedzi. Za chwilę dorzucił kolejne: – Jeśli ponownie uda jej się mnie schwytać, to chyba nie będzie mogła liczyć na lepszy czynnik odstrasżający?

Eddis zawahała się. W przeszłości Attolia pokazała już, że nie cofnie się przed niczym, by bronić tronu. Jak duże zagrożenie stanowił dla niej Eugenides? Zdaniem Eddis niezbyt duże, ale komu to oceniać? Królowa zastanowiła się głęboko i dopiero wtedy odpowiedziała.

– Jeśli kiedykolwiek znów dostanie cię w swoje ręce, natychmiast każe cię zabić. Postąpiła głupio, nie robiąc tego za pierwszym razem, ale, Eugenidesie – pochyliła się, by spojrzeć mu w oczy – nie dostanie cię w swoje ręce.

Eugenides zakrył twarz ramieniem.

– Wciąż sobie to powtarzam i wydaje mi się, że w to wierzę, dopóki nie pójdę spać. Powtarzam sobie, że ona nie jest... że nie robi tych rzeczy. Jednak boję się, że mimo wszystko postąpi inaczej – wyszeptał. – A wtedy żałuję, że mnie nie powiesiła. Klnę się na imię mojego boga, iż żałuję, że mnie nie powiesiła. I nienawidzę tego Medejszyka. – Wybuchnął śmiechem, a Eddis aż się wzdrygnęła.

– No więc – zaczął, odzyskawszy panowanie nad głosem – czy dostanę pozwolenie, by zniknąć dopóki nie przestanę przypominać przerażonego królika? Obawiam się, że pozostając tutaj, nie dam już rady udawać.

– Na jak długo? – Kilka dni, może dziesięć. – Dziesięć? – Może. –

Zniknij na tyle, na ile będziesz potrzebował – zgodziła się z ciężkim sercem królowa. – Powiem, że wysłałam cię do prowincji przybrzeżnych.

Poszło lepiej niż się spodziewał, ale Eugenides nie powiedział tego na głos. Wstał, uklonił się przed władczynią i wyszedł.

Nie było go przez dziesięć dni, a wrócił wczesnym rankiem jedenastego. Eddis dostrzegła go na tyłach sali tronowej w czasie porannej audiencji. Wyglądał na zmęczonego, ale odprężonego. Obserwował ją, gdy podejmowała decyzje w bieżących sprawach: komu przyznać pomoc finansową, w jaki sposób wesprzeć sieroty i wdowy po żołnierzach, co zrobić ze spalonymi gospodarstwami. Attolia i Sounis na chwilę obecną wydawali się zadowalać wojną między sobą, jednak w Eddis trzeba było uważnie obsadzić nieliczne grunty orne, albo, ze względu na wstrzymany handel, mieszkańcom nie wystarczy zapasów do przetrwania kolejnej zimy. Oddziały Sounisa wciąż tkwiły zablokowane na Tegmis. Król raz za razem występował z propozycją zawarcia pokoju. Attolia wciąż ją odrzucała.

W następnym tygodniu pojawiły się wieści, że Sounis wynegocjował zakup okrętów od anonimowej potęgi kontynentalnej, chcącej wesprzeć go w wojnie z Attolią. Statki miały dotrzeć w takim terminie, by przełamać blokadę Tegmis i wesprzeć atak lądowy jeszcze przed nadejściem letnich huraganów. Za jednym zamachem Sounis podwoił wielkość swojej floty i pozbawił Attolię możliwości zawarcia pokoju.

– Wiedział, że dostanie okręty, atakując Tegmis – powiedziała Eddis.

– Prawie na pewno.

* * *

Minister wojny przemawiał przed radą Eddis.

– Attolia toczy boje nie tylko z Sounisem, ale i własnymi baronami. Nie może jednocześnie dowodzić walkami na lądzie i kierować flotą, a jej nowi generałowie nie dadzą sobie rady z prowadzeniem wojny, jeśli baronowie

będą działać przeciwko interesom Attolii. Porażka pod Tegmis spowodowana była wyłącznie ingerencją barona Stadikosa w rozkazy Attolii. Sounis przygotowuje się już do odbicia utraconych przez siebie wysp. Rozpocznie kontrofensywę, kiedy tylko przybędą jego nowe okręty. Jeśli przejmie kontrolę nad wyspami, Attolia będzie miała trudności z powstrzymaniem ataku lądowego.

– Attolia jest świetnym strategiem. To pewne, że Sounisowi uda się odbić wyspy, nawet mając przewagę siły ognia? – padło pytanie.

Minister wojny wzruszył ramionami.

– Kto wie? Sounis nie jest wytrawnym myślicielem, ale nie jest też głupi. Do tej pory łudziliśmy się, że Attolia pokona Sounisa i zadowolony tym zwycięstwem, jako że nie będzie on dłużej zagrażał jej rządowi, natomiast jego celem od zawsze było rozszerzenie granic swego królestwa. Jeśli to on opanuje Attolię, wciąż może chcieć kontynuować wojnę z Eddis, tym razem na dwóch frontach. Jedynym okresem wytchnienia, na jaki możemy liczyć, będzie czas potrzebny mu na scementowanie władzy nad nowym terytorium.

– Niemniej jednak prawdziwym zagrożeniem jest dla nas obecność Medejczyków na wodach przybrzeżnych, a ta się wciąż nasila. Wątpliwe, by w najbliższym czasie Sounis odniósł tak druzgocące zwycięstwo, by udało mu się pojmać królową. Jeśli zwróci się ona do Medejczyków, ci zrobią wszystko, by posadzić ją znów na tronie w charakterze swej marionetki. Zyskają w ten sposób upragniony pretekst do zbrojnego lądowania na wybrzeżu i najprawdopodobniej opanują Sounis, a następnie także Eddis. Nawet jeśli nie posuną się do otwartego ataku, nasza sytuacja ulegnie pogorszeniu bez stałego rynku zbytu dla handlu. Tak więc dla nas najgorszym, co może się wydarzyć, jest zwrócenie się Attolii o pomoc do Medejczyków.

Królowa poprosiła zebranych o komentarze i rozmowy ciągnęły się

przez cały ranek, podczas gdy każdy aspekt toczonej wojny poddawano ponownej analizie.

– Wasza Wysokość – przemówił w końcu Złodziej. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się odezwać na spotkaniu rady, więc wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę w zaskoczeniu.

– Naszym celem było pozbawienie Attolii tronu tak, by nie wysłać przy tym zaproszenia Medejszykom. Gdyby udało się zapewnić stabilność rządów Attolii, a także dać jej trwały rząd, nieprzychylny jednocześnie wpływom Medei, realny stałby się sojusz między Eddis a Attolią, zdolny odeprzeć Sounisa.

– To prawda – zgodziła się władczyni.

– Wydaje mi się – ciągnął cicho Eugenides – że mógłbym zapewnić stabilność rządów attolijskiej królowej.

– Mów dalej – zachęciła go Eddis, a cała rada nadstawiła ucha.

– Attolia nie przebywa w stolicy. Jest w Efracie, na wybrzeżu. Nie ma tam pałacu z prawdziwego zdarzenia, a umocniony megaron w dawnym stylu, co oznacza, że nie mogę poruszać się po nim z równą łatwością, jak przykładowo po jej siedzibie w stolicy albo megaronie Sounisa. Niemniej jednak Efrata nie jest szczególnie mocno broniona. Sounis nie ma jeszcze floty, by móc przeprowadzić atak od strony morza, natomiast od Eddis dzielą miasto niższe, przybrzeżne łańcuchy górskie oraz Seperchia. By się tam dostać nasze wojska musiałyby przełamać blokadę u podnóża przełęczy, sforsować rzekę i pokonać wzgórze. Królowa nie obawia się więc ataku i ma przy sobie jedynie minimalny garnizon składający się z jej prywatnej gwardii.

Rada obserwowała go z wyczekiwaniem, wstrzymując oddech.

– Gdyby udało mi się dostać do Efraty, mógłbym porwać królową.

W przeszłości nie potrzebowałby pomocy, a sprawę przedyskutowałby z

królową w cztery oczy. Teraz przemawiał przed całą radą, a jej członkowie nie patrzyli to na niego, to na własne dłonie albo rzucali sobie nawzajem przelotne spojrzenia, a wszyscy pamiętali doskonale młodszego Eugenidesa, który zarzekał się, że nigdy nie będzie żołnierzem i nie chce mieć nic wspólnego z rzemiosłem, którego celem jest zabijanie ludzi.

– Będziemy potrzebować znacznych sił zdolnych zdobyć Efratę – powiedział chłopak.

– Jak mamy zdobyć Efratę? – zapytał jeden z mężczyzn przy stole. – Przecież właśnie powiedziałaś, że cała jej armia stacjonuje między nami a Seperchią.

Eugenides przeszedł do wyjaśnień. Gdy stopniowo przedstawiał im zawilości swego misternego planu, stało się jasne, gdzie przebywał przez ostatnie dziesięć dni. Królowa obserwowała go spod przymrużonych powiek słuchając, jak Złodziej mówi o zabraniu niewielkiego oddziału do Attolii i ominięciu wojsk obozujących nad brzegiem Seperchii.

– U podnóża gór granicy pilnują patrole – odezwał się jeden z obecnych na spotkaniu generałów. – Jakim cudem chcesz uniknąć wykrycia, prowadząc ze sobą większą grupę żołnierzy?

– Nikt nie patroluje dystopii.

– Z oczywistych powodów. – Dystopia była czarnym, skalistym terenem, powstałym po wybuchach Świętej Góry. Ziemia była tam żyzna, ale zbyt twarda i sucha, by ją uprawiać. Jedynym stałym źródłem wody była tam nieżeglowna rzeka Araktus, która spływała z bocznej grani Świętej Góry, przecinała dystopię i opadała na niżej położone pola, gdzie łączyła się z dużo większą Seperchią.

– Jak zamierzasz dostać się niepostrzeżenie na teren dystopii, a potem jeszcze go pokonać? – zapytał generał.

Eugenides spojrzał na ojca.

– Araktusem? – podsunął mężczyzna.

Złodziej pokiwał głową.

– Jak liczny jest garnizon w Efracie? – chciał wiedzieć minister wojny.

– Pięćdziesięciu ludzi.

Ojciec chłopaka zastanawiał się przez chwilę, po czym krótko skinął głową.

– To wykonalne – powiedział wreszcie.

Eugenides zwrócił się znów do generała.

– Widzisz, wykorzystując mniejszy oddział, możemy ominąć attolijską armię. Możemy zająć megaron, wcale nie zamierzając go utrzymać, bo nie będzie dla nas istotny, kiedy już zabierzemy stamtąd królową.

– Masz pewność, że ona tam jest?

– Tak.

– I że będzie tam w chwili naszego ataku?

– Da się to sprawdzić. Nim ktokolwiek inny zdążył się odezwać, rozległo się chrząknięcie królowej. Oczy wszystkich, z wyjątkiem Eugenidesa, zwróciły się w jej stronę. On wbił wzrok w podłogę.

– Gdybyście mogli zostawić nas samych – powiedziała cicho Eddis. – Chcę pomówić z moim Złodziejem.

Niepewni, co wywołało jej gniew, członkowie rady pospiesznie zebrali swoje papiery i wyszli. Królowa obrzuciła Eugenidesa spojrzeniem ponad opustoszałym stołem.

– Pięćdziesięciu ludzi – powiedziała.

– Zgadza się.

– Liczyłeś?

– Najdokładniej, jak tylko potrafiłem.

Eddis wykonała gest dłonią, wskazując na puste siedzenia przy stole.

– Oni wszyscy myślą, że to ja cię tam posłałam. Myślą, że udałeś się do

Attolii na mój rozkaz. Dałam ci pozwolenie na ucieczkę i ukrycie się, a nie na zakradanie się pod megaron Attolii, żeby znów mogła cię schwytać. Już całkiem postradałeś zmysły?! – krzyknęła. Wstając, rozrzuciła stosy papierów i strąciła pióro, które zostawiło na blacie rozmazane, czarne kropki atramentu.

– Bałem się. Nie mogłem tak po prostu siedzieć tu, bać się i nic z tym nie zrobić.

– I dlatego zrobiłeś coś takiego? Jasna cholera. Co bym zrobiła, gdyby znów cię schwytała?

– Byłem w lesie i obserwowałem ludzi wchodzących i wychodzących z megaronu. Nie zbliżałem się do niej.

– Nie zapuszczałeś się nigdzie dalej? Tylko do lasu?

Eugenides zawahał się.

– Raz byłem w mieście.

Eddis tylko wpatrywała się w niego, czekając.

– I obejrzałem zewnętrzne mury megaronu.

– Co bym zrobiła – powtórzyła cicho królowa, a w jej cichym głosie pobrzmiwało więcej bólu niż w krzyku – co ja bym zrobiła, gdyby schwytała cię i pocięła na kawałki, a potem mi je odesłała?

– Pewnie byś je pochowała – odparł chłopak. Królowa opadła na oparcie tronu i skrzyżowała ręce na piersi. Przez dłuższą chwilę przyglądała się Złodziejowi, a on czekał cierpliwie.

– A teraz chcesz tam wrócić – powiedziała wreszcie.

– Tak.

– Eugenidesie, jesteś jak dziecko, które oparzyło się od imbryka, a teraz chce wejść w ogień.

– Nie jestem dzieckiem.

– Możemy wysłać kogoś innego – powiedziała Eddis, ignorując go i

rozpatrując alternatywy.

– Nie ma nikogo innego – zaprotestował stanowczo Złodziej, przeszkadzając jej w myśleniu. – Poza tym chcę to zrobić.

– Nie wierzę ci. Jeśli chcesz tego naprawdę, powinnam trzymać cię pod kluczem, dopóki się nie opamiętasz. Musi być ktoś inny.

– Nie.

– Tak.

– Kto? – zapytał chłopak.

– Genie, gdybyś miał to zrobić i stać się taki, jak ona, byłoby to gorsze niż cię stracić.

Eugenides podszedł bliżej i usiadł na podnóżku obok jej krzesła.

– Jestem twoim Złodziejem. Jak już kiedyś sama zauważyłaś, jestem też członkiem rodziny królewskiej. Nie ma nikogo innego, kogo mogłabyś posłać. A poza tym, Moja Królowo, chcę to zrobić. – Chłopak podniósł wzrok i spojrzał na nią. – Nie potrafię ci wyjaśnić, dlaczego. Może i jest ona demonem z piekła rodem, że tak się przez nią czuję, ale choćbym miał nienawidzić się przez resztę życia, chcę tego. – Pokręcił głową, być może w pogardzie dla samego siebie, po czym wzruszył ramionami. – Śnię o niej każdej nocy.

Eddis popatrzyła na niego i odparła oschle:

– Słyszeliśmy twoje krzyki.

Złodziej wybuchnął śmiechem, którego ostre brzmienie przypominało odgłos rozłupywanego drewna.

– Nie mogę tego zrobić, chyba że na twoje polecenie. – Oparł się o jej nogi i odchylił głowę do tyłu, by na nią spojrzeć. – Moja Królowo – powiedział łagodnie – Nie możesz mówić mi, że jestem dorosłym bohaterem, a potem trzymać mnie przy swojej spódnicy jak małego chłopca. Puść mnie.

– Och, Genie. Mówiąc, że Eddis oczekuje od ciebie czegoś więcej, nie

miałam na myśli tego.

Władczyni przez dłuższą chwilę przyglądała się własnym dłoniom.

– Dobrze – przemówiła wreszcie. – Idź i ukradnij królową Attolii.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przygotowania do realizacji planu Eugenidesa wymagały czasu. Spadły wiosenne deszcze. Eddis pokryło się soczystą zielenią świeżej roślinności, odcinającą się wyraźnie od perłowo-szarego nieba. Niezależni kupcy zawijali ukradkiem do maleńkich portów na wybrzeżu górskiego kraju, a przywożone przez nich dostawy zanoszono w górę klifów do prowincji przybrzeżnych. Natomiast w stolicy kobiety oraz mężczyźni zbyt starzy, by walczyć, szyli pikowane tuniki, stanowiące umundurowanie żołnierzy. Żołnierze trenowali. Kuzyn Eugenidesa, Crodes, który pełnił rolę królewskiego posłańca, poświęcał kilka godzin dziennie na ćwiczenie wymowy, natomiast sam Złodziej brał lekcje jeździectwa, gorzko przy tym narzekając.

Pewnej nocy królowa Attolii udała się późno do swych komnat w megaronie w Efracie. Godzinami ślęczała nad papierami rozłożonymi na biurku, ponadto zapisała dodatkowych wiele stron, zaklejając wiadomości woskiem i odciskając w nim noszony na palcu pierścień, służący jej jako jedna z wielu pieczęci. Rankiem posłańcy wyposażeni w skórzane torby oznakowane insygniami królowej będą mieli pełne ręce roboty. Niektórzy wyruszą w głąb Attolii, inni wsiądą na niewielkie, szybkie statki czekające na nich w porcie.

Królowa była zmęczona. Usiadła, z trudem utrzymując uniesioną głowę, a Frezyna zabrała się za ostrożne rozczesywanie jej włosów i zaplatanie ich w warkocz, który władczyni zawsze nosiła do snu. Rozplątując długie pukle Attolii, służka zażartowała z cieni pod jej oczami.

– Zapracujesz się na śmierć. Twoja uroda przeminie, a zalotnicy

przestaną się tobą interesować.

– To tylko maska, Frezyno. Żaden z zalotników nie jest mną zainteresowany.

– Cóż, ta maska wkrótce zniknie, jeśli nie zaczniesz lepiej o siebie dbać.

– To zastąpi ją inna.

– Którą będzie?

– Władza. Coś, co mężczyźni lubią mieć dla siebie, a nie podoba im się u kobiet.

– W takim razie musisz wyjść za mąż zanim twa uroda przeminie, czyż nie? – Frezyna wkroczyła ostrożnie na niebezpieczny teren. Zbyt nie spoufalanie się z Jej Wysokością nie popłacało. Kobieta nigdy nie widziała wprawdzie, by królowa straciła nad sobą panowanie, ale nie należało lekceważyć jej napomnień. Zawsze była uprzejma dla swoich przybocznych i na swój sposób miała dla nich dużo życzliwości. Być może właśnie dlatego, że nie dopuszczała nikogo bliżej, najmniejsze oznaki zaufania były wysoko cenione przez jej służki. Mimo to jednak, nad krajem i dworem sprawowała rządy żelaznej ręki. Przerwawszy pracę, Frezyna doszła do wniosku, że z tego co jej wiadomo, królowa rzeczywiście była równie bezwzględna jak się wydawało, a przybocznej za bardzo zależało na swojej pozycji, by ryzykować jej utratę przez nieostrożne mielenie językiem.

– Frezyno – odezwała się królowa nie odwracając głowy. – Mogę czytać ci w myślach.

Wyrwana ze swych rozważań, kobieta wróciła do pracy.

– W takim razie wiesz dobrze, że stara Frezyna nie życzy ci źle – powiedziała.

Gdy służąca wyszła, w pokoju zapanowała cisza przerywana jedynie bezustannym szumem fal, dochodzącym zza otwartego okna. Cienki plasterk księżycy przesuwiał się powoli po niebie, aż wreszcie jego blask

zaczął padać na dywan Attolii. Ta wciąż nie spała. Wstała z łóżka i zdjęła z wezglowia przewieszony przez nie szlafrok. Jeszcze rok wcześniej w takiej sytuacji natychmiast pojawiłaby się u jej boku jedna z przybocznych, gotowa usłużyć niemogącej zasnąć królowej, jednak już jakiś czas temu władczyni zabroniła im przebywać w jej komnatach w ciągu nocy. Sama potrafiła nalać sobie wody, gdy dopadało ją pragnienie. Poza tym chciała być sama.

Wsunęła ręce w szerokie rękawy szlafroka i owinęła się tkaniną, po czym przyciągnęła krzesło do okna, by móc siedzieć w blasku księżyca.

– A niech go cholera. Cholera, cholera, cholera – zaklęła pod nosem, zupełnie jakby jej złowróżbne słowa mogły spaść na Złodzieja Eddis niczym kamienie i przytłoczyć go swoją masą.

Westchnęła i spróbowała pozbierać myśli. Skoro już i tak nie spała, to trzeba było zająć się pewnymi problemami natury strategicznej. Ambasador z Medei okazywał jej nieustające zainteresowanie. Jako bliski krewny cesarza i brat następcy jego tronu był odpowiednim zalotnikiem. Nie ulegało wątpliwości, dlaczego wybrano go na ambasadora. Attolia wolałaby jedynie, by mężczyzna nie natłuszczał tak mocno brody. Zapach olejku, którego używał, był wprost odurzający.

Królowa wróciła znów myślami do aromatu olejku do włosów, którego używała będąc dzieckiem. Kiedy roztrzaskała ostatnią amforę z tym pachnidłem, już nigdy więcej nie namaściła nim pukli. Tego samego dnia, po upadku z konia, zginął jej starszy brat i nagle znajoma ziemia zaczęła usuwać jej się spod nóg. Zmienił się cały jej świat, a ona sama stała się inną osobą w nowych komnatach w pałacu, z nowym widokiem z okien, a zamiast kojącej obecności niańki miały towarzyszyć jej od teraz powściągliwe twarze nieznanomych służących. Przestała być zwykłą księżniczką z rodziny królewskiej, która za kilka lat wyszłaby spokojnie za mąż, ale księżniczką, której małżonek miał zostać następnym królem Attolii. Przyniesiono jej

biżuterię zmarłej matki, odebraną konkubinom jej ojca. Grzebyki w jej włosach zaczęły być ozdobniejsze, kolczyki w uszach cięższe, a olejki, którymi pielęgnowano jej włosy pachniały droższymi składnikami.

W ciągu miesiąca ojciec wybrał jej męża, sprzedając ją synowi najpotężniejszego barona w zamian za obietnicę spokojnego końca rządów. Siedząc na krześle w świetle księżyca, Attolia wróciła pamięcią do roku zaręczyn, który spędziła wraz z rodziną przyszłego małżonka, jak nakazywała tradycja. Otoczona przez obcych ludzi i całkowicie odizolowana od sojuszników, przysłuchiwała się jak jej narzeczony wraz ze swym ojcem snują plany zniszczenia króla i wyciśnięcia z jej tronu tyle władzy oraz bogactw, ile tylko się da, a następnie ogołocenia kraju dla zaspokojenia własnej chciwości.

Siedząc w kącie i w ciszy przędąc lub wyszywając kołnierzyki koszul narzeczonego, przysłuchiwała się, jak za wszelką cenę próbował realizować założenia ojca, skwapliwie wykorzystując każdą okazję do zdrady lub zniesławienia kogoś. To właśnie on nazwał ją księżniczką-cieniem. Zwykł mawiać, że jest milcząca i mdła jak cień i miał rację. Zmuszona szybko wydorosnąć, dziewczyna była za wysoka i niezgrabna. Miała wydłużoną twarz, a udoskonaliwszy sztukę ukrywania swych uczuć, sprawiała wrażenie pospolitej i niezbyt bystrej. Siedzące w kącie wraz z nią inne damy spuszczały skromnie oczy i obnosiły się przed nią ze złotymi kolczykami i bransoletami, którymi przy okazji każdej wizyty obdarowywał je jej narzeczony. Nazywał ją księżniczką-cieniem, która, jak stwierdził, pewnego dnia zostanie królową-cieniem.

Attolia posiadała niewiele własnych błyskotek, ale siedząc i haftując w ciszy, myślała o królewskiej biżuterii, która kiedyś stanie się jej własnością. Przysłuchiwała się planom przyszłego teścia i snuła własne. Zbierała po jednym liściu z krzewów koleusa w ogrodzie. Tworzyły one żywopłoty,

rosnące wzdłuż alejek wokół willi. Liście ukrywała następnie w węźle zawiązanym na jednej ze swoich szarf, a tę zawiesiła w szafie. Na sześć tygodni przed planowanym powrotem do zamku, by rozpocząć przygotowania do ślubu, przysłała wiadomość, że jej ojciec nie żyje. Narzeczony odwiedził ją w jej komnatach z tak obłudną powagą malującą się na twarzy, że aż było to dla niej obelgą, i poinformował ją, że jej ojca otruła jakiś nieznany zabójca. Księżniczka poczuła, jak jej własne oblicze zamienia się w kamienną maskę. Uciekła do swej sypialni i czekała na łązy, ale nie pojawiła się ani jedna. Wreszcie uznała, że nie są one potrzebne. Czyż jej ojciec nie dostał tego, czego oczekiwał? Czyż nie zakończył rządów bez wojny?

Wróciła do stolicy, gdzie obserwowali ją szpiedzy jej narzeczonego, acz niezbyt uważnie. Była w końcu księżniczką-cieniem, mdłą i milczącą. Czekwała, zachowując wszelkie pozory bierności, podczas gdy przygotowywano najpierw pogrzeb jej ojca, a potem jej własne wesele. Wreszcie, w czasie uczyty weselnej, na oczach lordów i swoich dam dworu, Attolia otruła pana młodego.

Mężczyzna miał obrzydliwy nawyk zjadania jej posiłku po zakończeniu własnego. Osuszywszy własny kielich z winem, bez pytania sięgał po jej puchar, upewniwszy się jedynie uprzednio, że sama już z niego piła. Attolia przesiedziała całą ucztę z ustami piekącymi od sproszkowanych liści koleusa, które dotknęły jej warg, gdy udawała, że sący trunek, a potem patrzyła, jak małżonek odbiera jej naczynie równie swobodnie, jak zrobił to z jej krajem, krztusi się i umiera.

Attolijscy lordowie zwrócili się przeciw sobie, szukając zabójcy, natomiast królowa zaszyła się w swych komnatach i czekała, podczas gdy baronowie toczyli spory o to, kto zostanie królem. Wreszcie późną nocą wezwano ją przed oblicze człowieka, któremu przy pomocy gróźb i obietnic

udało się zyskać dostatecznie wielu sprzymierzeńców, by móc ogłosić się królem. Wciąż mimowolnie zaciskała dłonie w pięści na wspomnienie pogardy malującej się na twarzy posłanej po nią służącej. Baronowie zmierzyli Attolię wzrokiem w takim sam sposób, jaki widziała u mężczyzn taksujących niewolnice, a jeden z nich wybuchnął śmiechem, gdy przemierzyła komnatę, by usiąść na tronie. Ten sam człowiek kazał jej przygotować się do ślubu z nim następnego ranka. Attolia kiwnęła sztywno głową z beznamiętnym wyrazem twarzy, a kapitan jej gwardii uniósł kuszę i wystrzelił bełt prosto w serce pretendenta.

Taka odpowiedź wywarła zamierzony efekt. Pośród pełnej oszołomienia ciszy, jaka zapanowała w komnacie, królowa podzieliła dobra martwego barona między jego konkurentów i oznajmiła, że sama wybierze nowego króla Attolii. Następnie wróciła do swych komnat, dając zgromadzonym czas na zaakceptowanie nowej rzeczywistości pod jej rządami: z gwardzistami naokoło, zakładnikami i kontrolowaną przez królową armią.

Nie nazywano jej królową-cieniem. Królewska biżuteria była jej jedynym bogactwem. Biżuteria, a także wiedza, którą zdobyła słuchając ojca swego narzeczonego, gdy ten próbował wbić tępemu synowi do głowy zawilości intrygi mającej na celu zdobycie tronu.

Oceniła otaczające ją kobiety i mężczyzn, i uważnie rozdysponowała swe kosztowności. Złote pszczoły – kolczyki w kolorze miodu, starsze niż sama monarchia – brosze, fibule, rubinowe kolczyki, naszyjniki ze złota i bransolety, wszystkie trafiły w starannie wybrane ręce. W ciągu poprzedniego roku dowiedziała się wszystkiego, co powinna wiedzieć o najpotężniejszych baronach swego ojca i, gdy oni sprzeczali się, kto zostanie następnym królem, ona uczyniła się królową.

Dotrzymała umów zawartych z oficerami armii, awansując ich poza hierarchią feudalną i tworząc nowy model wojska, odpowiadającego

bezpośrednio przed nią, a nie przed dowolnym ze skłonnych do wprowadzania podziałów baronów. Dzięki nowej armii zniszczyła niedoszłego teścia i przejęła dobra swych przeciwników, by ugłaskać baronów i wzbogacić popleczników.

Kamienna maska, pod którą ukrywała swe uczucia, stawała się cięższa, w miarę jak Attolia musiała podejmować coraz bardziej radykalne kroki, byle tylko utrzymać tron. Otoczona przez ludzi, którzy nienawidzili jej albo się jej bali, nie ufała nikomu i powtarzała sobie, że wcale nie musi. Tylko raz, bezpośrednio po przejęciu władzy, próbowała sprowadzić swoją dawną niańkę, by ta została jej przyboczną, ale kobieta odmówiła. Rozwścieczona Attolia pojechała do wioski, w której tamta mieszkała, zamierzając aresztować ją za odrzucenie zaufania, jakim obdarzyła ją królowa.

Niańka, która opiekując się nią była jeszcze młodą dziewczyną, osiągnęła już wiek średni. Wyszła za mąż i miała dzieci. Stojąc na podwórzu swego domu i spoglądając na władczynię, zapytała:

– Gdzie są moje dzieci? Gdzie mój mąż, Wasza Wysokość?

Attolia nie zauważyła ich nieobecności, ale też nie obchodziło jej to zbyt, dopóki kobieta nie zwróciła na to jej uwagi.

Niańka podeszła bliżej i wyjaśniła:

– Przybyło do mnie dwóch mężczyzn mówiąc, że zajmą się moimi dziećmi, kiedy ja pójdę na służbę do królowej. Czy to ty ich przysłałaś?

Attolia pokręciła głową, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Tak też myślałam. Póki co, mój mąż ukrywa się wraz z dziećmi, ale czy będą bezpieczni, gdy pójdę do ciebie na służbę? I czy będziesz w stanie mi zaufać, nie mogąc ich ochronić?

Kobieta wyciągnęła rękę i położyła dłoń na kolanie Attolii w błagalnym, ale i pocieszającym geście. Królowa potrząsnęła głową.

– Wasza Wysokość, szukasz swej niańki, by mieć kogoś, komu

mogłabyś bezgranicznie zaufać, ale jej już nie ma. Nie ma tu nikogo, komu mogłabyś zaufać. – Attolia zawróciła konia i odjechała.

Tego samego roku kazała zrobić dla siebie złotą opaskę z rubinami, którą nosiła na włosach zamiast królewskiej biżuterii. Była ona kopią wstęgi, którą miał na głowie słynny posąg Hefestii z głównej świątyni w Eddis. Wielka Bogini rządziła dawnymi bogami, tak jak Attolia zamierzała rządzić swymi baronami, w pojedynkę.

Wróciły do niej złote pszczoły i reszta królewskich kosztowności. Część odkupiła od ludzi, których nimi przekupiła, dla innych, których nie udało jej się odzyskać, musiała zamówić zamienniki, ale wciąż nosiła opaskę, by przypominać swym poddanym o swej władzy. Nocami przechowywała ją w wykładanej aksamitem szkatułce niedaleko łóżka.

Pewnego ranka zauważyła, że opaska została nieco przesunięta, a obok niej leżała para pasujących, rubinowych kolczyków. Z początku królowa myślała, że podarunek ten, dostarczony tu zapewne z pomocą jednej z przybocznych, miał być pochlebstwem, być może ze strony nowo przybyłego ambasadora z Medei, jednak zanim zdecydowała się spytać o to swoje służące, zaczęło dręczyć ją podejrzenie, że nie jest to wcale pochlebstwo, a kolejna drwina ze strony Złodzieja Eddis. Nigdy nie założyła tych kolczyków. Trzymała je w osobnym puzderku, obok szkatułki z opaską.

Skąpana w blasku księżyca, Attolia westchnęła, wstała sztywno z krzesła i poszła obejrzeć kolczyki. Otworzyła kasetkę i trąciła je paznokciem palca wskazującego, obawiając się ich dotknąć, zupełnie jakby mogły parzyć. Po chwili zatrzasnęła wieczko, rzuciła szlafrok na krzesło i wróciła do łóżka. Wreszcie zasnęła.

– Odbiła Tegmis. – Nahuseresz siedział w swym gabinecie, postukując krawędzią złożonej wiadomości o kolano.

Kamet zatrzymał się w drzwiach.

– Będziesz mieć pretekst potrzebny nam do wylądowania? – zapytał.

Ambasador podniósł z biurka list od cesarza. Władca życzył sobie zostać poinformowany o postępach, nie będzie więc zadowolony słysząc, że Tegmis znów znalazło się w rękach Attolii. Nahuseresz nie odpowiedział na pytanie sekretarza, lecz zaczął głośno myśleć.

– Nie widziałem wszystkich jej generałów. Jest na tyle sprytna, że ukrywa ich przede mną, odsyłając jednego, gdy rozmawia z innym i nigdy nie daje mi okazji, bym mógł przyjrzeć się im dokładniej. Gdybym wiedział, który z nich miał w planach odbicie Tegmis, mógłbym go zabić, tym samym osłabiając ją. Wtedy, desperacko potrzebując pomocy, byłaby gotowa oddać nam absolutnie wszystko.

– A jeśli nie uda ci się zidentyfikować generałów, na których ona polega i pozbawić ją wsparcia wojska, to co wtedy? – zapytał Kamet. – Cesarz nie rozpocznie wojny z Siłami Kontynentu. Na mocy traktatu zobowiązały się one bronić swego wybrzeża, jeśli je zaatakujecie.

– Tak czy inaczej, dostaniemy jeszcze zaproszenie, a kiedy już zostaniemy tu sprowadzeni, trudno będzie się nas pozbyć – odparł Medejczyk. – Ale Kamecie, zauważyłem u ciebie ostatnio niepokojącą tendencję do mylenia zaimków. Mówisz „jeśli zaatakujecie” zamiast „jeśli zaatakujemy“.

Sekretarz spuścił wzrok i znieruchomiał.

– Proszę o wybaczenie – powiedział.

– Ależ oczywiście – zgodził się Nahuseresz. Spojrzał na mężczyznę spod zmrużonych powiek. – Czyżby kusiły cię barbarzyńskie przyjemności?

Niewolnik pokręcił lekko głową, nie odrywając wzroku od stojącego przed nim stołu.

– Mam nadzieję, że cię nie rozgniewałem. – Podniósł oczy i zaryzykował skromny uśmiech.

– Na niebiosa – zawołał Medejczyk. – Kamecie, ty się zakochałeś.

Sekretarz znów spuścił wzrok.

– Jest bardzo piękna – powiedział na swą obronę.

Nahuseresz wybuchnął śmiechem.

– To prawda. Jej uroda wzbudziłaby zachwyt nawet na cesarskim dworze, ale nie spodziewałem się, że ulegniesz ładnej twarzyczce.

Niewolnik wzruszył ramionami. Miał w sobie dość rozsądku, by nie zdradzać się z faktem, że coraz bardziej współczuł barbarzyńskiej królowej w miarę, jak pozostawało jej coraz mniej pola do manewru, a wolność przeciekała jej przez palce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Królewski inżynier zbadał przepływ wody przelewającej się przez śluzę w tamie na Zbiorniku Hamiatesa i poinformował królową Eddis o wynikach pomiarów. Ze względu na obfite, wiosenne deszcze i roztopy, wrota zbiornika pozostawały otwarte. Zamknięcie groziłoby ich zniszczeniem.

Gdy strumień wody wreszcie się zmniejszył, w krajach nizinnych nastąpiło już lato, a Attolia i Sounis wciąż toczyli wojnę, trzymając Eddis w kleszczach z armią Attolii po jednej stronie górskiej przełęczy, a Sounisa po drugiej. Attolia wycofała się z wysp zaatakowanych przez Sounisa, czekając cierpliwie, aż jej przeciwnik popełni błąd. W końcu inżynier doniósł królowej, że nie ryzykując zniszczeń, można bezpiecznie zamknąć wrota zbiornika, przynajmniej na dzień lub na noc, zamieniając w ten sposób Araktusa w wąski strumyk. Wojsko Eddis wyruszyło ze szczytu przełęczy do Attolii, pozostawiając mniejsze siły do obrony głównego mostu, w razie gdyby Sounis postanowił zaatakować górski kraj, kiedy jego oddziały będą związane potyczką gdzie indziej.

Płonące po zmroku ogniska zdradzały rozmiary sił Eddis koncentrujących się przeciwko Attolii, więc w odpowiedzi jej armia zaczęła własne przygotowania. Attolia spodziewała się, że rywalka będzie zmuszona podjąć próby odparcia przeciwników, bo w przeciwnym razie zimą zajrzy im w oczy widmo głodu.

– Nie zawarła sojuszu z Sounisem? To pewne? – zapytała sekretarza archiwum.

– Nic nie jest pewne, Wasza Wysokość. – Relius zrobił się ostrożniejszy,

od kiedy Złodziej Eddis wrócił do czynnej służby. – Jednak jeśli Sounis zawarł jakiegokolwiek porozumienie z Eddis, to nie wie o tym nikt poza nimi dwojgiem. Nie znaczy to, że miałby przepuścić okazję do ataku, kiedy uwikłasz się w walki na lądzie.

– Poradzimy sobie z utrzymaniem wybrzeża – odparła nieprzejęta tym królowa. – A nawet jeśli stracimy wyspy, to ostatecznie i tak je odzyskamy. Dopóki kontrolujemy Tegmis i Solon, nie będzie mu łatwo wszcząć wojnę na lądzie. Mam wrażenie, że Eddis popełnia błąd taktyczny, jeśli sądzi, że wraz z Sounisem może złapać nas w kleszcze.

– Czy zamierzasz wykorzystać medejskie okręty, by utrzymać na dystans flotę Sounisa?

Attolia pokręciła głową.

– Nie. Nie potrzebujemy do tego ich pomocy.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, inżynier przy Zbiorniku Hamiatesa rozkazał zamknąć śluzę i uważnie obserwował cały proces. Woda napierała na drewniane wrota, wytryskując strumieniami przez wąskie szczeliny, ale tama nie ustąpiła. Królewski posłaniec zaniósł wieści do pałacu, a oczekujący na nie mężczyźni zabrali się za przygotowania do wymarszu. Eddis rozmówiła się po raz ostatni z dowodzącym nimi generałem i oficerami, a także ze swym Złodziejem. Udzieliwszy im ostatnich instrukcji, posłała ich w drogę. Przywołała jednak Złodzieja, gdy ten dotarł do schodów prowadzących ku drzwiom.

– Moja Królowo? – Chłopak odwrócił się, niepewny, czego od niego oczekiwała.

– Tylko tyle – odparła Eddis.

Eugenides uśmiechnął się i skinął jej głową.

– Moja Królowo – powtórzył, może po raz ostatni. I wyszedł.

W miejscu, gdzie jeszcze niedawno toczył swe wody Araktus, grupa

żołnierzy wyruszyła w trudną podróż w ciemnościach, niemal natychmiast przemaczając nogi w strudze uporczywie wyciekającej zza wrót zbiornika. Wielu z nich oglądało się przez ramię na tamę, dopóki ta nie zniknęła im z oczu.

Ponieważ światło pochodni zostałyby dostrzeżone w Attolii z daleka, a wieść o tym natychmiast zostałaaby zaniesiona do stolicy, mężczyźni szli gęsiego, korzystając jedynie z blasku księżyca w pełni. Po obu ich stronach wznosiły się ściany osuszonego kanionu. W gładkich, kamiennych zboczach nie było zbyt wielu wyłomów, cienie ścieliły się więc tak jednolicie, że łatwo mogły zwieść nieuważną osobę. Dno było skaliste i nierówne, a wielu z mężczyzn niosło nie tylko broń i sprzęt, ale i drabiny. Ci na tyłach zmagali się za to z bloczkami i wielokrążkami, drewnianymi belkami ociosanymi z grubsza na kwadratowo, drewnianymi lawetami i działami.

Co jakiś czas mijali oficerów spoglądających w górę rzeki i liczących minuty przy pomocy zegarków kieszonkowych. Mężczyźni też rzucali pełne obawy spojrzenia w tym samym kierunku i brnęli naprzód najszybciej jak tylko mogli, niekiedy przez wodę sięgającą im aż do pasa. Eugenides maszerował przed działami i niepokoił się nie mniej niż żołnierze królowej.

Wszyscy odetchnęli z ulgą dotarwszy do postoju pod koniec pierwszej nocy. Żołnierze niosący drabiny oparli je o ściany kanionu, zaś pozostali ustawili się w rzędy, by wdrapać się po nich na górę. Niektórzy, chcąc jak najszybciej znaleźć się poza korytem rzeczonym, zaczęli samodzielną wspinaczkę po stromych zboczach. Wydostawszy się z wąwozu, mężczyźni usadowili się tak wygodnie, jak tylko się dało, na wąskiej półce ciągnącej się wzdłuż brzegu Araktusa. Rzeka, wycinając sobie drogę przez góry, opływała tu wychodnię ze skał odpornych na erozję. Wychodnia ta przesłaniała widok od strony Attolii, ukrywała więc żołnierzy przed obserwatorami z dołu.

Ksenofon, dowodzący nominalnie korpusem ekspedycyjnym, stanął

niemal na samej krawędzi i przyglądał się wychodzącym z kanionu ludziom i wciąganiu na górę sprzętowi. Kiedy na półce stanął ostatni z żołnierzy, a drabiny ułożono na ziemi jedna na drugiej, niebo nad zbiornikiem na krótką chwilę rozświetliła raca. Była koloru zielonego, co oznaczało, że wrota zostały otworzone, jak zamierzano, a nie czerwonego, co świadczyłoby o tym, że plan się nie powiódł, a rzeka toczy już swe wody korytem z niszczycielską siłą.

Ksenofon rozejrzył się w poszukiwaniu Eugenidesa. Na tyle, na ile pozwalała mu etykieta, zrobił wszystko co w jego mocy, byle tylko nie mieć pod dowództwem Złodzieja. Zrezygnowawszy z taktu na rzecz klarowności przekazu, przypomniał królowej, że z tego co mu wiadomo, do tej pory Złodziej nie słuchał absolutnie nikogo. Monarchini jednak tylko się uśmiechnęła i zapewniła go, że Eugenides obiecał być posłuszny. Ksenofon, chcąc nie chcąc, musiał więc ustąpić, a chłopak dotrzymał danego słowa już na etapie planowania kampanii, zyskując z wolna ostrożną aprobatę dowódcy.

Złodziej siedział nieco dalej i w świetle księżyca próbował odczytać czas z trzymanego w dłoni zegarka.

– To dzieło twojego brata? – zapytał Ksenofon, podchodząc bliżej. – Tak – odparł chłopak. – Zrobił go dla mnie. – A jak z czasem? – Późno, sir. Wstrzymywali wodę przez pół godziny i dokładnie tyle zajęło nam dotarcie tutaj. Wyprawienie ostatnich ludzi musiało trwać nieco dłużej.

– Nie ma w tym niczego zaskakującego. Wezmą to pod uwagę, obliczając margines bezpieczeństwa na kolejnych etapach.

Czekali, a rzeka wzbierała stopniowo coraz bardziej, zmniejszając napór na wrota zbiornika i próbując doścignąć wodę, która spłynęła korytem wcześniej. Późnymi wieczorami koryto Araktusa często wypełniało się bardziej niż zwykle ze względu na topniejące w górach śniegi, dlatego

Eddijczycy mieli nadzieję, że nikt na nizinach nie zwróci uwagi na rosnący i opadający poziom rzeki, zwłaszcza że kanały nawadniające zostały zniszczone w wyniku powodzi i nie naprawiano ich z obawy przed ponownym zalaniem.

Czekali przez cały dzień. Ci, którzy mogli, spali, reszta obserwowała błękitne niebo, czy nie pojawią się na nim obłoki. Letnia ulewa nie stanowiła wprawdzie zagrożenia dla tamy, ale gdyby chmury przesłoniły księżyc, marsz po skalistym dnie stałby się wręcz niemożliwy.

Kiedy zaszło słońce i pociemniało niebo, wody opadły, a żołnierze zeszli znów na dno kanionu i ruszyli w dalszą podróż.

Pokonawszy odcinek, jaki wyznaczono na drugą noc marszu, Ksenofon zatrzymał się i obrzucił uważnym spojrzeniem strome zbocza po obu stronach.

– Za cholerę nic nie widzę – mruknął.

– Tam jest jeden – powiedział Eugenides, wskazując na czarny, prostokątny kształt na ścianie klifu. Był to otwór w skale, podejrzany ze względu na swe równe krawędzie. – Pozostałe są nieco dalej w rzędzie.

Ksenofon przywołał mężczyzn z drabinami, którzy ustawili je blisko dziur wykutych w kamieniu. Ostrożnie i wspomagając się sporą dozą przekleństw, umieścili w otworach szereg belek tak, że tkwiły w ścianach w poprzek kanionu. Koryto było w tym miejscu najwęższe, a kawałek dalej gwałtownie opadało. Za wodospadem wystarczyłoby miejsca, by maszerować wzdłuż rzeki, ale zaczynało już świtać, nie zdążyliby więc dostać się tam zanim wody Araktusa zostaną wypuszczone. Nie mogli też wydostać się na brzeg. Nawet gdyby mieli jak wspiąć się na wysokie, strome ściany, to na zboczu wzgórza byłiby odsłonięci dla każdego, kto znalazłby się na dole.

Belki okazały się pasować do wąskich otworów w skale, może nie

idealnie, ale wystarczająco.

– Od jak dawna są tutaj? – zwrócił się do Złodzieja Ksenofon, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Musiałbyś zapytać o to mojego ojca. Mają znaczenie wojskowe i sam dowiedziałem się o nich jedynie przez przypadek. Natrafiłem na wzmiankę o nich w zwoju mającym sto pięćdziesiąt lat – wyjaśnił. – Mieliśmy wtedy jakieś zatargi z Attolią i król kazał wystawić tu wartowników. Otwory istniały już wtedy.

– I jesteś pewien, że znajdują się ponad poziomem wody w czasie powodzi?

– Znajdowały się sto pięćdziesiąt lat temu – odparł po szelmowsku Eugenides.

Ksenofon spojrział na Złodzieja spod zmarszczonych brwi.

– Twój ojciec dał mi słowo, że te otwory istnieją, że utrzymają belki sięgające na całą szerokość kanionu, a także że same belki znajdują się powyżej poziomu wody.

Chłopak skapitulował.

– Przysłaliśmy tu kamieniarza, który miał sprawdzić, czy otwory nie zostały zniszczone. Wygląda na to, że wszystkie znajdują się dużo powyżej podwyższonego stanu wód.

Ksenofon podniósł głowę, by popatrzeć na konstrukcję, która powoli nabierała kształtu nad ich głowami. Rozciągnięte między belkami sieci tworzyły ciąg platform.

– Chyba pora wejść na górę. – Spojrział na Złodzieja, ale niemal natychmiast odwrócił wzrok, w ostatniej chwili powstrzymując się przed zapytaniem go, czy nie potrzebuje pomocy przy wspinaczce. Najwyraźniej nie, skoro zeszłej nocy sam sobie z tym poradził. Był przemoczony aż po szyję, więc przynajmniej raz musiał upaść po drodze, ale też mało komu

udało się tego uniknąć. Ci z żołnierzy, którzy nie zajmowali się naciąganiem sieci, stali po kolana w wodzie i trzęśli się z zimna.

Eugenides dostrzegł spojrzenie Ksenofona i odgadł, co się za nim kryło. Zesztywniał, a dowódca skrzywił się. Wcale nie chciał go obrazić. Odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy żołnierzom. Ukończono drugą platformę, a trzeba było rozciągnąć jeszcze trzecią w dole rzeki.

Nieco później, gdy słońce powoli wychylało się już zza horyzontu, ostrożnie stawiając stopy na sieci, Ksenofon podszedł do Eugenidesa i usiadł obok. Chłopak zaimponował mu tym, że bez problemu dotrzymywał kroku jego żołnierzom, ale generał zastanawiał się jak i czy mu o tym powiedzieć. Złodziej jednak odezwał się pierwszy.

– Myślałem, że mieli wysłać gońca z platform w górnym biegu rzeki, gdy działa i lawety zostaną zabezpieczone.

– Pewnie obawiali się, że nie zdąży pokonać kamienistego odcinka dna, zanim runie woda, a kanion jest tu zbyt głęboki, by udało się dostrzec racę – wyjaśnił Ksenofon.

– Wydaje mi się, że Araktus osiągnął już swój maksymalny poziom – powiedział Eugenides, gdy platformą wstrząsnęło nagle silne uderzenie.

Podobnie jak pozostali żołnierze, Ksenofon chwycił się mocno sieci. Tylko Złodziej nie poszedł w ich ślady. Wychylił się za to poza krawędź platformy i spojrzał na rzekę.

– Co to było? – zapytał generał.

– Nie jestem pewien. Niewątpliwie coś dużego. Może pień drzewa, obłuzowany przez wracającą wodę. – W jego głosie brakowało jednak przekonania. – A może jedno z naszych dział. W każdym razie nie uderzyło bezpośrednio w belkę, a tylko ją musnęło.

Usiedli, zastanawiając się, co stałoby się z podporami sieci przy bezpośrednim uderzeniu.

Królowa Attolii drgnęła przez sen i obudziła się. Powoli usiadła, mruganiem próbując odegnąć resztki nieprzyjemnego snu i rozejrzała się po komnacie. W świetle niewielkiej lampy płonącej na stoliku przy łóżku była w stanie dostrzec zarysy przedmiotów, ale pozostały mroczne zakamarki, do których nie docierał jej blask. Jeden cień ścielił się za szafą, a jeszcze ciemniejszy za zasłoną przy oknie. Królowa oparła się o poduszki i naciągnęła na siebie kołdrę. Musiała stłumić w sobie przewrotne pragnienie sprowadzenia swej niańki, by ta odegnała mrok. Przewrotne, bo nie była pewna, czy chciała, aby coś kryło się pośród cieni, czy też nie. Siedziała tak, wpatrując się w ciemność, aż zastał ją świt, a cienie rozplynęły się w blasku dnia.

Kiedy ostatni promień słońca zniknął za horyzontem, a wody Araktusa opadły, zeszywniali żołnierze zeszli z brzegu na wilgotne dno kanionu. Goniec, posłany z platform w górnym biegu rzeki, doniósł, że trzy działa obluzowały się, gdy rzeka znów gwałtownie popłynęła swym korytem. Dwa z nich zniszczyły podpory sieci kawałek dalej od Eugenidesa i Ksenofona, przez co grupa uszczupliła się o szesnaście osób. Cztery mężczyźni spośród dwudziestu, którzy koczowali na tej platformie, zdołali uchwycić się belek kolejnej konstrukcji i wyciągnięto ich z kipieli. Pozostali zniknęli bez śladu.

Działa znaleźli na skraju sadzawki u podstawy ostatniego z większych wodospadów przed granicami dystopii. Dwa z nich pękły i nie nadawały się już do użytku. Trzeci natomiast, zdaniem Ksenofona, wciąż wart był wysiłku związanego z jego transportowaniem. Dostrzegłszy je, dowódca parsknął:

– Dzięki bogom, że nie musimy wykopywać ich z dna. – Sadzawka była bowiem głęboka, zwłaszcza w miejscu, gdzie wpadały do niej wody rzeki. Dno niknęło gdzieś w mroku, więc wydobyć stamtąd odlanych z żelaza dział byłoby niemożliwe.

Podłoże stawało się tu nieco równiejsze, a wąwóz szerszy, żołnierze

mieli więc do dyspozycji dość miejsca, by przeczekać dzień we względnej wygodzie. Nie rozpalono wprawdzie ognia, ale mężczyźni wyjęli suche mundury z wodoodpornych toreb, które nieśli na plecach i przebrali się. Kiedy zaszło słońce, Ksenofon ostrożnie poprowadził swych ludzi przez dystopię. Działa spowolniały tempo wręcz niemożliwie, a żołnierze, którzy je ciągnęli klęli siarczyście.

– Nie docierają tu patrole graniczne Attolii? – spytał Eugenidesa generał. Nie było takiej potrzeby, bo wszelkie szczegóły tego rodzaju zostały omówione dokładnie jeszcze w Eddis, ale Złodziej z chęcią uspokoił go raz jeszcze, szczęśliwy, że to nie na jego barkach spoczywa ciężar dowodzenia grupą.

– Wątpię, by mieli wprowadzać konie na dystopię bez dobrego powodu, a już na pewno nie w nocy – powiedział.

Ksenofon z ulgą przyjął fakt, że chłopak najwyraźniej przestał gniewać się na niego za nietakt, jaki popełnił zeszłej nocy.

– To najgłupszy plan, jaki przyszło mi realizować w całej mojej karierze – oświadczył.

– Uwielbiam głupie plany – skwitował Eugenides. – Ile czasu zajmie nam przedostanie się przez dystopię?

– Dwa razy dłużej niż bez tych twoich durnych działań.

Złodziej wybuchnął śmiechem.

Dotarłszy na skraj dystopii, Eddijczycy znaleźli się w otoczeniu drzew rosnących u podnóża Gór Hefestiańskich po stronie Attolii. Skupisko to nazywano Morzem Oliwnym. Dokonali przegrupowania, dzieląc się na zdyscyplinowane oddziały i rozbili obóz, by odpocząć. Nie rozpalali ognia, a drzewa ukrywały ich przed wzrokiem postronnych. Po południu, oficerowie poprowadzili żołnierzy jedną z wąskich ścieżek biegnących przez gaj i skierowali się ku Seperchii. Zanim dotarli do drogi, spotkali się z handlarzem

końmi. Wydawało się, że mężczyzna o ostrych rysach będzie stawiał twarde warunki, ale jedynie przekazał zwierzęta Eddijczykom, nie biorąc nic w zamian i zniknął między drzewami, by wrócić do Eddis.

Konie zaprzęgnięto do lawet i wszyscy ruszyli w dalszą drogę pod czujnym dowództwem Ksenofona. Wkrótce pozostawili za sobą wąski szlak i podążyli drogą do niewielkiego miasta położonego nad rzeką. Mieszkańcy rzucali obojętne spojrzenia żołnierzom w pikowanych tunikach, stanowiących zarazem ich mundury i zbroje. Stroje miały kolor błękitu i żółci, będące barwami attolijskiej armii. Przebrani Eddijczycy ciągnęli przez miasteczko ku dokom, gdzie czekały na nich cztery statki. Gestami, bez słów oficerowie skierowali swych ludzi na trapy i pokłady jednostek rzecznych. Mężczyźni odpowiedzialni za działa wydawali polecenia ściszonymi głosami, by ukryć eddijski akcent. Wyprzęgali konie i przenosili armaty na skraj doków, skąd przy pomocy bloczków i wielokrażków załadowywano je na jeden ze statków.

Eugenides obserwował cały proces, nie mając na niego żadnego wpływu.

– Błagaj bogów, by nikt nie zorientował się, że właśnie umieściłeś dwanaście dział na jednej łodzi.

Ksenofon skrzywił się, ale i on nie mógł już nic zrobić. Wydany przez niego rozkaz albo odpowiedź któregoś z żołnierzy mogłyby zdradzić ich prawdziwą tożsamość. Nie byli jedynymi wojskowymi w mieście, musieli więc jak najszybciej opuścić port. Niespełna godzinę później płynęli już z prądem, a eddijski agent, który wystarał się o statki składał raport Ksenofonowi. Był to kupiec i obywatel jednego z państw-miast na półwyspie, więc niespecjalnie obchodziły go Eddis czy Attolia. Obchodziły go natomiast własne finanse, dlatego miał pozostać u boku Eddijczyków, póki zależało im na dyskrecji.

Łodzie zaopatrzone w żywność, a każda z nich posiadała ceglane

palenisko służące do gotowania potraw. Żołnierzom podano gorącą kawę i wszyscy usadowili się wygodnie na czas podróży. Nie zamierzano ryzykować postoju na wybrzeżu, dopóki nie nadejdzie pora zejścia na stały ląd.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W Efracie, Attolia siedziała rozluźniona na dużym krześle ustawionym na podwyższeniu, które służyło jej tu za tron. Przed wybuchem wojny z sąsiadami nie przybywało tu zbyt wielu odwiedzających. Zamek w Efracie był niewielki. Jak w przypadku wielu twierdz zarówno w Attolii, jak i w Sounis, jedna wielka komnata, dorównująca swą powierzchnią rozmiarom całych dworów pomniejszych książąt, zamieniła się w główną salę ufortyfikowanej rezydencji. Nazwę megaron, która pierwotnie oznaczała budynek składający się z jednego pomieszczenia, zaczęto łączyć zarówno z takim rodzajem twierdzy, jak i wielką salą w jej wnętrzu.

Niedaleko znajdował się port, jednak ze względu na jego niewielkie rozmiary oraz fakt, że nie był dobrze chroniony w czasie letnich huraganów, maleńkie miasteczko na wybrzeżu nigdy nie miało okazji rozkwitnąć. Teraz jednak okazało się perfekcyjnie spełniać wymagania królowej, pozwalając jej być blisko swej armii, blokującej przełęcz prowadzącą do Eddis, oraz komunikować się ze statkami zawijającymi do portu i wypływającymi z niego na jej rozkaz. Żaden z nich nie bawił tam zbyt długo. Attolijska flota nie była na tyle duża, by władczyni mogła trzymać w Efracie okręty zdolne do walki, lichej port nie stanowił więc zbyt dużego zagrożenia. Wszystkie większe jednostki żeglowały wraz z resztą floty między wyspami. Królowa korzystała za to głównie z kilku szybkich statków kurierskich, które przekazywały jej rozkazy marynarzom. Poprzedniego dnia wysłała takie dwa, z których jeden miał zawieźć sekretarza archiwum do stolicy, by mężczyzna mógł śledzić stamtąd wydarzenia w imieniu swojej władczyni, dlatego też

port stał pusty.

Siedząc na tronie, Attolia wysłuchiwała raportów składanych przez wojskowych oraz szpiegów Reliusa. Ci drudzy przynosili informacje dotyczące głównie jej własnej armii – a w każdym razie oficerów, którzy odziedziczyli swą pozycję – ale też potwierdzili pogłoski mówiące o tym, że na skraju przełęczy obozowisko rozbiły wojska Eddis.

Zdaniem Attolii był to błąd taktyczny, co zresztą bardzo ją ucieszyło. Rywalka wyprowadziła swe siły poza zasięg ognia swych dział i nie będzie jej łatwo wycofać się znów przez wąską przełęcz. Armia Attolii była większa i lepiej wyposażona. Królowa już miała wezwać swych oficerów na naradę wojenną, gdy nagle zapowiedziano przybycie medejskiego ambasadora. Władczyni odprawiła zgromadzonych mężczyzn i uśmiechnęła się do nowo przybyłego.

– Wasza Wysokość nie musi przerywać dla mnie swych obowiązków – powiedział Medejczyk, zbliżając się.

– Obowiązki mogą poczekać, gdy pora na przyjemności. Myślałam, że jesteś wiele mil stąd, w stolicy, Nahusereszu.

– Nie mogłem dłużej znieść tej nudy bez ciebie, pani – odparł, pochylając się nad jej dłonią. – Obawiałem się też, że możesz pilnie potrzebować mej pomocy. – Mówiąc to uśmiechnął się, jakby chciał pokazać, że jedynie żartował, a w rzeczywistości wierzy, iż królowa potrafi poprowadzić swą armię i baronów ku zwycięstwu nad Eddis.

– Dobrze mieć przyjaciela u swego boku – zrewanżowała się Attolia, ściskając lekko jego rękę. – Jednak najlepszą pomocą, jaką możesz mi zaoferować, jest twoje towarzystwo. – Doskonale wiedziała, że okręty medejskiego cesarza krążą po otwartych wodach poza zewnętrznymi wyspami, gotowe przyjść jej na ratunek.

– Dla takiego zaszczytu warto pokonać każdą odległość – stwierdził z

kurtuazją Medeńczyk, po czym wyprostował się i potoczył wzrokiem po pomieszczeniu, zerkając za siebie przez ułamek sekundy dłużej. Królowa odczytała sugestię i skinęła głową jednemu ze służących, a ten przyniósł mężczyźnie krzesło.

– Wasza Wysokość jest nader łaskawa – powiedział Nahuseresz, siadając. – Obawiam się jednak, że tutejszy zarządca niedostatecznie się stara. – Rozejrzał się z dezaprobatą po komnacie. Ściany pozbawione były wszelkich ozdób za wyjątkiem splatającego się wzoru namalowanego przy suficie. Natomiast deseń na podłodze pociemniał z wiekiem i stał się niewyraźny.

– Ta budowla jest bardzo stara – odpowiedziała z uśmiechem królowa. – Służyła jako attolijski megaron, czyli ufortyfikowane pomieszczenie na wzgórzu, kiedy obecny pałac twojego cesarza był jeszcze pustą połacią ziemi należącą do Sidosian.

Ambasador cenił piękno bardziej niż wiek. Nie powiedział tego na głos, ale Attolia wiedziała. Może dlatego, że była królową, a megaron należał właśnie do niej, wołała go od wspaniałości medejskich pałaców z ich ścianami wyłożonymi glazurowanymi kafelkami i kolumnami pokrytymi złotem.

Mężczyzna zmienił temat.

– Czyżby Eddis przeliczyła się wreszcie z własnymi siłami?

– Możliwe.

– A co z twoimi baronami, nie męczą cię ich zdrady?

– Raczej ich głupota. – Attolia zbyła wojnę i baronów machnięciem ręki.

– Powiedz mi, jak upłynęła ci podróż.

Medeńczyk przypląnął tu na pokładzie statku i wysiadł z niego zaledwie kilka mil od miejsca pobytu królowej, w porcie o nazwie Rea. Mimo to jednak podzielił się z nią opowieścią pełną przekonujących szczegółów, jak

kiepska jest jakość dróg pomiędzy Efratą a stolicą i jeszcze gorsza jakość resorów w jego powozie.

– Biedny Nahuseresz – pożałowała go władczyni. – Tyle się dla mnie wycierpiałeś. – Delikatnie położyła dłoń na jego dłoni.

– Przynajmniej udało mi się zdążyć przed deszczem.

– Będzie padać? Spędziłam cały dzień zamknięta w tej komnacie z męczącymi ludźmi i nie miałam okazji spojrzeć w niebo.

– O tak – odparł Nahuseresz. – Z całą pewnością będzie padać.

Chmury nie opadły jeszcze na tyle nisko, by przesłonić widok z gór, tak więc eddijscy zawiadowcy widzieli medejski statek przybijający do brzegu. Donieśli o tym fakcie, jak również o zmianie pogody swojej królowej, przebywającej w namiocie rozstawionym nieco powyżej jej wojsk.

– Attolia raczej nie będzie kwapiła się do ataku w deszczu – powiedziała Eddis. – Możemy liczyć na coś obfitszego niż typowa letnia mżawka, więc być może zechce wykorzystać ten czas, by wezwać do siebie baronów i wysłuchać ich propozycji. – Królowa niepokoiła się, że rywalka mogłaby opuścić megaron, by nadzorować rozstawienie swych oddziałów. – Wydaje mi się, że dopóki pozostanie w twierdzy, Medejczyk nie będzie w stanie w pojedynkę pokrzyżować planów Eugenidesa.

Królowa Attolii czekała niecierpliwie na przybycie ostatnich z wezwanych przez siebie baronów, gdy do sali wkroczył kapitan gwardii, Teleus, stanął u boku władczyni i pochylił się, by to, co miał do powiedzenia, trafiło tylko do jej uszu. Przekazanie wiadomości zajęło mu trochę czasu, a Attolia siedziała w bezruchu i tylko zmrużyła powieki w skupieniu. Kiedy mężczyzna umilkł, wstała bez słowa wyjaśnienia. Zgromadzeni przy stole również się podnieśli, ale królowa wyszła z pomieszczenia.

Dotarła do schodów prowadzących na dziedziniec dokładnie w momencie, gdy odprowadzano kilka wycieńczonych koni. W otoczeniu

większej grupy gapiów stało sześciu ubłoconych żołnierzy. Na widok władczyni, ciekawscy rozpierzchli się. Wojskowi stanęli na baczność, a jeden z nich wyszedł przed szereg.

– Co z królewskim posłańcem? – zapytała Attolia.

Odpowiedział jej kapitan gwardii, stojący tuż za jej plecami:

– Został trafiony bełtem z kuszy tuż na granicy lasu.

– A niesiona przez niego wiadomość? – Tym razem pytanie skierowane było do porucznika niewielkiej grupki.

– Wróciliśmy po torbę, Wasza Wysokość – odparł, ostrożnie dobierając słowa. Podał skórzaną sakwę z wytłoczonym herbem królewskim Teleusowi, który wyciągnął rękę, by ją od niego odebrać.

– Dobra robota – pochwaliła porucznika królowa. Wzięła torbę, otworzyła ją, wyjmując z jej wnętrza złożony papier, i oddała Teleusowi. Przyjrzała się przelotnie pieczęci, ale niemal natychmiast złamała ją i zaczęła czytać. Dotarłszy do końca, podniosła wzrok.

– Odeślij ich do koszar i wróć do środka – rozkazała kapitanowi gwardii i ruszyła schodami w górę ku portykowi megaronu.

Porucznik skłonił się przed Teleusem i skinął na swych ludzi, kierując ich w stronę przejścia prowadzącego z dziedzińca do koszar. Teleus zauważył, że mężczyzna znał twierdzę w Efracie, uznał więc, że poradzi sobie bez jego pomocy i podążył za królową.

Nahuseresz przyjrzał się im, gdy przechodzili obok. Dostrzegłszy torbę w dłoni kapitana gwardii, uniósł brwi ze zdumienia. Wydawało mu się, że zamknął każdą drogę prowadzącą do Efraty i zabił wszystkich królewskich posłańców.

W przedśionku do sali posiedzeń rady, Attolia zwróciła się do Teleusa:

– Poślij do stolicy po Hopsisa – powiedziała. – Ściągnij tu też Reliusa.

Baron Efkis nas zdradził. Jeden z jego oficerów donosi, że pozwolił przybyłej tu Seperchią eddijskiej armii na wylądowanie po tej stronie rzeki. Najprawdopodobniej są już w lesie.

– W porcie nie ma ani jednego statku kurierskiego – odpowiedział jej Teleus. – Ten, który miał zawinąć tu dziś, w ogóle się nie pojawił. Następny przybędzie dopiero jutro.

Królowa zakląła siarczyście w sposób, który wprawiłby w osłupienie medejskiego ambasadora.

– Przejmij jedną z łodzi rybackich z wioski – rozkazała. – W Rei, nieco dalej na wybrzeżu, powinien być jakiś szybki statek.

– Jakim cudem Eddijczycy mogli dostać się do Seperchii tak, że nikt ich nie zauważył? – zapytał kapitan gwardii.

– Zdrady, zdrady, zdrady. – Attolia wzruszyła lekko ramionami. – Nie spodziewałabym się tego po oficerach dowodzących blokadą mostu przy Starej Bramie Araktusa, ale jeśli Eddijczycy mieli znaczną przewagę liczebną i nikt z naszych nie ocalał, mogli dostać się tutaj bez żadnego ostrzeżenia. – Znow zakląła. – Posłaniec niósł też wieści o działach.

– Nie poradzimy sobie z działami – zaprotestował mężczyzna. – Musimy posłać po armię, by przyszła nam z odsieczą.

– Warto spróbować, Teleusie – stwierdziła królowa. – Ale obawiam się, że już na to za późno.

Królowa weszła na blanki ponad bramą zamku i potoczyła wzrokiem po polach aż do porośniętych lasem gór dzielących ją od Seperchii. Drzewa na zboczach dochodziły aż do odległej krawędzi pól. Te były w zasadzie grządkami ogrodowymi dla megaronu i okolicznej wsi. Eddijczycy mogli strzelać zza zasłony lasu, kierując całą siłę ognia na kiepsko utrzymane mury twierdzy. Kapitan wskazał Attolii ciało posłańca, wciąż leżące na drodze w blednącym świetle dnia.

– Nie możecie odzyskać zwłok? – zapytała.

Kapitan zaprzeczył.

– Bramy pilnują eddijscy kusznicy. Próbowaliśmy posłać gońców do wioski, ale żaden z nich nie był w stanie dotrzeć na miejsce, więc zawrócili.

Królowa pokiwała głową. Tego właśnie się obawiała. – Gdyby jakaś łódź wydostała się z portu, moglibyśmy skierować ją do Rei, jednak przy założeniu, iż baron opanował i tamten port – powiedziała.

Przez chwilę oboje milczeli, obserwując mężczyzn przemykających pośród drzew w lesie.

– Jeśli zbombardują zamek, Piloksides wszystko usłyszy i przybędzie nam z odsieczą – odezwała się szorstko władczyni.

– To prawda – odparł jej gwardzista. Wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

– Wystarczy więc, żebyśmy utrzymali twierdzę do czasu, aż zdąży on do nas dotrzeć.

Wrócili znów do obserwowania skraju lasu, podczas gdy z wolna zapadał zmrok, a Eddijczycy mozolnie ustawiali działa na odpowiednich pozycjach. Wyraźnie słyszeli przekleństwa i widzieli ciężko pracujących mężczyzn. Jedna z armat wymknęła się odpowiedzialnej za nią grupie i wpadła do rowu melioracyjnego, biegnącego wzdłuż krawędzi pól. Ryzykując ostrzał z murów Efraty, Eddijczycy pospieszyli, by na nowo przywiązać sznury i z trudem wciągnęli działą pod górę.

– Jedenaście armat – policzył kapitan. – Nad ranem będą już gotowi do ataku.

Z oddali dobiegł odgłos gromu. Attolia i jej gwardzista spojrzeli w niebo.

– Letnia burza – mruknęła królowa.

– To dość niezwykle – zauważył Teleus.

Znów zagrzmiało i tym razem oboje w milczeniu nadstawili uszu.

– To odgłosy wystrzałów z broni Piloksidea – powiedziała wreszcie władczyni. – Eddijczycy muszą atakować od strony przełęczy. Nie usłyszysz absolutnie niczego pośród tego hałasu. – Skierowała znów spojrzenie ku pogrążonym w mroku drzewom.

– Poddaj się – rozkazała.

– Wasza Wysokość? – Teleus sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego.

– Mogą dostać megaron – stwierdziła gorzko Attolia – a także wszystkich moich baronów. Piloksidea w końcu go odbije. Powiedz im, że poddamy się z samego rana. – Popatrzyła na kapitana gwardii z ponurym uśmiechem. – Przykro mi, że muszę cię zostawić, Teleusie. Rozumiesz chyba, że nie będzie mnie tutaj, gdy Eddijczycy opanują twierdzę?

– Rozumiem, Wasza Wysokość. – Teleus skłonił się przed nią.

– Poczyń przygotowania – poleciła i zeszła z murów.

Podczas gdy Teleus dał znak Eddijczykom, królowa wróciła do swych komnat i odprawiła wszystkie przyboczne. Pospiesznie zebrała kilka najpotrzebniejszych rzeczy oraz ciężki płaszcz i usiadła, by napisać kilka listów. Kiedy skończyła, wezwała do siebie gwardzistę pilnującego jej drzwi i kazała mu odnaleźć kapitana.

Kiedy odszedł, a na zewnątrz nie było już nikogo więcej, Attolia wymknęła się ze swych komnat i pospieszyła ku niewielkim, zamkniętym drzwiom, do których miała klucz. Za nimi znajdowały się prowadzące w dół, kręte schody. Królowa cierpliwie odczekała, aż korytarz opustoszeje, po czym ruszyła w stronę kolejnych drzwi i kolejnej klatki schodowej, prowadzącej dalej w głąb, gdzie tunele wykuto w skale, na której wzniesiono megaron.

Attolia miała ze sobą lampę, ale okazało się, że nie była jej potrzebna. W uchwytach na ścianach płonęły latarnie, najpewniej dzięki gwardziście,

którego Teleus posłał przodem. Nie widziała jednak nikogo, dopóki nie dotarła do drzwi, ku którym zmierzała. Tuż przy nich czekał już gwardzista. Musiał usłyszeć jej kroki, bo zdążył stanąć na baczność, zanim królowa się zbliżyła. Nawet jeśli uważał sytuację za niecodzienną, nie dał po sobie tego poznać. Wbijając wzrok w przeciwległą ścianę, zwrócił się do władczyni profilem i oczekiwał na rozkazy.

– Łódź jest gotowa?

– Tak, Wasza Wysokość. – Łódź zawsze była gotowa.

Attolia osobiście otworzyła drzwi, a gwardzista ruszył za nią. Od przeciwległej ściany pomieszczenia ciągnęło chłodem, wilgocią i mrokiem. Znajdowali się w jaskini pod megaronem, która wychodziła na port. Słyszeli wyraźnie odgłos wody rozbijającej się o dok tuż przed nimi, a przez ujście grotty królowa widziała białe grzbiety fal pośród nocy. Światło wpadające do środka przez drzwi oświetlało nabrzeże, więc władczyni nie traciła czasu na zapalenie lampy. Czekala na nich łódź ze zwiniętymi żaglami. Nie była zbyt duża, zdolna pomieścić zaledwie dwie osoby, ale Attolia uznała, że spełni swoje zadanie. Nie zamierzała płynąć daleko. Uda się do Medejczyków, a dopiero później będzie martwić się o to, jak wymigać się od ich dalszej pomocy i jak wytłumaczyć Nahusereszowi, że zabrakło miejsca, by mógł jej towarzyszyć. Ostrożnie ruszyła skrajem doku w przyćmionym świetle i zatrzymała się przy łodzi. Cumy były długie, dlatego łódź unosiła się na wodzie kilka stóp od brzegu. Królowa dała znak gwardziście, by przyciągnął ją bliżej. Kątem oka dostrzegła, jak ten posłusznie opada na kolano i wyciąga ręce. Hak w miejscu jego prawej dłoni zastukał cicho o drewniany kadłub.

Teleus stał ponad bramą i spoglądał na stojącego w dole Eddijczyka. Spodziewał się raczej kogoś na koniu, zdziwił się więc, gdy żołnierz wychynął zza zasłony drzew i pieszo ruszył przez pola ku megaronowi.

– Chcecie się poddać? – zawołał mężczyzna.

– Rano – odparł Teleus.

– W porządku. Zamierzacie zostawić zabitych do tego czasu?

Zapadał zmrok, a królewski posłaniec wciąż leżał na drodze.

– Za waszym pozwoleniem, chcielibyśmy zabrać go jeszcze dziś.

– Przekażę generałowi – odpowiedział żołnierz i pomachał mu ręką, po czym zawrócił w stronę lasu.

– Proszę posłać mnie, sir – odezwał się czyjś głos u boku Teleusa. Kapitan odwrócił się i rozpoznał porucznika, który przybył do zamku z torbą posłańca. – To mój przyjaciel – wyjaśnił mężczyzna. – Pójdę po niego.

– Dobrze.

Chwilę później kapitan gwardii stał przy jednej z kolumn podpierających szeroki portyk megaronu, obserwując porucznika na koniu, który czekał na otworzenie bram. Towarzyszyło mu czterech ludzi. Wszyscy stanowili straż posłańca, brakowało tylko jednej osoby. Zdenerwowany, mruknął w przestrzeń, że nie trzeba aż pięciu żołnierzy, by odzyskać ciało. Ruszył po schodach na dół, ale w tym samym momencie rozwarło bramy i konni wyjechali na zewnątrz. Teleus postanowił poczekać na dziedzińcu, by rozmówić się z porucznikiem po jego powrocie. Nagle usłyszał krzyk dochodzący z murów zamkowych i natychmiast pospieszył na blanki. Wbił wzrok w ciemność, ale nie dostrzegł nikogo na drodze. Jeźdźcy, a także martwy posłaniec zniknęli.

– Co z posłańcem? – zapytał.

– Zerwał się na równe nogi, gdy tylko podjechali bliżej – odpowiedział jeden z gwardzistów. – Taki z niego trup jak ze mnie. Jeden z konnych wciągnął go na siodło i zniknęli w lesie.

Teleus wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Pięciu mężczyzn. Straż posłańca minus jeden.

– Za mną – rzucił i zbiegł po schodach jeszcze szybciej, niż się po nich

wspiał.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Attolia odwróciła się, by na niego spojrzeć, podczas gdy on, klęcząc, obserwował jej twarz. Zauważyła, że zmężniał. Chłopcy często rośli bardzo szybko, w końcu stając się mężczyznami, ale jej szpiedzy albo tego nie zauważyli, albo nie uznali za istotną informację. Wciąż nie dorównywał jej wzrostem, ale przez krótko przycięte włosy schowane pod hełmem obdarzyła go zaledwie jednym, przelotnym spojrzeniem, gdy widziała go wcześniej, wraz z resztą ubłoconych żołnierzy na dziedzińcu. Wtedy zamiast haka miał sztuczną dłoń. Spodziewała się, że ukrył ją w rękawicy jeździeckiej. Jednak największą zmianą w jego wyglądzie nie był wzrost czy długość włosów, a wyraz twarzy. Spoglądał na nią z obojętnością, która, jak wiedziała, malowała się również na jej obliczu. Wyraźnie wyczuwała obecność własnej, nieruchomej maski. Przyszło jej do głowy, że gdyby zechciała odszukać gwardzistę, któremu Teleus kazał ją eskortować, znalazłaby go gdzieś nieopodal, nie pozbawionego przytomności czy związanego i zakneblowanego, ale martwego.

– Zmieniłeś się – powiedziała.

– Tak słyszałem. Do łodzi, Wasza Wysokość – powiedział Eugenides, skinąwszy jej lekko głową. Wciąż klęczał obok, w zasięgu uderzenia. Czarna woda wydawała się gotowa przyjąć ciało.

Attolia przypomniała sobie wyraz jego twarzy, kiedy po raz pierwszy przyjrzała mu się dokładnie. Było to w jej zamku nad Seperchią, a on krwawił z rany od miecza. Uśmiechnął się do niej wtedy pełnym satysfakcji uśmiechem łucznika, którego strzała trafiła do celu i powiedział, że jest

piękniejsza od Eddis, lecz w piersi jego królowej bije gołębie serce. Attolia wątpiła, by kiedykolwiek jeszcze się do niej uśmiechnął, choćby z triumfem. Pozwoliła sobie na chwilowe wahanie, po czym wsiadła do łodzi. Ta zakołysała się pod nią, więc władczyni usiadła szybko, plecami do dziobu, na drewnianej ławeczce przy maszcie, sięgającej od lewej do prawej burty. Owinęła się ciaśniej płaszczem, chcąc osłonić ciało przed chłodem.

– Póki trwa życie, jest nadzieja, Wasza Wysokość? – zapytał Eugenides bezbarwnym głosem. Attolia nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w skrzynię mieczową, podczas gdy Złodziej zabrał się za przecinanie liny, którą związane takielunek. Używał do tego noża oraz wewnętrznej krawędzi haka. Bom opadł obok królowej, a żagiel załopotał. Eugenides odwiązał cumę i trzymając ją, ruszył w kierunku końca doku. Gdzieś w oddali rozbrzmiały krzyki. Chłopak przyspieszył do truchtu. Łódź zaczęła przecinać fale coraz szybciej, a gdy dotarła do skraju nabrzeża, Złodziej wskoczył do środka, stając na rufie. Zakołysało. Attolia zacisnęła dłonie na przedniej krawędzi ławki. Przez drzwi za ich plecami, do jaskini wbiegli mężczyźni, ale łódź zdążyła już wydostać się spod megaronu i złapać wiatr. Przechyliła się, gdy wydał się jej żagiel i królowa zmuszona była przenieść ciężar ciała. Eugenides opadł na ławkę na rufie i położył hak na sterze, by mieć kontrolę nad łodzią. Skorygował ustawienie żagla zdrową dłonią, dzięki czemu przyspieszyli, zostawiając za sobą jaskinię. Nim żołnierze dotarli na skraj nabrzeża, znaleźli się już poza ich zasięgiem i zniknęli pośród mroku.

Woda w porcie była nieco wzburzona, więc wydawało się, że małeńka łódź przeskakuje z jednej fali na kolejną. Attolia czuła, jak drobne krople opryskują jej plecy i cieszyła się, że gęsto tkany, wełniany płaszcz zatrzymywał w sobie większość wilgoci. Otuliła się nim jeszcze ciaśniej.

Opuścili port i znaleźli się na otwartym, ciemnym morzu. Eugenides obrócił łódź, by pożeglować wzdłuż wybrzeża ku Eddis. Wiatr wiał zza ich

pleców, a chłopak stał się jedynie czarną sylwetką za sterem. Królowa śledziła światła megaronu ponad jego ramieniem do momentu aż zgasły, przesłonięte przez cypel. Żeglowali przed siebie, zaś prute przez dziób fale coraz bardziej moczyły plecy Attolii.

– Potrafisz pływać, Wasza Wysokość? – zapytał Złodziej.

– Nie – odparła krótko.

* * *

Wychodząc z jaskini na czele swych żołnierzy, Teleus napotkał Medejczyka, czekającego u szczytu schodów.

– Może zechcesz wyjaśnić mi, gwardzisto, co wywołało takie poruszenie? – zapytał ambasador. Teleus zawahał się przez chwilę, ale ostatecznie nie znalazł żadnego powodu, dla którego miałby zataić fakt porwania królowej. Medejczyk uśmiechnął się łagodnie.

– Sprytny ten Złodziej Eddis. Bez wątpienia topi ją właśnie teraz, kiedy my rozmawiamy – powiedział. – A możliwe, że i sam się utopi, jeśli zamierza płynąć wzdłuż wybrzeża w tak pochmurną noc, bez księżyca, który wskazałby mu drogę. – Wyglądało na to, że Nahuseresz niespecjalnie przejmuje się faktem, że królowa miałaby utonąć. Teleus obserwował go spod zmrużonych powiek.

– Musimy przekazać wiadomość armii na przełęczy.

– Po co? – zapytał ambasador, unosząc brwi ze zdziwienia. – Żeby rozpoczęli przygotowania do pogrzebu państwowego?

– Może ona wciąż żyje – warknął Teleus.

– To prawda – zgodził się po namyśle Medejczyk. – To prawda. Pozwolę ci wrócić do swych obowiązków. A teraz przepraszam cię, gwardzisto. Wydaje mi się, że w mych komnatach czeka na mnie obiad.

– Wasza Wysokość – odezwał się Eugenides wiele godzin później. – Zechciej pochylić głowę, zamierzam wykonać zwrot przez rufę.

Attolia otworzyła oczy i spojrzała na Złodzieja. Wiatr przegnał chmury, dzięki czemu światło księżyca oświetlało wodę wokół oraz wysokie, czarne klify nieopodal.

– Żagiel bardzo szybko przesunie się nad łodzią – wyjaśnił chłopak. – Nie chcesz, żeby uderzył cię bom.

Królowa pochyliła się sztywno. Eugenides zakręcił sterem i łódź gwałtownie skręciła. Żagiel śmignął władczyni nad głową i trzasnął głucho, gdy napięty się trzymające go liny. Łódź przechyliła się. Attolia rzuciła się na uniesioną burtę, ale Złodziej siedział już na relingu, odchylając się mocno do tyłu, by przywrócić ich znów do poziomu. Po ustawieniu łodzi bokiem do wiatru, wydawało się, że prędkość, z którą się poruszali, wzrosła dwukrotnie, dlatego królowa nie zamierzała wcale puszczać krawędzi burty, dopóki mknęli ku urwistemu wybrzeżu.

Siedziała sztywno, zaciskając mocno dłonie, podczas gdy chłopak lawirował między skałami, o które rozbijała się spieniona woda. Najwyraźniej obrał kurs dokładnie na strome klify, choć na pierwszy rzut oka nie była w stanie dostrzec między nimi żadnej przerwy. Jednak kiedy Eugenides ponownie zakręcił sterem, zauważyła wąski przesmyk, ku któremu sunęli. Minutę później żeglowali już pomiędzy kamiennymi ścianami. Wiatr zelżał, a woda uspokoiła się, opadając łagodnymi falami. Mknęli naprzód siłą rozpędu, a Złodziej ostrożnie omijał niebezpieczeństwa, których ona nie potrafiła dostrzec.

Zwalniając coraz bardziej, wpłynęli do maleńkiej zatoczki, otoczonej ze wszystkich stron stromymi klifami. Wiatr ucichł całkowicie, a powierzchnia wody przypominała zwierciadło, w którym odbijał się księżyc. Panowała tu cisza, mocno kontrastująca z rykiem otwartego morza.

Attolia przesunęła się z powrotem na środek ławki i wbiła wzrok w skrzynię mieczową.

– Wasza Wysokość – odezwał się cicho Eugenides, czekając aż królowa podniesie wzrok i spojrzy na niego.

Jego twarz była całkowicie nieruchoma i nie dało się wyczytać z niej absolutnie niczego. Widząc ją, Attolia przypomniała sobie ten dzień w komnacie audiencyjnej, kiedy tytułarnie i faktycznie została królową. Kapitan gwardii, poprzednik Teleusa, wyeliminował wtedy jej władczygo zalotnika, a ona zostawiła swych baronów samych, by dać im czas na zaakceptowanie nowej rzeczywistości pod jej rządami i udała się do swej alkowy – po raz ostatni, bo od tamtej pory spała już w komnatach królewskich. Tam, stojąc przed gładkim, srebrnym lustrem, obserwowała uważnie swoją twarz, wodząc palcami po skórze i zastanawiając się, czy rzeczywiście może być tak twarda, jak się wydawała. W komnacie audiencyjnej czuła strach i mdłości, gdyż nie miała żadnej pewności, że kapitan gwardii będzie zdolny, tudzież skłonny, dotrzymać danej jej obietnicy, jednak ani to przerażenie, ani odraza nie odmalowały się na jej obliczu. Wtedy, i już zawsze, była królową o kamiennej twarzy. Potrzebowała tej maski, by rządzić i cieszyła się, że ją ma. Ciekawiło ją, czy Eugenides również jest zadowolony ze swojej.

– Masz wybór – powiedział. – Możesz pójść pod wodę przytomna albo nieprzytomna. Mam tu taki drąg, by upewnić się, że już nie wypłyniesz na powierzchnię. – Szturchnął stopą tykę, leżącą na dnie łodzi. Ta stuknęła o skrzynię mieczową, a słysząc ten dźwięk, Attolia spuściła wzrok. Drąg miał pięć czy sześć stóp długości, a przy jednym z końców zakończony był dwoma niewielkimi hakami. Królowa bez problemu wyobraziła sobie, jak haki czepiają się jej szat, podczas gdy Eugenides napiera na drąg, wpychając ją coraz głębiej i głębiej.

Podniosła oczy i spojrzała znów beznamiętnie na Złodzieja. Przyszło jej do głowy, że wywiózł ją dość daleko, skoro jedynie chciał ją utopić, wiedziała jednak, że był skrupulatny w swej pracy, więc doszła do wniosku,

że po prostu chciał mieć pewność, iż wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Chłopak nie poruszył się, ale znów się odezwał:

– Albo też możesz dać mi coś, czego pragnę bardziej niż przytrzymać ci głowę pod wodą, aż utracisz ostatnie resztki powietrza.

Attolia myślała, że jej wybór ogranicza się do decyzji czy będzie przytomna, czy nieprzytomna, kiedy czarna woda wleje jej się do płuc. Nie miała pojęcia, czego Eugenides mógłby pragnąć bardziej. Na jego miejscu marzyłyby tylko o tym.

– Chcę zostać królem Attolii – powiedział.

Władczyni zamrugała oczami z zaskoczeniem. Rozejrzała się po maleńkim porcie i musiała odchrząknąć zanim zdołała udzielić mu odpowiedzi.

– Zabrałeś mnie w miejsce raczej pozbawione świadków, jeśli zależy ci, bym przed śmiercią uczyniła cię następcą tronu.

– Nie miałem na myśli odziedziczenia tronu.

– A cóż innego?

– Istnieje łatwiejszy sposób, dzięki któremu mężczyzna może zostać królem – wyjaśnił Eugenides i odczekał, aż Attolia zrozumie, co sugerował.

Ta spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Wydaje ci się, że wyjdę za ciebie? – zapytała z niedowierzaniem.

– Jeśli nie podoba ci się perspektywa poślubienia jednorękiego mężczyzny, to sama jesteś sobie winna.

– A kiedy niby stałeś się mężczyzną? – Attolia uniosła brew, a w jej głosie zabrzmiała nutka sarkazmu.

Złodziej nie dał się sprowokować.

– Twój wybór, Wasza Wysokość – skwitował cicho.

– A jeśli zdecyduję, że wolę umrzeć?

Odpowiedział jej jedynie chlupot fal rozbijających się o burty i

szum wody u stóp klifów.

– Wtedy Attolia pogrąży się w wojnie domowej, a na jej teren wkroczą Medejczycy – odezwał się wreszcie chłopak. – Opanują Attolię i Sounis, a Eddis skryje się w swych górach.

– Bez Sounis i Attolii, Eddis nie może liczyć na żadną wymianę handlową. Twój kraj nie jest samowystarczalny. Jeśli twoja królowa postanowi zniszczyć Attolię, zniszczy i własną ojczyznę.

– Ma piratów.

Władczyni rozejrzała się ponownie po małym porcie, uświadamiając sobie, jak użyteczny był on dla królowej nieposiadającej oficjalnie żadnej floty.

– Jakie to pomysły z jej strony. Ależ oczywiście, że ma piratów. A potrafi ich kontrolować?

– Na tyle, by służyli naszym celom. Na tyle, by uchronić Eddis przed głodem.

– A przynajmniej taką masz nadzieję.

Eugenides wzruszył ramionami.

– Eddis stanie się biednym krajem dużo, dużo wcześniej nim Medejczycy utracą dominację nad tym wybrzeżem, ale przynajmniej będzie jakieś Eddis, podczas gdy Sounis i Attolia już dawno przestaną istnieć. Mamy nasze góry. One pozwolą nam przetrwać.

– A jeśli zdecyduję, że nie chcę umierać?

– Wtedy odeskortuję cię do mojej królowej i zaczniemy negocjacje w kwestii umowy małżeńskiej. Połączone siły Eddis i Attolii wyprą Medejczyków z tego wybrzeża i zmuszą Sounisa do zawarcia pokoju.

– A ty zostaniesz królem Attolii?

– Tak.

– Ale ja pozostanę królową.

– Będziesz rządzić. Nie zamierzam się wtrącać, ale będziesz musiała zgodzić się na doradców z Eddis.

– A potem będę mogła patrzeć, jak wykrwawiacie mój kraj na rzecz danin dla Eddis, jak opróżniacie skarbiec, podnosicie podatki, ciemiężycie chłopów i czynicie baronów faktycznymi władcami, mogącymi robić, co chcą, byle tylko król miał co jeść?

– Obchodzi cię to – zapytał Eugenides – dopóki królowa też będzie miała co jeść?

– Tak – syknęła Attolia, pochylając się naprzód z zaciśniętymi w pięści dłońmi.

Złodziej pozostał niewzruszony. Królowa widziała jego twarz w świetle księżyca, ale nie potrafiła określić, czy cieszyło go, że wywołał jej reakcję. Usiadła z powrotem na ławce i opanowała się.

– Tak, obchodzi mnie to. To mój kraj.

Chłopak zastanowił się, zanim znów przemówił.

– Jeśli zostanę królem, zawrzemy pokój z Eddis, ale nie będzie daniny.

Attolia prychnęła z niedowierzaniem, po czym skuliła się, kryjąc dłonie w fałdach sukni, by choć trochę je ogrzać i pograżyła się w myślach. Zmarzła i przemokła, a siedząc naprzeciwko Eugenidesa czuła się o wiele starsza niż była w rzeczywistości. Bolały ją kości, on natomiast, nie miała wątpliwości, był na to za młody. Bez względu na to, jak sam się postrzegał, ledwie przestał być chłopcem. Chłopcem bez jednej dłoni. Podniosła rękę, by odgarnąć mokre włosy z twarzy i zapytała samą siebie, kiedy upadła tak nisko, że zaczęła torturować chłopców. To pytanie zadawała sobie każdej nocy, leżąc z otwartymi oczami w łóżku albo siedząc na krześle przy oknie i obserwując wędrujące po niebie gwiazdy.

– Co noc nasłuchiwałam pod drzwiami twojej celi, zanim odesłałam cię do Eddis – powiedziała nagle.

Eugenides czekał w milczeniu na dalszy ciąg.

– Pierwszej nocy płakałeś. – Oczekiwała jakiejś reakcji, ale żadnej nie otrzymała.

Tkwiała w korytarzu przed jego celą w przyćmionym świetle lamp, sama, bo odprawiła towarzyszącego jej gwardzistę, i nasłuchiwała. Sama, bo już wtedy wiedziała, że ukarałaby każdego strażnika, który ośmieliłby się drwić z cierpień Złodzieja. On zaś wydawał z siebie ciężkie, przejmujące łkania, które ciągnęły się i ciągnęły, choć królowej wydawało się, że już dawno powinny go zmęczyć. Wreszcie pogrążył się we śnie, w przeciwieństwie do niej. Odgłosy jego płaczu nie dały jej zasnąć tej nocy i budziły ją z koszmarów od chwili, kiedy usłyszała je po raz pierwszy.

– Drugiej nocy powtarzałeś w kółko te same słowa. Wydaje mi się, że majaczyłeś już wtedy w gorączce. Pamiętasz, co mówiłeś?

– Nie.

Znała na pamięć każde słowo. Dźwięk jego głosu, łamiącego się i zająkującego, wypełniał jej noce, aż wreszcie zaczynała płakać przez sen, roniąc nad nim łzy, których nie miała ani dla swego ojca, ani dla siebie.

– Oxe Harbrea Sacrus Vax Dragga... – zaczęła.

Eugenides uniósł brodę, rozpoznawszy początkową sekwencję.

– To inwokacja do Wielkiej Bogini recytowana w czasie wiosennego święta – wyjaśnił spokojnie. – Ma wzywać ją do pomocy potrzebującym. Tekst jest archaiczny.

– Przychodzi z pomocą potrzebującym? Do ciebie nie przyszła.

– Musisz podjąć decyzję, Wasza Wysokość – przypomniał jej Eugenides.

– A nie masz zbyt wiele czasu.

Zapadła cisza, podczas której Attolia myślała głównie o ambasadorze z Medei, jego przystojnej twarzy i uśmiechu.

Złodziej czekał.

– Zgoda – przemówiła wreszcie królowa, prostując plecy i patrząc mu w oczy. – Zostaniesz królem Attolii. Ale jeśli życie ci miłe, nigdy nie próbuj pić z mojego kielicha.

– Obok bosaka jest wiosło – powiedział chłopak. W jego głosie nie słychać było choćby nutki triumfu. – Musisz powiosłować do doku. – Sam sięgnął ku sterowi, używając do tego zdrowej dłoni. Attolia obróciła się na siedzeniu i zanurzyła wiosło w ciemnej wodzie, kierując łódź ku niewielkiemu nabrzeżu zbudowanemu na kamienistej plaży u podnóża klifów.

Nie miała w tym wprawy, więc nim dobili do brzegu, minęło pół godziny. Wreszcie dno zachrobotło o kamienie, a Eugenides wyskoczył na plażę, odwrócił się i podał jej dłoń. Kiedy i ona stanęła na stałym lądzie, Złodziej cofnął się o kilka kroków, zamknął oczy i wyciągnął ręce nad głowę, by rozruszać trochę zeszywniałe ramiona. Attolia pospiesznie sięgnęła po nóż do materiałowej sakiewki przy żebrach. Ten jednak zniknął. Podobnie zresztą, jak ceremonialne ostrze, które zwykła nosić przy pasie, a nawet maleńki sztylet, który ukrywała w splotach włosów.

Spojrzała na Eugenidesa. Otworzył oczy, a w dłoni trzymał wszystkie trzy noże, ułożone w kształt wachlarza. Wyrzucił je po kolei w powietrze i łapał za ostrza, posyłając z powrotem w górę, po czym podsunął je królowej trzonkami naprzód. Ta zawahała się, sądząc, że cofnie dłoń, on jednak nie drgnął.

– Weź wszystkie trzy – powiedział.

Gdy posłuchała, wskazał jej palcem miejsce tuż poniżej swego serca.

– Cios wymierzony tutaj i ku górze byłby najskuteczniejszy, ale w zasadzie prawie każdy inny też załatwiłby sprawę. Potem możesz wepchnąć mnie do wody. Nie wiem, czy potrafię pływać, mając tylko jedną dłoń.

Attolia czekała, węsząc podstęp. Księżyc zniknął za chmurami.

Eugenides zamienił się w czarną sylwetkę na tle jeszcze czarniejszej wody.

– Zanim podejmiesz decyzję, chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham.

Królowa wybuchnęła śmiechem. Eugenides oblał się rumieńcem pośród mroku.

– Przez całe życie otaczali mnie kłamcy, ale nigdy jeszcze nie słyszałam czegoś takiego – powiedziała z uśmiechem.

– Mówię prawdę. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Tak nagle dopadło cię to uczucie? W wyniku naszego ostatniego spotkania?

– Nie – odparł cicho. – Kochałem cię już wtedy, gdy ukradłem Dar Hamiatesa. Jednak jeszcze tego nie rozumiałem. Myślałem, że jesteś demonem z piekła rodem – przyznał, przekrzywiając lekko głowę – ale już wtedy cię kochałem.

– Zanim umarł, mój dziadek często zabierał mnie ze sobą do twojego pałacu, żebym mógł zobaczyć go na własne oczy. Pewnej nocy odbywał się tam bal, na który przyszło całe mnóstwo ludzi. Chciałem ukryć się pośród przykuchennych upraw, bo spodziewałem się, że będzie tam pusto, ale wtedy otworzyła się furta prowadząca do ogrodów kwiatowych i pojawiłaś się ty, całkiem sama. Obserwowałem cię, jak spacerowałaś między grządkami kapusty, a potem tańczyłaś pod drzewami pomarańczowymi. Siedziałem nad tobą, pośród gałęzi jednego z nich.

Attolia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Pamiętała tę noc.

– Ile miałaś lat? Sześć?

– Więcej. – Eugenides uśmiechnął się do swych wspomnień.

– Szczenięca miłość – skwitowała królowa.

– Szczenięca miłość na ogół nie jest w stanie przetrwać amputacji, Wasza Wysokość.

– W takim razie dobrze, że obciąłem ci dłoń, a nie wyrwałam serce –

stwierdziła okrutnie. – A więc wydaje ci się, że wciąż mnie kochasz?

– Tak.

– I myślisz, że ci uwierzę?

Eugenides wzruszył ramionami.

– Możesz zabić mnie tutaj, Wasza Wysokość, a będzie po wszystkim. Albo możesz mi uwierzyć. – Widział ją tańczącą w jasnej sukni w świetle księżycy, udającą, że wraz z nią obraca się w kole cała trupa tancerzy. Wyciągała ręce, obejmując siostry i przyjaciół istniejących tylko w jej wyobraźni. Nigdy nie widział czegoś tak pięknego, a zarazem tak smutnego. Pamiętał dobrze chwilę, kiedy nazwana okrutną, oblała się rumieńcem. Jakiś czas później mag zaproponował, że przyśle mu informacje aktualniejsze niż te, które mógł znaleźć we własnej bibliotece, a on zgodził się skwapliwie i przeczytał wszystko bardzo dokładnie, próbując dociec, czy Attolia może być potworem w ludzkiej skórze, o co ją oskarżano, czy też zaledwie kobietą zmuszoną rządzić krajem bez wsparcia baronów. Ostatecznie posłuchał rady dziadka, której ten udzielił mu wiele lat temu i postanowił przekonać się na własne oczy.

– Kocham cię – powiedział. – Możesz mi wierzyć.

Attolia przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, wciąż trzymając nóż w gotowości. Wreszcie wsunęła go do ukrytej kieszonki na przedzie sukni, postąpiła krok do przodu i położyła Złodziejowi dłoń na policzku. Ten zastygł w bezruchu.

– Oto, w co wierzę – odparła. – Wierzę, że u szczytu schodów czekają twoi przyjaciele, więc jeśli pojawię się tam sama, z całą pewnością zginę.

– Tam jest łódź – odezwał się cicho chłopak. Nawet nie drgnął pod wpływem ciepła jej dłoni.

– Nie przycumowałaś jej i odpłynęła. A choćby nawet udało mi się ją dogonić, mogłabym łudzić się, że uda mi się ominąć skały?

– Nie.

– W takim razie lepiej zacznijmy się wspinać – powiedziała i odwróciła się do niego plecami.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Schody, prowadzące z plaży na górę, wykuto w skalnej szczelinie między klifami. Co jakiś czas drewniane stopnie rozciągały się w poprzek pęknięcia, pozwalając idącym przenieść się na bezpieczniejszą powierzchnię po drugiej stronie. Eugenides puścił królową przodem, by to ona mogła wybrać tempo i by mieć ją na oku. Wspinaczka rozgrzała ją i rozluźniła mięśnie, ale stopy w filcowych pantoflach wciąż miała przemoczone i zmarznięte. Każdy krok był niczym cios. Co chwilę sprawdzała, czy noże wciąż tkwią na swoich miejscach. Przy pierwszym zakręcie, gdzie drewniany most sięgał ku drugiej, odległej stronie wąskiego kanionu, odwróciła się, by porozmawiać z Eugenidesem. Chłopak znajdował się nieco niżej i starał się trzymać poza jej zasięgiem.

– Nie przekupiłeś Efkisa – powiedziała.

– Nie. To było kłamstwo. Nie było żadnego królewskiego posłańca. Porucznika udawał mój kuzyn Crodes. Przez wiele miesięcy ćwiczył attolijski akcent. Torbę wzięliśmy z twojej ambasady w Eddis.

– Ale udało ci się przeprowadzić ludzi przed nosem Efkisa. No i działa – dodała. – Jedenaście dział. Jak je przeprowadziłeś?

– Były z drewna.

– Z drewna?

– Z drewna. Sztuczne. Przetransportowaliśmy je Seperchią na jednej łodzi, a potem wyrzuciliśmy za burtę i trzymając się ich dopłynęliśmy do brzegu.

– Drań – skwitowała Attolia.

– Jakbym nie wiedział. – Po jego twarzy przemknął przelotny uśmiech, ten sam uśmiech triumfującego łucznika, który królowa doskonale pamiętała. I niemal natychmiast zniknął.

Attolia odwróciła się i podjęła wspinaczkę. Nie zamierzała oglądać się na Eugenidesa. Wściekle parła naprzód, wyładowując złość na schodach. Złodziej podążał za nią, słuchając jej coraz cięższego oddechu i czekając, aż królowa zmęczy się i zwolni. Ta jednak, narzuciwszy sobie tempo, ani myślała je zmniejszać. Starając się za wszelką cenę stłumić zadyszkę, pokonywała stopień za stopniem.

– Wasza Wysokość – odezwał się Złodziej. Władczyni zatrzymała się, odwróciła gwałtownie i zmierzyła go wzrokiem.

Eugenides przemówił zanim zdążył zastanowić się, co właściwie chce powiedzieć. Zależało mu jedynie na tym, by Attolia zatrzymała się na chwilę, licząc na to, że gdy znów podejmie wspinaczkę, zabierze się za nią wolniej. Podniósł głowę i zaniemówił pod wpływem jej urody i pogardliwego spojrzenia.

– Miałem nadzieję, że spodobają ci się kolczyki – wykrztusił głupawo.

Wydawało mu się, że słyszał, jak krew gotuje się w żyłach królowej i uderza jej do głowy.

– Że spodobają mi się kolczyki? – spytała jadowicie. – Pewnie tak samo, jak spodoba mi się perspektywa poślubienia na wół wyrosniętego chłopaka? Jednorękiego kozła? – Użyła potocznej nazwy, jaką mieszkańcy nizin nadali Eddijczykowi. – Kiedy naprawdę zechcę za ciebie wyjść, założę twoje kolczyki. I lepiej na to nie czekaj, Złodzieju.

Odwróciła się do niego plecami i ruszyła pod górę równie szybko co poprzednio.

– Wasza Wysokość – zawołał za nią chłopak.

– Co znowu?

– To będzie długa wspinaczka – powiedział, wyraźnie przybity. – Jeśli zamierzasz kontynuować ją w tym tempie, umrzesz na apopleksję przed dotarciem na szczyt.

– Jestem pewna, że nie byłabym pierwszą osobą, którą doprowadziłeś do apopleksji – odparowała Attolia, ale zwolniła. Eugenides ruszył jej śladem, wciąż zachowując bezpieczną odległość.

Wspinali się w milczeniu jeszcze przez pół godziny. Gdy przed nimi zamajaczył w oddali ostatni stopień, Eugenides uległ pokusie i wydał z siebie kilka cichych odgłosów, do złudzenia przypominających beczenie małego kozła. Attolia usłyszała to. Uniosła głowę i na chwilę zastygła w bezruchu, zaciskając dłonie w pięści. Sięgnęła po noże, ale odkryła, że wszystkie znów zniknęły, choć po drodze kilkakrotnie sprawdzała ich obecność. Rozjuszona, zawróciła i niespiesznie ruszyła w dół w stronę Złodzieja. Ten cofał się schodek po schodku, w miarę, jak królowa coraz bardziej zbliżała się do niego.

– Im niżej zejdziemy, tym więcej stopni będziemy mieli znów do pokonania, Wasza Wysokość – zawołał.

Attolia zatrzymała się. Po wielu latach wypełnionych intrygami i otwartymi wojnami z baronami, potrafiła rozpoznać, kiedy została pokonana. Bez pomocy nie miała szans na uwolnienie się od Złodzieja. Jego uzbrojeni towarzysze czekali na szczycie klifu, by odeskortować ją na wesele i, póki co, nie mogła liczyć na niczyje wsparcie. Uzbroidła się więc w cierpliwość, która od zawsze była jej najskuteczniejszą bronią i na nowo podjęła wspinaczkę.

Kiedy dotarła do szczytu schodów, wyższe góry skryły się za przybrzeżnymi wzgórzami. Ich zarysy wyraźnie odcinały się od jaśniejącego z wolna nieba, poza tym jednak wciąż jeszcze było ciemno, dlatego królowej ciężko było wyłowić z mroku cechy charakterystyczne stojących przed nią

ludzi. Obrzuciła ich chłodnym spojrzeniem. Większość z nich miała na sobie eddijskie, wojskowe tuniki, ale kilku starszych mężczyzn nosiło stonowane stroje codzienne. Ten gruby, pomyślała, to jeden z ministrów Eddis. Podejrzewała, że pozostali cywile również nimi byli. Eddis postanowiła uhonorować ją ich towarzystwem.

Nie wyglądało na to, by rozbito tu obozowisko. Konie i zwierzęta juczne uwiązano w rzędach, osiodłane i objuczone.

Oficerowie i ministrowie podeszli bliżej. Na ich twarzach malowały się przeróżne odcienie powagi i zażenowania. Gdy się zbliżyli, Attolia rozpoznała kolejne osoby: ministra handlu i ministra skarbu. Nieco przed nimi kroczył mężczyzna, który nie wyglądał ani na poważnego, ani zmieszanego. Jego twarz przybrała kamienny wyraz. Zmrużywszy oczy, królowa rozpoznała i jego. Był to szambelan Eddis, sprowadzony tu, by dokonać obowiązkowej prezentacji, co też uczynił, nie czyniąc choćby najmniejszych ustępstw od zwyczajowej, pałacowej etykiety. Raz tylko zawahał się i spojrzał przez ramię.

– Mówił, że go tu nie będzie – szepnął jeden z ministrów, ale jego głos poniósł się dalej. Szambelan wrócił natomiast do formalnego powitania w imieniu nieobecnej królowej Eddis.

– I co teraz? – Attolia zadała pytanie w przestrzeń.

– Przedostaniemy się przez wzgórza najszybciej, jak to tylko możliwe i skierujemy się w stronę Źródła Pricas. Stamtąd będziemy mogli dostać się do głównej przełęczy – odezwał się za jej plecami Eugenides. – Potem nastąpią pospieszne negocjacje i w obecności twoich baronów w charakterze świadków ogłosimy nasze zaręczyny.

– To będzie nudna ceremonia – mruknęła królowa.

– Z większą pompą możemy świętować zaślubiny... i koronację.

Attolia obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Chłopak odpowiedział jej

równie chłodnym uśmiechem i odwrócił się w stronę mężczyzn, którzy zbliżyli się, by do nich dołączyć.

– Żadnych niespodziewanych trudności? – zapytał minister handlu.

– Żadnych niespodziewanych – odparł Eugenides.

Znów przemówił szambelan:

– Wasza Wysokość, jest mi bardzo przykro, że nie mogę pozwolić ci na odpoczynek po niewątpliwie niezwykle męczącej podróży, ale obawiam się, iż jak najszybciej musimy dotrzeć do głównej przełęczy. Przygotowaliśmy konia, o ile potrafisz jeździć w siodle?

– Potrafię – odpowiedziała Attolia, dając do zrozumienia, że woli współpracować niż dać się przywiązać do końskiego grzbietu.

Szambelan odchrząknął.

– Jeśli wolno mi zaproponować, Wasza Wysokość, mam dla ciebie suchy płaszcz.

– Wolno ci zaproponować.

Mężczyzna obrzucił przelotnym spojrzeniem jej stopy.

– Mam też suche buty. Proszę mi wybaczyć. – Skłonił się uprzejmie i odszedł, by przynieść jej płaszcz oraz miękkie, skórzane buty. Kiedy wrócił, ukląkł, zdjął jej pantofle i wsunął na ich miejsce ciepłe obuwie. Pasowało niemal idealnie i królowa z ulgą poruszyła kilkakrotnie palcami.

Przyprowadzono jej konia i wsadzono ją na siodło, podczas gdy Eugenides przyglądał się wszystkiemu z oddali. Attolia ani razu nie spojrzała w jego stronę. Dosiadła wierzchowca i dała się poprowadzić, nie oglądając się przez ramię.

Wspięli się na przybrzeżne wzgórza, po czym skręcili i podążyli wąskim szlakiem. Spędzili cały dzień w siodle, pod wiszącymi im nad głową chmurami. Przybrzeżne wzgórza były mniej jednolite niż strome stoki Gór Hefestiańskich, położonych nieco bardziej w głębi lądu od rzeki Seperchii.

Ścieżka wznosiła się i opadała, wijąc się po wystających z ziemi ramionach kontynentu. Wraz z zapadnięciem zmroku wjechali na zbocze wzgórza górującego nad Attolią i odnaleźli obozowisko na półce skalnej. Nie było tam nikogo za wyjątkiem posłańca, pozostawionego tam z wieścią, że Ksenofon nie napotkał żadnych trudności przy wycofywaniu się z Efraty.

Attolia trzęsa się z wyczerpania, dlatego też chętnie skorzystała z pomocy jednego z żołnierzy przy zsiadaniu. Był to starszy mężczyzna w mundurze, ale nie miał żadnych naszywek na kołnierzu, które sugerowałyby rangę oficerską. Nie wydawał się zatrwożony bliskością królowej. Być może służył w pałacu własnej władczyni. Wyglądał dziwnie znajomo, więc Attolia zaczęła zastanawiać się, czy spotkała go przy jakiejś oficjalnej okazji w Eddis albo we własnej ojczyźnie. Chwycił ją w talii, a ona ześliznęła się z konia. Jego dłonie nagle zacisnęły się mocniej i kiedy tak wisiała w jego uścisku ze stopami dyndającymi w powietrzu, królowa poczuła, jak ogarnia ją irracjonalny strach. Jego spojrzenie stwardniało. Attolia wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami i mężczyzna spuścił wzrok, po czym postawił ją łagodnie na ziemi.

Królowa odwróciła się do niego plecami i zapytała stojącego nieopodal ministra, co stanie się, gdy spotkają się z władczynią Eddis.

– Rozpoczną się negocjacje, Wasza Wysokość. Tak sędzę.

– Dotyczące posagu? – Attolia uniosła brew.

– Tak sędzę, Wasza Wysokość. Szambelan Jej Królewskiej Mości zaprowadzi cię do namiotu. – Minister przeprosił ją i odszedł. Starszy mężczyzna gdzieś zniknął.

Przydzielono jej największy z namiotów. Szambelan podprowadził ją do wejścia, stanął obok niego i ukłonił się. Tak ściśle przestrzegał etykiety w kontaktach z porwaną królową, że przyszło jej do głowy, iż grzeczność ta była jej bardziej nienawistna niż pogarda. Eugenidesa nie widziała przez cały

dzień.

Dla jej wygody do namiotu wstawiono leżankę, którą przykryto pledami i poduszkami. Attolia została sama. Strażnik czekał na zewnątrz. Przez chwilę królowa rozglądała się po pustym namiocie. Czyżby oczekiwała towarzystwa, gości, którzy wraz z nią zjedliby zimną kolację, czekającą na maleńkim stoliku obok łóżka? Usiadła na leżance i posiliła się. Kiedy skończyła, była już niemalże zbyt zmęczona, by wstać, lecz mimo to podeszła do wyjścia z namiotu i odsunęła połę. Strażnik obrzucił ją zalęknionym spojrzeniem. Młodzieniec, nieprzyzwyczajony do obecności monarchy, jak zgadywała Attolia.

– Chcę zobaczyć się z Eugenidesem – powiedziała swym najbardziej królewskim tonem.

Wartownik zaoferował, że pošle mu wiadomość.

– Zaprowadź mnie do niego – rozkazała w odpowiedzi. – Będzie szybciej. Jestem zmęczona i chcę odpocząć po rozmowie z nim.

Żołnierz zawahał się i obrzucił spojrzeniem oświetlony namiot, rozbity nieco dalej. Attolia natychmiast ruszyła w tamtą stronę. Niech spróbuje ją powstrzymać, jeśli ma dość śmiałości. Próbując w miarę możliwości obrócić nieciekawą sytuację na swoją korzyść, wartownik pospieszył, by ją wyprzedzić. Poła namiotu została odsunięta, więc gdy królowa podeszła bliżej, zajrzała ponad ramieniem strażnika do wnętrza rozświetlonego ciepłym światłem lampy, wiszącej na centralnym maszcie, namiotu.

Eugenides siedział na niskim stołku. Przed nim klęczał przysadzisty mężczyzna w wykończonej zieloną lamówką tunice medyka, który poluzowywał uchwyt protezy na jego kikucie. Złodziej miał zamknięte oczy. Gdy wreszcie udało się oswobodzić jego rękę, zadrzał i oparł głowę na ramieniu lekarza.

Attolia stała bez ruchu, wspominając, że zeszłej nocy wydawało jej się,

że chłopak jest zbyt młody, by mogły boleć go kości.

– Eugenidesie – przemówił wartownik, wzywając go po imieniu, będącym jednocześnie jego tytułem.

– Czego? – warknął młody mężczyzna, podnosząc głowę i otwierając oczy. Dostrzegł stojącą w wejściu królową i na chwilę zamarł, sprawiając wrażenie, jakby zebrało mu się na mdłości, po czym obrócił się sztywno i pochwycił leżący obok ręcznik, by owinać nim kikut. Następnie wstał i podszedł bliżej, przyciskając do piersi kalekę dłoni. Zarówno jego twarz, jak i głos, były zupełnie pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, gdy przemówił.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Wasza Wysokość? – zapytał uprzejmie.

– Co się stało z armią pod wodzą Piloksidea? – Nie dotarły jeszcze do mnie żadne wieści – odpowiedział. – Atak na Piloksidea był tylko manewrem mylącym, mającym na celu odwrócenie jego uwagi. Nie było faktycznej potyczki.

Nie odzywając się ani słowem, Attolia wróciła do swojego namiotu.

Przez sen dobiegły ją odgłosy kropli deszczu stukających delikatnie o dach jej schronienia, a gdy się obudziła, usłyszała krzyki. Nogi wciąż miała zawinięte w koc i ledwie zdążyła usiąść, gdy poła namiotu odsunęła się, a do środka wszedł Eugenides. Wisząca pod sufitem lampa nie została zgaszona, więc w jej świetle Attolia dostrzegła obnażony miecz w jego lewej dłoni.

– Ale masz szczęście – mruknął, podchodząc bliżej.

Królowa nie zamierzała kulić się ze strachu. Uniosła podbródek, podczas gdy Złodziej ruszył w jej stronę. Kiedy jednak stanął obok, nie uniósł broni, jak się spodziewała. Zamiast tego pochylił się i pocałował ją przelotnie w usta.

Zszokowana, Attolia cofnęła głowę i zaczęła wściekle kopać nogami krępujące ją koce. Zanim, sina z wściekłości, zdążyła wyplątać się z nich i wstać, Eugenides już wyszedł, opuszczając za sobą połą namiotu.

Na zewnątrz stał ten sam młody wartownik co poprzedniego dnia.

– Proszę zostać w namiocie, Wasza Wysokość – powiedział bardziej stanowczo niż wcześniej i mając nadzieję, że tym razem królowa posłucha.

Przed nimi przebiegło kilku żołnierzy z obnażonymi ostrzami w dłoniach. Attolia zrobiła parę kroków naprzód, pozwalając, by poła opadła za jej plecami, odcinając większość światła wylewającego się z wnętrza namiotu. Znowu padał deszcz, choć niezbyt rzęśisty. Księżyc zniknął za chmurami, ciężko było więc ocenić, co się właściwie działo. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła mężczyzn wychodzących zza krawędzi grzbietu, biegnącego wzdłuż półki skalnej.

– Kim oni są? – zapytała, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

– Wasza Wysokość, proszę wejść do środka – powtórzył wartownik, podnosząc głos.

Attolia nie zamierzała ustąpić. Żeby zmusić ją do posłuchania polecenia, strażnik musiałby chyba wepchnąć ją do namiotu, a wydawał się równie skłonny do użycia siły co poprzednio. Królowa rozpoznała grzebienie na hełmach zbliżających się żołnierzy i otworzyła szeroko oczy. To nie były jej wojska. To Medejczycy.

W eddijskim obozowisku panował chaos. Ludzie wyskakiwali spod koców, dobywali mieczy z pochew i chwyтали tarcze, po czym bezładnie rzucali się na Medejczyków. Ci zaś kroczyli naprzód zwartym szykiem, dzięki któremu stworzyli swe imperium, ramię przy ramieniu, tarcza przy tarczy. Razem tworzyli perfekcyjną i straszliwą maszynę bojową, więc Attolia odwróciła wzrok, gdy zwarli się z pierwszym szeregiem Eddijczyków.

Pewnego razu próbowała wytłumaczyć Nahusereszowi specyfikę mieszkańców górskiego kraju. Ambasador naciskał, aby oddelegowała swe wojska do zdobycia przełęczy prowadzącej do Eddis uważając, że gdy znajdą

się poza zasięgiem dział umieszczonych ponad wąwozem, z łatwością opanują szczyt przełęczy oraz górskie doliny. Królowa nie zgodziła się na to, wątpiąc, by jej siły dały radę przedrzeć się obok dział, nie zostając przy tym zdziesiątkowane. Nahuseresz uznał to za przejaw w pełni zrozumiałej kobiecej nieśmiałości. Wydawało się, że kompletnie nie docierał do niego fakt, iż Eddijczycy nie mieli zbyt wiele do roboty przez całą zimę, poza wyniesieniem na wyżyny swego rzemiosła i przygotowaniem do wojny.

Kiedy Medejscy starli się z pierwszymi Eddijczycami, ci padli na kolana, odsłaniając przy tym plecy, i wyprowadzili cięcia prosto w nogi pierwszego szeregu falangi. Kolejni rzucili się na tarcze, spychając Medejszczyków do tyłu, podczas gdy dalsze szeregi wciąż napierały. Pierwsza fala obrońców zginęła, nadziejąc się na miecze Medejszczyków, ale ich zwarte szyki zostały przerwane. Wymachując własną bronią, pozostali Eddijczycy wdarli się w wyrwę, która powstała w sprawnej maszynie bojowej. Medejscy próbowali się przegrupować, ale zostali obezwładnieni. Przez chwilę Attolii wydawało się, że dostrzegła Eugenidesa, ale wśród panujących wokół ciemności nie mogła być tego pewna.

Nagle mrok rozjaśniło światło racy, wystrzelonej w powietrze wraz ze strzałą albo bełtem z kuszy. Flara opadała wolno ku ziemi, a wśród jasności bez problemu dawało się odróżnić gołe głowy Eddijczyców od medejskich hełmów z grzebieniami. W boleśnie jaskrawym blasku płonącej kuli magnezu, królowa wyłowiła z chaosu Złodzieja Eddis. W pewnej odległości zauważyła też żołnierza, który pomógł jej zsiąść z konia. Choć nie znajdowali się blisko siebie, Attolia wkrótce zorientowała się, że walczyli w tandemie. Eugenides natarł na swojego przeciwnika, a kiedy ten odskoczył, znalazł się w zasięgu drugiego wojownika, który zręcznie przeszył go sztychem, po czym wrócił do własnego rywala. Zgrany duet wyciął sporą dziurę głęboko w trzewiach sypiącej się medejskiej maszyny bojowej.

I wtedy, w świetle racy, zaczęli strzelać medejscy kusznicy, rozmieszczeni powyżej pola walki.

– Wasza Wysokość, proszę wejść do namiotu – zawołał stojący obok wartownik. Uniósł połę i oboje zamienili się w ciemne sylwetki na tle wylewającej się z wnętrza jasności. Złapał ją za rękę i pociągnął. Attolia próbowała strącić jego dłoń, ale poczuła, że ta ześlizguje się sama. Kiedy się odwróciła, młodzieniec zwałił się na ziemię ciężko jak ścięte drzewo. Z jego gardła sterczał bełt kuszy. Z rany pociekła ciemna krew, mieszając się z deszczem. Ciało wartownika zadrgało kilkakrotnie, po czym znieruchomiało.

Poła namiotu opadła, przesłaniając światło, ale królowa przemknęła obok wejścia i przycupnęła za namiotem, by nie było jej widać na tle jego jaśniejszych ścian. Stamtąd, wróciła do obserwacji potyczki. W deszczu bełtów Eddijczycy padali jeden po drugim. Attolia rozejrzała się w poszukiwaniu Eugenidesa, ale nigdzie nie mogła go dostrzec.

– Pokój – zawołał jakiś Medejszyk od strony wzgórza. – Pokój, Eddis. – Pozostali przy życiu Eddijczycy cofnęli się i opuścili miecze. Medejszycy zrobili to samo i zamarli w oczekiwaniu.

Był tam i Eugenides. W dłoni ścisnął własne ostrze, a jego ramiona wznosiły się i opadały, gdy przedramieniem odsunął z czoła mokre włosy. U jego boku stał starszy żołnierz. Powiedział coś, a Złodziej odwrócił się w jego stronę. Przez chwilę stali twarzami do siebie, po czym Eugenides pokręcił głową i odwrócił się. Następnie podniósł głowę i spojrzał ku wzgórzu, na którym czaili się medejscy kusznicy.

– Pokój! – zawołał i cisnął miecz w błoto. Pozostali Eddijczycy poszli za jego przykładem. Pokój i kapitulacja przed Medejszymi.

Siwowłosa mężczyzna przemówił ponownie, a Eugenides coś mu odpowiedział. Cokolwiek to było, wywołało u starszego żołnierza salwę gorzkiego śmiechu. Następnie obaj odwrócili się w stronę Attolii, zupełnie

jakby mogli dostrzec ją za namiotem. Ona natomiast widziała doskonale ich blade twarze, nieco tylko rozmazane przez padający deszcz. Złodziej powiedział coś do swego towarzysza, który kiwnął głową i wycofał się.

W oddali, na krawędzi zamajaczyła na chwilę inna sylwetka. Attolia wiedziała doskonale, kto to musiał być, wychodzący ostrożnie na półkę skalną teraz, gdy walki dobiegły już końca. Wyszła zza namiotu i udała się na spotkanie. Zbliżywszy się, włożyła obie dłonie w ręce medejskiego ambasadora i uśmiechnęła się.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować, Nahusereszu, i to za coś o wiele więcej niż tylko przyjemność płynącą z twego towarzystwa.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość. Żałuję tylko, że nie mogłem oszczędzić ci trudów tej okropnej podróży. – Pochylił się i ucałował jej dłoń. Nawet w deszczu, jego włosy przylegały gładko do czaszki. Płaszcz mężczyzny muskał czubki jego wypolerowanych butów, na których krople wody niemal skrzyły się w świetle pochodni.

Królowa podniosła wzrok ku jego twarzy, gdy ambasador wyprostował się.

– Wspaniała operacja ratunkowa – pochwaliła.

– Nakazałem mojej armii wylądować w Rei i skierowałem ją do podnóża przełęczy prowadzącej do Eddis, by wsparła tam twoich żołnierzy. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość zechce wybaczyć mi, że przeprowadziłem swych ludzi bez jej zgody przez jej terytorium.

Attolia uścisnęła jego dłoń.

– Chyba nie mam wyboru – odparła bez troski.

– Możliwość służenia ci to dar od bogów – powiedział Medejczyk i ponownie się uklonił.

Królowa zeszywniała. – Jakich bogów? – Twoich, moich, co za różnica? – zapytał ambasador. Żartował, przekonany, że bogowie są dla niej jedynie

przesądem. – Może zawarli układ między sobą, dając w ten sposób przykład nam wszystkim.

Attolia obdarzyła go uśmiechem.

– Być może. – Spojrzała w stronę grupy Eddijczyków, poszukując wśród nich Eugenidesa. Krążyli tam Medejscy, oddzielając oficerów i mężczyzn niemających na sobie mundurów. Kiedy dotarli do Złodzieja, jeden z nich powiedział coś, co wywołało wesołość u pozostałych.

– Zabraliście ze sobą kajdany? – zapytała Nahuseresza.

– Kilka par. Myślę jednak, że niespecjalnie sprawdzą się w przypadku tego twojego jednorękiego złodzieja – przypomniał jej.

Rozwścieczona własną bezmyślnością, Attolia udała, że ją to rozbawiło.

– Mam łańcuchy na szyję – dodał Medejszyk.

– Jesteś taki sprytny. Przykuj go do dwóch innych żołnierzy, dobrze? Dwóch oficerów.

– Jak sobie życzysz – odparł Nahuseresz i gestem dłoni przywołał do siebie jednego ze swych ludzi. Attolia zostawiła go i ruszyła przez śliskie błoto ku Eugenidesowi. Medejscy żołnierze wsunęli pętlę z liny na jego ramiona i przywiązali mu ręce do boków. Chłopak stał przygarbiony, ze wzrokiem wbitym w ziemię, podczas gdy mężczyźni zacisnęli więzy i odeszli.

Kiedy podeszła bliżej, podniósł głowę, by spojrzeć ponad jej ramieniem na ambasadora. Wiedział, że mężczyzna przeprowadził Attolię przez wiele bitew morskich. Niektórzy z jej baronów lubili go, inni darzyli uprzejmą nienawiścią, ale wszyscy go szanowali. Prawił komplementy królowej Attolii i dowodził medejskimi okrętami patrolującymi jej wybrzeże, jak również wojskami na lądzie. Wprawdzie osobiście nie brał udziału w samych walkach, ale któż mógłby wątpić, że okazałby się równie kompetentny w zabijaniu, jak w każdej innej rzeczy, której się podejmował? Był wręcz

idealnym kandydatem na króla, a brakowało mu tylko królestwa, dlatego łaskawie przyjąłby Attolię. Eugenides wprost nie mógł go znieść.

Królowa podeszła bliżej, a Złodziej spuścił oczy. Desperacko pragnął zwymiotować albo paść na kolana, zakryć twarz dłońmi – czy też raczej dłonią – i płakać. Jeśli nie spojrzy jej w twarz, miał nadzieję uniknąć każdej z tych rzeczy.

– Póki trwa życie, jest nadzieja, Eugenidesie – powiedziała Attolia, mierząc go wzrokiem. Mokre włosy na jego czole pozlepiały się w strąki. Drobną deszcz opadał kroplami na jego twarz. Jeden z policzków Złodzieja znaczył rozbryzg błota i krwi. Królowa obejrzała go dokładnie pod kątem ewentualnych ran, ale ponieważ żadnej nie znalazła założyła, że nie była to jego krew. Pochyliła się nieco, by zajrzeć mu w oczy i podążyła za jego spojrzeniem. Wpatrywał się w wodę płynącą wąskim strumyczkiem przez błoto obok jej lewej stopy. Attolia wyprostowała się.

– Zostaniesz przykuty za szyję do dwóch innych więźniów – powiedziała. – Jeśli wszyscy przeżyjecie powrót do Efraty, zostaną bezpiecznie odesłani do Eddis, bez żądania okupu. – Eugenides nawet się nie poruszył. Najwyraźniej całą nadzieję pokładał w ziemi u jej stóp, bo nie odwracał od niej spojrzenia. – Zrozumiałeś? – zapytała królowa.

– Tak.

– I co zamierzasz?

– Och – próbował powstrzymać drżenie głosu, ale mu się to nie udało – pewnie będę się płaszczyc.

– Słyszałam już, jak to robisz – odparła Attolia, wbrew sobie okazując przelotne rozbawienie.

Eugenides przełknął ślinę.

– To było błaganie. – Tym razem lżejszy ton przyszedł mu nieco łatwiej. – Nie miałem zbyt wielu okazji do płaszczenia się poprzednim... razem. –

Zająknął się, po czym dodał już ze spokojem: – Jestem bardzo dobry w płaszczeniu się.

– Coś, co mogłoby ocalić twoją skórę?

– Nic nie może już ocalić mojej skóry – odpowiedział beznamiętnie.

Królowa ujęła go za podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Poczuła, jak pod jej dotykiem, ulatuje z niego oddech. Opierał się przez chwilę, ale w końcu ustąpił i uniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy. Nawet w czerwonym blasku pochodni jego twarz była blada. Mięśnie żuchwy napięły się pod skórą, gdy zacisnął zęby. Był przerażony.

Attolia nie czuła się zaskoczona, że maska skrywająca jego uczucia zniknęła. Chłopak nie był szkolony w strachu i dyplomacji, a w ciszy i ostrożności. Kiedy na nią spojrzał, w jego oczach jarzył się ból. Spodziewała się, że słyszał o jej groźbach. Widziała wyraźnie, że nie oczekiwał litości. Nie łudził się, że okaże mu coś poza bezwzględnością i okrucieństwem.

Eugenides był przerażony i doskonale wiedział, że był też głupcem. Zapomniał, co to znaczy być zdanym na łaskę królowej Attolii. Krew szumiała mu w uszach, a całe jego ciało zeszywniało, by pokonać drżenie kolan. Od tego wszystkiego zbierało mu się na mdłości. Pamiętał to uczucie, ale wtedy wydawało mu się, że powodował je ból głowy. Teraz jednak nie było tego bólu, a mimo to czuł to samo w dole brzucha. Wiedział, że byłby skłonny błagać o choćby najmniejszą łaskę, ale spodziewał się, że na żadną nie może liczyć. Choćby i zrezygnowała z zemsty dla własnej przyjemności, to i tak wyrze ją dla swego tronu i dla Medejszyka, by pokazać mu, że powierza mu siebie i swój kraj. Złodziejem wstrząsnął dreszcz, którego nie udało mu się powstrzymać. Zanim ostatecznie umrze, straci wzrok, słuch i mowę. Martwy to martwy, powtarzał sobie w kółko. Martwy to martwy. Jednak gorsza niż śmierć była świadomość, że to ona odbierze mu wszystkie te rzeczy. Ponieważ go nienawidzi.

Mógłby powiedzieć jej, że ją kocha. Pragnął wykrzyczeć to tak, by usłyszeli go bogowie i ludzie. Niewiele by mu z tego przyszło. Już lepiej zaufać obietnicom księżycy niż słowom Złodzieja Eddis. Słyszał ze swych kłamstw w trzech krajach. Dlaczego Attolia miałaby uwierzyć w cokolwiek, co mówił, skoro miał medejskie miecze na gardle?

Królowa poczuła, jak chłopak drży pod jej dotykiem. Przez dwa lata próbował wznieść mury, by obronić się przed nią, ale teraz, na jej oczach, w jednej chwili wszystkie runęły. Przekonana, że nie da rady stawić jej czoła, Attolia cofnęła się, zapominając, że bycie bezbronnym wcale nie wyklucza możliwości ataku.

Eugenides wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze z płuc. Uniósł podbródek i wysunął go w stronę Nahuseresza, który zbliżał się do nich, wydając polecenia podwładnym. Następnie nachylił się ku władczyni tak, że mógł mówić niemalże prosto do jej ucha.

– Od królowej-cienia do królowej-marionetki w czasie jednych rządów – szepnął. – Robi wrażenie. Kiedy on przejmie panowanie nad twoim krajem i powie ci, że cię kocha, mam nadzieję, że mu uwierzysz.

Spodziewał się ciosu, więc uchylił się, a jej dłoń ledwie musnęła jego policzek w sposób, który zupełnie jej nie usatysfakcjonował.

– Przynajmniej to jedno nie było kłamstwem – dodał Złodziej.

Chłopak otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale w tym samym momencie Medejszyk stanął u boku Attolii, a ona uderzyła ponownie, tym razem trafiając go otwartą dłonią w ucho. Eugenides stracił równowagę, pośliznął się na błocie i upadł na plecy. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Natychmiast wygiął ciało w łuk, by odciążyć ramiona i przetoczył się na bok. Królowa liczyła na to, że upadek go uciszy, ale zaczęła zastanawiać się, czy jeszcze go nie kopnąć dla pewności. Nie miała zamiaru wysłuchiwać jego wynurzeń o dozgonnej miłości, ale Złodziej bywał tak strasznie uparty, kiedy

wreszcie udawało się dotrzeć do treści pod tymi wszystkimi kłamstwami. Ciekawiło ją, czy ten jego upór zawsze pogarszał i tak złą sytuację.

– Obraził cię? – zapytał Nahuseresz.

Attolia odwróciła się w jego stronę.

– Nie pierwszy raz – odparła, ścierając z dłoni drobiny błota. Przyjęła podane jej ramię Medeńczyka i oboje odeszli.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Eugenides nie zauważył, kto pomógł mu wstać. Kiedy ktoś założył mu żelazną obręcz na szyję, uniósł głowę i wbił wzrok w niebo. Deszcz padał mu na twarz, a on zastanawiał się, czy bogowie na niego patrzą. Obręcz zamknęła się ze szczękiem, a klucz został przekreślony w zamku. Chwilę później rozległ się grzechot łańcucha przewlekanego przez kółko w obroży. Łańcuch był ciężki, więc chłopak musiał się odchylić, by utrzymać równowagę. Poczul gwałtowne szarpnięcie i musiał ruszyć wraz z innymi więźniami przez śliskie błoto, którego wcale nie widział, bo zamiast niego wpatrywał się w otchłań, krok po kroku pochłaniającą go coraz bardziej. Przed oczami miał tylko królową tańczącą w swym ogrodzie, a jego myśli zajmowała jedynie blada zieleń jej sukni z wyhaftowanymi przy dekolcie kwiatami, którą władczyni miała na sobie, gdy przyglądała się, jak obcinają mu dłoń. Mój Boże, pomyślał, tak strasznie się boję. O mój Boże, jeśli mnie nie ocalisz, to chociaż spraw, bym nie bał się tak bardzo. W tym samym momencie upadł na stromym szlaku.

Uderzył twarzą o ziemię, a ukryte pośród błota kamienie rozcięły mu policzek. Przewrócił się tak gwałtownie, że pociągnął za sobą dwóch przykutych do niego żołnierzy. Oni, wstając, mogli przynajmniej pomóc sobie rękami. Natomiast ręce Eugenidesa zostały przywiązane do jego boków, a jego stopy ślizgały się w błocie, szukając oparcia. Jednemu z mężczyzn udało się stanąć na nogi, ale zrobił to zbyt gwałtownie. Złodziej zacharczał, gdy łańcuch napiął się, ciągnąc za obręcz, a mężczyzna stracił równowagę i znów upadł na ziemię. Pośród mroku i deszczu, ktoś wybuchnął

śmiechem. Żołnierz podźwignął się ponownie, ale tym razem pochylił się i pomógł wstać Eugenidesowi. Wyprostowawszy się, chłopak stanął twarzą w twarz z Nahusereszem, który przyglądał mu się z rozbawieniem. W trzewiach Złodzieja zapłonęła dzika nienawiść. Choć wciąż nie żywił najmniejszej nadziei, przynajmniej odzyskał jasność umysłu.

– Panie – szepnął mężczyzna u jego boku. – Skoczmy razem z tobą z następnego klifu.

Po raz pierwszy Eugenides odwrócił się, by spojrzeć na mężczyzn skutych wraz z nim łańcuchami. Obaj potwierdzili gestami, że rzeczywiście gotowi są poświęcić życie, ale Złodziej pokręcił głową. Attolia obiecała, że zostaną bezpiecznie odesłani do Eddis, a on jej wierzył. Skoro więc nie mieli szczeznąć w lochach Efraty, nie zamierzał przyczyniać się do ich śmierci u podnóża klifu. Jeśli Eddis ma przetrwać mimo jego porażki, każdy żołnierz będzie na wagę złota. Pokręcił głową raz jeszcze i zaczął zastanawiać się, co poszło nie tak i gdzie popełnił błąd.

Przed świtem dotarli do niższych wzgórz, gdzie czekali już na nich medejscy żołnierze z końmi. Attolia rozejrzała się, poszukując wśród nich własnych ludzi.

Nahuseresz skwapliwie wyjaśnił jej powód ich nieobecności.

– Kapitan twojej gwardii zdecydował się bronić megaronu do twojego powrotu – oznajmił. Królowa kiwnęła głową. – Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie jego bojaźliwość. Być może przywykł raczej do ochrony niż do walki.

– Być może – zgodziła się Attolia. – Albo po prostu wiedział, że nie będzie potrzebny, skoro ty możesz mnie bronić.

– Ach, mogło być i tak.

Ostatecznie Nahuseresz zostawił tylu medejskich żołnierzy w tej barbarzyńskiej norze, że Teleus nie ośmielił się wyściubić nosa na zewnątrz.

– Musimy porozmawiać, ty i ja, o kapitanie twojej gwardii. – Ambasador objął Attolię ramieniem w dodającym otuchy geście. – Widzisz, o miejscu twego pobytu poinformowała mnie pewna niezwykła kobieta. Obawiam się, że w przeciwnym razie nie byłbym w stanie cię ocalić.

– Niezwykła kobieta? – Królowa rzuciła mu ostre spojrzenie. Czyżby była zazdrosna?, zainteresował się Nahuseresz.

– Cóż, owszem. Jeśli by obudzić mnie w moim łóżku udało jej się prześliznąć obok Kameta śpiącego u moich drzwi, to musi być niezwykła, nie sądzisz?

– O tak. A czy potrząsnęła tobą, czy też po prostu wymówiła twoje imię?

– Wymówiła moje imię. – Medejczyk obrzucił Attolię uważnym spojrzeniem, zastanawiając się, skąd to wiedziała.

Nahuseresz z konieczności miał lekki sen, dlatego gdy otworzył oczy pośród panujących w komnacie ciemności i dostrzegł poruszenie czegoś białego, natychmiast otrzeźwiał, wsunął dłoń pod poduszkę po trzymanym tam długi nóż i przetoczył się na bok. Obok jego łóżka, najspokojniej w świetle stała kobieta, spoglądając na niego z góry. Medejczyk zauważył z zaskoczeniem, że miała na sobie ciemne szaty przybocznych królowej, a nie biel, więc rozejrzał się po pokoju szukając innego napastnika. Poza nim i kobietą w pomieszczeniu nie było jednak nikogo więcej, toteż doszedł do wniosku, że światło księżycy musiało płatać mu figle.

– Nahusereszu – nieznajoma powtórzyła jego imię. – Czy usłyszysz moją wiadomość?

Było to dziwne sformułowanie. Ambasador nigdy wcześniej się z nim nie spotkał. Oczywiście, że usłyszy jej wiadomość: czy nie leżał w łóżku mniej niż trzy stopy od kobiety? Chciał zapytać ją, skąd się tu wzięła i co się stało z Kametem, który powinien spać w przedsionku, ale jeśli przychodziła do niego jedynie z wiadomością, to był skłonny jej wysłuchać.

– Co to za wiadomość?

– Królowa Attolii nie została utopiona – oznajmiła nieznajoma. – Eugenides przewiezie ją do przybrzeżnych wzgórz.

– Ach tak?

Kobieta spokojnie mówiła dalej.

– Zawiezie ją do Źródła Pricas, a stamtąd podążą wzdłuż rzeki do Seperchii, gdzie czeka już królowa Eddis.

– A skąd to wszystko wiesz?

Nieznajoma milczała.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć? – zapytał wreszcie Nahuseresz.

– Nie prosiłam, byś mi uwierzył, a jedynie, byś usłyszał moją wiadomość – odparła kobieta z uśmiechem i uprzejmie skinęła mu głową.

Ambasador zrelacjonował treść wiadomości attolijskiej królowej.

– Mogła wiedzieć to wszystko tylko jeśli spiskowała przeciw tobie – wyjaśnił. – Albo jeśli była kochanką spiskowca – dodał – a gdybyś zechciała zastanowić się nad tożsamością tego spiskowca, to myślę, że kapitan twojej gwardii wyda ci się prawdopodobnym kandydatem. Kto wpuścił Eddijczyków do megaronu w Efracie? Kto pozwolił im go opuścić? Kto posłał Eugenidesa do doku i kto spóźnił się ledwie o włos, by cię tam ocalić?

– Teraz rozumiem – powiedziała Attolia.

– Nie wątpię. Jeśli to kobieta Teleusa zdradziła mi cel Eugenidesa...

– Jego cel? – zapytała ostrym tonem królowa.

– Pricas – wyjaśnił Medeńczyk. Władczyni najwyraźniej błędziła gdzieś myślami. Niewątpliwie zaskoczyło ją, że uczciwy Teleus mógł okazać się spiskowcem, pomyślał Nahuseresz.

– Tak, oczywiście – odparła Attolia. – Jeśli była kochanką Teleusa, dowiedziała się o planach od niego.

– Następnego dnia wezwałem do siebie wszystkie twoje przyboczne, ale

nie było jej wśród nich. One natomiast twierdziły, że żadnej nie brakuje, ale jestem pewien, że uda ci się odkryć, która zniknęła, a wtedy musisz pozwolić, żebym sam się z nią rozprawił.

– Z całą pewnością zasłużyła na nagrodę.

– Mylisz się – poprawił ją łagodnie ambasador. – Gdyby wcześniej podzieliła się posiadaną wiedzą, mogłaby liczyć na nagrodę. Teraz jednak dopilnuję, by spotkało ją to, na co sobie zasłużyła.

– Zdam się na ciebie – mruknęła Attolia, wyraźnie przybita.

Medejczyk uśmiechnął się i objął ją mocniej, prowadząc ją do jej wierzchowca. Nie zamierzał dzielić się z królową tym, co wydarzyło się po odejściu tajemniczej kobiety. Przekazawszy swą wiadomość Nahusereszowi i nie dbając o to, czy uwierzy w jej treść, czy też nie, nieznajoma wyszła tak cicho, że mężczyzna nie usłyszał zamykających się za nią drzwi.

– Kamecie! – zawołał. Słyszając, jak sekretarz wygrzebuje się pospiesznie z łóżka, poczuł zarówno ulgę, jak i irytację.

– Panie? – Niewolnik stanął w progu, trąc w zaspaniu oczy.

– Świetny z ciebie stróż. Myślałem, że cię zadźgano albo przynajmniej czymś odurzono – mruknął Nahuseresz, wsuwając znów nóż pod poduszkę i odrzucając kołdrę. – Mieliśmy gościa.

Opowiedział niewolnikowi o wiadomości od nieznajomej. – Przynies mi soczewkę i jakąś lampę, żebym mógł dać znak naszemu statkowi na morzu. Mamy mapę przybrzeżnej prowincji Eddis?

– Wierzysz jej?

– Nie jestem pewien. Zanim podejmę decyzję, chcę rzucić okiem na mapę.

– Ale jesteś skłonny uwierzyć?

– Śmierć Attolii nie przyniosłaby Eddis zbyt wielu korzyści – powiedział, myśląc na głos i wsunął stopy w pantofle. Obuwie, wykonane ze

skóry jelenia i podbite jagnięcą wełną, było jednym z niewielu luksusów, jakie zabrał ze sobą na to barbarzyńskie wybrzeże. – Nominalny następca tronu nie jest zbyt przychylny Medei, ale nie utrzyma się na tronie zbyt długo. Jeśli natomiast, zamiast zabijać królową, Eddis zdecydowałyby się ją przetrzymać, a przy tym udałoby się jej przekonać Attolijczyków do wykonywania narzuconych rozkazów, zostalibyśmy wyparci z tego wybrzeża, a wspólnymi siłami Eddis i kontrolowana Attolia poradziłyby sobie z Sounis.

– A więc wersja, którą przedstawiła ta kobieta, jest całkiem wiarygodna?

– Jeszcze tego nie wiem – odparł zjadliwie ambasador. – Nie przyniosłeś mi mapy.

Kamet wybuchnął śmiechem i poszedł wykonać polecenie. Chwilę później obaj szukali już Źródła Pricas.

– To musi być gdzieś blisko przepaści na przełęczy – mruknął Nahuseresz, przesuwając palcem po starannie naszkicowanych liniach. – W przeciwnym razie rzeka płynęłaby przez wzgórza i wpadała do morza, a nie do innej rzeki.

– Tutaj – powiedział niewolnik wskazując palcem właściwe miejsce. Jego wprawne oczy znalazły odpowiedni napis szybciej niż jego pan.

Medejczyk spojrział na mapę, oceniając odległości.

– To całkiem możliwe. Wody tętniące ze źródła wyżłobiły kanion prowadzący do Seperchii. Jeśli Eugenides przybił do brzegu gdzieś tutaj, mógłby pokonać ten dystans w jeden dzień, a następnego spotkałby się ze swoją królową.

– Nie ma tu żadnych miejsc, gdzie można by przybić do brzegu – zauważył Kamet.

– Niewątpliwie Eddijczycy dysponują takimi miejscami na swych skalistych wybrzeżach, ale nie chwalą się nimi przed sąsiadami.

– A więc wierzysz tej kobiecie?

Przez chwilę Nahuseresz wpatrywał się w przestrzeń, rozważając odpowiedź.

– Wydaje mi się, że byłbym głupcem, gdybym nie zachował się tak, jakbym uwierzył.

– Czyli zamierzasz odbić królową?

– Na pewno sprowadzić ją tutaj – odparł Medejszyk. – Czy żywą, tego nie umiem przewidzieć. W każdym razie żywa będzie nam bardzo wdzięczna.

– Jeśli zginie, rozpęta się wojna domowa o tron – podsunął sekretarz.

– A ktoś z pewnością zechce skorzystać z pomocy naszego cesarza. – Ambasador uśmiechnął się, promieniując pewnością siebie.

– Uważaj, czego sobie życzysz – mruknął pod nosem Kamet.

Kiedy medejski ambasador podprowadził ją do konia, Attolia pozwoliła, żeby pomógł jej usiąść w siodle. Choć znalazła się wyżej od niego, zdołała rzucić mu spojrzenie spod rzęs, co wywołało u niej przelotne uczucie satysfakcji, że tak umiejętnie radzi sobie z naśladowaniem swej przybocznej Chloe.

– Czy mógłbyś dla mnie skuć więźniów i przyprowadzić ich do głównej sali megaronu? – zapytała potulnie.

– Jak sobie życzysz, moja droga – odparł Nahuseresz.

– Chcę, żeby jeden z nich zaniósł Eddis wiadomość ode mnie. Po kąpieli wybiorę sobie któregoś.

– A nie możesz zrobić tego teraz? – zapytał z uśmiechem Medejszyk.

– Po kąpieli – ucięła Attolia. Mężczyzna przystał na jej żądanie ze skinieniem głowy.

Jechali pośród drzew oliwnych, a potem podążali drogą przez małą wioskę Efratę. Szlak biegł przez szczyty urwisk górujących nad morzem,

wijąc się jak one oraz wspinając na boczną grań, na której wzniesiono megaron. Z wioski Attolia dostrzegła ciała wiszące na murach twierdzy, jednak zapytała o nie dopiero wtedy, gdy wraz z Nahusereszem przejechali pod nimi i główną bramą skierowali się na dziedziniec.

– Niestety to zdrajcy – wyjaśnił ambasador. – Widziałem, w jaki sposób rozprawiasz się z przestępcami, więc wiedziałem, że nie będziesz miała nic przeciwko.

Tyle, że Attolia decydowała się na egzekucje jedynie w przypadku tych, którzy faktycznie dopuścili się przestępstw. Dwóch spośród baronów powieszonych głowami w dół ponad bramą należało do nielicznej grupy cechującej się niekwestionowaną lojalnością wobec królowej. Ta uznała jednak, że nie będzie się o to sprzeczać z Medejczykiem.

– Dziękuję ci za troskę, Nahusereszu – skwitowała uprzejmym tonem.

– Ależ oczywiście.

Gdy znaleźli się na dziedzińcu, ambasador wezwał stajennych do koni, kazał przygotować posiłek i zorganizował eskortę dla królowej, dość swobodnie wydając polecenia jej żołnierzom i służbie. Kiedy jednak podwładni władczyni skierowali wzrok ku niej, szukając potwierdzenia tych rozkazów, jego twarz pociemniała.

– Jestem pewien, że nie masz nic przeciwko – powiedział.

– Ależ skąd – odparła królowa. – Polegam na tobie.

Medejczyk wrócił więc do komenderowania, a służący dyskretnie oddalili się, nie podnosząc już więcej oczu.

Nahuseresz przywołał jednego ze swych gwardzistów.

– Królowa nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. Dopilnujesz, by nikt nie wchodził do jej komnat – polecił i odszedł, tłumacząc się koniecznością dopilnowania „innych spraw”.

Attolia udała się wraz z eskortą do swych pokoi, zostawiając

medejskiego gwardzistę przed wejściem. W środku zastała swe przyboczne, milczące i o pobladłych twarzach. Zsunęła płaszcz z ramion i przytrzymała go w wyciągniętej dłoni. Jedna z kobiet podeszła bliżej i odebrała od niej odzienie.

– Bez wątpienia opowiecie mi później o nowej służącej w mojej świecie – powiedziała, przyglądając się, jak przyboczne kręcą głowami z konsternacją. Stały przed nią wszystkie, żadnej nie brakowało. Żadna nie odpowiadała też opisowi nocnego gościa, jaki przedstawił jej Medejszyk.

– Wasza Wysokość... – przemówiła w imieniu wszystkich jedna z kobiet. – Nie wiemy, kogo ambasador mógł mieć na myśli.

– Nieważne – odparła Attolia. – Ja wiem. Na razie powiedzcie mi, co się stało z kapitanem mojej gwardii.

Służące spojrzały jednocześnie w stronę otwartych drzwi za jej plecami. Królowa obejrzała się i zobaczyła Teleusa czekającego na nią w wewnętrznej komnacie. Towarzyszyli mu porucznicy, a także kilku oficerów z regularnych wojsk.

Attolia uśmiechnęła się.

– Dobra robota – pochwaliła. Szybko obrzuciła wzrokiem każdego z mężczyzn, jakby oceniając, czy może im zaufać. – Teleusie – odezwała się po chwili. – Eddijscy więźniowie zostaną wprowadzeni do atrium albo do samego megaronu. Jest wśród nich Złodziej Eddis, który, jeśli da mu się wybór, będzie wolał zginąć z własnej ręki niż umierać po kawałku. Nie chcę, by mógł wybierać. Wyślij tam jednego z poruczników, żeby dopilnował jego bezpieczeństwa.

Teleus skinął głową i jeden z żołnierzy prześliznął się bokiem obok królowej.

– Jesteś odpowiedzialny za jego życie – powiedziała, gdy ją mijał. – Nie zawieź mnie.

– Dobrze, Wasza Wysokość – wymamrotał mężczyzna.

Attolia zwróciła się znów do Teleusa.

– Trzeba wysłać posłańców z wiadomościami.

– Nie ma ani jednego, Wasza Wysokość.

– Ani jednego?

– Nie pojawił się żaden z tych, których się spodziewaliśmy. Ci dwaj, których posłałem wczoraj do Piloksidesa, nie wrócili. Jedyny, który pozostał na miejscu, został znaleziony martwy dziś rano. Zatrął się czymś poprzedniego wieczora i dostał gorączki – powiedział znacząco.

– Rozumiem. W takim razie sami będziecie musieli się tym zająć – zdecydowała, pospiesznie wydając rozkazy. – Medejczykowi pod drzwiami nie wolno nikogo wpuszczać. Wygląda jednak na to, że wypuścił porucznika i nawet nie pisnął. Mimo to będziecie musieli poczekać tutaj, aż stąd wyjdę. Nie potrwa to długo. Chcę się wykąpać.

Odwróciła się w stronę przybocznych.

– Czy woda jest już gorąca?

– Nie, Wasza Wysokość.

– W takim razie zajmijcie się tym – rozkazała.

Leżąc w ciepłej kąpieli, myślała o Nahuseresz, kulturalnym, pewnym siebie, przygotowanym pod każdym względem do roli doskonałego króla w zamian za niewielkie poświęcenie w postaci przyłączenia Attolii do Cesarstwa Medejskiego. Miał o niej dobre mniemanie. Wiedziała, że doceniał jej bezwzględność. Chwalił jej wybór doradców wojskowych w miarę rozwoju wojny z Sounis na morzu i lądzie. Ona natomiast pamiętała, aby korzystać z jego rad, kiedy tylko mogła, by w ten sposób wzmocnić wrażenie, że słucha zdania innych. Zapewne odbyło się to kosztem życia baronów, których ciała zawisły na murach Efraty. Nahuseresz uznał niewątpliwie, że pozbywa się wszelkich doradców, którzy mogliby odwieść

ją od roli królowej u jego boku.

Kiedy wyszła z kąpieli, przyboczne czekały już na nią z ogrzanym szlafrokiem. Nie było paplaniny ani ploteczek. Wszystkie spodziewały się, że ich pani zapyta w końcu o nieobecną służkę. Attolia usiadła na krześle i kazała uczesać sobie włosy. Aglaja pociągnęła ją lekko za ucho, przekładając przez płatek kolczyk ze złotą pszczołą.

– Nie te – zaprotestowała ostro królowa.

W megaronie Eugenides siedział na kamiennej podłodze z kolanami podciągniętymi pod brodę, opierając się o pomalowaną na czerwono kolumnę. Miał zamknięte oczy. Podobnie jak pozostali Eddijczycy, był cały przemoczony, więc od czasu do czasu jego ciałem wstrząsały dreszcze, jakby duch przespacerował się po jego grobie. Wysoki kołnierz jego tuniki ukrywał wszelkie ślady na jego szyi. Teleus, stojący w bocznym wejściu do megaronu u boku królowej, której niezmiennie towarzyszył Nahuseresz, wskazał chłopaka palcem i wyjaśnił, że porucznik zauważył przypadkiem, iż więzień znajdujący się bezpośrednio za Złodziejem dusił go po cichu własnymi łańcuchami. Eddijczycy zostali skuci rzędami, po czym kazano im usiąść na kamiennej posadzce. Porucznik, któremu bardzo zależało na zachowaniu Złodzieja przy życiu zgodnie z życzeniem Jej Królewskiej Mości, kopnął tamtego więźnia w głowę.

– Doskonale – pochwaliła Attolia Teleusa i jego podwładnego. – Przykro byłoby mi go stracić. – Przeszła po malowanej podłodze megaronu i stanęła przed Eddijczykami, niecierpliwie tupiąc. Zależało jej, by Złodziej otworzył oczy, ten jednak sprawiał wrażenie na wpół martwego i zapewne rzeczywiście tak było.

Syknąwszy ze zniecierpliwienia, królowa zaczęła przeciskać się między więźniami, ostrożnie przestępując łańcuchy. Pochyliła się nad Eugenidesem, złapała go za włosy nad czołem i szarpnęła. Chłopak otworzył oczy i

wierzgnął nogami w panice, kiedy jednak podniósł wzrok i spojrzał z bliska w twarz Attolii, nagle znieruchomiał jakby dotknięty paraliżem.

– Koźle – przemówiła władczyni. – Czy jesteś świadomy, co się z tobą stanie?

Złodziej otworzył usta i na chwilę opuścił powieki, po czym znów wbił w nią spojrzenie wytrzeszczonych oczu.

– Tak – odparł wreszcie schrypniętym głosem.

– To dobrze – skwitowała Attolia, puszczając go wolno i ruszyła znów między więźniami ani razu nie oglądając się za siebie. – Chcę wysłać wiadomość królowej Eddis – powiedziała do Nahuseresa, przechodząc przez salę i zasiadając na tronie. Dla niego nie było miejsca siedzącego. Służba Attolii nigdy nie przynosiła mu krzesła, chyba że na wyraźny rozkaz Jej Królewskiej Mości. Medejczyk uznał jednak, że nie będzie przerywał władczyni w jej akcie zemsty, posyłając po siedzisko.

– Twoi kurierzy zostali posłani do stolicy z rozkazami zabezpieczenia pałacu przed zdrajcami – wyjaśnił ambasador.

– I tak nie wiedzieliby, jak szybko dotrzeć do Eddis. Jedyne zakładamy, że przebywa ze swoją armią. Może jednak być gdziekolwiek indziej. Lepiej wykorzystać do tego kogoś innego. Teleusie, mówiłeś, że twój porucznik kopnął jednego z więźniów w głowę?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Jest przytomny?

– Wydaje mi się, że tak, Wasza Wysokość. – W takim razie weźmiemy jego. Gwardziści przyprowadzili Eddijczyka przed oblicze królowej. Jak podejrzewała, był to ten sam siwowłosy mężczyzna, który walczył u boku Eugenidesa na zboczu góry.

Poruszał się nieco sztywno i stawiał oczy w słup jak ktoś, kogo boli głowa. Był nieco wyższy od przeciętnego człowieka, choć nie na tyle, by się

tym wyróżniał, a także nieco cięższy, ale nie masywny. Miał krótko przyciętą, siwą brodę, a większość włosów na jego czaszce również zdążyła już przybrać ten sam kolor. Attolia uznała, że milczenie Nahuseresza świadczy o tym, iż Medeńczyk nie dostrzegł niczego niewłaściwego w jej decyzji.

– Jesteś żołnierzem? – Na jego tunice nie było żadnych oznak rangi.

– Tak, Wasza Wysokość – odparł lekko bełkotliwym głosem. Kopniak musiał być dość solidny.

– Wygląda na to, że nie zaszedłeś zbyt daleko, biorąc pod uwagę twój wiek.

– Może nie jestem ambitny. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może powinieneś mniej pić – podsunęła królowa. Oczy mężczyzny zwęziły się, gdy usłyszał tę zniewagę, ale nie zaprotestował.

– Zaniesiesz moją wiadomość?

– Chyba nie mogę odmówić, Wasza Wysokość.

Attolia była bardzo ciekawa, co takiego powiedział mu Eugenides w ciągu tych kilku minut zanim gwardziści zawlekli go przed jej oblicze.

– Przekaż swojej królowej, że nie zwrócę jej Złodzieja po raz drugi. – Więzień przyglądał się jej otępiałym wzrokiem. Attolia nie miała pojęcia, co w zasadzie do niego dotarło. Jak mocny mógł być ten kopniak?

– Resztę życia spędzi tu ze mną, zrozumiałeś, posłańcze?

– Chyba tak, Wasza Wysokość.

– Eddis przysłała swojego Złodzieja, by porwał mnie z tronu, żeby móc potem uczynić ze mnie swoją marionetkę. Wydaje mi się, że nie doceniła mojego przywiązania do mych sprzymierzeńców, Medeńczyków. – Pilnowała się, by nie spojrzeć na Nahuseresza. Jej głos brzmiał twardo. Pochyliła się na tronie, ściskając mocno w dłoniach materiał spódnicy, jakby chciała kurczowo utrzymać w ten sposób uwagę więźnia. – Myśląc, iż wywiózł mnie

tak daleko, że nikt nie zdoła mnie już ocalić, jej Złodziej dał mi wybór między życiem a śmiercią i kazał zdecydować o własnym losie. Teraz jednak jestem znów we własnym megaronie i oto mam gotową odpowiedź na propozycję Złodzieja. Czy wiesz, jaka ona będzie?

– Tak – odparł więzień.

– Tak – powtórzyła Attolia, wyraźnie wymawiając to słowo. – Możesz zanieść wiadomość królowej Eddis.

Skinęła na gwardzistów, którzy ujęli mężczyznę pod ramiona i zaczęli wlec go ku drzwiom. Władczyni zaczęła, aż niemalże dotarli do wyjścia.

– Przekaż Eddis – przemówiła znów, a żołnierze zatrzymali się. – Przekaż Eddis, że może oszczędzić swojemu Złodziejowi trochę cierpień, jeśli ładnie poprosi. Przekaż jej też, że może przysłać mi swoją odpowiedź, o ile zrobi to za twoim pośrednictwem. Powiedz jej tylko, że musi zdecydować się na to przed siódmą jutrzejszego ranka. Ani chwili później... pod groźbą bolesnej śmierci. – Attolia uśmiechnęła się i zwróciła się do kapitana gwardii. – Teleusie, dopilnuj, by odeskortowano go na skraj naszej armii na przełęczy.

Obrzuciła Nahuseresza przelotnym spojrzeniem spod przymkniętych powiek.

– Teraz pozostaje nam czekać – skwitowała. Kiedy gwardziści wyprowadzili mężczyznę na zewnątrz, nawet nie próbowała ukryć uśmiechu pełnego podszytej zadowoleniem niecierpliwości.

– Czekać na co? – zapytał Medejczyk.

– Hmm? – Attolia wróciła znów myślami do chwili obecnej. – Na niebiosa, nie mam pojęcia – odparła. – Eddis przesyła takie urocze groźby, kiedy w grę wchodzi jej Złodziej. Trudno mi zgadnąć, czym zechce uraczyć nas tym razem.

– A co z resztą twoich więźniów?

– Twoich więźniów, Nahusereszu. Co z nimi zrobisz?

– Oddam ich tobie.

– W takim razie zamknijemy ich, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi od ich królowej. Za wyjątkiem Złodzieja – dodała. – Nie ufam mu na tyle, by zostawić go z pobratymcami, poza tym wolałabym mieć go pod ręką. – Nakazała gwardzistom umieścić go w jednym z wyżej położonych pomieszczeń megaronu, z których kilka przystosowano do przetrzymywania jeńców byłego barona Efraty.

Resztę dnia Attolia spędziła w swej komnacie, tłumacząc się zmęczeniem po forsownej podróży. Spotkała się jednak z Nahusereszem przy obiedzie. Główna sala jako jedyna była dość duża, by pomieścić królową, Medejszyka i tych kilku baronów, którzy najwyraźniej nie mieli zamiaru opuścić megaronu. Nie próbowała odsyłać ich do jednostek i podejrzewała, że ambasador również tego nie zrobił. Nie chciała, by przeszkadzali żołnierzom, natomiast Nahusereszowi najwyraźniej zależało na tym, by mieć ich na oku z sobie tylko znanych powodów. Jej służba, poruszająca się swobodnie po terenie twierdzy, przyniosła jej wieści o wysyłanych i powracających medejskich kurierach, niewątpliwie przekazujących rozkazy dla attolijskiej armii, które, jak zakładał ambasador, zostaną wykonane ze względu na nieobecność baronów.

Attolia wiedziała, że zdaniem Medejszyka, obecność w jej wojsku generałów niepochozących ze szlacheńskich rodów to coś śmiesznego i budzącego odrazę. Ostrzegał ją, że tacy ludzie są wierni jedynie pieniądзом. Królowa pomyślała wtedy, że przynajmniej są czemuś wierni. Najbardziej nie znosiła tych spośród swych baronów, którzy byli niczym chorągiewki na wietrze. Nawet najbardziej zatwardziały wróg jest lepszy niż ktoś o chwiejnej lojalności. Jej armia oraz flota, stworzone według nowych standardów, były niezachwiane. Przypuszczała wprawdzie, że żołnierze zdezerterowaliby masowo, gdyby pozbawiono ją tronu albo gdyby zupełnie skończyły się jej

fundusze, póki co jednak czekali cierpliwie na swój żołd. Zarabiali na niego swymi zwycięstwami i wydawali się wierzyć królowej, że im go wypłaci. Ich wiara w wynagrodzenie niejednokrotnie podnosiła na duchu znękaną władczynię. Starła się bez potrzeby nie wystawiać jej na próbę.

Często zmieniała struktury dowodzenia, awansując tych, którzy swoimi osiągnięciami zwrócili jej uwagę lub przesuając ich na inne stanowiska, by nie poczuli się zbyt pewnie. Z największą ostrożnością wybierała kapitana gwardii i zmieniała go co jakiś czas, by jej wrogowie nie zdążyli go skorumpować. Nawet jeśli nie czuła się szczęśliwa, składając swój los w ręce Teleusa, to przynajmniej była spokojna. Gawędziła z baronami i nawet flirtowała nieco z Nahusereszem. Medejczyk był dumny niczym paw. Attolia uśmiechała się i słuchała uważnie, podczas gdy ambasador wyjaśniał jej, gdzie rozmieścić własne siły tak, by jak najlepiej mogły wspomóc jej wojska w razie ataku ze strony Eddis.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Królowa Eddis siedziała na kamieniu na samym skraju przełęczy w otoczeniu swej rady. Podniosła wzrok i spojrzała na ministra wojny.

– Jakie jest twoje zdanie? – zapytała.

– Atakować.

– Dlaczego?

– Tak mówi Eugenides.

– Choć mocno wierzę w mojego Złodzieja i roztropność jego rad, to w zaistniałych okolicznościach wolałabym znać nieco więcej szczegółów przed podjęciem decyzji – powiedziała królowa, czekając na odpowiedź ministra.

Mężczyzna spokojnie wzruszył ramionami.

– Wyprzemy Medejczyków teraz albo nigdy, Wasza Wysokość.

Królowa westchnęła. Trafił w samo sedno. Podzielił się z nią wszystkimi informacjami, jakie posiadał i to było wszystko. Decyzja należała do niej.

Milcząc, Eddis pograżyła się w myślach. Eugenides czekał w megaronie w Efracie. Jeśli nie zaatakują, skażą jego oraz pozostałych więźniów na wątpliwą łaskę Attolii oraz Medejczyka. Attolia wyrze okrutną zemstę, czy to dla samej siebie, czy by wykazać się przed swymi sprzymierzeńcami. Natomiast z drugiej strony, Eddis nie mogła poświęcić całej armii dla ocalenia jednego więźnia czy nawet garstki więźniów przetrzymywanych przez rywalkę. Jednak choćby miało ją to kosztować życie każdego jednego żołnierza, jako królowa musiała podjąć próbę wyparcia Medejczyków.

– Dobrze więc – powiedziała wreszcie. – Zaatakujemy o siódmej.

Attolia leżała z otwartymi oczami, oczekując świtu. Jej komnaty, położone w tylnej części megaronu, wychodziły na morze. Obserwowała

przez okno przesuwające się po firmamencie konstelacje, dopóki nie zbladły w pierwszych przeblaskach dnia. Słońce wschodziło nad górami, a niebo zaczęło zmieniać kolor z szarego na niebieski. Armie pewnie były już w drodze na równinę u podnóża przełęczy. Ileż to już razy siedziała tak przed starciem, zastanawiając się, jaki będzie jego wynik? Żałowała, że nie ma jej na polu bitwy. Wolałaby być tam i osobiście dowodzić wojskami, choć liczyła się z własnymi ograniczeniami i nie zamierzała udawać, że jest żołnierzem. Zawsze przebywała w bezpiecznej odległości ze swoją osobistą gwardią, mającą za zadanie ją chronić. Zazdrościła Eddis, która mogła brać udział w walkach, jeśli tylko chciała. Nie była może równie niebezpieczna co wytrawny żołnierz, ale fechtunku uczono ją już od dziecka.

– Zawsze zazdrościłam Eddis – mruknęła sama do siebie, wstając i zaczynając krążyć po komnacie. To prawda. Obie były młodszymi siostrami następców tronu, ale Attolii zawsze wydawało się, że rywalka biega sobie wolno po górach, podczas gdy ją trzymano jedynie w królewskim pałacu i strojono. Wieści docierały za pośrednictwem kupców i artystów występujących na obu dworach. Eddis bierze lekcje jazdy konnej, Eddis ćwiczy walkę mieczem razem ze swoimi kuzynami, Eddis poluje w letniej rezydencji, podczas gdy Attolia, odziana w aksamity, w których było jej gorąco nawet w zimie, uczyła się naśladować ubiór i dworskie maniere mieszkańców kontynentu, a także jak wykorzystać tę wiedzę w praktyce, podczas odwiedzin w głównej świątyni. Eddis wyjeżdżała zimą na łowy, a Attolia, zakłopotana i nieszczęśliwa, siedziała na dworze przyszłego teścia, słuchając jego planów przejęcia królestwa i nienawidząc księżniczki, która została następczynią tronu Eddis po śmierci jej starszych braci. Umarli w wyniku choroby, pomyślała Attolia, a nie zamachu, co najpewniej spotkało jej własnego brata.

Na koronacji Eddis, Attolia sączyła rady do ucha nowej królowej niczym

jad, a widząc, jak tamta pobladła, ogarnęła ją podła radość, że to właśnie jej przypadło w udziale obnażyć przed dziewczyną jak wygląda rzeczywistość władczyni. Potem jednak okazało się, że żadna z jej rad nie była tamtej potrzebna. Eddis, w swych górach, pozostała tak samo wolna jak wcześniej, zaś Attolia równie zniewolona. Eddis, z lojalnymi ministrami, doradcami, armią i Złodziejem gotowym jej służyć.

– Przynajmniej Złodzieja nie dostanie już z powrotem – mruknęła, owijając się szlafrokiem i siadając.

Ktoś zapukał do drzwi i do komnaty weszła niepewna przyboczna.

– Zechciej mi wybaczyć, że niepokoję, Wasza Wysokość, ale ambasador Medei życzy sobie, byś mu towarzyszyła.

– Żebym ja towarzyszyła jemu? – Attolia uniosła brew. – Poczyna sobie coraz śmieiej. Przekaż mu, że wkrótce do niego dołączę.

– Czeka w zewnętrznej komnacie, Wasza Wysokość.

Królowa wyprostowała się.

– Jakie to szczęście, że nie muszę przyjmować go w koszuli nocnej. Wprowadź go, jak najbardziej.

Chwilę później Nahuseresz stał już w jej komnacie. Miał na sobie lekką zbroję, z których słynęli Medejczycy. Do pasa przytroczył zakrzywiony miecz. Jego broda została świeżo naoliwiona, tak że Attolia czuła jego perfumy z drugiego końca pomieszczenia i to pomimo otwartego okna za jej plecami.

– Wybrany przez ciebie posłaniec nie wrócił – powiedział.

– Nie.

– Jednak moi kurierzy donoszą, że armia Eddis ustawia się na równinie u podnóża przełęczy.

– Od moich jeszcze nie dostałam takiej wiadomości. – Doskonale wiedziała, że Nahuseresz przechwytywał wszystkie listy.

– Pomyślałem, że sam ci ją przyniosę.

– Eddis jest głupia, jeśli wydaje jej się, że da radę pokonać nasze połączone siły – powiedziała, strzepując niewidoczne kłaczki z rękawa.

– Odniosłem wrażenie, że jej doradcy mają więcej rozsądku, ale to tylko kobieta, więc niewątpliwie zlekceważyła ich zdanie, pragnąc jedynie ocalić swego kochanka.

Attolia uśmiechnęła się szelmowsko.

– Ukochanego, tak. Jednak nie wydaje mi się, że kochanka.

Nahuseresz przechylił głowę.

– Wydawało mi się, że zgodnie z wieściami, jakie napływały do nas z Eddis, tych dwoje było kochankami.

– Wieści były mocno przesadzone, jestem tego pewna – odparła beznamiętnie władczyni. – On jest za młody. O wiele za młody, moim zdaniem, by zainteresować kobietę zasiadającą na tronie. Królowa potrzebuje starszego mężczyzny, bardziej doświadczonego i lepiej przygotowanego do objęcia rządów. Mężczyzny o dojrzałym i silnym charakterze, którym mógłby ją uwieść.

Obrzuciwszy spojrzeniem Medejczyka, zauważyła z satysfakcją, że ten gładko przełknął pochlebstwo.

– Skoro tak mówisz – skwitował, zgadzając się z jej oceną. – Pomyślałem sobie, że pewnie zechcesz obejrzeć bitwę. – Widząc, że Attolia zawahała się, dodał: – Moi ludzie przygotowują bezpieczne miejsce do obserwacji. Nie musisz się obawiać.

– Dziękuję ci, Nahusereszu – odpowiedziała spokojnie królowa. – Nie obawiam się.

Teleus czekał już na dziedzińcu, by pomóc jej wsiąść na konia. Poza nim nie było jednak ani jednego gwardzisty. Z każdej strony otaczali Attolię ludzie Nahuseresza. Kiedy ambasador dosiadł własnego wierzchowca,

kapitan gwardii na chwilę podniósł wzrok na królową, ale zaraz znów spuścił oczy.

– Skąd będziemy obserwować bitwę, Teleusie? – zapytała władczyni.

– Najlepsze miejsca znajdziemy po drugiej stronie grani, Wasza Wysokość. Zaprowadzić cię tam?

– Tak, proszę – odparła Attolia i mężczyzna wsiał na konia, by pojechać przodem.

– Ufasz mu na tyle, by pozwolić mu przebywać blisko siebie? – spytał szeptem Nahuseresz, zrównując się z jej zwierzęciem.

– Dopóki mam ciebie obok, wolę trzymać go blisko.

Medejczyk pokiwał głową, dostrzegając roztropność jej rozumowania.

Teleus poprowadził ich przez pola uprawne w stronę lasu, mijając po drodze porzucone przez Eddijczyków drewniane działa. Widząc je leżące pomiędzy drzewami, Attolia zacisnęła dłonie. Znaleziony przez kapitana gwardii wąski szlak biegł przez wzgórze ku grani wznoszącej się ponad Seperchią. Grzbiet okazał się stromy, więc pod koniec drogi konie musiały wspinać się pod górę. Z grani rozciągał się świetny widok na drugi, odległy brzeg rzeki oraz położoną tam równinę, gdzie armie szykowały się do bitwy. Królowa dostrzegła poruszenie między drzewami.

– Wasza Wysokość – odezwał się Teleus. Zsiadł z konia i stanął przy jej wierzchowcu. – Jeśli zechcesz zjechać nieco w dół wzgórza i skrócić w prawo, znajdziesz lepsze miejsce do obserwacji. Teren jest tam bardziej płaski, więc będzie gdzie przywiązać konie.

– Dziękuję ci, Teleusie. Wskażesz nam drogę? – Z przyjemnością, Wasza Wysokość. – Ujął wierzchowca królowej za uzdę i poprowadził go wąskim szlakiem na wydłużoną polanę. Na jej tyłach piął się w górę granitowy klif, wysoki na jakieś osiem czy dziesięć stóp. Był to najwyższy punkt tego łańcucha górskiego, a ponieważ zbudowany był z litej skały,

Seperchia musiała zawrócić tuż przed brzegiem morza i popłynąć przez Góry Hefestiańskie i ich miększe wapienie. Po przeciwnej stronie polany, ziemia opadała ku rzece tak stromo, że siedząc w siodle, Attolia mogła spojrzeć ponad czubkami drzew rosnących na stoku i rzeką na własną armię.

Poprzedniego wieczora, Nahuseresz mówił o „wsparciu” jej żołnierzy. Królowa doszła do wniosku, że w rzeczywistości miał na myśli trzymanie swoich ludzi za jej oddziałami tak, by to Attolijczycy ponieśli największe straty i osłabili siły Eddijczyków, przez co jej kraj jeszcze bardziej musiałby polegać na pomocy ze strony Medei. Teraz widziała na własne oczy, że wojska rozstawiały się dokładnie tak, jak przewidziała: Attolijczycy rozciągnięci w szyku niedającym żadnej obrony i Medejscy formujący falangę za ich plecami.

Spoglądając w dół na pole bitwy, znów poczuła irytację z powodu braku kontaktu ze swymi generałami.

– Pójdę zorganizować pawilon dla Waszej Wysokości – wyjaśnił Teleus, wycofując się, podczas gdy medejscy gwardziści rozstawili się na polanie.

– Ciekawi mnie, czemu nie ma go tam, na równinie – odezwał się Nahuseresz, gdy mężczyzna zniknął im z oczu.

– Jest kapitanem mojej gwardii przybocznej. Jego zadanie polega na ochronie mojej osoby – wyjaśniła Attolia.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego poszedł po pawilon niczym zwykły służący.

– Wie, jak bardzo ci ufam. Mnie natomiast ciekawi, dlaczego ciebie nie ma tam, na równinie.

– Nie jestem jeszcze potrzebny. Mogę przekazywać wiadomości za pośrednictwem jednego z mych ludzi, ale poza tym przeczekam raczej poranek u twego boku, Wasza Wysokość.

Żeby później, gdy większość jej armii zostanie wycięta w pień, dołączyć

do własnych żołnierzy i poprowadzić ich do ataku na Eddijczyków.

Wojska poruszają się wolniej niż pojedynczy ludzie. Nahuseresz i Attolia siedzieli cierpliwie, obserwując jak armia Eddis wyłania się zza obronnych ścian przełęczy. Konie ciągnęły działa. Żołnierze zajmowali pozycje. Nagle zapanowało jakieś poruszenie w szeregach Attolijczyków i Medejczyków. Królowa uznała, że to właściwy moment, by odwrócić uwagę ambasadora.

– Nie rozpoznałeś tego człowieka, którego posłałam z wiadomością do Eddis – powiedziała.

– A powinienem? – Mężczyzna nie odwrócił wzroku od pola bitwy.

– To jej minister wojny. I ojciec Eugenidesa.

Minęła chwila, zanim znaczenie jej słów dotarło do Nahuseresza. Ambasador odwrócił się powoli, niczym uszkodzony mechanizm zegarowy, i spojrzał na władczynię.

– Przekupiłeś moich baronów – dodała spokojnie Attolia.

– Co takiego? – Medejczyk potrząsnął głową.

– Przekupiłeś moich baronów. Mieli przepuścić Eddijczyków przez własne szyki, by ci mogli oskrzydlić moją armię i ją zniszczyć. Wtedy ty, ściągnąwszy własne wojska do Rei bez mojego pozwolenia, mógłbyś przyjść mi z pomocą i w cudowny sposób mnie ocalić. Złodziej Eddis pokrzyżował ci plany, ale przypadkiem wszystko ułożyło się po twojej myśli i oto jesteś, gotów patrzeć, jak moje siły zostaną zdziesiątkowane, a wy, Medejscy zgarbicie laury.

– Jakiś podżegacz chciał oczernić moje dobre imię. Czyż nie próbowałem...

– Podkopywać mych rządów od kilku miesięcy? Ależ owszem, Nahusereszu. Skorumpowałeś Stadikosa przed Pierwszą Bitwą o Tegmis. Zmienił moje rozkazy i dlatego wyspa wpadła w ręce Sounisa. Nie spodobało mi się to, Nahusereszu. Nie było łatwo ją odzyskać. Przekupywałeś i

szantażowałaś moich baronów, a także umieściłaś wszędzie swych szpiegów. Eddis odwróciła moją uwagę na jeden dzień, a ty natychmiast powiesiłaś trzech baronów, których nie udało ci się przeciągnąć na swoją stronę. Jeden chciał wycisnąć z ciebie więcej złota, dwaj pozostali naprawdę byli lojalni wobec mnie. Nie mam aż tylu popleczników, bym mogła spokojnie przyglądać się, jak ich eliminujesz.

– Wasza Wysokość... – zaczął Medejszyk, ale królowa znów nie dała mu dojść do głosu.

– Szczerze mówiąc, Nahusereszu, sprawiasz mi niemalże więcej problemów niż Sounis. Ratuje cię jedynie fakt, że ofiarowałaś mi całe mnóstwo złota, kiedy desperacko go potrzebowałam.

– Złota, za które trzeba się będzie odwdziaczyć, Wasza Wysokość – odparł ambasador, zadowolony, że wreszcie udało mu się znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

– Ofiarowałaś mi to złoto w podarunku. To twoje własne słowa.

– Jesteś kobietą – wyjaśnił łagodnym tonem Medejszyk. – Nie rozumiesz świata królów i cesarzy, i nie rozumiesz natury podarunków.

– Nahusereszu, kobieta nade wszystko rozumie właśnie naturę podarunków. To łapówki, wręczane gdy zawodzą groźby. Twój cesarz nie może zaatakować tego wybrzeża bez uzasadnienia. Nie pozwalają mu na to traktaty zawarte z siłami wyższymi Kontynentu. Tak więc jedynym, co mógł zrobić, było wszczęcie paskudnej wojny na trzech frontach w nadziei, że jedna ze stron zechce sprowadzić go tu w charakterze swego sojusznika, ja jednak nigdzie go nie zapraszałam. – Attolia pokręciła głową. – Z łapówkami jest taki jeden problem, Nahusereszu. Kiedy skończą się pieniądze, groźby nie zaczną nagle przynosić efektów.

Medejszyk wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, mając przed sobą władczynię, której istnienia się nie spodziewał.

Ta również nie odwracała spojrzenia od jego twarzy.

– Dostałam ten kraj w spadku, będąc w zasadzie jeszcze dzieckiem. I utrzymałam go. Walczyłam ze zbuntowanymi baronami. Walczyłam z Sounisem, by zachować ziemie położone po tej stronie gór. Zabijałam ludzi i patrzyłam, jak ich wieszano. Przyglądałam się torturom, by ten kraj pozostał bezpieczny i by pozostał mój. Jak twoim zdaniem udało mi się tego dokonać, skoro masz mnie za idiotkę, robiącą słodkie oczy do każdego przystojnego mężczyzny z sakiewką pełną złota?

Nahuseresz zmrużył powieki. – Nie możesz już wycofać się z umowy, Wasza Wysokość. – Nie zawierałam z tobą żadnych umów, Medejczyku – odparła beznamiętnie Attolia.

– W taki czy inny sposób będziesz musiała odwdziaczyć się za otrzymane złoto.

– A więc mam przymknąć oko na twoją zdradę?

– To było posunięcie dyplomatyczne... w imieniu mojego cesarza. I owszem, przymkniesz na to oko, jeśli chcesz pozostać królową, kiedy ja zostanę królem.

– Powiedziałam już, że nie pozwolę nikomu wybrać następnego króla Attolii. Sama to zrobię.

– Cóż, w takim razie musisz tylko wybrać mnie, a oboje będziemy szczęśliwi, nieprawdaż? Twój baronowie zresztą też. Kiedy twoja uwaga została „odwrócona”, wydawali się przychylnie nastawieni do moich rządów.

– Oni są jak myszy, Nahuseresz. Chowają się w swych norkach, mając nadzieję, że znajomy kot wróci, by wypędzić cię z domu. Kiedy ja wiem ludzi na murach zamkowych, przynajmniej robię to dlatego, że okazali się zdrajcami, a nie twardymi negocjatorami. Wydajesz się skłonny powiesić każdego, kto cię rozdrażni. Miło z twojej strony, że pokazałeś moim baronom, iż choć rządę żelazną ręką i nie warto mi się przeciwstawiać, to

służba tobie jest jeszcze gorsza. Winna ci jestem podziękowania i za to, i za złoto od twojego cesarza. Teraz przez kilka miesięcy będą siedzieć jak mysz pod miotłą.

– A Eddis? Czy Eddis też wyświadczy ci jakąś przysługę? – Nahuseresz uśmiechnął się niczym rekin, przypominając królowej o zgromadzonych w dole wojskach.

– Zobacz na własne oczy – odparła Attolia.

Ambasador zwrócił się ku polu bitwy, gdzie Attolijczycy rozluźniali i łamali szyki.

Zaklął.

– Co oni wyprawiają?! – wrzasnął. Podniósł rękę, by wezwać do siebie posłańca, lecz królowa powstrzymała go.

– Moi generałowie jedynie dzielą siły i przegrupowują je, by nie blokować Eddijczykom dostępu do twoich wojsk. Jeśli zajdzie taka potrzeba, oflankują niedobitki twojej armii, by uniemożliwić im odwrót.

Nahuseresz jeszcze przez chwilę przyglądał się manewrom attolijskich żołnierzy. Jego wierzchovec spał się, gdy mężczyzna ściągnął wodze, ale nim którykolwiek z nich zdążył się poruszyć, Attolia uniosła dłoń i niedbałym gestem wskazała za siebie, gdzie w porastającej grań wysokiej trawie leżał na brzuchu Teleus, trzymając w dłoniach naładowaną kuszę wycelowaną prosto w Medejszyka.

– Zdrada – syknął ambasador.

– Dyplomacja – odparowała królowa. – W moim własnym imieniu. – Z trawy za kapitanem wyłoniła się reszta gwardii.

Attolijska armia zakończyła manewry, tymczasem władczyni zdążyła przekazać Nahusereszowi, że może jeszcze uniknąć pogromu, jeśli zdecyduje się na o wiele bardziej uprzejmy odwrót. Eddis i Attolia pozwolą medejskim żołnierzom bez szwanku wrócić do Rei, wsiąść na statki i opuścić attolijskie

wody. Ostatecznie oba kraje nie miały powodów, by z nimi walczyć. Zależało im jedynie, by Medejczycy odpłynęli.

Stojąc w obliczu bitwy, której nie mógł wygrać, ambasador musiał ustąpić, choć nie zrobił tego uprzejmie.

– Eddis z pewnością zażyczy sobie jakiegoś poręczenia dla wszelkich układów, jakie tu dzisiaj zawrzecie. Co zamierzasz jej zaoferować, żeby zyskać sobie jej zaufanie?

Attolia nie odpowiedziała, wciąż obrzucając go beznamiętnym wzrokiem.

Wtedy mężczyzna przypomniał sobie wiadomość, jaką królowa wysłała za pośrednictwem eddijskiego ministra wojny. Jego twarz pobiadła z gniewu.

– Uczynisz królem tego młodocianego Złodzieja? – zapytał. – Kiedy mogłaś mieć mnie?

Attolia pozwoliła sobie na przelotny uśmiech.

– Piękna zemsta w zamian za utraconą dłoń. – Głos Medejczyka zniżył się niemal do warkotu.

– Zachowam władzę – zaprotestowała słabo królowa.

– O tak, będzie z niego dobry, jednoręki figurant – prychnął mężczyzna. Przypomniał sobie pochlebstwo, jakim tego ranka obdarzyła go Attolia. – Czyżbym obrażał twojego kochanka? – zapytał.

– Nie kochanka – odparła władczyni. – Jedynie mojego kandydata na króla, Nahusereszu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy medejskie wojska ustawiły się w szyku do odwrotu, a połączone siły Eddis i Attolii ustawiły się naprzeciwko w zwartych szeregach, królowa odesłała ambasadora pod eskortą z powrotem do Efraty. Mężczyzna zdążył już odzyskać panowanie nad sobą i przed odejściem ucałował jej dłoń.

– Jesteś sprytna – przyznał łaskawie – skoro udało ci się zrobić ze mnie głupca. Serce pęka mi z żalu, że muszę wyjechać właśnie teraz, kiedy zacząłem lepiej cię poznawać. Z każdą chwilą wzrasta moje mniemanie o tobie.

– Będzie miało czas wzrosnąć jeszcze bardziej – odpowiedziała Attolia.
– Nie pojedziesz daleko, zanim w moim skarbcu nie znajdzie się okup od twojego cesarza.

– To już przesada – ostrzegł Medejszyk.

– Nie znasz własnej wartości, Nahusereszu. Twój cesarz potrzebuje, byś wrócił cały i zdrowy.

– Nie masz pojęcia o swoich słabych punktach, jeśli wydaje ci się, że ochronią cię siły wyższe. Zobaczymy, jak długo jeszcze porządzisz tym swoim zaściankiem, Wasza Wysokość. Wkrótce skończą ci się zasoby.

– Doprawdy? Wydaje mi się, że wciąż mnie nie doceniasz, Nahusereszu. Skoro już rozmawiamy otwarcie, to muszę przyznać, że powoli zaczyna mnie to męczyć.

Attolia zostawiła go samego i zjechała nad rzekę, gdzie czekała już na nią łódź, gotowa przetransportować ją na drugi brzeg Seperchii. Brak mostu to kolejny powód, dla którego uznawano Efratę za stosunkowo mało istotny

port, choć możliwe, że w rzeczywistości stanowił on następstwo takiej oceny portu. Łódź przewiozła ją przez wzburzone wody na drugą stronę, gdzie wyszło jej na spotkanie kilku oficerów, a także wojskowi, ministrowie i królowa Eddis.

Zbudowano tam wprawdzie pomost, ale trudno byłoby go nazwać prawdziwym dokiem. Poziom wody w rzece był bardzo niski, więc Attolię trzeba było wynieść, tak godnie, jak tylko się dało, z kołyszącej się łodzi na brzeg. Zaczerwieniona na twarzy poprawiła fałdy sukni i dopiero wtedy spojrzała na królową Eddis. Ta czekała uprzejmie. Sama miała na sobie spodnie i buty z niskimi cholewkami, a jej wierzchnia tunika wyglądała identycznie, co mundury jej oficerów, tyle że zdobiły ją złote hafty. Na głowie nie nosiła korony. Była niska, ale nieco zbyt barczysta, by można było określić ją jako drobną. Jej ojciec też był szeroki w ramionach, przypominała sobie Attolia, i niezbyt wysoki. Eddis przyglądała się jej z poważnym wyrazem twarzy, ale oczekując, aż tamta przemówi, w pewnym momencie zmrużyła oczy z zaskoczeniem. A przynajmniej tak wydało się Attolii.

Odpowiedziała jej więc wyniosłym spojrzeniem.

– Między nami zgoda, Wasza Wysokość? – zapytała.

– To dość niezwykle, ale owszem – odparła uroczyście Eddis. Nie tyle wstrzymywała się ze swoją opinią, co próbowała ją cofnąć. Wydawało jej się, że zna królową Attolii, dlatego zastanawiała się, co takiego widział w niej Eugenides. Oczywiście za wyjątkiem niezwyklej urody, ale na dworze Eddis nie brakowało pięknych kobiet, a nie wyglądało na to, by Złodziej kiedykolwiek uległ ich urokowi.

Tymczasem Attolia przeniosła wzrok na ministra wojny.

– Jak pańska głowa, sir? – spytała uprzejmie.

– Siwa. – Padła enigmatyczna odpowiedź.

– Od zmartwień? Czyżby nasze szalone plany nie przypadły ci do gustu,

sir?

– Jestem pełen podziwu dla nich, Wasza Wysokość. – Mężczyzna pochylił głowę. Attolia odpowiedziała mu oszczędnym, królewskim skinieniem.

Eddis obrzuciła swojego ministra zaciekawionym wzrokiem.

– Twoja głowa?

– Trzeba było siłą odwieść go od uduszenia własnego syna – wyjaśniła Attolia.

– Czasami wszyscy tak mamy – przyznała z powagą Eddis.

Jedna z brwi Attolii uniosła się w wyrazie zdumienia. Nie uszło to uwadze Eddis, która z rozbawieniem odkryła wreszcie, od kogo Eugenides nauczył się tej miny. Jej oblicze rozpromienił uśmiech.

Attolia zawahała się, ale po chwili odpowiedziała jej przelotnym uśmiechem. W tym drobnym geście, Eddis dostrzegła nadzieję dla swojego Złodzieja i ciężar spadł jej z serca.

– Masz szczęście do wasali – powiedziała Attolia. – Manewr podziału wojsk został wykonany perfekcyjnie – odwdzięczyła się Eddis. – Masz szczęście do oficerów.

– To najemnicy – skwitowała lekceważąco Attolia.

– Tym lepiej, że pozostają wierni tobie, skoro mogliby zaoferować swoje usługi komu innemu. Gdzie mieliby pójść moi baronowie, by baronami pozostać?

Przez chwilę Attolia rozważała w milczeniu jej słowa.

– Muszę ci podziękować. Nigdy wcześniej nie patrzyłam na to z tej strony – powiedziała wreszcie.

– Wasza Wysokość, Wasze Wysokości – poprawił się minister wojny. – Trzeba pokierować odwrotem Medejszyków. Doszliśmy do wniosku, że byłoby najlepiej, gdyby Wasze Wysokości pojechały razem, jako że z

pewnością zechcecie przedyskutować pewne kwestie.

Gdy obie władczynie znalazły się w siodłach, Eddis zwróciła się do Attolii.

– Pozwolisz, że będę mówić otwarcie?

– Oczywiście.

– Jakie układy zawarłaś z Medejczykami?

– Nie zawierałam żadnych.

– Żadnych? Ale myślałam...

– ...że cesarz finansuje moją wojnę? Owszem, tak było, ale czynił to na podstawie własnych przypuszczeń.

– A twój ambasador?

Co dla niej nietypowe, Attolia wypowiedziała na głos pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy.

– Fryzuje brodę w szpikulce jak widły i używa taniego olejku do włosów.

– To rzeczywiście było bardzo otwarte z twojej strony. – Eddis wybuchnęła śmiechem. – Wydawało mi się, że ci się podobał.

– Jemu też – skwitowała oschle Attolia.

Przed nadejściem wieczora medejska armia wróciła do Rei. Był to duży port, wokół którego rozciągało się dostatecznie dużo gruntów ornych, by wyżywić świetnie prosperujące miasto. Podobnie jak w przypadku Efraty otaczały go przybrzeżne góry, jednak w odróżnieniu od niej, do Rei prowadziła szeroka przełęcz, łącząca ją z terenami położonymi w głębi lądu, co z kolei uzasadniało budowę mostu nad Seperchią. Attolia i Eddis siedziały obok siebie w siodłach na zboczu wzgórza wznoszącego się nad miastem i przyglądały się wsiadającym na swe statki Medejczykom.

– Nie czuję się dobrze, odsyłając cesarzowi jego żołnierzy – przyznała Eddis.

– To niewielka armia jak na jego standardy. Nie odczułby zbyt jej utraty, a tylko bardziej by go to rozżłościło.

– Uważasz, że nie przeprowadzi kolejnego ataku. Może jednak uzna, że poczuliśmy się zbyt pewnie? – zapytała Eddis.

– Nahuseresz powiedział, że kobieta nie może rządzić samodzielnie – mruknęła beznamiętnie Attolia.

Jej towarzyszka zachichotała.

– Potężniejsze kraje Kontynentu nie chcą, by Medejczycy rozszerzyli swe wpływy na to wybrzeże – ciągnęła Attolia. – Cesarz bez wątpienia będzie nękał nasze statki na morzu, ale możemy oczekiwać pomocy Kontynentu, jeśli zdecyduje się wysłać przeciwko nam swe wojska. – Eddis wyłowiła z rozważań drugiej królowej krzepiący zaimek „nam”.

– I to go powstrzyma?

– Na krótką metę powinno to zapobiec otwartym atakom z jego strony. Na dłuższą natomiast, spodziewam się, że choroba położy kres jego ambicjom rozszerzenia granic imperium.

– Choroba?

– Cesarz Medei cierpi na schorzenie Tetydy – wyjaśniła Attolia.

Przez chwilę, jedynym odgłosem pośród ciszy, było skrzypienie siodła, gdy jeden z koni przestąpił z nogi na nogę.

– Jesteś tego pewna? – spytała Eddis.

– Stwierdzono je u niego dwa i pół roku temu. Kazał stracić pałacowego medyka i jego asystentów, ale jeden z nich zdążył sprzedać tę informację mojemu szpiegowi w zamian za rentę dla jego rodziny.

– Wiedział, że zostanie stracony?

– O tak.

Eddis próbowała wyobrazić sobie egzekucję Galena. – Nie wiem, czy jesteś świadoma faktu, że cesarz pominął własnego syna i wyznaczył na

następcę tronu swego siostrzeńca – powiedziała Attolia.

– Tak, wiem o tym. To niezwykle, że jak do tej pory udało mu się ukryć oznaki choroby. Rzecz jasna siostrzeniec będzie zmuszony umocnić swoją pozycję szybciej niż się tego spodziewał. Zatrzyma więc lojalnych generałów przy sobie... – zastanawiała się głośno Eddis. – A twój były ambasador to...

– Młodszy brat następcy tronu.

– Ach tak. W takim razie pewnie będą dość zajęci przez najbliższych kilka lat, nieprawdaż?

– Tak myślę – przyznała Attolia.

– Wiesz... – zaczęła Eddis, ale zawahała się, nie wiedząc, na ile może pozwolić sobie z attolijską królową.

– Kontynuuj. – Attolia przechyliła głowę.

– Chciałam powiedzieć, że kiedy tak się uśmiechasz, przypominasz mi łasicę.

– Tak? – Uśmiech nie zniknął z jej twarzy. – Sama wyglądasz trochę lisio.

– Chyba masz rację.

Obie królowe pograżyły się na chwilę w radosnym porozumieniu.

Eddis rozejrzała się naokoło, jakby próbując przypomnieć sobie kwestię nękającą ją już od kilku godzin.

– Gdzie jest Eugenides? – zapytała.

Na krótką chwilę attolijska królowa znieruchomiała, a jej uśmiech zniknął bez śladu, jakby w ogóle go nie było. Jej wierzchołek rzucił głową, jakby wędzidło szarpnęło go za krawędź delikatnego pyska.

– Zamknięty w pokoju – odparła beznamiętnym tonem Attolia. – W Efracie.

Uśmiech opuścił także oblicze Eddis.

– Poleciałam wypuścić więźniów, ale zapomniałam, że kazałam zamknąć

go oddzielnie – ciągnęła druga królowa. – Wątpię, by mój seneszał uwolnił go bez mojego wyraźnego rozkazu.

– Zapomniałaś? – zapytała Eddis. – Zapomniałam – potwierdziła z naciskiem Attolia, rzucając wyzwanie rywalce, żeby spróbowała podważyć jej słowa.

– Zamierzasz go poślubić? – W głosie Eddis zabrzmiała niepewność.

– Przecież powiedziałam, że to zrobię – warknęła Attolia i odjechała. Eddis ruszyła jej śladem. Gdy obie spotkały się ze swymi oficerami, Attolia rzuciła swym podwładnym krótkie rozkazy i ruszyła w stronę Efraty, nie czekając na drugą królową.

Oficer łącznikowy Attolii wyjaśnił, że główna część jej wojsk wróci przez most nad Seperchią do obozowiska. Sama władczyni natomiast, wraz z niewielkim oddziałem gwardii, uda się do Efraty wzdłuż wybrzeża. Szlak był tam dość wąski, ale podróż tamtędy trwała dużo krócej.

– W takim razie postąpimy tak samo – uznała Eddis i wydała rozkazy własnym oficerom. Jej miał towarzyszyć ojciec Eugenidesa, a także gwardia przyboczna.

– Co myślisz o tym wszystkim? – zapytał minister wojny.

– Nie mam pojęcia, co myśleć – przyznała królowa. – Chyba muszę zrobić to, co zawsze.

– Czyli?

– Zaufać Eugenidesowi – odparła Eddis ze wzruszeniem ramion.

Attolia zeskoczyła z siodła na dziedzińcu Efraty i zostawiła konia, by ktoś go odprowadził. Sama ruszyła schodami w górę ku wejściu do atrium na przedzie megaronu. Czekali już tam na nią seneszał oraz kapitan gwardii.

– Wasza Wysokość, ambasador Medei...

– Nie chcę słyszeć o ambasadorze Medei – przerwała mu królowa. – Czy Złodziej Eddis wciąż pozostaje w zamknięciu?

– Wasza Wysokość nie pozostawiła żadnych rozkazów – zaczął niepewnie seneszał – a obawiam się, że ambasador Nahuseresz...

– Powiedziałaś przecież, że nie chcę o nim słyszeć – weszła mu znów w słowo Attolia. – Daj mi klucze do celi Złodzieja. – Mężczyzna posłusznie zaczął przeszukiwać pęki kluczy wiszących u jego pasa, aż wreszcie wyłowił spośród nich właściwą obręcz. Wybrał jeden z zamocowanych na niej kluczy i podał całość królowej.

– To ten, Wasza Wysokość. Attolia ostrożnie wzięła od niego pęk kluczy, uważając, by ten właściwy nie pomieszał się z innymi, po czym odeszła szybkim krokiem.

Gwardzista popatrzył na seneszala, a ten odpowiedział mu spojrzeniem, unosząc przy tym brwi i kręcąc głową.

Znalazłszy się na dziedzińcu, Eddis dostrzegła oddalającą się królową. Zsunęła się z konia i, podobnie jak wcześniej Attolia, zostawiła za sobą całą swą grupę, ruszając w górę po schodach. Gdy mijala seneszala i kapitana gwardii, ten nagle wyciągnął rękę i chwycił ją za łokieć.

– Chwileczkę, młody człowieku – powiedział, zatrzymując ją. – A dokąd to się wybierasz?

Eddis odwróciła się. Mężczyźnie wystarczył tylko jeden rzut okiem, by zorientować się, że popełnił błąd. Cofnął dłoń, a królowa bez słowa podążyła znów za Attolią.

Kiedy odeszła, kapitan popatrzył znów na seneszala i skrzywił się, potrząsając ręką, jakby dotknął czegoś gorącego i się sparzył.

– To spojrzenie stopiłoby ołów – zgodził się seneszał. – Nie zamierzasz pójść ich śladem?

– Co to, to nie. Wolę być gdzie indziej, jeśli postanowią skrzyżować miecze.

Kapitan zszedł na dziedziniec, by pomóc w opanowaniu narastającego

chaosu po przyjeździe eddijskich i attolijskich wojskowych.

* * *

Klucz obrócił się w dobrze naoliwionym zamku i drzwi otworzyły się lekko. W pomieszczeniu za nimi Eugenides wydawał się siedzieć na podłodze z podkulonymi nogami. Jego głowa i ramiona spoczywały na łóżku, a jedna z rąk służyła chłopakowi za poduszkę. Hak, który zastępował obciętą dłoń, położył sobie na kolanach. Miał zamknięte oczy i trwał w bezruchu. Attolia stała w progu, obserwując go, ale Złodziej nie poruszył się przez sen ani się nie obudził. Na podłodze obok łóżka leżała taca z resztkami posiłku. Był tam też kielich z winem. Naczynie przewróciło się i pękło, a pozostałości napoju rozlały się po posadzce.

Attolia zamarła w drzwiach jak intruz, który odkrył tajemnicę i został zamieniony w kamień. Pomyślała o Nahusereszu. Ile różnych trucizn mógł mieć na podorędziu? Ilu sojuszników zdobył sobie pośród jej baronów? Z jaką łatwością przyszłoby mu sprowadzenie śmierci na triumfującego rywala? Powinna była wysłuchać tego, co chciał jej powiedzieć seneszal. Ostrzegłby ją przed tym, co miała tu znaleźć. Bez uprzedzenia królowej ciężko było znieść ten widok.

Jakie to okrutne ze strony bogów, że zesłali jej chłopaka, którego pokocha, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jakie stosowne, że wybrany przez nią oblubieniec został otruty. Któż ośmieliłby się kwestionować sprawiedliwość wymierzoną przez bogów?

Zza pleców doszedł ją odgłos kroków. Eddis nie uwierzy, że to nie ona odpowiada za śmierć Złodzieja, pomyślała Attolia. Stała wciąż na progu, gdy druga królowa przeszła obok. Mijając ją, jedynie musnęła nieznacznie długie rękawy jej szaty.

Attolia tymczasem wybiegła myślami w przyszłość. Eddis na nowo wypowie jej wojnę. Sounis będzie kontynuował ataki, a Medejscy

zaoferują swą pomoc każdemu, tylko nie jej. Żadna z tych rzeczy nie miała jednak dla niej znaczenia. Attolia była samotna jak zawsze, ale nigdy wcześniej nie czuła się tak zrozpaczona. Przeklinała samą siebie za swoją głupotę. Kim niby był ten Złodziej, żeby miała go kochać? To tylko młokos, chłopak z sypiącym się dopiero zarostem, za to pozbawiony choćby krzty rozsądku. Kłamca, myślała, wróg i zagrożenie. Jednak odważny, wziął go w obronę jakiś wewnętrzny głos, lojalny. Nie wobec mnie, zaprotestowała. A odważny nie dla mnie. Odważny i lojalny, powtórzył głos. Głupiec, odparowała. Martwy głupiec. Poczucie pustki rozdzierało jej serce.

Minąwszy Attolię, Eddis zatrzymała się pomiędzy nią a łóżkiem. Obrzuciła wzrokiem ciało Eugenidesa, po czym odwróciła się w stronę drugiej królowej.

– Śpi – powiedziała.

Attolia powróciła do terażniejszości i spojrzała na Eddis.

– Tylko śpi – uspokoiła ją tamta.

Słyszając dźwięk jej głosu, Eugenides odwrócił lekko głowę, ale się nie obudził. Attolia odetchnęła głęboko i przycisnęła dłoń do piersi w miejscu, gdzie przeszywał ją ból.

Eddis pochyliła się nad Złodziejem i szturchnęła go w ramię.

– Wstawaj – mruknęła.

Z trudem próbując wykonać polecenie, Eugenides z początku nie miał pojęcia, gdzie właściwie przebywał. Spał niewiele od czasu, gdy wraz z Ksenofonem i jego żołnierzami pokonał ostatni odcinek podróży tratwami, by wylądować w pobliżu Efraty. Żeglował wzdłuż wybrzeża, wspinał się po schodach na szczyt klifu, zjechał konno w dół zbocza góry, walczył w bezcelowej potyczce i przeszedł pieszo całą drogę z powrotem do Efraty. Kiedy zamknięto go w tym maleńkim pokoiku, krążył po nim w tę i z powrotem, byle tylko nie zasnąć, rozdarty pomiędzy strachem a rozpacziwą

nadzieją, podczas gdy z wolna mijały godziny nocne. Okaleczona ręka pulsowała straszliwym bólem, jednak nie próbował zdjąć haka. Obawiał się, że nie udałoby mu się założyć go z powrotem, a bez względu na wszystko nie chciał stawić czoła swemu losowi chowając kikut w rękawie i ściskając protezę w zdrowej dłoni niczym osobliwe trofeum sportowe. Dwukrotnie przyniesiono mu jedzenie, którego jednak nie ruszył, a raz gwardzista zaprowadził go na drugi koniec korytarza, by mógł opróżnić pęcherz. Mężczyzna nie był zbyt miły, więc chłopak nie ośmielił się zapytać go o wieści.

Wreszcie po południu, dzień po tym, jak go zamknięto, zobaczył przez wąskie okno eddijskiego żołnierza kroczącego po murach megaronu w towarzystwie Attolijczyka. Wydało mu się to dobrym znakiem. Nieco później młoda kobieta przyniosła mu kolejny posiłek i powiedziała, że eddijscy więźniowie zostali wypuszczeni, za to ambasadora Medei zamknięto w jego komnatach. Nie знаła wprawdzie wyniku bitwy pod drugiej stronie grani, ale dla Eugenidesa już te dwie wieści świadczyły o sukcesie, więc usiadł na podłodze obok łóżka i zjadł wszystko, co znalazł na tacy. W pokoju nie było stołu ani krzesła. Służąca wybuchnęła śmiechem i uspokoiła go, że nie musi się spieszyć, bo ona wróci po naczynia. Kiedy wyszła, chłopaka ogarnęło takie zmęczenie, że nawet ból ręki nie był w stanie powstrzymać go przed zaśnięciem. Wydawało mu się, że tylko na chwilę położył głowę na łóżku. Nie ruszył się z miejsca przez wiele godzin, nie słyszał odgłosu obracanego w zamku klucza, nie obudził się na dźwięk głosów.

Kiedy Eddis szturchnęła go w ramię, uświadomił sobie, że boli go całe ciało, dlatego też uznał, że musi znajdować się w królewskim więzieniu w Sounis. Potem jednak przypomniał sobie, że opuścił tamtejszą celę, w związku z czym osobą próbującą wyrwać go ze snu musiał być Pol albo mag. Nie chciał rozmawiać z Polem. Pewnie chciał, żeby Złodziej pojechał gdzieś

konno.

– Idź sobie – mruknął chłopak.

– Eugenidesie – powiedziała Eddis, wzdychając. – Wstawaj.

– Spodziewałabym się, że będzie miał lekki sen – zauważyła Attolia.

– I zwykle tak jest – odparła Eddis. Zaczynała się niepokoić.

– Wydaje się taki... – Attolia urwała, poszukując właściwego słowa. „Bezbronny” przyszło jej na myśl, jednak nie o to jej chodziło. „Młody” też nie, chociaż rzeczywiście pogrążony we śnie wyglądał jakby liczył sobie jeszcze mniej wiosen. – Niewinny – powiedziała wreszcie.

– O tak – przyznała Eddis. – Zawsze gotowa jestem wszystko mu wybaczyć, dopóki się nie obudzi. – Pochyliła się i raz jeszcze szturchnęła go w ramię.

Eugenides wreszcie otworzył oczy i poderwał głowę. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i zaczął podnosić prawą rękę, ale zamarł nagle, gdy hak zaczepił o jego nogę. Ostrożnie uniósł drugą dłoń i potarł twarz, po czym spojrzał na Eddis, a potem skierował wzrok za okno, gdzie niebo zdążyło już pociemnieć. Po chwili zwrócił się znów w stronę swej królowej, a jego spojrzenie nabrało nieco więcej ostrości.

– Zapomniałaś o mnie – wytknął jej.

Eddis wsunęła dłonie w kieszenie spodni.

– Nie próbuj kłamać – naciskał dalej chłopak. – W blasku chwały rzuciłaś się w wir walki, by wypędzić nikczemnych Medejczyków z naszego wybrzeża i ani przez chwilę nie pomyślałaś o mnie dopóki nie osiągnęłaś swego celu.

Odwrócił się, by tym razem przemówić do Attolii.

– Ty też o mnie zapomniałaś.

– Miałaś co jeść – odparła chłodno królowa.

Eugenides obrzucił ją spojrzeniem i Attolia poczuła się nagle zupełnie

przezroczyta, jakby zniknęła jej maska, a on mógł zobaczyć jej serce i odkryć, że przed chwilą zatrzymało się na chwilę z żalu.

– To prawda, dziewczyna przyniosła mi obiad – odparł z namysłem Złodziej. – Była bardzo ładna. I miała gołębie serce – dodał po chwili.

Eddis wiedziała o rozmowie na temat zalet urody i życzliwości, jaką Eugenides przeprowadził niegdyś z Attolią, dlatego skrzywiła się, słysząc ten celowy przytyk, jednak druga królowa tylko uśmiechnęła się oszczędnie i oznajmiła:

– Jeszcze nie jest za późno, byś skończył przykuty do ściany.

– Ktoś by mnie w końcu uratował – odparował chłopak, przewracając niewinnie oczami. – A do tego czasu ta urocza dziewczyna mogłaby przynosić mi obiady. Myślę sobie – mówiąc, oparł głowę na dłoni i wbił wzrok gdzieś w przestrzeń – myślę sobie, że gdy już zostanę królem, uczynię z niej swoją pierwszą nałożnicę.

– Znajdziesz sobie nałożnicę, a obetnę ci drugą dłoń – warknęła Attolia.

Eddis zeszywniała. Attolia uniosła podbródek w odpowiedzi na spojrzenie, które zdaniem jej seneszala mogłoby stopić ołów. Eddis otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Eugenides wybuchnął śmiechem. Nie mogąc przestać, opuścił głowę na łóżko, po czym wreszcie spojrzał na Attolię, szczerząc się od ucha do ucha.

Królowa oblała się rumieńcem.

– Jesteś małą, jadowitą żmiją – mruknęła otwarcie.

– O tak – odparł Złodziej, podciągając się sztywno do góry. Usiadłszy na łóżku, przeczesał palcami włosy i ziewnął. – Tak. I chcę już opuścić ten pokój.

Attolia pochyliła się i ujęła go za podbródek. Chłopak wzdrygnął się nieznacznie, ale podniósł wzrok, by spojrzeć jej w oczy. Wyglądał tak młodo, gdy spał i niewiele starzej po przebudzeniu. Potrzebował niańki, nie

narzeczonej, pomyślała z goryczą Attolia, choć sama była jeszcze młodsza, gdy wydano ją za męża.

– Przyda ci się kąpiel – powiedziała – a ktoś powinien obejrzeć twoją rękę. Zaczekaj tu jeszcze trochę, przyślę ci kogoś ze służby.

Nie puściła jednak jego podbródka i wciąż patrzyła mu w oczy. Eugenides ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął delikatnie kolczyka w jej uchu. Był to wprawiony w złoto rubin o szlifie kwadratowym, pasujący do rubinowej opaski na jej czole. Miała na sobie te kolczyki, gdy pochyliła się nad skutym łańcuchami Złodziejem, siedzącym na podłodze megaronu.

– Podobają ci się? – zapytał.

– Tak – odparła Attolia. Wyprostowała się i ruszyła w stronę drzwi.

– Przyślesz tę miłą dziewczynę, która przyniosła mi obiad? – zawołał za nią chłopak.

Królowa uniosła brew.

– Nie – ucięła i wyszła.

* * *

Eddis odwróciła się w stronę Eugenidesa, który pocierał policzek w miejscu, gdzie dotknęła go ręka Attolii, sprawiając wrażenie przygnębionego.

– Wydaje mi się – odezwał się z wolna – wydaje mi się, że chyba sobie tego nie przemyślałem.

– Masz na myśli ślub? – Królowa usiadła obok, zatroskana.

– Nieee – odparł Złodziej, zwracając ku niej twarz. W jego oczach Eddis dostrzegła coś, czego chyba nigdy wcześniej tam nie widziała. Panikę.

– Nie przemyślałem sobie bycia królem. – Jego głos brzmiał chrapliwie, czy to ze zmartwienia, czy z powodu siniaków na szyi.

Eddis spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Twój talent do pakowania się w kłopoty, bo czegoś nie przemyślałeś, nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, Eugenidesie. Jak to nie przemyślałeś

sobie bycia królem? Czyżby Attolia miała poślubić cię, a potem wprowadzić się wraz z tobą do mojej biblioteki?

– Nie. – Chłopak z ponurą miną wbił wzrok we własne stopy. – Wiedziałem, że muszę zostać królem. Po prostu sobie tego nie przemyślałem.

– Te wszystkie stroje – mruknęła z namysłem Eddis. – Ceremonie. Obowiązki. Odpowiedzialność.

– Ludzie gapiący się na mnie. Przez cały czas. Eddis przyglądała mu się w milczeniu, podczas gdy on, najpewniej po raz pierwszy, rozważał spoczywające na władcy zobowiązania.

– Attolia nie zawarła żadnych układów z Medejczykami – powiedziała nagle. – I wcale tego nie chciała. Eugenidesie... – Odczekała, aż Złodziej podniesie głowę. – Możemy po prostu podpisać traktat i nie będziecie musieli się pobierać.

– Nie – odparł chłopak.

– Jesteś pewny?

– Tak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Seneszał Efraty, kapitan gwardii, kilku baronów zarówno eddijskiego, jak i attolijskiego pochodzenia, a także inni członkowie obu dworów czekali w miejscu, gdzie korytarz wychodził na główne atrium. Attolia powiodła spojrzeniem po zebranych. Eddijczycy bez wątpienia wyglądali na barbarzyńców – nic dziwnego, że Medejscy tak łatwo ich zlekceważyli – ale wyglądało na to, że czuli się tu dość swobodnie. Natomiast jej seneszał, kapitan gwardii i baronowie sprawiali wrażenie zaniepokojonych, jakby sufit lada chwila miał spaść im na głowy.

Gnębiły ich dwie różne rzeczy. Seneszał i gwardzista zrobili coś, co nie spodoba się królowej, natomiast baronowie obawiali się, że sprzedała kraj Eddijczykom, tak jak wcześniej wydawało im się, że sprzedała go Medejscykom. Attolia przyjrzała się Teleusowi z namysłem, po czym westchnęła.

– Pozwoliliście Nahusereszowi uciec – stwierdziła.

Przyzwyczajony do jej przenikliwości mężczyzna tylko kiwnął głową.

– Nie przypilnowaliście tego niewolnika, jego sekretarza.

– To prawda – przyznał kapitan. – Niewolnik wypuścił go, a w zamieszaniu udało im się dotrzeć do zewnętrznych schodów prowadzących do portu. Dopłynęli do zacumowanego tam medejskiego statku i uciekli. Bardzo mi przykro.

– Powinno być ci przykro – powiedziała królowa, ale ku ogromnej uldze Teleusa, nie była zła. – Liczyłam wprowadzić na okup, ale będę musiała obejść się bez niego. Jeśli musieli dotrzeć wpław do swego statku, to pewnie

zostawili za sobą całe mnóstwo ciekawych dokumentów. Będę chciała je zobaczyć.

Kapitan zakasłał.

– Wspomniałaś, że „w zamieszaniu dotarli do zewnętrznych schodów” – podsunęła Attolia.

– Podpalili swoje komnaty.

– Ależ oczywiście – skwitowała władczyni, a mężczyzna ze wstydem spuścił wzrok.

– No cóż. Mam nadzieję, że zniszczenia nie są zbyt poważne. Baron Efraty nie będzie zadowolony z takich gości. – Wspomniany baron zamieszkiwał inny spośród swych kilku megaronów i ledwie zauważał istnienie małego miasta.

Attolia zwróciła się tymczasem do seneszała.

– Znajdź kogoś, kto zaprowadzi Jej Wysokość Królową Eddis oraz jej Złodzieja do lepszych komnat i dopilnuj, by się o nich zatroszczono. Niewątpliwie żał ci apartamentów, do których podpalenia dopuścił mój kapitan, ale jestem pewna, że znajdziesz jakieś rozwiązanie na tę jedną noc. Nazajutrz Eddis i jej przyboczne udadzą się wraz ze mną do stolicy.

– Nie, Wasza Wysokość.

Słowa te wypowiedziano cichym, lecz stanowczym głosem. Zajął jej to chwilę, ale wreszcie Attolia zrozumiała, z czyich ust padły – ależ oczywiście, to ojciec Eugenidesa. Eddijski minister wojny. Rzuciła mu spojrzenie. Nieczęsto ktokolwiek się jej sprzeciwiał i nigdy z taką pewnością siebie.

– Królowa Eddis nie pojedzie do twojej stolicy bez eskorty.

– Nie zabierze też ze sobą swojej armii – odparowała Attolia.

Minister wojny skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

Cały zgromadzony tu dwór Attolii, wliczając w to kapitana gwardii, przyglądał się mężczyźnie z podziwem, co drażniło władczynię, ale

jednocześnie bawiło ją.

– Tu, w megaronie, nasze siły są równe – powiedziała wreszcie. – Zostaniemy tu na noc, zostawiając wojska na polu. Jestem pewna, że jutro znajdziemy rozwiązanie, na które przystaną obie strony. Trzeba będzie też poinformować Sounisa, bez względu na to, co postanowimy.

Minister wojny skinął głową na zgodę.

Królowa zwróciła się znów do seneszala:

– Rozlokuj Eddijczyków tak, by było im wygodnie – poleciła i udała się do własnych komnat, pozostawiając mężczyznę z problemem, jak miał tego dokonać w ograniczonej przestrzeni Efraty.

Pośród panujących na morzu ciemności sunęła ostrożnie medejska flota. Stojąc przy relingu, Nahuseresz obserwował rozplywający się w mroku ciemny zarys attolijskiego wybrzeża. Kamet najchętniej zostawiłby go samego, ale nie miał śmiałości.

– Kamecie – przywołał go ambasador i sekretarz posłusznie, acz niechętnie podszedł bliżej.

– Panie? – Marzę o tym, by kogoś udusić. Może pójdziesz sobie, żeby nie padło na ciebie?

Niewolnik pochylił głowę.

– Tak, panie – szepnął neutralnym tonem i z ulgą oddalił się.

Rankiem attolijska armia ruszyła w górę rzeki i rozbiła obóz po drugiej stronie Seperchii niż Eddijczycy. Większość sił górskiego kraju osiadła na równinie u podnóża przełęczy. Po południu, po wstępnych negocjacjach między ministrem wojny Eddis a dwoma z trzech najwyższych rangą generałów Attolii, resztę eddijskiej armii podzielono. Jedna część miała wrócić do kraju, by bronić go przed ewentualnymi atakami ze strony Sounis, druga zaś towarzyszyć królowej w drodze do stolicy Attolii.

Attolia zaproponowała królowej Eddis podróż statkiem, ta jednak

odmówiła pod wpływem nacisków swojego ministra wojny. Attolia odpłynęła więc bez niej, wraz ze swymi przybocznymi, gwardzistami i kilkoma wybranymi baronami. Reszta jej świty wybrała drogę lądową. Perspektywa ta nie wyglądała szczególnie kusząco ze względu na upały i unoszący się w powietrzu kurz, ale nikt, kogo doszły słuchy o propozycji zaręczyn, nie narzekał, że miał podróżować w ten sposób, podczas gdy królowa była na morzu.

Attolia spędzała dni przy relingu, obserwując przesuwane się z wolna wybrzeże swego kraju. Prawie nie odzywała się do swych przybocznych, baronom nie poświęcała zaś zupełnie żadnej uwagi. Kiedy Teleus chciał z czymś się do niej zwrócić, jedna ze służących rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Mężczyzna pochylił głowę, zrozumiałwszy sygnał i odpuścił. Attolia widziała to wszystko, ale nie przywołała go do siebie. Pośród ciepłych promieni słońca i chłodu morskiej bryzy, królowa oddawała się rozmyślaniom.

Królewskie miasto Attolii, położone na zboczu wzgórza ponad płytką rzeką Tustis, przypominało w promieniach słońca klejnot osadzony pośród drzew oliwnych. Pałac zbudowano na łagodnym wzniesieniu. Za miastem strzelał w niebo dużo bardziej stromy pagórek, na którego szczycie pyszniła się świątynia ku czci nowych bogów. Z początku zarówno miasto, jak i megaron tłoczyły się na małym płaskowyżu, jednak w czasie pokojowych rządów najeźdźców oba przeniesiono w dół wzgórza, na zbocze ponad portem. Dostępu do portu bronił cypel, falochron oraz niewyraźne cielsko wyspy Tegmis, rozciągającej się wzdłuż wybrzeża.

Megaron w stolicy Sounis zbudowano z niewykończonych, żółtych kamieni, zaś pałac Eddis był mały i ciemny, jednak do konstrukcji królewskiej siedziby Attolii użyto cegieł, które obłożono marmurem. Budowla lśniła w blasku słońca, piękna w swych proporcjach, a rzędy okien

odbijały popołudniowe promienie, skrząc się niczym drogocenne kamienie.

Kiedy Attolia znalazła się w pałacu w otoczeniu służby, wydarzenia w Efracie wydały się jej czymś odległym i nierzeczywistym. Powróciło znajome napięcie, gdy na nowo zaangażowała się w walkę mającą na celu wyegzekwowanie swej woli w świecie zwyczajowo rządzonym przez mężczyzn, gdzie musiała być nie tyle silniejsza, co potężniejsza od swych przeciwników. W porównaniu z tym, wojna była czymś banalnie prostym. Poinformowała swych baronów o oświadczeniach Eugenidesa, plotki jednak zdążyły już dotrzeć do stolicy, dlatego teraz uważnie obserwowała reakcję dworu. Wśród jej arystokracji wciąż znajdowali się tacy, którzy uważali się za prawdopodobnych kandydatów do ręki królowej oraz tronu. Widziała w ich twarzach oburzenie i rozbawienie, a pośród okrzyków słyszała wyraźnie złośliwe chichoty i docinki.

W zaciszu własnych komnat, Attolia zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Jej przyboczne troszczyły się o nią równie skrupulatnie co zwykle, lecz mimo to królowa po raz pierwszy była wyraźnie zniecierpliwiona. Choć wcześniej była żwawa i zrównoważona, teraz stała się wybuchowa i kąśliwa.

Jednak ku jej zaskoczeniu, służące nie zamierzały się oddalić. Szukała strachu w ich służalczości i nienawiści w okazywanym jej zainteresowaniu, ale niczego takiego nie znalazła. Ich sympatia i troska wydawały się szczere, nawet kiedy zerwała się na równe nogi podczas czesania, mając nagle dość szarpania i ciągnięcia jej za włosy, i schroniła się w swej sypialni trzaskając drzwiami, czego nie czyniła od czasu, kiedy była jeszcze jedną z mniej istotnych księżniczek ze strony drugiej żony króla. Otaczały ją przez cały dzień, nakłaniając ją, by coś zjadła, kiedy nie chciała, pilnując, by nikt jej nie przeszkadzał, gdy była zajęta i czyniąc przygotowania do przyjazdu królowej Eddis tak, że dla niej nie zostało zbyt wiele do zrobienia poza zatwierdzeniem ich decyzji.

Eddis zwlekała z przybyciem, pozostając wciąż w Efracie. Posłała po swą ciotkę oraz siostrę, a także służbę, by w ten sposób złagodzić nieco militarny wydźwięk swej wizyty. Ciotka królowej, wielka księżna, uparła się, że jest zbyt stara na niewygody podróży i kazała wyprowadzić królewską karetę, po czym radośnie przejechała całą trudną trasę do Efraty na końskim grzbiecie, podczas gdy ciężki powóz wleczono po górskich szlakach, a przez większość czasu trzeba było go nieść. Przybywszy na miejsce, księżna oraz siostra królowej, która zresztą również była księżną, połączyły siły z armią przybocznych, by upewnić się, że Eddis będzie godnie reprezentować swój kraj i dwór. Posyłając po nie, władczyni oczekiwała właśnie takiej pomocy z ich strony, dlatego spokojnie oddała się w ich ręce.

Zaprosiła też maga, ale ten grzecznie odmówił. Wciąż liczył na to, że uda mu się powrócić do łask swego króla, więc wolał, aby formalnie nadal uważano go za jeńca.

Kiedy Eddis przybyła wreszcie do stolicy, Attolia powitała ją uprzejmie i uroczyście. Nie zaszczyciwszy Eugenidesa choćby jednym spojrzeniem, królowa przyjęła ich w pałacu i wyraziła nadzieję, że wizyta będzie dla nich przyjemna. Choć zachowywała się, jakby Złodziej w ogóle nie istniał, jej służki przyglądały mu się uważnie i nie sprawiały wrażenia zachwyconych swymi obserwacjami. Eddis dostrzegła wrogość przybocznych, a także wyniosłość attolijskiej władczyni. Obawiała się, że Eugenides ulegnie swej skłonności do kpin, co mogłoby mieć katastrofalne konsekwencje, ale on tylko ukłonił się uprzejmie, gdy go przedstawiono, a kamienna maska na jego twarzy trwała równie nieruchomo, co u Attolii, choć ta nie spojrzała na niego nawet odpowiadając na jego gest oszczędnym, królewskim skinieniem głowy.

Tego wieczora, tuż przed kolacją, Eugenides odwiedził Eddis w jej komnatach. Przyboczne krążyły po pomieszczeniu, zatrzymując się na

chwilę, by założyć królowej kolczyki, po czym zagłębiając się w dyskusji, czy może inna para nie byłaby lepsza. Dwie księżne przyglądały się ich wysiłkom, co jakiś czas dodając własne uwagi.

Eddis cierpliwie znosiła to wszystko. Eugenides natomiast obserwował całą scenę z rozbawieniem.

Xante, najstarsza z przybocznych, delikatnie trąciła dłoń władczyni, a ta posłusznie uniosła rękę, by kobieta mogła zapiąć jej pas w talii.

– Wątpię, by przyboczne Attolii traktowały ją jak pokazowe ciele – mruknęła królowa, gdy służka zajęła się odpowiednim układaniem tkaniny wyszywanej złotą nicią.

– Jestem pewna, że nie muszą – odparła Xante. – Pewnie sama potrafi wybrać sobie stroje i nie porusza się w nich jak żołnierz.

Eddis zbyła przytyk uśmiechem i skinieniem głowy.

– Widywałem złote cielce, których nie strzeżono tak dokładnie – wtrącił Eugenides.

– Też zauważyłam, że w pałacu jest sporo uzbrojonych gwardzistów. To przez nas? – zapytała królowa, wciąż z uniesionymi rękami.

– Nie – odpowiedział jej Złodziej. – Zawsze jej towarzyszą. – Eddis podejrzewała, że była to sprawdzona opinia.

– Dziś będzie muzyka z Kontynentu i tańce – ostrzegła chłopaka. – Protokół nakazuje, że jako zalotnik musisz poprosić Attolię do tańca i przewodzić innym w pierwszej parze w czasie pierwszego utworu.

– Trochę ćwiczyłem – odparł, a po posiłku, gdy odsunięto stoły i rozbrzmiała muzyka, posłusznie podszedł do podwyższenia i wyciągnął dłoń do Attolii. Ta podała mu swoją, nie zaszczycając go choćby jednym spojrzeniem i w milczeniu przetańczyła z nim cały utwór. Gdy dźwięki ucichły, odprowadził ją znów na jej miejsce, mając wrażenie, że odstawia posąg z powrotem na cokół. Ukłonił się i wrócił do Eddis.

– Wygląda na to, że dworowi Attolii niespecjalnie przypadła do gustu taka partia – mruknęła królowa, gdy Złodziej usiadł między nią a jej mistrzem etykiety.

– Nie widziałem tylu wrogich spojrzeń od czasu, gdy ukradłem te kolczyki z kaboszonami.

– Nie wierzę, by mogli aż tak cię nie znosić – odparła Eddis. – Widziałas jej gwardzistów? – O tak. – A ministra ceremonii i wszystkich służących aż po chłopców podających wino? Jak też zapewne wyraźnie widzisz, wszystkie dziesięć przybocznych królowej też jest przeciwko.

– A sama królowa? – wtrącił minister etykiety, zasiadający po drugiej stronie chłopaka.

– Królowa wstrzymuje się od głosu – odparł krótko Eugenides.

– Dziewięć przeciwko, jedna niezdecydowana – odezwała się Eddis, a Złodziej rzucił jej zaskoczone spojrzenie. – Przyboczne Attolii – wyjaśniła. – Wydaje mi się, że jedna wciąż jeszcze nie podjęła decyzji.

– Naprawdę? Która? – Chłopak uniósł brew.

– Dowiedz się sam, a w międzyczasie bądź dla nich uprzejmy.

– Ryzykując, że rozerwą mnie na strzępy?

– Wydaje mi się, że nie grozi ci fizyczny atak – mruknęła cierpko Eddis.

– Tak ci się tylko wydaje – odparował Złodziej. – W swoim jedzeniu znalazłem piasek.

– Myślałam, że po prostu nie jesteś głodny.

– Piasek. W zupie, na chlebie, na mięsie.

– Nie zrobiłabyś... – zaczęła królowa, ale Eugenides przerwał jej, machając ręką, jakby chciał pozbyć się przyklejonych pajęczyn.

– Oczywiście, że nie. Jak dla mnie, kuchnia podziela po prostu zdanie przybocznych.

Eddis westchnęła i rozejrzała się po pięknej sali, zatrzymując wzrok na

wyszukanych płytkach na podłodze, mozaikach na ścianach, setkach świec i złotych kandelabrach. I nagle przyszła jej do głowy nieprzyjemna myśl, że wolałaby sprzedać Eugenidesa w niewolę niż wżenić go w dwór Attolii.

Negocjacje rozpoczęły się następnego dnia, jak podejrzewała Attolia, od paktu wojskowego. Królowe nie były przy tym obecne. W ich imieniu spotkali się ich ministrowie i doradcy. Kiedy już dwie władczynie spotykały się twarzą w twarz, rozmawiały o pogodzie albo wieczornych rozrywkach. Eugenides natomiast z powagą prosił Attolię do tańca, a ona z taką samą powagą przyjmowała jego zaproszenia. Jeśli już się do niego odzywała, używała tylko zwyczajowych formułek, zaś on, jak spodziewała się Eddis, odpowiadał jej rzucanymi półgłosem cierpkimi komentarzami, z których zawsze sływał. Kiedy Attolia wracała na miejsce zaczerwieniona nie tylko z wysiłku, nikt nie brał tego za dobry znak. Jej przyboczne obserwowały Złodzieja spod zmrużonych powiek, a zdaniem chłopaka, gdyby miały ogony, z pewnością smagałyby nimi ze złości. Gwardziści również nie spuszczały go z oczu, podobni do jastrzębi czekających na sygnał do ataku. Nawet służący patrzyli na niego z góry, gdy się do niego zwracali. Za to attolijscy lordowie nie zajmowali jednolitego stanowiska. Wszyscy wprawdzie odnosili się do Eugenidesa ze sztywną uprzejmością, lecz kryły się pod nią różne motywy. Niektórzy zawzięcie sprzeciwiali się królowi spoza Attolii, innych śmieszyło, że królowa upadła tak nisko. Z tego, co dotychczas zobaczyła Eddis, żadnego z nich nie obchodziło, czy Złodziej okaże się dobrym władcą.

Negocjacje pokojowe nie posuwały się naprzód. Attolia, w otoczeniu swych kłótliwych baronów, pozostawała oficjalna i wyniosła. Eddis, wiedząc, że stawką jest dobro jej kraju, wolała postępować ostrożnie. Natomiast jej minister wojny, nie zamierzając zapomnieć, że królowa Attolii okaleczyła jego syna, okazywał powściągliwość graniczącą niemalże z

otwartą wrogością.

W międzyczasie Eddis chwaliła pałac Attolii i jej ogrody. Ta odpowiadała jej zaproszeniami na koncerty, tańce oraz wyprawy na wieś.

– Twój dwór pełen jest żmij i lisów, Wasza Wysokość – szepnął pewnego wieczora Eugenides tak, że tylko królowa mogła go słyszeć, gdy wirowali na parkiecie. Złodziej prowadził lewym bokiem, obejmując ją prawą ręką wokół talii. Attolia czuła nacisk drewnianej dłoni na swym ciele.
– Skąd je wszystkie bierzesz? Czyżbyś hodowała je gdzieś w mroku, w głębi łądu, a potem sprowadzała do stolicy?

Królowa знаła doskonale wszystkie wady swych feudalnych popleczników. Nie odpowiedziała, a jedynie skierowała wzrok w przestrzeń, ponad ramieniem Złodzieja. Wciąż była od niego wyższa.

– Na przykład baron Erondites – ciągnął Eugenides swobodnym tonem.
– Co jakiś czas podpełza do mnie i syczy. No i Susa... Spuszczasz go czasami z łańcucha czy jest zbyt niebezpieczny? Powiedział mi, że bardzo cieszy go, iż w końcu wyjdiesz za mąż. Wydaje mi się, że użył przy tym słowa komiczne. – Poczuli, że Attolia sztywnieje i uważnie wybrał kolejny cel. – A syn Eronditesa... – Pozwolił głosowi odpłynąć, gdy królowa powoli zwróciła ku niemu swoją twarz.

– Jeszcze jedno słowo, a każę obedrzeć cię ze skóry – rzuciła.

Eugenides uśmiechnął się. Młodszy Erondites popierał królową od wielu lat i to wbrew swemu ojcu. Attolia nie zamierzała pozwalać, by go obrażano, ale chłopak wiedział, że udało mu się zasiać ziarno wątpliwości. Władczyni będzie teraz zastanawiać się, czy młodszy Erondites też określiłby jej przypuszczalne małżeństwo ze Złodziejem Eddis jako coś komicznego.

Eugenides był jednak zbyt miły, by pozwolić ziarnu zakiełkować.

– Chciałem jedynie pochwalić go za lojalność – powiedział. – Albo brak oryginalności. On też patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem kiedy z nim

rozmawiam, zupełnie tak jak ty.

Przez chwilę łudził się, że Attolia jednak coś powie, ona jednak odwróciła głowę i znów spojrzała ponad jego ramieniem. Nadzieje Złodzieja rozwiały się w pył. Dokończyli taniec, po czym odprowadził ją do tronu i jej przybocznych. Uśmiechnął się do nich, widząc ich gniewny wzrok i chciał oddalić się, by dołączyć do swojej królowej.

– Eugenidesie – odezwała się Attolia. Chłopak zawrócił. Królowa uniosła dłoń i położyła mu ją na policzku. Nie musiała robić nic więcej. Choć wyraz twarzy Złodzieja nie uległ zmianie, poczuła wyraźnie, że zadrżał pod jej dotykiem. Bał się jej. Jakaś jego część zawsze już będzie się jej bać. Ten strach to jej broń, której nie zawaha się użyć, by zachować władzę jako królowa.

– Dobrej nocy – dodała uprzejmie.

– Dobrej nocy, Wasza Wysokość – odpowiedział jej Eugenides, po czym cofnął się, by się przed nią ukłonić i odszedł.

Znalazłszy się z powrotem bezpiecznie na swoim krześle, chłopak otarł pot z czoła. Wydało mu się, że siwowłosa przyboczna uśmiechnęła się do niego. Czyżby poczuła się ośmielona, bo myślała, że królowa okazała mu swoje względy? A może wiedziała, że Attolia jedynie dobitnie pokazała mu, gdzie jego miejsce?

Tego wieczora Attolia odprawiła Chloe, nakazując odesłać ją z powrotem do ojca zaledwie za wynikający z niezręczności wypadek. Dziewczyna upuściła łyżeczkę do perfum na małą amforę i ta roztrzaskała się na kawałki. Attolia zerwała się na równe nogi, a w gniewie wydawała się równie wysoka co bogini, na której się wzorowała. Chloe wydukała przeprosiny, ale królowa odprawiła ją i udała się do sypialni, ani razu nie oglądając się za siebie.

Kiedy odeszła, Chloe zalała się łzami.

– Dlaczego ma go poślubić? – łkała. – Dlaczego ma go poślubić, skoro on ją aż tak złości?

– Złościłaby się na każdego mężczyznę – odezwała się inna przyboczna.

– Gdyby przynajmniej był mężczyzną – mruknęła kolejna. – Gdyby tylko nie ośmieszali jej, zmuszając do małżeństwa z chłopcem.

– Nahuseresz... – zaczęła Chloe.

– Nahuseresz był głupcem – przerwała jej jedna z kobiet.

– A niby kim jest Eugenides? – spytała z goryczą dziewczyna.

Jedynie Frezyna nie odezwała się ani słowem, zajęta przyszywaniem rękawa sukni. Następnego dnia Chloe wróciła do domu ojca. Pozostałe przyboczne rzucały Eugenidesowi jeszcze bardziej nienawistne spojrzenia, zacieśniając szyki wokół udręczonej królowej. Jedynie Frezyna miała śmiałość odezwać się do milczącej Attolii, kiedy wpinała kwiaty w jej zaplecione włosy przed wieczorem muzyki.

– Powiedzenie „Im mniej słów, tym lepiej” nie zawsze sprawdza się w praktyce, Wasza Wysokość – powiedziała.

Attolia odwróciła głowę, by na nią spojrzeć, przez co obluzowała się jedna z ozdób. Nie mówiąc już nic więcej, służąca ostrożnie poprawiła kwiat.

Minęły już trzy tygodnie, a dwa kraje ani trochę nie przybliżyły się do podpisania traktatu. Eddis zaczęła się niepokoić, że kiedy już udało im się dotrzeć tak daleko, Attolia może wrócić do działań wojennych. Jej twarz była zawsze pozbawiona wyrazu, a rozmowy prowadziła w sposób tak uprzejmy i niepozwalający niczego odczytać, że nie sposób było zgadnąć, co tak naprawdę chodziło jej po głowie.

– Nie odda Efraty – powiedziała Eugenidesowi Eddis, gdy pewnego popołudnia przechadzali się po jednym z pałacowych tarasów, wychodzącym na ogród. W obrębie murów budowli, królowa rezygnowała z gwardii honorowej, byli więc zupełnie sami.

Wśród żądań, które postawiła Eddis, było życzenie, by niewielka, przybrzeżna wioska stała się częścią jej kraju, co zapewniłoby mu dostęp do morza, którego nigdy wcześniej nie miał, a także do handlu, który dzięki temu mógłby prowadzić. Efrata była wprawdzie biednym portem, ale lepszy taki niż żaden, więc Eddis nie zamierzała ustąpić.

Attolia natomiast nie zamierzała go oddać. Poza tym problemem, pojawiły się jeszcze inne kwestie sporne, dlatego negocjacje nie posuwały się naprzód, za wyjątkiem umowy zawartej między ministrami handlu. Mężczyźni zgadzali się ze sobą we wszystkim i z zadowoleniem spędzali dnie dyskutując o wymianie surówki i wełny na oliwki oraz wino.

– Twój ojciec też nie pomaga. Spodziewam się, że siedzi przy stole, mierząc Attolijczyków wzrokiem. Dobrze wiesz, jak potrafi to robić. – Eddis ściągnęła twarz i rzuciła chłopakowi kamienne, gniewne spojrzenie.

– Musiałś przekazać mu groźby Attolii, że obetnie mi drugą dłoń. Nie jestem pewien, czy zauważył w tym coś śmiesznego.

– Nie jestem pewna, czy ja dostrzegłam – przyznała królowa. – Nie chciałabym zabrzmieć jak matka Hespiry, ale wolałabym, żebyś wrócił do domu, Genie.

– Nie.

– Część problemu stanowią jej baronowie – ciągnęła niepewnie Eddis. – Nie są zachwyceni perspektywą posiadania eddijskiego króla. Gdyby mieli własnego króla, a to królowa pochodziłaby z Eddis, takie małżeństwo nie wywołałoby niczyjego sprzeciwu, ponieważ zostałoby uznane za sposób na scementowanie zawartego sojuszu. A tak, nie dość, że ogólnie nie lubią, kiedy ktoś nimi rządzi, to już szczególnie nie podoba im się, że miałyby to robić obcokrajowiec.

– Chcesz powiedzieć, że łatwiej byłoby dojść do porozumienia z Attolią, gdybyśmy nie zmuszali jej do małżeństwa?

– Możliwe. – A jak zabezpieczyłabyś postanowienia traktatu? – Nie wiem – przyznała Eddis. – Zaczynam podejrzewać, że tak naprawdę nie wiem nic o Attolii. Miałam nadzieję, że ty coś wiesz.

– Nie chce ze mną rozmawiać – powiedział Eugenides. – Tylko wymieniamy formalności.

– Rozmawiacie w czasie tańca – podsunęła królowa.

– To tylko kolejne frazesy.

– A zeszłej nocy? – zapytała Eddis. Kiedy zakończyli taniec i Złodziej odprowadził Attolię na miejsce, ta była aż cała zeszywniała z gniewu.

Eugenides zatrzymał się i oparł o niski murek oddzielający taras od ogrodu. Skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok we własne stopy.

– Mówiła mi o historii tego pałacu. W sumie był to imponujący wykład. Powiedziałem jej, że mój pra- pra- pra- i tak dalej dziadek był jednym z architektów.

– Naprawdę? – wymamrotała Eddis.

– O tak, dlatego właśnie wiemy tak dużo o tej budowli. Znalazłem rysunki w twojej bibliotece, ale zabrałem je stamtąd po przybyciu maga. Powiedziałem jej też, że zaprojektował pewne części megaronu Sounisa. Te najlepsze. Spojrzała na mnie, jakbym zamienił się w węża.

– Wydawało mi się, że prosiłam, byś podziękował jej za wysiłki wkładane w organizowanie dla nas rozrywek.

– Zrobiłem to w następnej kolejności. Powiedziała mi, że na rano zaplanowano polowanie i zapytała, czy nie chciałbym wziąć w nim udziału.

– I? – dopytywała Eddis, spoglądając na jego rękę. Nawet gdy miał obie dłonie nie jeździł na tyle dobrze, by uczestniczyć w łowach.

– Odparłem, że nie skorzystam, bo polowano już na mnie w Attolii.

– Och, Genie – westchnęła królowa.

Po tańcach Attolia wróciła do swych komnat i natychmiast odprawiła

wszystkie przyboczne. Gdy wychodziły, rzuciła kwaśno do Frezyny, że jej zdaniem „Im mniej słów, tym lepiej” pasowało do tej sytuacji doskonale. Gdy za kobietami zamknęły się drzwi, królowa zaczęła wyciągać kwiaty z włosów, mamrocząc przy tym „A niech go cholera. Cholera, cholera.” I ciskając je kolejno na ziemię.

Jednak nie była zła ani na Złodzieja, ani na Frezynę. Ależ była głupia, zapraszając kogoś z jedną dłonią na polowanie. Ależ była głupia, zakochując się w kimś po tym, jak obcięła mu tę dłoń. Cóż, ale choć była na tyle głupia, że go pokochała, to nie na tyle, by uwierzyć mu, że on kocha ją. Wiedziała, czym podszyte było spojrzenie ojca Eugenidesa, a jeśli nie dostrzegала tego samego w oczach chłopaka, to tylko dlatego, że ten lepiej to ukrywał. To wszystko.

– Myślałem, że wszystko skończy się jak w historii opowiedanej przy ognisku – przyznał Eugenides, stojąc na tarasie i spoglądając na ogród. – Bogini miłości uniesie swe berło i będziemy żyli długo i szczęśliwie. – Pokręcił głową. – Jedyni wartościowi członkowie dworu gardzą mną. Ci najpodlejsi chichoczą pod nosem, a gdyby zależało to od przybocznych królowej, już od kilku tygodni wisiałbym do góry nogami na murach pałacu.

– Z każdym dniem mam coraz więcej sympatii dla matki Hespiry. Wołałabym wrzucić cię żywcem do krateru Świętej Góry.

– To niezbyt rozsądne, nieprawdaż? Myślisz, że bogowie poddają mnie próbie?

Eddis uniosła brwi.

– Nie – ciągnął chłopak, kręcąc głową. – Nawet jeśli rzeczywiście poddają mnie próbie, to jest tak, jak mówiłaś: znają mnie na tyle dobrze, że potrafią przewidzieć moje zachowanie. Jednak go nie kontrolują. Mogli wiedzieć, że ją pokocham, ale mnie do tego nie skłonili. Wiesz, obserwowałem ją od wielu lat. Kiedy nie wiedziałaś, gdzie jestem, na ogół

byłem w Attolii.

– Wiedział o tym twój dziadek?

– Wiedział, że byłem nią zafascynowany. Ona jest jak więzień, zamknięty w kamiennych ścianach, gdzie z każdym dniem mury stają się grubsze, a drzwi węższe.

– No i? – naciskała Eddis.

– Cóż, to swego rodzaju wyzwanie.

– I to wszystko?

Eugenides obrzucił ją wzrokiem.

– Dlaczego nagle zrobiłaś się taka dociekliwa?

– Zależy mi na twoim szczęściu – odparła oschle królowa. – A także przyszłości dwóch krajów. Jeśli Eddis ma kwitnąć, trzeba zapewnić w Attolii stabilność rządów, w taki czy inny sposób.

Złodziej wbił wzrok w przestrzeń.

– Nie mogę zostawić jej tu samej, w otoczeniu kamiennych ścian. – Spojrzał na swą królową, mając nadzieję, że ta zrozumie. – Jest mi zbyt droga, bym tak po prostu miał ją porzucić.

– Ale nie chce z tobą rozmawiać.

– To prawda – przyznał z bólem chłopak. – Nie chce też mnie słuchać. A skoro nie chce mnie słuchać, jak mam powiedzieć jej, że ją kocham?

– Skoro nie chce cię słuchać, jak masz ją okłamać? – zapytała Eddis.

Do tej pory Eugenides błędził wzrokiem po dachach pałacu. Teraz jednak opuścił gwałtownie głowę i spojrzał na Eddis.

– Nie miałem zamiaru jej okłamywać.

– A skąd ona ma to wiedzieć? Nie zwykła ufać ludziom. Dlaczego nagle miałaby uwierzyć w cokolwiek, co masz jej do powiedzenia? Możesz otworzyć jej drzwi, ale nie zmusisz jej, by przez nie przeszła.

Złodziej doskonale zdawał sobie sprawę z własnych wad, więc nie

odpowiedział.

– Uwierzyłyby tobie – odezwał się po chwili namysłu.

– Wcale nie – zaprotestowała królowa.

– Właśnie, że tak.

– Eugenidesie.

– Uwierzyłyby – upierał się chłopak. – Powiedziałaś, że możemy podpisać traktat bez względu na to, czy się pobierzemy, czy nie. Nie masz powodu, by jej kłamać. Uwierz ci.

– Eugenidesie, jestem królową Eddis, a nie swatką. – Gdyby nią była, Złodziej siedziałby teraz w domu, mając za żonę Agape.

On tylko oparł się plecami o kamienną balustradę i skrzyżował ramiona na piersi. Czekał cierpliwie, aż wreszcie Eddis wyrzuciła ramiona do góry.

– W porządku – skapitulowała. – Poproszę ją o prywatną audiencję. Powiem jej, że możemy zawrzeć traktat bez ślubu, jeśli tak woli, i zobaczymy, co ona na to.

– A więc teraz zmieniasz zdanie? – zapytała Attolia królową Eddis w zaciszu swych prywatnych komnat. Dwie władczynie po raz pierwszy miały okazję pobyć w samotności od czasu spotkania na zboczach pagórka ponad Reą. – Najpierw zmuszasz mnie do przyjęcia jego oświadczeń, a teraz próbujesz go odzyskać?

– Czyli zatrzymasz go, żeby zrobić mi na złość? – odpowiedziała jej pytaniem Eddis. Attolia zrozumiała, że królowa górskiego kraju doskonale zdawała sobie sprawę z żywionej względem niej zazdrości.

– Czyż nie jest najcenniejszą z twych własności?

– On nie jest niczyją własnością – odparowała sucho Eddis.

– Chcesz jednak zatrzymać go dla siebie? – podsunęła Attolia. – Prawda?

– I uczynić go królem Eddis? Obawiam się, że źle interpretujesz naszą przyjaźń.

– Nie, nie królem Eddis. Chciałabyś, żeby był bezpieczny, chciałabyś ożenić go z kimś ze swego dworu, chciałabyś żeby bez końca skakał wokół ciebie, uczepiony twej spódnicy?

Eddis zmarszczyła brwi.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– To by go zabiło. On już nie może się wycofać.

– Więc po co tu przyszłaś? – zapytała Attolia z nieszczerym uśmiechem.

– Nie wiem – odparła Eddis, czując się dotknięta. Wstała i chciała wyjść.

– Poczekaj – zawołała za nią Attolia i Eddis zatrzymała się. – Proszę. – Eddis z powrotem usiadła, ale Attolia wstała i podeszła do okna. Przez dłuższą chwilę milczała.

– Lubię cię – powiedziała wreszcie, nie odwracając się. – Nie spodziewałam się, że tak będzie. Mimo to irytuje mnie twoja obecność w moim pałacu. Nawet tutaj otaczają cię ludzie, którym możesz bezgranicznie zaufać. Jesteś tu bezpieczniejsza niż ja, a to mój dom, nie twój. Rozumiesz?

– Tak. – Eddis kiwnęła głową, czekając na dalszy ciąg.

– A które z twoich zasobów mogłabym mieć dla siebie? Twojego Złodzieja. W moim życiu jest tak niewiele wiary, zaufania oraz przyjaźni i miałabym jeszcze pozwolić, żeby mi je ukradł?

– Eugenides nie chce cię z niczego okradać. – Eddis miała problem ze znalezieniem właściwych słów.

– Niby jak miałabyś mnie zrozumieć? – Attolia odwróciła się, by spojrzeć jej w twarz. – Ciebie nigdy nie okłamał.

Eddis wytrzeszczyła oczy, a na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Ależ oczywiście, że tak.

– Okłamuje cię?

– Przez cały czas – odparła Eddis. – Okłamuje nawet sam siebie. Gdyby

mówił przez sen, to i wtedy by kłamał.

Attolia sprawiała wrażenie zszokowanej.

– I nie potrafisz stwierdzić, kiedy to robi?

Eddis zastanawiała się przez chwilę.

– Czasami wierzę w jego kłamstwa, ale nigdy nie uznałam, że kłamię, gdy było inaczej. Jeśli zależy mu, bym w coś uwierzyła, ma swój sposób na przekonanie mnie, że mówi prawdę.

– Jaki?

– Kiedy będzie z tobą szczery, sama się zorientujesz – uspokoiła ją Eddis.

Attolia pokręciła głową.

– Spójrzmy prawdzie w oczy. On jest za młody, a ja jestem za stara. Poza tym ciężko zignorować fakt, że obcięłam mu dłoń. A teraz spróbuj wmówić mi, że to nie jest jego zemsta.

Eddis wstała i spojrzała jej w oczy.

– Nie jest za młody, a ty nie jesteś stara. Tylko czujesz się staro, bo od dawna jesteś nieszczęśliwa. I to nie jest jego zemsta – powiedziała.

– Jak głupia musiałabym być, żeby uwierzyć, że to cokolwiek innego?

– Nie pozwoliłabym na to.

– Nie pozwoliłabyś? A więc nie jest to także twoja zemsta?

– Ireno...

– Nie nazywaj mnie tak.

– Byłaś księżniczką Ireną, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy.

– To znaczy „pokój” – mruknęła Attolia. – Chyba nikt inny nie nosi bardziej niewłaściwego imienia.

– Mnie nazwano Heleną – podsunęła Eddis.

Rysy Attolii złagodniały i królowa uśmiechnęła się. Eddis daleko było do kobiety, której uroda stała się przyczyną wojny.

– Ireno, nie dopuściłabym, żeby Eugenides ryzykował życiem dla zemsty, nieważne jak mocno zostałby okaleczony. – Attolia odwróciła wzrok, ale Eddis mówiła dalej. – A jeśli twierdzi, że nie jesteś demonem z piekła rodem, to ufam jego osądowi. – Attolia zaczęła krążyć wolno po pokoju. – Ireno? Czy masz jakiś inny wybór poza uwierzeniem mu?

– Może i będę zmuszona go poślubić – odpowiedziała cicho Attolia – nie muszę jednak w nic wierzyć.

– Owszem, musisz – zaprotestowała Eddis. – Jeśli zechcesz go poślubić, musisz mu wierzyć. On nie jest niczyją własnością. Nie jest mój, żebym mogła go zatrzymać albo oddać. Może dokonywać własnych wyborów i wybrał ciebie. Teraz ty musisz zrobić to samo. Tak między nami, możemy zawrzeć porozumienie bez tego ślubu. Nie musisz wychodzić za niego za mąż, ale jeśli zdecydujesz się to zrobić, musisz mu wierzyć.

Attolia odwróciła się i Eddis przyszło na myśl, że pod maską królowa może ukrywać strach, dlatego dokończyła łagodnym tonem:

– Musisz mu wierzyć, bo przez niego zbuntuje się cały pałac, dwór pograży się w chaosie, a wszyscy, od baronów po pucybutów, będą sterczeć pod twoim tronem, domagając się jego krwi, a ty będziesz musiała sobie z tym wszystkim jakoś poradzić.

Attolia uśmiechnęła się.

– Mówisz tak, jakby było z nim więcej kłopotu niż pożytku.

– O nie – odparła z namysłem Eddis. – Absolutnie nie więcej.

Attolia rzekła się Efraty. Kiedy dowiedziała się, że wpływy z dziesięciu zatrzymanych attolijskich karawan trafiły do Eugenidesa, postawiła własne warunki i zażądała, by cała suma wróciła do jej skarbcza. Pomimo godnych bazyliuszka spojrzeń, które rzucał eddijski minister wojny, porozumienie wojskowe udało się osiągnąć w ciągu zaledwie kilku dni. Rozpoczęto wreszcie przygotowania do ślubu. A potem je przerwano, gdy królowa Attolii

nie zgodziła się na poświęcenie ołtarza Hefestii z myślą o ceremonii.

Kiedy próbowano dowiedzieć się, dlaczego, ku zaskoczeniu wszystkich uciekła. Upuściła trzymane w dłoni pióro, mówiąc stanowczo:

– W Attolii nie będzie ołtarza Hefestii. – Następnie wymaszerowała z pomieszczenia. Eddis i Eugenides, ministrowie i doradcy, Eddijczycy i Attolijczycy, wszyscy spoglądali na siebie nawzajem ze zdumieniem i konsternacją.

Eddis przeprosiła zgromadzonych, wezwała do siebie Złodzieja gestem dłoni i oboje ruszyli za attolijską królową. W korytarzu Eddis zatrzymała się bezradnie.

– Sala tronowa – podsunął chłopak.

I rzeczywiście tam ją znaleźli. Echo ich kroków rozbrzmiało w pustej komnacie, gdy tylko wkroczyli na gładką, marmurową podłogę. Eddis nie mogła powstrzymać się przed rozglądaniem się wokół, co zresztą robiła za każdym razem, kiedy przebywała w tym pomieszczeniu. Salę tronową Attolii utrzymano w kolorystyce błękitu, bieli i złota, w przeciwieństwie do bardziej ponurych barw Eddis – czerwieni, złota i czerni. Mozaiki na podłogach, a także wysokie sufity z oknami sięgającymi górnych krawędzi ścian, dzięki czemu komnata skąpana była w blasku słońca, czyniły to pomieszczenie o wiele piękniejszym miejscem niż nowsza sala tronowa czy sala bankietowa Eddis. Attolia nie musiała jadać w sali tronowej – miała inne, jeszcze większe komnaty przeznaczone do podawania posiłków albo do tańca. Rzuciwszy przelotnie okiem na Eugenidesa, Eddis odniosła wrażenie, że chłopak kroczy przez salę, jakby była mu doskonale znana, przez co nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi. Może właśnie tak było. Attolia ignorowała ich obecność, dopóki nie stanęli przed jej tronem.

– Nie będzie żadnego ołtarza poświęconego Hefestii – powiedziała.

Eugenides wszedł po stopniach na szczyt podwyższenia i ujął jej dłoń.

– To tylko gest względem bogów, w których wierzę, nic więcej.

– Nie.

– Bo ty w nich nie wierzysz?

– O nie – odparła gorzko Attolia. – Ponieważ wierzę, ale nie zamierzam ich czcić. Nie będzie żadnego ołtarza dla niej ani żadnej ofiary.

– Złożyłem przysięgę – wyjaśnił Eugenides – że jeśli zostanę królem...

– Nie – przerwała mu Attolia.

– Dlaczego? – wrzasnął Złodziej.

Błada ze złości Attolia wyszarpnęła dłoń z jego uścisku i zacisnęła pięści.

– A jak niby udało mi się ciebie schwytać, kiedy ukrywałeś się w moim pałacu? Skąd wiedziałam, że przemieszczasz się tunelem do hypocaustum? Skąd miałam wiedzieć, którędy dostałeś się do miasta i którędy będziesz próbował z niego uciec? Skąd miałam to wiedzieć?

Eugenides również pobladł na twarzy.

– Popełniłem błąd – wyszeptał.

– Tak, popełniłeś błąd – przyznała Attolia. – Zaufałeś swoim bogom. W tym właśnie tkwił twój błąd. Moira... – wyrzuciła z siebie to imię z obrzydzeniem. – Moira, posłanka twojej Wielkiej Bogini, przyszła do mnie i powiedziała, gdzie będziesz się ukrywał, a także doradziła mi, że jeśli po zmroku każę moim ludziom przybić deski do pni drzew rosnących ponad zakrętem rzeki, uda mi się ciebie schwytać. Później przybyła powtórnie, aby ostrzec mnie, bym nie obraziła bogów. Moira – powtórzyła – przebrana za jedną z mych przybocznych, powiedziała Medejczykowi, gdzie cię szukać w górach. Jakim innym sposobem miałby się dowiedzieć, że będziesz u Źródła Pricas? Nie oddaję czci twoim bogom i nie wezmę ślubu przed tym ołtarzem.

Eugenides wpatrywał się w przestrzeń otępiałym wzrokiem. Jeśli w ogóle czuł cokolwiek, to było to wrażenie spadania w próżnię, które czuje

każdy złodziej, gdy opuści go jego bóg. Nie odezwawszy się ani słowem i nie spojrzawszy Attolii w oczy, odszedł. Przemierzył komnatę szybkim krokiem i wyszedł, ani razu nie odwracając głowy. Attolia wstała i chciała ruszyć jego śladem, ale Eddis powstrzymała ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Attolia obrzuciła ją wzrokiem.

– Wiedziałaś o tym – powiedziała.

– Że bogowie go zdradzili? Domyśliłam się – odparła Eddis.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Eugenides przemierzył korytarz, w ogóle go nie widząc, niczym lunatyk. Przypomniawszy sobie odgłosy uderzeń młotków, które doleciały go, gdy ukrywał się w krzakach nieopodal murów miasta. Pod wpływem tego wspomnienia przyspieszył, kierując się w stronę kuchni, a potem zostawił pomieszczenie za sobą, nie napotkawszy po drodze żywej duszy, i wyszedł na jeden z niższych dziedzińców pałacu, gdzie znajdowały się zagrody dla zwierząt. Trzymano tam świnie i kozy. Zażądał koźlęcia od zaskoczonego stajennego i zaniósł wierzgające zwierzę z powrotem do środka.

W pałacu było całe mnóstwo pustych komnat. Eugenides wiedział, że jedna z nich służyła kiedyś jako oranżeria, ale wzniesione ostatnimi czasy budowle przesłoniły światło słoneczne, przez co pomieszczenie stało się zbyt zimne i ciemne, by dalej mogło spełniać swą funkcję. Od strony korytarza nie posiadało przedsionka, a rząd dźwigających strop kolumn dzielił je na dwie części, miało więc kłopotliwe wymiary i dość kiepską lokalizację. Z tego powodu rzadko z niego korzystano, za to było świetnym schronieniem dla Złodzieja przy okazji jego wcześniejszych wizyt. W środku znajdował się kamienny stół, który mógł posłużyć za ołtarz. Stworzyć ołtarz mógł absolutnie każdy i każdy mógł go poświęcić, składając na nim ofiarę. Nie każdy natomiast otrzymałby odpowiedź od bogów, jednak Eugenides nigdy nie wątpił, że jego modły zostaną wysłuchane.

Idąc, chłopak przełożył sobie koźlę pod prawą pachę i zdjął świecę z uchwytu na ścianie. Wspinając się po schodach, minął kilka osób, ale nikt się do niego nie odezwał. Wszyscy odsuwali się na bok i w milczeniu śledzili go

wzrokiem. Przyspieszył kroku i ruszył korytarzem do pustego pomieszczenia, a znalazłszy się w środku, kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

Stół stał przy ścianie, po prawej stronie, zaś naprzeciwko Złodzieja znajdowało się okno, podzielone wszerz na trzy nierówne części, z których każda składała się z wielu oddzielnych szybek. Kiedyś rozciągał się z niego widok na akropol, wznoszący się za miastem, teraz jednak widać było tylko pustą ścianę po przeciwległej stronie wewnętrznego dziedzińca. Słońce wciąż stało wysoko na niebie, a jego promienie odbijały się od dachów, oświetlając parapet i unoszące się w powietrzu drobinki kurzu.

Koźlę zabeczało, gdy chłopak, ściskając je pod pachą, zaczął szukać zapalek. Miał srebrną kasetkę na zapaliki, którą mógł otwierać jedną ręką. Kiedy już udało mu się zapalić świecę, przechylił ją tak, by wosk skapywał na ołtarz i zaczął nucić inwokację do Wielkiej Bogini, celowo wybierając tę, którą powtarzał, uwięziony w attolijskiej celi. Gdy kałuża wosku urosła dostatecznie duża, wetknął w nią świecę. Następnie wyciągnął koźlę spod pachy i położył je na ołtarzu. Zwierzę wierzgało, ale przygwoździł je ramieniem i wyjął nóż. Zręcznie poderżnął koźlęciu gardło, a gdy z braku ceremonialnej misy krew rozlała się po stole, Złodziej obrócił ostrze i wbił je w ciało zwierzęcia tuż poniżej chrząstki u szczytu klatki piersiowej. Opadłszy na kolana, oparł czoło o zakrwawioną krawędź stołu, a ręce położył na blacie i czekał.

Krew ostygła i zaczęła zasychać. Eugenides czekał bezruchu, coraz bardziej ziębnąc i sztywniejąc.

– Drzwi nie chcą się otworzyć, Wasza Wysokość – powiedział jeden ze służących.

Wprawdzie nie było w nich zamka, ale Attolii nie zaskoczyło, że zostały zablokowane. Nie spodziewała się niczego innego.

– Zostawcie go w spokoju – poleciła. – Rozmawia ze swoimi bogami. –

Służący skłonili głowy i oddalili się, szepcząc między sobą. Królowa wiedziała, że plotki o szaleństwie Eugenidesa rozniosą się po całym pałacu lotem błyskawicy. Attolijczycy nie przykładali zbyt wielkiej wagi do religii. Sumiennie odwiedzali świątynie w święta, a imiona bogów służyły im jako przekleństwa i na tym w zasadzie kończyła się ich pobożność.

Eugenides klęczał przy ołtarzu. Całe jego ciało zaczynał przeszywać ból, a umysł pogrążył się w odrętwieniu. Wreszcie światło dnia zbladło i zniknęło, a w pomieszczeniu zapanowała ciemność, którą rozpraszał jedynie blask świecy. Na krótką chwilę na jego ramieniu spoczęła czyjaś dłoń. Złodziej podniósł głowę i ujrzał Moirę u swego boku.

– W czym zawiodłem bogów, że zdradzili mnie przed Attolią? – zapytał.

Moira pokręciła głową. – Hefestia nie ma ci nic do powiedzenia. – A Bóg Złodziei? Czy zawiodłem jego, że mnie nie obronił? Czy dary, które składałem na jego ołtarzu, okazały się niewystarczające, że wypadłem z jego łask?

– Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania, Eugenidesie.

– W takim razie będę tu czekał. – Chłopak oparł z powrotem głowę o krawędź stołu.

– Eugenidesie – odezwała się znów Moira. – Nie możesz domagać się obecności Wielkiej Bogini. Bogowie nie odpowiadają przed ludźmi.

– Mogę – odparł jej Złodziej. – Mogę się domagać. To, czy moje żądania zostaną spełnione, czy nie, to inna sprawa, ale mogę się domagać. Mogę robić to, co zechcę, a nie co każe mi jakiś bóg.

– Eugenidesie – powtórzyła Moira ostrzegawczym tonem.

– Zdradziliście mnie. Zdradziliście mnie przed Attolią. Jesteście bogami Eddis, a zdradziliście mnie przed Attolią i Medeńczykiem. – Rozczapierzył palce w kałużę lepkiej krwi, po czym znów zacisnął dłoń w pięść. – Zdradziliście mnie, a ja mogę domagać się wyjaśnień dlaczego, jeśli tylko

zechcę.

– Eugenidesie, nie – napomniała go po raz kolejny Moira.

– Tak! – wrzasnął chłopak i okna oranżerii roztrzaskały się na kawałki, wypełniając powietrze odłamkami szkła.

– Mało kto dostaje odpowiedź od bogów – stwierdziła oschle Attolia, gdy wzburzony majordomus poinformował ją, że popękały wszystkie okna w pałacu.

Kiedy każda szyba rozprysła się na setki kawałków, które zawisły w powietrzu, po czym opadły na ziemię, roztrzaskując się na jeszcze drobniejsze fragmenty, Eugenides rzucił się na podłogę, osłaniając rękami głowę. Kaskada szkła zabębniła mu po plecach. Leżał, wsłuchując się w cichą muzykę zgrzytu odłamków o kamienie i brzęku ocierających się o siebie drobin. Po chwili ucichł wiatr i umilkł dźwięk szkła, ale mimo to ciśnienie w pomieszczeniu narastało. Wyczuwał to wyraźnie w bębenkach uszu. Ogarnęło go przerażenie. Nie strach, jak w przeszłości, ale panika zwierzęcia schwytanego w pułapkę albo człowieka, któremu grunt usuwa się spod nóg w czasie trzęsienia ziemi. Przeżył już w górach kilka trzęsień ziemi. Wziął głęboki oddech.

– Zdradziliście mnie – krzyknął, choć jego głos tłumili nieco zaciśnięte wokół głowy ramiona. Przypomniawszy sobie o Medejczyku, który niespodziewanie pojawił się na zboczu góry. – Dwukrotnie – zawył. – Zdradziliście mnie dwukrotnie. Kim są ci Medejczycy, że im pomagacie? Czy nie jestem waszym pokornym wyznawcą? Czy przez całe życie nie składałem ofiar na waszych ołtarzach?

– I przez całe życie w nas wierzyłeś? – zapytał głos, który był w zasadzie jedynie zmianą ciśnienia w jego uszach. Eugenides zadrżał pod wpływem jego łagodności. Nie, nie wierzył. Większość ofiar składał jedynie z przyzwyczajenia, a w rzeczywistości były to dla niego puste, nic nieznaczące

rytuały.

– Czy obraziłem bogów? – zapytał w rozpacz, lecz w chwilę później desperacja zamieniła się w gniew. – A jeśli nie obraziłem bogów – krzyczał, prawie nie słysząc własnych słów – to dlaczego nie spadłem? Śmierć przez upadek jest przekleństwem i prawem złodziei, a nie... – Głos uwiązał mu w gardle. Skrzyżował ramiona na piersi, wtykając okaleczoną rękę pod spód.

– Kimże jesteś, żeby mówić bogom o prawach? – zapytał znów głos, niezmiennie łagodnym tonem.

Wokół Eugenidesa panowała ciemność, która napierała na niego, aż nie mógł złapać tchu, aż przestał zdawać sobie sprawę z czegokolwiek innego poza tym naporem. Był niczym, najmniejszą cząsteczką kurzu, otoczoną miriadami innych, tworzącymi razem... jedynie kurz. Osamotniony, oddzielony od innych, w oczach bogów wciąż pozostawał jedynie kurzem. Z trudem wciągnął do płuc haust powietrza i wyszeptał:

– Czy obraziłem bogów?

– Nie.

– W takim razie dlaczego? – załkał, mocniej ściskając okaleczoną rękę, choć każdy z pęcherzy pod protezą stanowił odrębne ognisko palącego bólu.
– Dlaczego?

W ciemności pod zaciśniętymi powiekami, Eugenides dostrzegł migotanie ognia. Gdy wrażenie zniknęło, mrok zamienił się wizję gwiazdzistego nieba oraz ciemnej sylwetki na jego tle – Świętej Góry w Eddis. Strzelała z niej kolumna siwego dymu, jaśniejsza od otaczającej ją czerni. Szarość rozjaśniła się o kilka odcieni, a gwiazdy zbladły wraz z nadejściem dnia. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, szczyt góry eksplodował i powrócił ogień, płonący pod chmurą popiołu i dymu szerszą niż sama góra, szerszą nawet niż wszystkie doliny Eddis. Eugenides widział, jak wrzące skały spływają po stokach, wypełniając doliny płonącymi ruinami. Widział

domy w mieście, wybuchające jeden po drugim i biegających w panice ludzi. Widział kobietę z małym dzieckiem, którą nagle otoczyły płomienie. Ziemia zatrzęsała się pod jego stopami. Runęła na niego czerwona, falująca ściana stopionych skał, a on nie mógł się ruszyć. Jego skóra zrobiła się ciepła, potem gorąca, aż wreszcie wydała mu się sucha niczym papier i równie łatwopalna. Czuł swąd przypalanych brwi, ale wciąż nie mógł ruszyć się z miejsca. Zacisnął powieki, te jednak były już zamknięte i wizja nie zniknęła. Rzucił się do tyłu, czując, jak odłamki szkła wbijają mu się w ciało. Wciąż jednak leżał na brzuchu i nie mógł oddalić się od przeraźliwego żaru. Magma podpływała coraz bliżej. Złodziej zaczął krzyczeć.

Attolia siedziała na tronie i czekała. Sala była pusta, a panująca w niej cisza odbijała się echem od ścian. Chmury zbierały się nad pałacem przez całą noc i teraz rozbrzmiał huk gromu. Po wielu godzinach królowa wstała, opuściła salę tronową i udała się do świątyni nowych bogów, chcąc nie chcąc zabierając ze sobą grupkę służących i dworzan. Kapłani musieli zostać poinformowani o jej przybyciu. Wyszli jej na spotkanie do pronaosu i w milczeniu stali z boku, podczas gdy Attolia ruszyła przez świątynię w kierunku ołtarza. Uniosła ciężki, złoty świecznik, po czym ostrożnie odstawiła go na miejsce. Przechyliła ceremonialną misę na ofiary, nasłuchując brzęku przesuwających się po dnie złotych i srebrnych dysków z wygrawerowanymi litaniami pochwalnymi i błagalnymi. Przemierzyła z powrotem całą długość świątyni, zimnej i opustoszałej. Może bogowie najeźdźców odeszli wraz z nimi. Tego nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że budowla była pusta, równie pusta, co jej sala tronowa, do której właśnie wróciła. Odprawiła dworzan, a służących posłała do łóżek i zasiadła na tronie. Kiedy zapanowała cisza, pochyliła głowę i przemówiła do ciemności.

– Oddaj mi go – powiedziała – a zbuduję ci ołtarz w najwyższym punkcie akropolu, wznosząc wokół niego świątynię, w której będziesz

czczona dopóty, dopóki będzie istnieć Attolia. – Nie było żadnej odpowiedzi. Królowa siedziała i czekała.

– Eugenidesie. – Jego imię zostało wypowiedziane głosem delikatnym jak deszcz i chłodnym jak woda. Złodziej przestał krzyczeć i nadstawił ucha.
– Nic, co stworzą śmiertelnicy, nie jest trwałe. Nic, co stworzą bogowie, nie jest wieczne. Rozumiesz?

– Nie – odpowiedział chrapliwie chłopak. Wizja Świętej Góry rozwiła się z wolna. Wciąż leżał na brzuchu na podłodze oranżerii. Wyczuwał otaczające go ściany z litej skały.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał inny głos.

– Nie.

– Zdarzyło ci się złożyć ofiarę na moim ołtarzu.

– Wybacz mi, bogini, ale nie wiem, kim jesteś. – Poza przekonaniem, że rozmawiał z boginią, nie potrafił odgadnąć jej tożsamości. Nie miał też pojęcia, czy chodziło jej o to, że składał jej ofiary przed laty, ale przestał, czy może zrobił to raz. Mógł jedynie zgadywać, ilu bogom złożył ofiarę zaledwie raz. Przez całe życie zostawiał dary w przeróżnych mijanych świątynkach i na ołtarzach we własnym kraju, a także w Sounis i Attolii – moneta, kawałek owocu, garść oliwek, jakaś ozdoba, którą komuś ukradł, a nie zamierzał zatrzymać jej dla siebie. Ostatnimi czasy, jego ofiary stały się bardziej przemyślane, ale mimo to nie pamiętał większości z nich, jedynie to, że pilnował, aby zostawiać coś w każdej świątyni i na każdym ołtarzu nieśmiertelnych związanych z wodą, próbując w ten sposób przypochlebić się Araktusowi, w razie gdyby wciąż był u niego w niełasce. Zostawił szczególnie ładny dar na ołtarzu boga zanim stanął w osuszonym korycie rzeki, ale nie była to jego pierwsza ofiara dla niego, a poza tym głos należał do kobiety. Bogini, której ewidentnie powinien był poświęcić więcej uwagi.

– Teraz, kiedy stoję tu między tobą a Wielką Boginią, myślisz sobie, że

być może przez te wszystkie lata myliłeś się w swych ofiarach. – W głosie bogini pobrzmiwało rozbawienie.

Eugenides nie odpowiedział.

– Nie obraż jednej potęgi, próbując zyskać przychyłność innej.

Twoim bogiem jest Złodziej, ale pamiętaj, że żaden bóg nie jest wszechmocny, nawet Wielka Bogini.

Bogini zamilkła na dłuższą chwilę i chłopak zaczął zastanawiać się już czy odeszła, czy wystarczy mu śmiałości, by podnieść głowę i czy to, co wydarzyło się do tej pory, było już wszystkim. Jednak głos przemówił znowu.

– Mały Złodzieju, co oddałbyś, żeby odzyskać dłoń?

Eugenides niemalże podniósł głowę.

– Och, nie. Nie mam takiej mocy, nie ma jej nawet Wielka Bogini. Co się stało, to się nie odstanie, nawet w przypadku bogów. Jednak gdybyś mógł odzyskać dłoń, co oddałbyś w zamian? Wzrok? – Bogini zawiesiła głos i chłopak przypomniał sobie, jak błagał Galena, pałacowego medyka, by ten pozwolił mu umrzeć zanim zdążyłby oślepnąć. – Wolność? – odezwała się znów bogini. – Poczytalność? Zastanów się, Eugenidesie, zanim zaczniesz kwestionować wyroki bogów. Wciąż masz wiele do stracenia.

– Dlaczego bogowie mnie zdradzili? – zapytał cicho Złodziej.

– A zrobili to? – Głos bogini brzmiał równie cicho.

– Przed Attolią, przed Medejczykiem... – wydukał.

– Czy chciałbyś odzyskać dłoń, Eugenidesie? I stracić Attolię? I widzieć, jak wpada w ręce Medejczyków?

Otworzył oczy. Podłogę przed jego twarzą zaścilały maleńkie odłamki szkła, migoczące w świetle świecy.

– Oto twoja odpowiedź, Mały Złodzieju – oznajmiła bogini i zniknęła.

Eugenides zasnął i obudził się znów w ciemności. Zorientował się, że

leży na plecach. Do tego w łóżku. W kominku nie płonął ogień, ale noc była na tyle jasna, że dostrzegł Eddis, siedzącą na krześle nieopodal.

Odchrząknął.

– Góra – powiedział. – Widziałem, jak eksploduje.

– Wiem.

– Też to widziałaś?

– W snach, od połowy zimy.

Eugenides poruszył głową, jakby próbując pozbyć się wspomnień.

– Ten jeden raz był dla mnie wystarczająco paskudny. Jak myślisz, kiedy?

– Nieprędko. – Eddis pochyliła się, by położyć mu dłoń na czole. – Kiedyś, ale może nie za naszego życia. Hefestia przekazała nam ostrzeżenie, więc będziemy mieć czas, by się przygotować – powiedziała uspokajająco i Złodziej znów zasnął.

Kiedy obudził się po raz kolejny, nastał już dzień, a w pokoju zrobiło się jasno. Odwrócił się, by sprawdzić, czy Eddis wciąż trwa u jego boku, ale zobaczył Attolię, czekającą cierpliwie, aż otworzy oczy. Siedziała z dłońmi złożonymi na kolanach i wpatrywała się w dal, ale kątem oka musiała dostrzec, że się poruszył, bo odwróciła się w jego stronę.

– Kochasz mnie? – wypalił bez ogródek Eugenides.

– Dlaczego pytasz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i chłopak skrzywił się z irytacją.

– Bo muszę wiedzieć.

– Noszę twoje kolczyki.

– To, że jesteś gotowa mnie poślubić, nie oznacza, że mnie kochasz.

– A uwierzyłbyś mi, gdybym powiedziała, że cię kocham? – Pytanie wydało mu się szczere, więc Eugenides dokładnie przemyślał odpowiedź.

– Nie wydaje mi się, byś miała mnie okłamać.

- Ma to jakiegokolwiek znaczenie?
- Czy będziesz szczerą?
- Czy cię kocham?
- Tak. Kochasz mnie? – zapytał ponownie chłopak.

Królowa nie odpowiedziała.

- Kiedy otworzyliśmy drzwi do oranżerii trzy dni temu...
- Trzy dni?

– Trzy dni. Kiedy otworzyliśmy drzwi, zobaczyliśmy, że całe pomieszczenie zostało zwęglone, a ty leżałeś na podłodze, zapewne martwy, w otoczeniu odłamków szkła. Szyby są drogie, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, Wasza Wysokość – szepnął potulnie chłopak.

– Mogłeś zginąć, ale nie zginąłeś. Nie zostałeś ani pocięty na kawałki, ani spalony na popiół, a kiedy już się obudziłeś, twoja królowa przekazała mi, że nie wyglądasz też na obłąkanego. Jesteś obłąkany?

– Wydaje mi się, że nie bardziej niż zwykle.

– Musisz być obłąkany, skoro wydaje ci się, że mnie kochasz. – W na ogół pozbawionym emocji głosie Attolii zabrzmiały gorycz i autoironia.

Eugenides chciał ująć jej dłoń, ale siedziała po jego prawej stronie, więc musiałby sięgnąć przez swoje ciało. Uniósł się na łokciu, ale królowa wyciągnęła rękę i łagodnie pchnęła go z powrotem na łóżko. Potem odsunęła kołdrę, odsłaniając jego kikut. Hak leżał na stole po drugiej stronie pokoju. Złodziej z trudem oparł się pokusie, by schować rękę z powrotem.

– Nie jest taki podrażniony – powiedziała Attolia.

– Nie. – Chłopak przebiegł palcami po kikucie. Zgrubienia i pęcherze zniknęły. Zniknął także ból fantomowy i ten w kościach. Eugenides pomyślał o bogini, która wstawiła się za nim i uznał, że być może zniknął na zawsze.

Attolia przyglądała się jego ręce.

– Obcięłam ci dłoń.

– Tak.

– Od tamtej pory żyłam z twoim żalem, twoim gniewem i twoim bólem. Nie wydaje mi się... nie wydaje mi się, bym przez długi czas czuła cokolwiek wcześniej, ale te emocje przynajmniej były mi znane. Miłość jest dla mnie obca. Nie rozpoznawałam jej do momentu, kiedy wydawało mi się, że straciłam cię w Efracie. A kiedy wydawało mi się, że tracę cię po raz drugi, zrozumiałam, że poświęciłabym wszystko, by mieć cię przy sobie – nieszczerzy kult innych bogów, ale i własną dumę, a nawet złość na wszystkich bogów, wszystko dla ciebie. A teraz widzę cię tutaj i widzę, co ci zrobiłam. – Pogłaskała go delikatnie po okaleczonej ręce, a on zadrżał pod wpływem ciepła jej dotyku i jego intymności.

– Obserwowałeś mnie przez wiele lat? – zapytała.

– Tak.

– Patrzyłeś, jak postępuję ze swymi baronami, służącymi, lojalistami, zdrajcami i wrogami? – Pomyślała o surowości i oziębłości, które pielęgnowała w sobie przez wszystkie te lata, zastanawiając się, czy była to tylko maska, którą zmuszona była przywdziewać, czy też ta maska nie stała się jej prawdziwą twarzą. Nawet jeśli tęsknota za życzliwością, ciepłem i współczuciem, którą czuła w swym wnętrzu, była dla niej ostatnią nadzieją, to nie wiedziała, jak ją pielęgnować ani czy uda jej się ją utrzymać.

Nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi, zapytała:

– Kimże jestem, że mnie kochasz?

– Moją Królową – odpowiedział Eugenides. Attolia przyglądała mu się, siedząc nieruchomo, a jego słowa wsiąkały w jej serce niczym woda w przesuszoną ziemię.

– Wierzysz mi? – zapytał Złodziej.

– Tak.

– Kochasz mnie?

– Tak.

– Kocham cię.

Uwierzyła.

OD AUTORKI

Krajobrazy Attolii, Sounis, a nawet Eddis mocno przypominają tereny otaczające Morze Śródziemne. Podebrałam to i tamto, jeśli chodzi o wygląd tego regionu, a także jego historię i umieściłam w mojej opowieści, jednak ona sama jest fikcją literacką. Nic w książce nie odpowiada faktom. Przedstawieni w niej bogowie i boginie nie przynależą do panteonu greckiego, nie pochodzą też z wierzeń innych kultur. Sama ich wymyśliłam. Cesarstwo Medejskie także jest moim własnym pomysłem.

W świecie rzeczywistym, powstało i upadło wiele imperiów, które próbowały przejąć kontrolę nad basenem Morza Śródziemnego. Wśród najwcześniejszych przykładów wymienić można Fenicję, Egipt, czy cywilizację mykeńską. W V wieku p.n.e. Persowie dwukrotnie próbowali powiększyć granice swego cesarstwa o Półwysep Bałkański i dwukrotnie ponieśli porażkę. Grecy pokonali ich w bitwach pod Maratonem i pod Salaminą. Rzymianom udało się natomiast utrzymać tereny śródziemnomorskie przez pięćset lat, w którym to czasie udało im się rozpowszechnić własnych bogów, nalegając, by przynajmniej oficjalnie zastąpili oni lokalne kultury w różnych częściach imperium.

Miejsce Rzymian zajęły Cesarstwo Bizantyjskie i narody islamskie, imperia kupieckie włoskich państw-miast oraz Imperium Osmańskie, które zniknęło z mapy świata dopiero w dwudziestym wieku, kiedy najpotężniejsze kraje Europy odniosły nad nim zwycięstwo i dokonały podziału jego ziem.

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[OD AUTORKI](#)